TWÓRCZOŚĆ

2

LUTY

ROK XI 1955

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI ZESZYT 2

WARSZAWA, LUTY 1955 ROK

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 117/c z dnia 10.1.55 r. Nakład 4.845.
Druk ukończono w lutym 1955 r. B-6-490

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

Z WYCIECZKI JESIENNEJ

Liście

Cierpliwe jesienne ścielą...
Od ścieżek ubitych dzielą...
Między wierzchołkiem a niebem
kształtu letniego strzegą.
Szeleszczą po drutach, po słupach,
wiedzą, gdzie i kiedy upaść:
gąskom białym pod stopki żółte,
pastuszkom — na szlak nieobuty
i — do pieśni mnie, wyraźne jak nuty.

Z dębem dąb

Z dębem dąb rozmawiał
o piórach czaplich i pawich...
Lipa lipie szeptała:
„Zapomniałam..."
Osina drżała ku osinie zgięta:
„Kochali... Pomarli... Pamiętam..."

Wątpliwość

Łuk rzeki nie wiem, czy mnie wiąże, czy też dzieli
od łąk tych. I ta najzieleńsza zieleń,
co w niebo wrasta tam, kędy się kończy,
nie wiem, czy z niebem kłóci mnie, czy łączy?
Chmury się pasą,
drzemie piach pod lasem...
Nie wiem, czy stale kocham wszystko to, czy tylko czasem?

Były lilie

Były lilie wodne w czerwcu
na tej łasze i na sercu.
Teraz szumią oczywiście
na tym sercu złote liście,
a po wodzie jesień brodzi,
suchą trzciną groblę grodzi.

Stokrotki

Umarli przechodzą szpalerem:
jeden, dwaj, trzej, czterej
— zamyśleni, uśmiechnięci, jesienni.
Dama szumi jedwabiem pawim,
po stokrotki schyla się w trawie...
jedna dama, druga... Dwa cienie...
A stokrotki — nie bogate, nie bujne,
pojedyncze, nie podwójne —
lękają się lekkiego dotyku,
kryją liczka w trawniku.

Najlepiej

Kochając nie pamiętać
— dola przeklęta.
Pamiętając nie kochać
— lżej trochę.
A najlepiej, oparłszy policzek na chmurze,
nie pamiętać zupełnie i nie kochać dłużej.

Pasł się obłok

Pasł się obłok nad Wartą pierzasty
i więcej obłoków się pasło.
Wypiły wodę czystą,
wypiły Wartę bystrą.
Nie mają wody gąski,
powiędły u wierzb gałązki,
obłoki się wypasły, że aż w niebie duszno,
a nad rzeką — susza a susza.

Kazimiera Iłłakowiczówna

TADEUSZ RÓŻEWICZ

DRZEWO

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci
Świat był jak drzewo
a oni jak dzieci

Cóż ci powieszę
na gałęzi drzewa *)
na które spadła
żelazna ulewa

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci
dokoła drzewa
tańczyli jak dzieci

Cóż ci powieszę
na gałęzi drzewa
które spłonęło
które nie zaśpiewa

Byli szczęśliwi
dawniejsi poeci
pod liściem dębu
tworzyli jak dzieci

A nasze drzewo
w nocy zaskrzypiało
I zwisło na nim
pogardzone ciało.

POGODA

Dół
wykopany jakby w słońcu
w suchym świecącym
piachu

Nad dołem
stał człowiek

*) Był zwyczaj, że poeci zawieszali na drzewach swe wiersze i pieśni miłosne, przeznaczone dla ukochanej...

Krzewy i zioła były nagrzane
i ptaki milczały dokoła
w dusznym bukiecie zapachów

W dole bawiły się dzieci
dół pienił się zgiełkiem
kipiał śmiechem
strumyk piasku
spływał na dno

Człowiek który stał nad dołem
uśmiechnął się
i omijając grzędy
kwitnących grobów
wyszedł na drogę

jechały drabiniaste wozy
pełne syczących kłosów
a on szedł przed siebie
pogodny
znikał na widnokresie.

NAD WYRAZ

Co ty robisz
wyszły z ciemności
Czemu nie chcesz
w pełnym świetle żyć

Wojna się we mnie otwiera
powieka
miliona rozpadłych lic

Co tam składasz
co dźwigasz
Krwią umazany

Składam słowa
dźwigam swój czas

Już tak długo
twa bezsłoneczna praca
trwa.

Nad wyraz ciężka
do wypowiedzenia
jest jedna łza

Co tam mówisz
co szepczesz
Jaki wyraz
naszym czasom dasz

W pośmiertnej masce
pokolenia
przekażę
ludzką twarz.

1954

Tadeusz Różewicz

JAN KOPROWSKI

OJCZYZNA

Czym jest ojczyzna? Każdy z nas
inaczej na to odpowiada.
Niejednakową podkładamy
pod znane z dawna słowa — treść.
Dla jednych — to strzelisty las
i ziemia dziada i pradziada,
dla drugich — stare w miastach bramy
lub skryta pośród sadów wieś.

Dla innych jeszcze jest ojczyzna
historią chwały, klęsk i łez.
I każdy swoją prawdę wyzna
i zdefiniuje, czym ojczyzna.
Lecz czym naprawdę ona jest?

A czym jest dla mnie? Już od lat
biedzę się nad tym i nie mogę
określić ściśle. A chcę wiedzieć,
niewiedza rodzi tylko ból.
Czy to jest ten najbliższy świat:
wzgórze i parów? Czy na drogę
widok, którędy mnie powiedzie
życie wznoszonych miast i siół?

To jest na pewno to. Lecz także
i coś ponadto i coś więcej,
czego się nie da nazwać wprost.
Ona powstaje w wielkiej męce,
ona oznacza czyjeś ręce
i jest jak w dal rzucony most.

Ojczyzna to jest to, co było
i to, co jest, i to, co będzie.
Ze wszystkich najpiękniejsza miłość,
która za tobą pójdzie wszędzie.
I jeśli znajdziesz się daleko —
przypuśćmy, w kraju obcym gdzieś,
będziesz ją nosił pod powieką,
w uszach wciąż słyszał jedną pieśń.

Uwierz mi, bracie. Ja już byłem
daleko poza krajem mym.
Płakałem tylko i tęskniłem
i nigdym się nie wadził z nim.
I gdy mi bodaj na organkach
piosenkę znaną zagrał ktoś,
okam nie zmrużył już do ranka...
I tak na skroniach posiwiał włos.

Więc, towarzyszu sercu miły,
ojczyzna — to jest źródło siły.

Jan Koprowski

OCZEKIWANIE

W takie wieczory na nic się nie czeka,
słucha się dzwonka, co u sani brzęczy,
smaga się konie biegnące z daleka
po horyzontu skrzypiącej obręczy.

Może to do nas jadą goście mili? —
Przychodzi siostra, biorę ją za ręce
i tak jak jestem, w iskrach śniegu pędzę
do ludzi, których będziemy gościli.

Ale w dym mrozu odjeżdżają sanie,
przestrzeń po dzwonkach zasypuje zima,
siostra mi kładzie lewą dłoń na ramię,
a w prawej moją zimną rękę trzyma.

I znów patrzymy, każde w swoim oknie,
na śnieg kudłaty, na rogate drzewa;
jeśli się palcem tej gałęzi dotknie,
do kotła studni suchy blask się wlewa.

Po co się martwić, głos twój nie wywoła
miłego chłopca na odległość źrenic
z wykreślonego przez krajobraz koła
gałązką smutku, co się nie da zmienić.

Jeszcze się z wieńcem zjawią u nas goście,
zabębni zima i flet wrzaśnie ostro:
a wy na czapkach pawie pióra stroszcie,
a ty się ubierz w białą zamieć, siostro.

I znów stoimy, każde w swoim oknie,
z czołem na szybie, z nieruchomą twarzą,
może się zjawi, ręki twojej dotknie
i jego oczy policzki ci sparzą? —

TAK JEST W PIOSENCE

Chciałem ułożyć swoje ciche życie
z takiej miłości, co przy stole siada
z ręką przy ręce, z głową na ramieniu,
ale tak tylko w pieśni się układa.

Źle mi samemu. Stoję w czarnym oknie
czujny jak pies, którego się bije
ilekroć pyskiem ludzkiej twarzy dotknie,
więc łeb opuszcza na łapy i wyje.

A ja potrafię milczeć wieloznacznie,
śmiać się i płakać, gdy płakać przystoi
mężczyźnie, jeśli zrozumiał opacznie
twój kruchy uśmiech i śmiechu się boi.

Po cóż ci kładłem głowę na ramieniu,
gdy trzeba było strącić twoje ręce
z mych rąk i odejść w swoim krótkim cieniu,
lecz tak się tylko odchodzi w piosence.

BALLADA O DRWALACH

Gdzie przeraźliwie gwiżdże ptak,
a leśnej ścieżki ogon lisi
kiwa się w przód i gnie się wspak,
nieśli topory i szli cisi.

— Może odpocząć chcecie tu —
rzekł jeden z nich, miedzianobrody —
pod gnaty wam podścielę mchu,
pod łeb dam topór dla wygody?

— Ciężko ci widać, ryży śpiochu,
do snu cię ciągnie suchy liść
i grzmiący chór w tym dzikim lochu,
jeśli już z nami nie chcesz iść.

To sobie siądź, o tu, na pniaku,
dwa dzwonki damy ci do rąk,
czapkę orzechów, proszę, smakuj,
tylko siedź tutaj, bo byś wsiąkł.

A gdy ci będzie bardzo smutno
lub gdy cię wilki zechcą zjeść,
dzwoń, przyjdą córki, w lesie utną
kij, który wyrósł na twą cześć.

— Czemuż to tak od razu w łeb
tniecie dzwonkami, kiedy dzwonki
daje się dziadu, który ślepł
idąc w habicie ciemnej łąki?

Toć moje oczy nie ze szkła,
widzę na wylot przez mróz skute
piaszczystych jezior rude dna
i stopy wzgórz w granit obute.

Ale gdy wam tak bardzo spieszno,
nie będę tu jak niedźwiedź stał,
choć do powrotu liście zetrą
moździerze wiatru w sypki miał.

— Ano to rusz się, stary, stąd,
zawieś u pasa ostry topór
i zduś wiśniowej fajki swąd,
bo las uleci w dym na smoku.

Na tej ugiętej w łuk polanie,
gdzie kosy świszcząc piszą list,
gmach na kamienne stopy wstanie
i kosy spłoszy syren świst.

Patrz, do fabryki idzie wnuk,
chociaż nie tak, jak ty, miedziany,
a przecież z brązu mieć by mógł
łeb fryzowany.

— Gdzież tu polana, rogacz szczeka
w gąszczu i sosny ostry szpic
bure guziki chmur nawleka
na szpilek nić.

Wódka wam matką albo bzik,
bo skąd w tym pełnym cienia kotle
mój wnuk z kołyski nagle znikł
i gmach na czarciej zjechał miotle.

— Ano to, widzisz, było tak,
podnieś do góry topór, zamach,
na ściętym drzewie płacze ptak
i jest polana.

A resztę też ci opowiemy,
tylko do taktu echu tnij,
aby nie musiał wnuk z leszczyny
ciąć ci pogardy kij.

Tadeusz Nowak

MARIA DĄBROWSKA

NA WSI WESELE

Motto.

Oj, jedz, pij, kiedy dają,
A tańcuj, kiedy grają,
A uważaj, kiedy dzwonią,
A uciekaj, kiedy gonią.

[wiejski przyśpiew do tańca]

1

W sobotę przed trzecią niedzielą października już od południa goście zaczęli się zjeżdżać na wesele Zuzi Jasnocianki. Pierwsi przybyli z najdalszej strony, bo aż z Wrocławia, Michał Boguski i Aniela Pawoniakowa, brat i siostra Małgorzaty Jasnociny. Pawoniakowa przywiozła ze sobą dwoje dzieci, Felka i Elżunię, starszych cokolwiek od jutrzejszej panny młodej, która liczy sobie dopiero lat siedemnaście.

— A Helenka? A Stasiek? — dopomina się Małgorzata o bratową i szwagra. — A twoje dzieci, Michaś, nie przyjadą?

Nie przyjadą. Tak się złożyło, że każdemu z nieprzybyłych coś ważnego przeszkodziło zwolnić się z pracy; a Helenka, jak zwykle, słabuje.

Małgorzata wita gości uszczęśliwiona, lecz zarazem o mało nie spali się ze wstydu; w domu jeszcze nic do wesela nie gotowe, ręce pełne roboty. Zuzia i jej narzeczony, Czesiek Ruciński, kręcą mięsiwo na kotlety; przy kuchni krzątają się, prócz Małgorzaty, jej druga siostra, Paulina Szatkowska, i bratowa, Leokadia, która jest za najstarszym Boguskim, Łukaszem. Wszystkie trzy są już mniej albo więcej po pięćdziesiątce, nieduże, chude, mocno szczerbate, ale zwinne i krzepkie, robota w rękach im się pali, ciężkie gary przestawiają bez wysiłku jak piórko. Małgorzata czuwa nad warzącymi się nogami wieprzowymi i wołowymi, przyrządza nadto dwa wielkie schaby do wstawienia w piekarnik pod kuchnią. Leokadia odrywa z olbrzymiej misy kęsek po kęsku ciasto i urabia z niego na dłoni pączki, Paulina smaży je w szmalcu i obtacza w białą obłoczkę cukru pudru. Dwie wypożyczone potężnych rozmiarów stolnice pełne są kulek ciasta, usmażone i ocukrzone pączki piętrzą się w blaszanej wanience. Podłoga zatłuszczona,

zaśmiecona odpadkami, zaprószona mąką, mały bury kot wzdragającym się nosem wywąchuje, co by z niej zjeść lub zlizać.

— Co ja poradzę! Nie zdążylim i nie zdążylim — usprawiedliwia się Małgorzata przepraszając żałosnym uśmiechem i promiennymi szarymi oczyma. — Cztery dni się męczymy, czwartą noc już nie śpimy, a końca roboty nie widać. I nie widać!

Feluś Pawoniak spojrzawszy po izbie, w której sporo latek się chował, mówi zdziwiony:

— Zapomniałem, że tu tak nisko... Mnie się zdawało, że to jest większe i jaśniejsze mieszkanie. — I śpiesznie dodaje: — Ale i tak miło. A jeszcze jak się posprząta...

Przyjemny z niego chłopiec, na takiego się zresztą od dziecka zapowiadał. Ubiór na nim staranny, jasne włosy gładko do góry zaczesane, twarz myśląca, pogodna, obejście uważające, by komu w czym nie wadzić, nie uchybić. Głowacz z niego, egzaminy jakieś nadzwyczajne pozdawał, na uniwersytecie się uczy. Małgorzata nie bez oszołomienia przygląda się eleganckiej rodzinie. Michał to już dziewięć lat jak mieszka we Wrocławiu, zresztą z dawna jest miejskim człowiekiem, szesnaście lat miał, gdy wziął go do siebie na naukę elektromonter, krewny tu jednych ze wsi; a teraz Michał wyszedł na urzędnika, kieruje miejskim magazynem sprzętu elektrycznego. Lecz Pawoniakowie rok temu dopiero, za namową Michała, przenieśli się do Wrocławia, odpisawszy dom i gospodarstwo, które mieli z reformy rolnej po Niemcu-koloniście, na Małgorzatę i Szczepana Jasnotów; a patrzcie, co się z Anieli Pawoniakowej i z jej dzieci przez ten roczek zrobiło! Aniela zawsze była z rodzeństwa najładniejsza, lecz po zamęściu, w czarnej wiejskiej robocie i ona zordynarniała, zmarniała. A w mieście od razu takiego glancu nabrała, pani z niej po prostu poważna i jeszcze ładna, choć lata swoje ma. Felek już student, Elżunia — panna sklepowa. Tylko Elżunia coś nosem kręci, patrzy wokoło, jakby pierwszy raz w życiu weszła do tego mieszkania.

— Gdzie tu się będzie tańczyć? — powątpiewa. — Tu się nikt nie pomieści. I takie dziury w podłodze... Jeszcze się zarwie...

— Nic się nie martw, Elżusia — uprasza Małgorzata. — Dziury się do jutra załata, przez noc się podłogę podstempluje. I tu się będzie tylko jadło. Tańczyć będziecie u matki pana młodego. U pana Cześka.

— U Cześka!? Rozgrzana, w cienkiej sukience mam tak daleko chodzić?

— To niedaleko, Elżusia! Nie pamiętasz, gdzie Ruciński mieszkają?

Małgorzata zakłopotana patrzy na siostrzenicę. Jedyna spośród znaj-

dujących się w chałupie pulchna, tęgawa, oczy wypukłe, brązowe niby świeżo wyłuskniętе lśniące kasztany, włosy po trwałej ondulacji kręcą się jak runo czarnej owcy. Modna z niej panna, bluzeczka, spódniczka, lakierowany pasek, pończoszki stylony — wszystko szyk wielkomiejski. Ale że w sklepie towar wydaje, to już jej się tu wszystko tak nie widzi? Felek też odmieniony, a przecie swój pozostał, serdeczny, uśmiechnięty, nie rozgrymasił się w mieście. I tak samo Aniela; co się odezwie, zaraz widać, że wszystko dobrze przyjmie, zrozumie, przebaczy, nawet i ten bałagan w domu dobrze przyjmie.

Pomimo bałaganu Pola Szatkowska i Lodzia Boguska, nie odrywając się z pozoru od pączków i nie odciągając Małgosi od gości, już przyrządziły herbatę, częstują gości świeżymi pączkami, kaszaną kiszką, słodkim ciastem. Goście piją słabiutką słomkowego koloru herbacinę, chwalą kiszkę, że takiej za żadne pieniądze w mieście się nie dostanie, opowiadają o podróży. Owszem, dobrze jechali, nie było tłoku, tylko połączenie ze wsią Pawłowice niedobre. Do samej Warszawy trzeba koleją dojechać, a zaś autobusem nazad się wracać do przystanku Olszówka. A jadąc od Olszówki ze Szczepanem zmarzli trochę, wiatr był silny i deszcz ich nawet zmoczył. Więc o pogodzie, czy w Pawłowicach tak stale? Bo u nich we Wrocławiu cały październik trzyma upał jak latem, jasne słońce, pogoda że aż miło. Szczepan Jasnota, który gości przywiózł swoim gumowcem zaprzężonym w gniadego wałacha, stoi w progu, bo jeszcze musi pójść konia okryć derką i nakarmić; za dwie godziny wybiera się znowu na stację autobusową. Ale żal mu porzucić gości, zwleka, słucha, co mówią o pogodzie, i zapewnia, że w Pawłowicach tak samo było do dziś dnia ładnie, dopiero dzisiaj pogoda się popsuła. Młodsza córka Jasnotów, dwunastoletnia Jadwisia, przenikliwym głosikiem „przysięga", że tatuś dobrze mówi, bo jeszcze wczoraj było ciepło i ładnie na dworze. Goście przytakują, ale nie dowierzają, „tak — mówią — zimną macie pogodę". Szczepan oświadcza, że wobec tego herbata nie wystarczy, trzeba się napić czegoś bardziej rozgrzewającego. Znajdzie się w domu ten liter dla gości poza ogólnym przyjęciem.

— Matka — zwraca się pokornie do żony — daj soku.

I wypijają po czarce ulubionego napoju — wódki z sokiem.

Szczepan Jasnota jest o cztery lata młodszy od żony, ale wygląda starzej niż Małgorzata, która do dziś dnia postać ma kształtną jak dziewczyna i nawet zmarszczki koło ust i szarych promienistych oczu nadają jej twarzy wyraz raczej stroskany niż stary. Szczepan jest kościsty i wysoki, twarz ma zapadłą, ziemistą, źle ogoloną, w gębie więcej

dziur niźli zębów, kanciata szczęka i mocno wystająca broda nadają mu wygląd człowieka energicznego. Lecz wejrzenie jego niedużych czarnych oczu jest raczej lękliwe i potulne, a szerokie usta są albo uchylone w gapiowatej zadumie, albo rozciągnięte w dziecinnie uszczęśliwionym uśmiechu. Małgorzacie wiadomo, że to wejrzenie i ten uśmiech oznaczają prawdziwego Szczepana, człowieka, co przez szesnaście lat nie potrafił rodzinie zbudować domu. Tylko dzięki Pawoniakom nie tłuką się już po najmowanych od ludzi mieszkaniach, a ich grunty z czterech hektarów gołej ziemi urosły do dziesięciu hektarów z sadkiem i budynkami. Ale to kłopotliwe bogactwo, bo Szczepan ma złe zdrowie; całą wiosnę pluł krwią, niedawno wrócił do domu z trzymiesięcznego pobytu w sanatorium. Uważa się za wyleczonego, ćmi papierosy, pije wódkę i także od czterech nocy prawie nie śpi; same wyroby z ubitego wieprza zajęły im dwie doby czasu. A teraz nim wyjedzie do autobusu, z którego spodziewa się przywieźć swoją osiemdziesięcioześcioletnią matkę, musi gościom zachwalić pannę młodą.

— Ale ładną mam córkę, prawda? — pyta rzewnie. — W swoją mamę się wdała!

— Tak, podobna — przytakują goście, ale po cichu myślą, że Zuzi daleko do tej Małgorzaty, jaką z młodości pamiętają. Ani tego wejrzenia promienistego, mokrego jak liść w rosie skąpany, ani tej różaności twarzy, ani tego chwytającego za serce uśmiechu. Zuzia kształty ma foremne, wzrost nieduży, ruchy stanowcze i sprężyste. Dolna warga i broda jak u ojca, wystają trochę naprzód, oczy niebieskie duże i ładne, ale wejrzenie suche bez blasku, brwi czarne, piękne, policzki blade, chociaż jędrne i gładkie. Cała osoba Zuzi ma w sobie coś jakby za wcześnie dojrzałego, nad wiek pewnego siebie i trzeźwego. Zuzia podoba się chłopcom. Czesiek Ruciński jest już jej drugim narzeczonym. Bardzo przystojny z niego chłopak, smukły, giętki, twarz pociągła, smagła lecz świeżej barwy, oczy piwne, ciemny szatyn, czupryna, jak teraz między kawalerami moda, sterczy mu wysoką czapą, a gdy się młody schyli, spada długimi zwojami, z których bez mała warkocze można by splatać. Czesiek nie wygląda na swoje dwadzieścia cztery lata, gdy Zuzia, przeciwnie, starszą się zdaje nad swoje siedemnaście. Oboje państwo młodzi są nadzwyczaj niemowni. „Owszem, niczego sobie — myślą goście — ale nie wiadomo, o czym z nimi pogadać". Zajęci pewno swoją sprawą, nie byle jaki to przecie moment życia, może też zajęci są po prostu robotą. Zresztą skończyli właśnie z mięsiwem, oddali półmich z miazgą mięsną w ręce ciotek, a sami, zabierając Elżunię i Fe-

lusia, wychodzą na wieś. Trzeba jeszcze się przejść po sąsiadach, różnych rzeczy na jutro dopożyczyć.

Starsi teraz się rozgadali. Paulina i Leokadia, nie przestając się zwijać przy kuchni, wypytują o Wrocław. Im jednym z obecnych w izbie całe życie upłynęło w Pawłowicach, bo i Jasnotowie młodość spędzili w mieście, i to w Warszawie, dokąd one czasem tylko na krótko wyjeżdżały. Pola Szatkowska jest za rymarzem, gruntu mieli jej rodzinnego co kot napłakał, ale reforma rolna przyrzuciła im ziemi; przez te dziesięć lat nowych rządów i warsztat rymarski postawili, i dzieci ładnie wychowali, wszystko już do miast poszło, prócz najmłodszego, który na wsi chce zostać. Po Małgorzacie i Anieli od razu widać, że siostry, Pola jest inna. Czoło ma nie strome, lecz wypukłe. Kiedyś policzki były tak samo wypukłe, i szyja była wypukła, długa, pełna i biała. Teraz wiórek się z tego wszystkiego zrobił, ale serce w tym wiórku żarzy się zawsze to samo, przepełnione tęsknotą. Za panieńskich lat, gdy we dworze pawłowickim pojawił się malarz, który ją malował, i mówił, że jest podobna do średniowiecznej Madonny, Pola tęskniła za migoczącym w tej nazwie własnym, innym jakimś, wspaniałym losem, choć nie wiedziała, co znaczą słowa „średniowieczna Madonna". Potem się zeszła z rymarzem, Janem Szatkowskim, i okazało się, że rymarz miał też serce tęskniące, tylko że nie tak o los własny mu szło, ale o inne życie całej wsi, kraju, a nawet świata. Kiedy po męczarniach drugiej wojny światowej przybyli do wsi ludzie, co inne, lepsze życie ogłaszali, Szatkowscy od razu się do nich przyłączyli. Teraz od lat już byli w partii, długo chodzili jak nowonarodzeni, ale ostatnimi czasy jakoś zmarkotnieli, przygaśli, coś w nich się załamało, a nie wiedzieli co, tyle że serca znów się przepełniły tęsknotą za innym, lepszym życiem. Więc Pola słucha chciwie opowiadań Anieli, bo może tam gdzieś daleko wszystko nie tak marnie wychodzi, jak w Pawłowicach.

Leokadia Boguska ma nos wygięty jak dziób jastrząbka, usta pod nim jeszcze pulchne, choć otoczone bruzdami zwiędłych policzków; znać w niej dawną urodę, niezwyczajną jakąś i trochę srogą. Leokadia pochodzi z dużych gospodarzy, ale że liczne miała rodzeństwo, przypadło na nią niewiele gruntu. Za Łukasza wyszła z miłości, rodzice go nie chcieli, gdyż Boguscy to była bieda z nędzą — dwie morgi na sześcioro! Tymczasem Łukasz okazał się skarbem. Od dziecka znał się na murarce i z tej murarki nie tylko na gruncie żony budynki wystawił, ale ziemi cokolwiek przykupił, ogród owocowy założył. I do dziś dnia zarabia jako murarz, teraz głównie po miastach, bo po wsiach mało

budowano, ludzie mówili, że nie warto. Lodzia i Łukasz liczą się dziś do zasobnych gospodarzy. Niedawno, widząc ich dobre rządy, stara bezdzietna ciotka Dobrzyńska za dożywocie w ich domu przepisała na Lodzię swoje gospodarstwo, na którym zaraz osadzili najstarszego syna, żonatego już i dzietnego Jacka. Leokadia żadnym obrotem czasów nazbyt się nie przejmuje. Nie wymaga od świata łask ani wypomina mu krzywd, nikomu też losu nie zazdrości ni swego nad inne nie wynosi; po prostu żyje, dosyć nawet zawzięcie żyje. A o Wrocławiu słucha, bo ciekawa jest, owszem, jak ludziom żyje się gdzie indziej.

Aniela Pawoniakowa ręce, jak ma w zwyczaju, na piersiach założyła, głowę, jeszcze ciemnowłosą, przechyliła na bok i niegłośno, pomału opowiada o ich wrocławskim życiu. Małgorzata słucha z sercem tłukącym się w piersi. Taka była niespokojna, czy Pawoniakom się powiedzie, czy nie będą żałować, że się pozbyli gospodarstwa. Ale jak im się miało nie powieść, Stacho Pawoniak marnował się tylko na wsi. Cieśla i tokarz był z niego wyśmienity, a też i człowiek zaradny; choć gruntu własnego przed reformą nie mieli, na oddzierżawionym od Łukasza spłachetku kliteczkę zgrabną jak cacko na warsztat i mieszkanie sobie postawił. Nic dziwnego, że się na nim we świecie poznali. Przez Michała, zasiedziałego wrocławianina, dostał się do sławnej fabryki wagonów, teraz kursy jakieś ukończył, jeszcze lepsza przyszłość się przed nim otwiera.

— To dobrze wam w tym Wrocławiu? — chce się upewnić Małgorzata.

— Jak im nie ma być dobrze? Przecież to ani porównania z tutejszym życiem, kochana. To miasto! I jeszcze jakie miasto! — odpowiada za siostrę Michał.

— Mówią, że bardzo zrujnowane — wtrąca Leokadia obsypując mąką kotlety.

— Zrujnowane. Ale te resztki to jeszcze jest wielkie, wspaniałe miasto — i przez chwilę Michał z Anielą jedno przez drugie chwalą Wrocław.

Michał Boguski jest człowiekiem średniego wzrostu, dziarskiej postawy, otwartej, przyjemnej twarzy o szarych, jasno patrzących oczach i przystrzyżonej nad czołem, srebrzącej się już, płowej czuprynie; zgoła człowiek z niego udatny, a mają go i za człowieka niegłupiego; Małgorzata lubi go najwięcej ze swych braci, a z jego żoną Helenką od młodych lat żyły ze sobą jak siostry.

— Wszystko dobre, tylko to niedobre — skarży się więc — że tak daleko mieszkacie. Kiedy ja tę Heluchnę zobaczę, kiedy? Powiedz mi

o niej, Michał. Co jej jest, że choruje? Czy zawsze taka śliczna jak była?

— Serce ma chore. Nie wiem, czy zawsze śliczna, tylko wiem, że zawsze ją kocham. Na rękach bym ją nosił! Chociaż ze mnie jeszcze kawaler, że hoc, hoc! — zaśmiał się nagle Michał i nawet zatańczył na miejscu, przytupnąwszy ochoczo. — Ale i na tobie, Małgośka, lata widać — obrócił siostrą w kółko. — Sucharek z ciebie się robi!

— A ja tam swoich lat nie czuję. Nie czuję i nie czuję! — promienieje Małgorzata, rada, że Michała żarty się trzymają jak niegdyś. — Szesnaście lat mam, jak się kto pyta, i ani roku więcej! Ani roku!

— Dla mnie Małgosia tak samiutko wygląda, jak wyglądała, kiedy się z nią żeniłem — obraża się Szczepan. — Twarz ma tę samą, oczy ma te same, ten sam wzrost, ja nic innego nie widzę tylko, że ta sama, co była.

Jadwisia wpada wołając swym hałaśliwym głosikiem:

— Tatusiu, tatusiu! Trzeba już jechać po babcię!

— Moja mamusia przyjeżdża na wesele — objaśnia Szczepan. — Co my tam o swoich latach! Moja mamusia ma osiemdziesiąt sześć lat i wybrała się w taką drogę aż zza Warszawy, spod Mińska.

— Szczepan, jedź, spóźnisz się na autobus — ponagla Małgorzata. — Matka Szczepana jeszcze nigdy u nas nie była — zwraca się do przyjezdnych.

— Czekaj, Szczepan — zatrzymuje szwagra Michał Boguski. — Toć i ja pierwszy raz widzę was w tym domu na nowym gospodarstwie. Grzmotnąłbym z tobą kielicha na nowym progu. Toście się bali kołchozów, a tu kułakami jeszcze zostaniecie w tym państwie naszym ludowym.

— Nieprawda! — Małgorzata się zaperza. — Tamte nasze cztery hektary to już na Zuzię odpiszemy, a czy cztery, czy dziesięć, to ja tyle wiem, że tak samo od rana do nocy muszę robić, tylko jeszcze więcej muszę robić, żeby obstać! Jak się na skup wszystko co do ziarneczka odda... — Małgorzacie nagle się przypomniało: — Matko! Kury trza skubać! Szczepan, jedź już! Weź derkę dla babusi!

Wyprawiwszy męża wróciła do mieszkania dźwigając dwa koguty i dwie spasione kury zwisające krwawymi łbami ku ziemi. Przysiadła na stołeczku, Leokadia podsunęła jej wanienkę z wodą; Pola — koszałkę na pierze. Jadwisia wbiega i wybiega, ciągle na kogoś wygląda, wciąż jej za mało gości, chciałaby już wesela.

— Nie kręć się — sarka Małgorzata. — Pierze mi rozdmuchujesz! Poszłabyś lepiej Zuzi poszukać. Gdzie ci młodzi przepadli?

Ale Zuzia już sama nadchodzi z koszykiem pełnym wypożyczonych szklanych naczyń pod ciasto.

— Zimno — mówi — zrobiło się na dworze. Pewno nie będzie na jutro pogody.

Wszyscy spoglądają na zachodnie okienko chałupy. Widać za nim bufiastą, szaro-fiołkową chmurę, spod której wyłazi słońce jaskrawo rozżarzone, chmury od jego blasku jeszcze bardziej ciemnieją.

W izbie przycicha. Trzy robotnice weselne zamilkły przy swych zajęciach. Słychać zgrzyt przesuwanych fajerek, bulgotanie warzonej strawy, szmer szarpanego pierza. Zuzia wzięła się do upiększania okien. Szyby zdążyła umyć jeszcze rano, a teraz doniczki z zielenią owija w białą skarbowaną bibułkę, paznokciem przeciągając po brzegach, żeby się ozdobnie powyginały. Aniela Pawoniakowa zgrabnie pomaga siostrzenicy, zawsze się nadawała do ładnej, cienkiej roboty. Z różowej bibułki krają wąziutkie paski i nimi jak wstążeczką przewiązują biało przyodziane doniczki wpół. Bibułka szeleści, Michał Boguski przygląda się temu i zabawia kobiety żarcikami. Na to rozlega się kołatanie wozu tak blisko, jakby wjeżdżano do izby.

— Szczepan? — dziwi się Małgorzata, lecz ze dworu dają się słyszeć przenikliwe okrzyki Jadwisi, a za chwilę mała już w izbie obwołuje:

— Wujcio Grzegorz i ciocia Jagusia przyjechali!

Wchodzi do izby Grzegorz Boguski, najmłodszy brat Małgorzaty, wysoki, postawny mężczyzna o niewesołej twarzy i cierpkim uśmiechu; włosy nad czołem, gdy zdjął czapkę, zaświeciły biało, nie wiadomo, czy siwe, czy takie jasne. Wchodzi pierwszy, za nim dopiero żona, od razu widać, że starsza od niego, też dobrego wzrostu, twarz ma pobrużdżoną, nos długi, brodę śpiczastą, ale włosy spod chustki wymykają się jeszcze czarne, a w twarzy wszystko się śmieje życzliwym rozradowaniem.

— Dzień dobry, jak się macie — mówi Grzegorz. — Ale my się wybrali! Mówiłem babie, że za lekko. Mróz chyba bierze na noc. Zmarzli my na sztywny gnat! Dwadzieścia kilometrów na taki ziąb! Michał!! O-o, ciebiem to szmat czasu nie widział!

— Aleś już siwoń, bracie! — śmieje się Michał klapnąwszy Grzegorza na powitanie w łopatkę, zanim się ucałowali.

— On zawsze był taki biały blondyn, od dziecka, nie pamiętasz? — broni Grzegorza Małgorzata. — Może i trochę osiwiał, ale u niego to nawet nie znać. Nie znać i nie znać!

— Jak nie miałem osiwieć? Żonę wziąłem starą, to się muszę do niej dopasować — powiada bez ceregieli Grzegorz, a mówi to trochę

na złość, bo pamięta, ile mu w rodzinie nawypominali, że młodego dziewczątka nie poślubił.

— A kiedy Jagusia nie siwa! Nie siwa! Ona młodziej od ciebie wygląda! — ujmuje się z kolei za bratową Małgorzata. I zawstydza się, bo i ona była kiedyś przeciwna ożenkowi Grzegorza, choć potem sama wyszła za młodszego. Lecz z niej była wtedy gładka jeszcze panienka mimo nie pierwszych lat młodości, a Szczepan też już nie był młodzikiem. A o Grzegorzu, wówczas młodzieńcu, mówili, że bierze starą, miernej urody wdowę i jeszcze dzietną. Ale głównie, że z daleka i nikt jej we wsi nie znał. Później okazało się, że Agnieszka jest rządna, pracowita i przyjemna w obejściu; dzieci z pierwszego małżeństwa wykierowała na szkołowanych ludzi, pospłacała, została sama z Grzegorzem na gospodarstwie niedużym, lecz w którym wszystko chodziło jak w zegarku. Grzegorz był zawsze trochę niemrawy i potrzebował takiej właśnie żony, co by mu poniekąd matkowała i w garści go trzymała.

Agnieszka nie poskarży się i nie pokaże po sobie, że zmarzła w drodze. Wszystkich na powitanie obejmuje, całuje, każdemu powie coś miłego, do kota nawet się uśmiechnie: „Ładnego macie kotka". Z zawinięcia wyjmie zabitego koguta i dorzuci go do patroszonego przez Małgorzatę drobiu. I nie tylko dorzuci, lecz już sobie znalazła drugi stołeczek, przysiadła do skubania.

Znowu słychać odgłos kopyt i klekot wozu pod oknem; teraz to Szczepan! Wszyscy się porwali witać babusię, ale Szczepan wrócił sam i strapiony. Spóźnił się ździebko do autobusu i już nikogo na przystanku nie zastał. Albo i tym autobusem nie przyjechali, albo nie czekali, tylko poszli piechotą. Ale którędy? Po drodze nikogo nie spotkał. Zatroskali się domowi o babcię starowinę, choć przecie chyba nie sama wyjechała, wszyscy z rodziny Szczepana byli na wesele proszeni. Dla pociechy zaczęto sobie opowiadać różne, szczęśliwie zakończone przygody starych ludzi w podróży. Grzegorz Boguski przepija ze Szczepanem, żeby się rozgrzać.

— Szczepan, gdzie my będziemy nocować? — pyta zdenerwowany. — I gdzie ja konia postawię? Deszcz idzie na noc albo mróz. Na taki czas nie będę zwierzęcia trzymał na dworze.

Szczepan patrzy potulnie, wyszczerza resztki żółtych zębów w dziecinnie uszczęśliwionym uśmiechu.

— Nic się nie bój, Grzesiu. Znajdzie się i gdzie spać, i gdzie postawić konia — uspokaja frasobliwego szwagra, chociaż sam jeszcze nie wie, gdzie ich pomieści.

Małgorzata opowiada Grzesiowej cokolwiek zawodzącym półgłosem, ile jeszcze mają roboty i jak się szarpnęli na to wesele. Tylko wódkę i piwo to pan młody funduje, ale czy na inne rzeczy mało tysiączków poleciało? A ich najtęższy wieprzek, co im został po zdaniu świń na państwo? A wołowiny i nóg za przeszło sześćset złotych, nie licząc, ile się musieli po sklepach mięsnych nalatać, czasu natracić? A mąka na wypieki? A cukier, a dodatki? A zastawa wypożyczona w punkcie usługowym powiatowego miasteczka? A suknia ślubna, welon, pantofle? A sam ślub? W niedzielę po sumie ślub najdroższy. Wchodzi na to Elżunia Pawoniak w towarzystwie kilkorga młodzieży, a usłyszawszy o sukni, powiada:

— Kto teraz białą suknię sprawia do ślubu? Ja ślub w kostiumie będę brała.

Szczepanowi nie w smak idą opowiadania Małgorzaty.

— Matka, ma-atka, daj spokój. Szkoda gadać. Jak wesele, to wesele. Może to już ostatnie takie wesele na wsi. Teraz to tylko do urzędu pójdą i spokój. Niech tam Zuzia ma takie wesele, żeby ludzie popamiętali.

— Koszty! Koszty — wzrusza ramionami Grzegorz. — Jak ja pamiętam, to zawsze goście opłacali wesele. Przy oczepinach zbierzecie co niemiara.

— A kiedy oczepin nie będzie, młodzi nie chcą. Mówią, że takie obrządki to teraz tylko w radiu, w świetlicach przedstawiają — śmieje się Małgorzata, promienistym wejrzeniem przepraszając za niewczesną gadaninę o kosztach.

— A jak z tym ślubem, kochana? — zaciekawia się Michał Boguski. — Cywilny ślub już był?

— Właśnie, że nie było — po mgnieniu ciszy odpowiada nie bez przejęcia Małgorzata. — Urząd nie chce dać ślubu, że Zuzia niepełnoletnia.

— Jak to? Dają i niepełnoletnim — dziwi się Michał.

— Ta-ak — mówi Szczepan niepewnie i wstydliwie — dają, jak potrzeba przyciśnie. A tu nie ma takiego wypadku. Nasza Zuzia się szanowała... Wielkie rzeczy — dodaje — za pięć miesięcy, jak Zuzia skończy osiemnaście, to dadzą.

Michał na to, że owszem, ale żeby w swoim czasie nie przegapili, bo różnie na świecie bywa. I Aniela Pawoniakowa, zawsze rozważna, ostrzega:

— Nie mówię, żeby miało tak być, ale we Wrocławiu zdarzyło się u jednych, że młodzi wzięli ślub w kościele, młoda się dziecka docze-

kała, a mąż się rozmyślił i z inną wziął ślub cywilny. I dziecko tej kościelnej żony liczy się jako nieślubne. Bo podług prawa to tylko ślub cywilny jest ważny.

— To samo powiada Poli mąż — zatrważa się Małgorzata. — Ale on przysięgał na partię, to on musi tak mówić.

— Co tu partia? — zżyma się Paulina. — Janek mówi, co każdemu wiadomo.

— Ale nie straszcie, nie straszcie — cedzi pomału Szczepan, gapiowato się zadumawszy. — Zuzia nie za obcego idzie. Przyjdzie pora, to się wszystko załatwi. Patrzcie-no, matka pana młodego do nas leci! — dodaje żywszym tonem, spojrzawszy w okno.

W resztkach uchodzącego dnia widać za oknem zbliżającą się ku domostwu dużą, żwawą kobietę. Idzie z laską, lecz bardzo chyżo, nie podpierając się, tylko się od laski odsadzając w takich susach, jakby miała pod sobą kłusującego konia.

— To Rucińska? — zdumiewa się Michał Boguski. — A cóż to jej się stało, że tak skacze? Ja bym jej nie poznał.

— Noga jej się popsuła — objaśnia Małgorzata. — Jeszcze we wojnę zaczęła na nią chorować, wtedy zaczęła, jak ciebie, Michał, Niemcy wywieźli do obozu. Potem jej operację robili, no i nic nie pomogło. Ale ona z tą chorą nogą tak hyca, że zdrowego prześcignie. Naprawdę!

Matka Rucińska wpada zamaszyście ze swą laską i z nogą w grube szmaciska okutaną. I wnet cała izba wypełnia się jej tęgim, schrypniętym głosem.

— Dobry wieczór całemu towarzystwu — woła. — Poznaję wszystkich, czy nie poznaję? — wita się hałaśliwie z przyjezdnymi. — To będzie Grzegorz Boguski, a to Michał. Ej, panie, pana to już z szesnaście lat nie widziałam! Ale ja mam taką pamięć do człowieka, że choć się zmieni, to poznam. A to? Żona Grzegorza? Spod Błonia? Widziałam, jakeście państwo jechali, nie ma jeszcze i godziny. I już kobieta usiadła do skubania? Daj pani gęby, podobasz mi się pani! Ale co ja widzę? Nogi się dopiero warzą? Schab dopiero pieczecie? Pączki smażycie? I ławy! Ławy jeszcze nie pozbijane? Podłogi jeszczeście nie uszorowali? Kiedy wy z tym zdążycie? U mnie przed weselem to na czwartą po południu wszystko zawsze musiało być gotowe, posprzątane, tylko stoły ubierać i przyjęcie szykować. No, czterech synów żeniłam i córkę wydawałam, tom weselnej roboty zwyczajna, mam wprawę. Ludzie, ludzie, co to ja chciałam powiedzieć? Aha, przyleciałam, że mieszkanie wybielone, wypucowane, ławki dookoluśka poprzybijane, miejsce dla muzyki gotowe. U mnie tak! No, do widzenia państwu! Aha, co to jeszcze?

Nawet proszków od bólu głowy w aptece nakupiłam, bo po wódce to goście lubieją proszka takiego zażyć. Podłoga umyta, woskiem ją nawet sprószyłam, żeby letko było tańcować. Spieszcie się na rany boskie z waszymi robotami, bo jutro rano, jak się wszystko zacznie zjeżdżać, to dopiero będzie największy uwijantes!

Nikomu nie dawszy przyjść do słowa i pogrążywszy wszystkich w osłupienie matka Rucińska wyskoczyła z chaty, ale że zmierzch już zapadł, nikt nie dojrzał, choć wszyscy się ku oknu obrócili, jak sadzi zgrabnymi skokami polną miedzą ku swojej sadybie.

— Ale ci szturmowa kobieta! — roześmiał się Michał Boguski.

— Baba jak pytel — mruknął ponuro Grzegorz.

Małgorzata rozgląda się przezornie, szczęściem oboje młodych znów dokąciś poniosło.

— Ona jest bardzo mowna — rzecze mimo to przyciszonym głosem. — Ona taka jest mowna, tak zawsze ma co powiedzieć, że jak do gminy radio przyjeżdżało, to ją wzięli, żeby do radia mówiła! I mówiła!

— Zapalcie światło, przecie już ciemno — dopomina się Szczepan. — Ja chyba jeszcze raz pojadę do autobusu. Leci jeszcze jeden o siódmej.

Paulina i Leokadia podolewały już nafty do dwu lampek ósemek, zapalają je i wieszają na hakach, jedną nad paleniskiem kuchni, drugą przy oknie.

— Takie światło? — ubolewa Elżunia Pawoniak. — To i u Rucińskich tańczyć będziemy tak po ciemku?

— Zapiszcie się na spólnotę gruntów, to zaraz będziecie mieli elektryczność — szydzi Grzegorz Boguski.

— A nieprawda! — gniewa się czegoś Małgorzata. — U nas to nawet kierownik majątku państwowego, tych stawów rybnych, nie ma elektryczności. Tylko mu telefon założyli.

— Co to za wieś — odyma się Elżunia. — Ani radia, ani elektryczności...

Tu Jadwisia, która wciąż na coś wygląda i wygląda, wpada ze dworu krzycząc, że wóz jakiś stanął na drodze. Nie podjechał pod chatę, ale ludzie z niego wyłażą, pewno goście. Zakotłowało się w izbie, ale zanim ktokolwiek zdążył wyjść i zobaczyć, nadciągnęła w progi domostwa daremnie dotąd wyczekiwana rodzina Szczepana Jasnoty. Sędziwa matka Jasnocina i jej córka Katarzyna Gądkowa weszły ze słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus"; za nimi Józef Jasnota, Szczepanów brat, miasteczkowy pracownik milicji, jego syn i synowa witali się już po nowemu: „Dobry wieczór, a tośmy wreszcie przyjechali". Dwuna-

stoletni Kubuś Gądek nic nie rzekł na powitanie, nic też nie rzekło niemowlę, które Katarzyna Gądkowa trzymała zawinięte w chustę przy piersi. Dwie starsze kobiety różnią się strojem od wszystkich w izbie. Babusia ma na sobie spódnik starożytnej domowej roboty w drobne czarno-czerwono-zielone prążki tkany i taką samą zapaskę okalającą szyję i spadającą z ramion. Gądkowa rozwinąwszy się z grubo-kraciastej chusty, ukazuje pod nią taki sam spódnik i modry kabacik, wstążeczką obszywany.

Domowi narobili gwałtu wypytując, skąd się goście wzięli, co się stało, że ich Szczepan u warszawskiego autobusu nie znalazł. Gądkowa, snadź wesołego usposobienia kobiecina, opowiada ze śmiechem o trudnościach podróży:

— Ady nom Zuzia adrysu w zaprosinach nie podała, nie napisała, jak jechać ani gdzie wysiąść. To my tak jechali na niewiadome.

— O, dla Boga — Szczepan rzucił się całować matkę — i to mamusia moja tak się musiała błąkać. I jakeście trafili?

— A bo to języków nie mawa? — chełpi się Katarzyna. — To my językami rusali, rusali, a tak my się wsędy pytali, pytali, jaz my się dopytali. Ale co my się w ty Warsiawie nachodzili, naugoniali! A to na ulicę Zytnią nas posyłali, a tamój zodnygo zyta nima — Gądkowa przymruża oko, by zrozumiano, że to żart. — A z onej Zytniej na Opacewską, tam, wej, mówią, jest ona stacja otobusowa ku wam.

Z dalszego ciągu opowiadania wynikło, że goście nie wysiedli w Olszówce, lecz na następnej stacji autobusowej.

— A jak my juz wysiedli — opowiada z zapałem Gądkowa — to my sobie mówimy, jak to my się dopytamy drogi do tych Pawłowic. A tu jadzie furmanka. Józef powiada, a dokąd, a do Pawłowic, no to podwieźcie nam babusię, bo jej osiemdziesiąty siódmy rok juz idzie. A ten człowiecyna powiada, jak juz weznę babusię, to was weznę i wszystkich. I tak my z nim jachali, tak my jachali, jaześmy przyjachali.

— Jadwisia, leć po Zuzię — gorączkuje się Małgorzata. — Ci młodzi to tylko aby przepadać. Tylko przepadać!

Jadwisia wyskakuje na dwór, przez chwilę słychać koło domu jej świdrujący głosik: „Zu-uzka! Zuzka-a-a!" — Potem cisza, lecz po niejakim czasie Jadwisia przywodzi oboje państwa młodych; okazało się, że w stodole szatkowali kapustę na bigos. A tu gwałt, żeby pokazać Zuzię babci, która jej dotąd nie znała.

— Ładną mam córkę, prawda? — mówi znów Szczepan podprowadzając pannę młodą do swej sędziwej macierzy. Babcia się od razu z tym zgodziła i mamrocząc: „ładna, ładna", gęsto wycałowała Zuzię,

a całowanie miała bezzębne, miękkie i mokre. Zuzia nie bez popłochu patrzy na swą babkę, dziwiąc się, że coś aż tak starego może chodzić po świecie. Tyle że siwizny nie było widać, bo dawnym obyczajem zamężnych niewiast włos całkiem skryty był pod ciasno na tyle głowy związaną chusteczką. Skóra zmalałej od starości twarzyczki już nie marszczyła się, ale wisiała żółtymi fałdami, usta też były od słabości szczęk przyotwarte. Lecz oczy miała babula żywe i mowę przytomną, a i wzięcie się żwawe, pokazujące, że niejaka człowiecza siła jeszcze się w niej kołacze. Babcia wita narzeczonego i też powiada, że „ładny, ładny pan młody", ale rozrzewnia się na dobre dopiero nad Małgorzatą i wspomniawszy tych państwa, u których synowa do zamęścia przez siedemnaście lat była w Warszawie za służącą.

— Oj, synowo, synowo — ociera babusia łzy z oczu — jak to juz dawno było, jakem na ślub twój przyjachała i twoja pani tak mówi: „Małgosia, Małgosia, daj pani matce jeść, daj pani matce — powiada — herbaty". Mało ja juz pamiętam, oj mało, a tak pamiętam, jak twoja pani mówi: „Małgosia, Małgosia, daj pani matce jeść"... Scepan mówi, ze pomarło to twoje państwo...

— Pomarli — odpowiada Małgorzata jakoś oschle; spojrzenie jej biega po gościach, czy wszyscy dostali, co należy ludziom zdrożonym. I zatrzymuje się na nieznanym jej dotąd siostrzeńcu męża. Nieduży, rozrośnięty w barkach, twarz ma znużoną jak spracowany stary chłop.

— Jak ci na imię? Kubuś? Czemu nic nie jesz? — zapytuje Małgorzata troskliwie. — Zapomnieli o chłopcu! Masz tu kiełbasy, masz placka. Pola, nalej mu kawy. Jedz, boś mały, urośniesz.

— Jaki on mały! — wykrzykuje Gądkowa z dumną czułością. — On by się juz i wódki napił. To mój cały robotnik, on zaorze, zasieje, a tego roku to juz i zyto skosił.

Okazało się z dalszej rozmowy, że mąż Gądkowej robić w gospodarstwie nie może, bo chory na dychawicę, zaraz go zatka i dusi. Żeby darmo chleba nie jeść, zgodził się na stróża nocnego przy jakichś składach w Mińsku. A gospodarstwo stoi na Kubie i na niej. Dwaj starsi jeżdżą na murarkę aż do Warszawy i tak się pcha to życie. Gądek teraz na trzy dni dostał zwolnienie, to domu popilnuje, chudobę obrządzi; a ona wzięła Kubę i to małe na wesele, niech też zobaczą trochę świata.

— Dziewuszka to czy chłopiec? — pyta Zuzia zaglądając do dziecka.

— Dziewucha. Bernadzia ją wołamy.

— Bernadzia? O, jakie ładne imię! — Zuzia odbiera z rąk Katarzyny

dziecko i huśta je ostrożnie. Jej twarde, suche spojrzenie wilgotnieje i mięknie. — Z pół roku będzie miała? Pięć miesięcy? Patrzcie, taka mała i już jej się na wesele zachciało. To ty druhną chcesz być? Hulać chcesz na weselu? Jest u nas drużba dla ciebie, jest, jest. Jacków Heniuś — obraca się ku starszym — w sam raz drużba dla tej Bernadzi.

— To takie grzecne dzicię — mówi Gądkowa — ze choćby nie wiem co, nie zapłace.

Michał Boguski przypatruje się Kubusiowi-robotnikowi, a zaś pyta, ile gruntu mają Gądkowie.

— Cztery morgi. Ile my mieli, tyle i oni mają — powiadamia Szczepan za siostrę. — Kasia na ojcowiznie osiadła i mamusia teraz jest przy nich.

— A jak dawali ziemię w 45-tym, to wam nic nie przypadło? — docieka Michał.

— Nie, proszę pana — odpowiada Gądkowa patrząc z szacunkiem i obawą na Boguskiego. — Skąd miało przypaść? U nas nie było dworu.

— Pani to by się opłaciło do spółdzielni się zapisać, a tego chłopca do szkoły dać — radzi Michał Boguski, a na pytające wejrzenie Katarzyny dodaje. — Na wspólną uprawę się zapisać.

— Ja nie-e wiem. U nas ludzie ciemne — odbąkuje Gądkowa bezbronnie, ale z lękiem i jakby zwija się w sobie niczym biedronka, co udaje nieżywą poczuwszy niebezpieczeństwo. Ten miejski szykowny pan, to widać jakiś obcy, jeszcze na nią gdzie tam w świecie co niedobrego nagada?

Ale Michał zwraca się już ku gospodarzom:

— A wy tu w Pawłowicach spółdzielni produkcyjnej nie macie jeszcze?

— Jak nie mamy? Ma-amy! — wykrzyknęła Małgorzata gwałtownie i tak od razu, jakby dawno czekała na to pytanie.

— No? To co nic nie mówicie? — ożywia się Michał Boguski. — No i jak? Dużo się gospodarzy zapisało?

— Z gospodarzy to nikt się nie zapisał. — Szczepan jakby tylko przez grzeczność udziela wyjaśnienia. — Chodzili, namawiali, prosili, ale że nikt nie chciał, to zrobili spółdzielnię na majątku, co był dawniej pana Orzechowskiego, a potem państwowy. Tylko te stawy rybne zostawili jako państwowe. To zapisali się ci z czworaków, co pierwej we dworze, a potem na państwowym robili. Tylko że niby teraz te dworskie grunty mają być ich na spółkę. A z gospodarzy to nikt... Mnie też się nikt nie pytał. Do Małgosi to przychodzili...

— Przychodzili! Przychodzili może i ze trzy razy — mówi Małgorzata rozdrażniona i z wypiekami na twarzy. — Aż im powiedziałam — dodaje nerwowo — nie przychodźcie, panowie, bo co ja poradzę w tej spółdzielni? Męża mam chorego, w sanatorium był trzy miesiące, o mało mi nie umarł, ja sama siły mam sterane, gdzieby mi się na starość w takie tam rzeczy bawić. No i nic... więcej nie przyszli — tu Małgorzata w popłochu czuje w sobie jakby czekanie, że może jeszcze przyjdą?

— A ciebie, Szczepan, w tym sanatorium wyleczyli? — pyta Pawoniakowa. — Jak my się zlękli, kiedy Zuzia napisała, żeś taki chory.

— Tak, Małgosi było ciężko beze mnie — chełpi się Szczepan z dziecinnie uszczęśliwionym uśmiechem. — Ja takie dziury w płucach miałem jak pięść. A jak mnie przed wypuszczeniem prześwietlili, to dziury tak się zagoiły, że zostały jak łepek od szpilki. Jeszcze pożyję...

Małgorzata, jakby nie słysząc tej rozmowy, odzywa się ni stąd ni zowąd:

— Jeżeli będzie przymus, to co innego, to trudno, człowiek pójdzie do tej spółdzielni. Ale z dobrawoli pozbyć się tak wszystkiego? Toć ledwie na koniec życia dochrapaliśmy się jakiego takiego losu i jakiego takiego gospodarstwa.

— Pozbyć nie pozbyć — mówi ku zdziwieniu Małgorzaty Michał Boguski. — Rozmaite są sposoby gospodarowania. Może lepiej z dobrawoli spróbować, niżeli czekać na przymus.

Grzegorz, który ze znużenia drogą zaczynał drzemać, podniósł głowę.

— Przymus? Nie bójcie się, teraz tak nauczyli się ludzi kołować, że człowiek sam bez przymusu włazi w to, czego nie chce — rzecze z gniewną rozpaczą. — Jeszcze ci nawet powiedzą, że wcale ciebie nie upragną, a ty sam będziesz prosił o tę spółdzielnię jak o łaskę. Im bardziej naród czego nie chce, tym bardziej będzie o to prosił. Tak to wykołowali...

— Grzegorz, nie bądź za mądry — mówi spokojnie Agnieszka.

— Jak się kto uprze, to czasem i dobrego nie chce — nadmienia Michał. — Ja pamiętam takie czasy, że ludzie na wsi za skarby świata nie chcieli nawozów sztucznych, a teraz o nie proszą, ba, przeklinają, jak im nie dać...

— A co widzisz dobrego w tych spółdzielniach? — zacietrzewia się Grzegorz.

Do izby naszło młodzieży, przerwało to rozmowę, co już kłótnią pachniała. Ośmnastoletni Maniuś Szatkowski, który w Warszawie u rodziny ojca mieszka, już coś zarabia i oprócz tego na mechanika się kształci, uczesany jest jakoś wymyślnie, ondulację chyba fryzjer mu

zrobił, tak sztucznie włosy spiętrzyły się nad czołem, z tyłu w dzióbek jakby zebrane. Chłopak zresztą z niego jak laleczka, rumiany, czarnobrewy, a nad górną wargą dwiema cienkimi kreskami czernieją mu wąsiki. Spodnie ma wąziutkie z siwej półwełenki, marynarkę z granatowego welwetu w prążki, a krawat w pstrych kolorach. Elżunia Pawoniakówna docina mu, że zetempowcy tak nie chodzą, na bikiniarza wygląda. „Maniek! — wołają drudzy — zgol wąsy, kto dzisiaj wąsy nosi?" Maniuś broni się, że zetempowcy też ludzie, mogą się na wesoło przystroić, a wąsów nie zgoli. „Takem się namęczył — powiada — żeby urosły".

Małgorzata ma dosyć tłoku i gwaru w izbie, gdzie czeka tyle jeszcze roboty. Wieczór już nastał, trzeba gości na nocleg porozmieszczać. Pierwsza odchodzi Paulina, zabierze swego Mańka i Felka Pawoniaką.

— Ja już lecę — oznajmia. — W domu nic nie zrobione, nie obrządzone. Raniutko przyjdę.

Małgorzata odprowadza siostrę do sionki, wychodzi za nią w mrok wieczoru.

— Pola — zapytuje nieśmiało — co ty nic nie mówiłaś o tej spółdzielni? Czemu wy się z Jankiem nie zapiszecie?

— Ady nie męcz mnie chociaż ty — mówi Pola z nieoczekiwaną irytacją. — Wołaj chłopaków!

Szczepan odjeżdża z Grzegorzem i Agnieszką. Aniela z córką poszły spać do Łukaszów, Leokadia je odprowadza. Babusia Jasnocina z Gądkową i niemowlęciem znalazły schronienie u najbliższych sąsiadów, Popiołków. Ich obejście przytyka do sadku Jasnotów, choć na ogół Pawłowice to wieś oddzielnymi siedzibami rozrzucona, w nowszych już czasach na miejscu porozpadanych dóbr szlacheckich rozsiadła.

Siostrzeńca Kubę, bratanka z żoną i brata swego, Józefa, Szczepan umieścił we własnej stodole. Zimno pod noc zelżało, siana jest zadość, a i pościel można rozłożyć; nie będzie gościom źle, zresztą i sam Szczepan będzie w stodole nocował. Michałowi zamówili spanie u Jacka Boguskiego. Liczyli, że przyjedzie z żoną, która ma słabe zdrowie, zresztą w ogóle jako ludziom z dawna przywykłym do miejskich wygód chcieli im dać najszykowniejszą kwaterę, a mieszkanie Jacka Boguskiego uchodziło za bardzo paradne.

— Zuzia, idź odprowadź wujka — nakazuje Małgorzata.

— A cóż to, ja sam nie trafię? Panny mnie mają po nocy wodzić?

— To nieładnie, żeby weselny gość sam odchodził. Idź, Zuzia, wstąpisz po drodze do tej twojej Zośki, może nam co do cukru pożyczy. Cukierniczek mamy za mało.

2

Wyszli w noc. Wiatr ucichł. Na niebie, trochę jeszcze chmurnawym, gdzieniegdzie błyskają gwiazdy, na ziemi czarno; dopiero przyzwyczaiwszy oczy zaczęli widzieć w różnych miejscach nocnego mroku wątłe rudawe światełka ludzkich siedzib. Utykali po miękkiej, sypkiej ziemi.

— To nie na skos, nie miedzami pójdziemy? — pyta Boguski wspomniawszy dawne ścieżki do chałupy starej Dobrzyńskiej. — Tak prosto przed siebie?

— Drogą lepiej — oznajmia Zuzia swym nieco twardym, chrypkim głosem. — To nowa droga.

— Tak, dawniej tu drogi nie było — stwierdza Michał.

— Tego roku zrobili. Od warszawskiej szosy i zaś do spółdzielni, a od spółdzielni do grójeckiego traktu. Wyście tą drogą jechali od Olszówki. Tylko że do gminy wybrukowana, a ten kawałek dopiero będziem brukowali.

— Aha, no, widzisz, Zuzia, nowa droga — powiada Michał w zadumie, a gdy Zuzia nic na to nie odrzeka, zapytuje: — Toś pewno rada, że idziesz za mąż?

— No! Jakbym nie była rada, to bym nie szła.

— Jeszcze z ciebie młode dziecko. Inne w twoich latach uczą się fachów różnych. Do miast jadą, nauki pobierają.

Po dłuższej chwili milczenia Zuzia odpowiada:

— Musi ktoś być i na wsi.

— To prawda. Ale na wsi też nauki coraz więcej potrzeba.

— Uczą się teraz i po zamęściu, jak potrzeba.

— To prawda. Dobrze, a przyjeżdża tu do was kto? Kino przyjeżdża? Świetlicę macie?

— Nie, kino nie przyjeżdża. Do gminy to raz przyjeżdżało. Świetlica jest. W pałacu.

— Chodzicie czasem? Odbywa się tam co?

— Jak jest zabawa, to chodzimy.

Michał namyśla się, o co jeszcze zapytać, gdy naszedł ich jakiś cień głębszy od cieniów nocy. Okazało się, że to młody Jacek Boguski, syn Łukaszów. Dopiero co wrócił z miasteczka, dokąd woził na przedaj owoce. Jacek, obrotny chłopak, pomaga sobie w gospodarstwie skupując sady. Idzie teraz do ciotki Małgorzaty pomóc przy przedweselnej robocie. Zamienili parę słów, Jacek oznajmił, że jego żona Marysia czeka

gości, spodziewała się nawet paru osób. Jacek śpieszy, więc po kilku słowach powitania ze stryjem rozchodzą się w dwie strony.

Lecz zanim zrobili ze sto kroków, nowy cień pośród nocy zaczepił tym razem Zuzię. Była to kobieta. Pytała zdławionym głosem:

— Zuzka, to ty? Nie spotkałaś nikogo? Nic nie widziałaś?

— Nic nie widziałam. Jacek przechodził, mój stryjeczny, tośmy się z nim spotkali. O co ci idzie?

— Nie, to jeszcze pierwej — wyjąkał nieznany Michałowi głos kobiecy. — Ja tu już dawno chodzę i jak stanęłam, to przeleciał koło mnie jakiś mężczyzna. Mówię ci, leciał jak nieprzytomny, leciał i stękał. Ciągle jęczał i wołał: „O, mój Boże, mój Boże!" Kto to mógł być? Co mu się stało?

— My nic nie widzieli. Może jaki pijany? A może ci się przywidziało? — mówi Zuzia cokolwiek niepewnie.

— Jezus Maria — szepcze kobieta i znika w ciemności.

— Kto to był? Co się tu dzieje, że kobieta po nocy taka jest niespokojna? — pyta Michał.

— To żona pana Stępnia. On tu jest kierownikiem tego rybnego majątku... dyrektorem. A ona ze mną chodziła do szkoły, tylko jak ja zaczynałam, to ona kończyła. Jej mąż pojechał do powiatu na zebranie, widać jeszcze nie wrócił, a ona tak się ciągle o niego boi, że mu co zrobią, bo on do tej spółdzielni bardzo namawia. Ale ona jest głupia, że się boi. U nas ludzie nie takie. Pewno jaki pijany taczał się i tak jęczał.

Nagle Zuzia sama ze siebie ma coś do powiedzenia.

— Jakie dziwne ludzie ta nasza babcia, co przyjechała, i ta ciocia Gądkowa — zastanawia się. — Tak dziwnie mówią: „tamój", „kielusek". I taki ubiór na nich. U nas nikt by czegoś takiego na siebie nie włożył.

— To dawne chłopskie stroje, dawna mowa — objaśnia Michał. — Ich wieś musi być starożytna i na uboczu... Różne są wsie.

— To tu. Jużeśmy przyszli — oznajmia Zuzia.

W kuchni u Jacków Boguskich było rzeczywiście jasno, czysto i miło. Paliła się nawet dobrego modelu spirytusowa maszynka, na której Marysia Jackowa warzyła synkowi kaszkę. Zuzia zabawiła tam chwilę pieszcząc półtorarocznego Heniusia i opowiadając mu o przybyłej „do niego za druhnę" małej Bernadzi Gądkównie. Jackowa, dziewuszka nie wiele chyba starsza od Zuzi, pokazała mężowskiemu stryjowi pokój, gdzie będzie spał na ich małżeńskim łożu. W kuchni mają drugie łóżko, a dla dzieci jest i łóżeczko z siatką dla chłopca, i kołyseczka dla dwumiesięcznej córeczki. Otworzyła szafę, żeby stryj powiesił sobie w niej

palto. W szafie ukazało się na półkach sporo ładnej bielizny, a na ramiączkach błysnęło mnóstwo wzorzystych, jedwabnych sukienek.

Michał prędko się położył, kontent z wygodnego noclegu. Słyszał jeszcze przez chwilę, jak młoda matka pogadywała coś do karmionych, a potem usypianych dzieci, lecz wkrótce wszystko się uspokoiło i światełko w szparze drzwi zgasło. Polna cisza ogarnęła dom, a w okienka zajrzały gwiazdy. Ale cisza niedługo trwała, bo wnet myszy zaczęły hałasować. Musiały być ich całe zgraje, skrobały po wszystkich kątach, stukały czymś, jakby się bawiąc w kręgle, głośno biegały a nawet popiskiwały, goniły się po spodzie łóżka szeleszcząc słomą, snadź dziury są w sienniku. Ale że Michał Boguski był człowiek zdrowy na ciele i na duszy, a z podróży niewywczasowany, zasnął niebawem twardo.

A u Jasnotów robota wrzała dalej. Leokadia odeszła wprawdzie z gośćmi, ale za to przyszedł jej najstarszy syn, Jacek, bardzo przystojny młody człowiek, podobny do matki ze swym garbatym nosem, pulchnymi, różowymi ustami i toczonymi rysami twarzy. Niespodzianie zjawiła się też Agnieszka Grzegorzowa.

— Położyłam chłopaka spać — rzekła o mężu jak o dziecku — i przyleciałam. Ni słówkiem nie wspomniała, że Szczepan ich „wykołował", bo nie miał zapewnionej kwatery, do trzech gospodarzy wstępowali, nim znaleźli miejsce na wóz, konia i nocleg.

Wespół z Małgorzatą i Zuzią opróżniły trzydrzwiową z sosnowej dykty szafę, powiązały odzież, powynosiły rzeczy do stodoły. Jacek ze Szczepanem i Cześkiem rozebrali szafę i łóżka; sapiąc, dysząc a pokrzykując usunęli z mieszkania wszystkie sprzęty, rozmieszczając je częściowo po stodole, częściowo pod małą szopą na narzędzia. Kobiety przez ten czas wyszorowały podłogę, raniąc się na drzazgach, klnąc i sykając z bólu. Ledwo skończyły, mężczyźni przystąpili do łatania i stemplowania podłogi, ale niewiele dało się w takim pośpiechu zrobić, najgorsze więc tylko dziury zaściubawszy, rzucili się do znoszenia przygotowanych zawczasu wąskich desek i kołków na ławy i na stoły. Gdy zaczęli to zbijać i do podłogi przygważdżać, Małgorzata wybiegła do Popiołków. Przy drzwiach zawahała się, że już późno, lecz w szparze się świeciło, więc weszła. Babusia Jasnocina i Katarzyna Gądkowa, choć zdrożone, wciąż jeszcze nie mogły się nagadać i opowiadały Popiołkowej o swej podróży, o Bernadzi, Kubusiu i o chorym na dychawicę Gądku. Małgosia przysiadła na krawędzi łóżka i objęła świekrę przez pierzynę.

— Tyle ludzi muszę przyjąć i nawet się wami, mamusiu, nie nacieszyłam — pożaliła się. — A ile to czasu myśmy się nie widziały.

— Oj, nie widzieli my się, nie widzieli — zasepleniła babcia, a gdy

mówiła, język wypadał jej cokolwiek poza bezzębne usta. Małgorzata odsunęła się od starej, bo jakoś tak czuć ją było niemile.

— Mój Boże — myślała — co się z tą Szczepanową matką porobiło!

I przypomniała sobie, jak w narzeczeństwie pojechała ze Szczepanem do jego wioski, jakiego tam doświadczyła przyjęcia i jak jej się ta matka spodobała. Tak się spodobała, że gdy jadąc jeszcze nie była pewna, czy pójdzie za Szczepana, to poznawszy jego matkę zdecydowała się. Bo też to była kobiecina, że do rany ją przyłóż; wesoła taka, miła, to zaśpiewa, to ucałuje, rzadko żeby w starej kobiecie było coś takiego miłego i tyle życia. Wprost przyjemnie było zostać synową takiej matki. Teraz też widać nie brak jej jeszcze życia i serca, skoro się w taką drogę puściła, ale, o Boże, Małgorzata wspomina tylko, że ją kiedyś tak polubiła, lecz nic dawnego do niej nie czuje, tylko strach czuje przed jej ogromną zgrzybiałością. I tak jej przykro, że aż się rozpłakała.

— Cegój płaces, Małgosia? Zal ci Zuzinego wionyska? Oj, ty zalu, ty zalu cłowiecy... — I babusia, jak to i dawniej miała zwyczaj coś stosownego do rozmowy prześpiewać, zanuciła drżącym, zardzewiałym głosikiem:

Juz we wionysku nie bydzies chodzi-ić
Ładnych chłopaków za sobą wodzi-ić...

— Dziecko śpi... — szepcze Małgorzata i uśmiecha się poprzez łzy.

— Bernadzia? Ni-i. To takie dobre dziecko, ze jak uśnie, to nic jej nie obudzi — zachwyca się Gądkowa.

Po północy chłopi skończyli narządzać ławy i stoły; rozeszli się, Szczepan odprowadził jeszcze Agnieszkę na mężowską kwaterę, a Małgorzata z córkami ponownie zamiatała i zmywała podłogę. Koło drugiej układły się na sienniku, przykryły derką; Zuzia i Jadwisia momentalnie zasnęły, ale Małgorzata długo nie mogła usnąć. Rozliczne myśli ją napastują, a tyle tego się tłoczy, jakby tłum ludzi w niej gadał.

„Co ten Czesiek mówił? — biegają myśli. — Że muzyka ma być z Warszawy i że pierwszy muzykant będzie jego stryj, Adam Ruciński?" Znała go kiedyś trochę. Tego roku, co nastał do Warszawy, gdzie już od lat jest kolejarzem, przychodził do niej czasami, tak, pogwarzyć, jako do kogoś z tej samej wsi, choć na wsi prawie się nie znali, mieszkając wtedy na dwu odległych krańcach Pawłowic. Ale raz, kiedy wracał od rodziny, matka Małgosina z czymś go do niej przysłała, od tego czasu odwiedzał ją, a potem przestał i wnet się z kimś tam ożenił. Może był z dziesięć razy, może i tego nie, a ona się w nim zakochała.

Nic o tym nie wiedział, ani się nawet domyślał, teraz już może i nie pamięta, że ją czasem odwiedzał, do niejednej chadzał wtedy pewno z wizytą, towarzyski był z niego człowiek. I jedyny, w którym się za swego panieństwa kochała. To jedyne kochanie było też jedynym smutkiem jej młodych lat, bo poza tym była szczęśliwa. Służyła od dziewiętnastego roku życia u starszych, bezdzietnych ludzi, a nawet nie czuła, że służy, takie to było ciche, mądre i dobre państwo. Długo nie wychodziła za mąż, choć starających się miała kilku, ale krwi była nie gorącej, przebredzała, szukała dobrego charakteru. Może i to, że po Adamie Rucińskim nikt jej się nie podobał. Na trzydziesty szósty rok już jej szło, kiedy poznała Szczepana, gdy zgodził się za pomocnika dozorcy do kamienicy, gdzie Małgosia służyła. Był z biednej rodziny, jak i ona, szukał w mieście zarobku. Co ją skłoniło, że się za niego wydała? Chyba najwięcej to, że ją tak bardzo pokochał. Tak pokochał, aż omdlał, gdy mu zrazu powiedziała, że go nie chce. Pamiętała, jak to ciężko nie być samemu kochanym, gdy się kocha. Wzruszyła się, że ją ktoś tak miłuje, a do tego i lata szły, o przyszłość strach oblatał. „Państwo" już byli starzy, jakby co, drugich już takich nie dostanie, a zresztą służyć choćby i u najlepszych ludzi, to się uprzykrzy, nikt nie rad w służbie życia sterać, własny dom rodzinny zapragnęło się mieć. Pobrali się i rada w radę postanowili wrócić na wieś. Czasy nie były wtedy najgorsze, rodziny ich pospłacały, w ojczystej wiosce Małgosi kupili tanio grunt, owe cztery hektary bez budynków, goła ziemia i w złej uprawie, zapuszczona. Zaczęło się ciężkie życie, czysta mordęga. Szczepan był słabego charakteru, marnego zdrowia, w robocie nie tęgi, lubił wypić i najgorzej z tym domem; drzewo nawet kupili, Łukasz ofiarował się im chałupę stawiać, to deski zgniły i nic z tego nie wyszło. Tłukli się po komornem, a nikt biedakom dobrej izby nie wynajmie; zawsze tak daleko od pola, wlekli się kilometrami do roboty, ani wozu, ani konia, ani gdzie krowy postawić. Małgorzata znielubiła wtedy męża tak, że patrzeć na niego było jej czasem niemiło. Wspominała swoje czasy warszawskie jak raj, starzy państwo śnili jej się po nocach, pisała do nich listy, nieraz biadała, że w złą godzinę porzuciła to życie wygodne i czyściutkie, gdzie ją szanowano, a świat — powiadała — tak jej kwitnął jak róża. Teraz mordowała się zaniedbana i brudna, ani podobna do warszawskiej eleganckiej panienki. Nie dość, że na swoim trzeba było wszystko samym we dwoje zrobić, ale jeszcze za konia, za narzędzia u bogatych gospodarzy odrabiać, do dworu, ostatniego już w tej okolicy, też się nierzadko najmowała. A po nocach korzystając ze swej zdatności do igły — w Warszawie przecie sama sobie robiła śliczne su-

kienki — całą wieś obszywała, nawet i mężczyzn obszywała na maszynie otrzymanej w darze ślubnym od swoich państwa. W drugim roku tej niedoli przyszła wojna, no to już każdy wie, co to były za czasy. Dwu synków im w te lata umarło niemowlętami, tylko najstarsza Zuzia, jeszcze w pięknym warszawskim szpitalu zrodzona, i najmłodsza Jadwisia, co prędko lepszych czasów dożyła, jakoś im się chowały.

Po wojnie życie zaczęło się piorunem odmieniać. Nastały nowe porządki i obyczaje, które niełatwo było nawet zrozumieć, a co dopiero do nich się przyzwyczaić. Przyszły też nowe strachy, ludzie tygodniami źle spali, ręce im przy robocie latały od tych rozpowiadanych strachów. A życie tymczasem szło swoim trybem, zawsze innym, jak się człowiek spodziewa. Wieś leżała o czterdzieści pięć kilometrów od Warszawy, ale głucha była, zapadnięta w borki, laski, zagaje, od kolei daleko. A tu raptem po miasteczkach okolicznych fabryki jakieś zaczęły powstawać, opodal nową kolej budowano, o parę kilometrów od Pawłowic wielka cegielnia stanęła na odbudowę Warszawy. Zaczęły się łatwe, spore zarobki. Szczepan jakby ożył, bo lubił rozmaitość. To przy kolei rok i drugi porobi, to na owej cegielni; wkrótce konia sobie z tego kupili, to i tym koniem jeszcze lepiej zarobił przy owych przemysłach a budowach. W cegielni to i Zuzia sobie ostatniego roku na stroje zarobiła. W końcu dom i gospodarstwo Pawoniaków na nich spadło. A choć małe spłaty wkładów na tym ciążyły, przecie zaczęło się zupełnie inne życie, zaczęło się prawdziwe życie, warte zachodu. Nawet i porozumienie małżeńskie było teraz pomiędzy nimi lepsze, bo jak się poprawia jedno, to się poprawia i drugie. Małgorzata wdzięczne ma serce i pogodne z natury, umie cenić każdą pomyślność losu; czemu więc usnąć nie może, wzdycha i bije się z myślami, jakby to nie Zuzia, lecz ona sama szykowała się do wielkiej zmiany stanu?

„Teraz to wesele — kołaczą myśli. — Niby szczęście, a pan Bóg raczy wiedzieć, jak Zuzi będzie za tym Cześkiem? On coś za bardzo lubi wódkę. Taki co pije, to ją będzie i bił. Ale czy Zuzia co rozumie? Małom jej naprzypominała, jakie to było życie, kiedy się Szczepan upijał? Na nic! Zuzia na tatę nie da i słowa pisnąć. Ona mówi, że mężczyzna pić musi. Szkoda tego pierwszego narzeczonego. Jeszcze ładniejszy był jak Czesiek, a wódki nie brał do gęby.“ Tak, płakali, gdy z nim zerwała, bo go polubili jak syna, ale cóż mieli począć. Dziecku na drodze życia nie staną, a dziecko wybrało Cześka. Tamten jej był za niski. Bujny wzrost Cześka przeważył, a on, co sobie do niej upatrzył? Może te morgi, i to, że jedną tylko ma siostrę, mało będzie spłat, mało dzia-

łów. „Ach, dolo, dolo, miłości między nimi niewiele widzę, tylko takie tam...“ — smucą się myśli.

„A teraz jeszcze ten strach — skaczą myśli — żeby się to wesele bez bijatyki obeszło. Żeby się poczciwie odbyło.“ Małgorzatę aż ciarki przechodzą, jak sobie przypomni, co się nieraz wyprawia na weselach. Albo się pokrwawią, albo jeszcze gorszych rzeczy się dopuszczają. Zeszłego roku, nie w Pawłowicach, ale na niedalekiej wiosce dwunastoletnią dziewuszkę, sierotę wiejską, pijane chłopy sponiewierały. „Co ten Michał — błądzą myśli — tak o ten ślub cywilny... o te spółdzielnie... On się chyba już po nowemu przerobił. Tyle gości, tyle roboty, nawet się z nim nie rozmówiłam o niczym. Ani z Anielą. Może by mi co takiego powiedzieli, oni są mądre. A mnie się już wszystko w głowie pomięszało. Takie ciężkie było to życie, ledwo my się czegoś dochrapali, a tu masz, okazuje się, że to złe. Co za diabeł te spółdzielnie wymyślił, żeby zatruwać ludziom życie? Człowiek lat swoich doszedł, rozumu jakiego takiego nabył, a coś takiego się porobiło, że na starość jak kołowaty chodzi, nie wie, gdzie dobre, gdzie złe. Nic złego się nigdy nie chciało, a tu powiadają — wszystko w tobie niedobre, wszystko nie tak. Czy my zgłupieli, czy świat zwariował? Czego my doczekamy? Może Zuzia i Czesiek jeszcze nam powiedzą, że my złe, głupie, może sami wszystko na tę spólnotę oddadzą? Póki co, z rodzicami trzymają, ale jak się z młodymi zejdą, to tam już inny duch między nimi wieje.“

„Co ten Szczepan?! — gniewają się myśli — czemu on się wykręca, że do niego nie przychodzili? Do niego przecież chodzili, to nie chciał z nimi gadać, tylko: jak moja kobieta powie, tak będzie. To ja mam na siebie wszystko brać? A co ja wiem? A może on by wolał, żebym ja się zgodziła?“

„To wesele... tylachna pieniędzy... Może choć i bez oczepin goście zbiorą? Ale mowy nie ma, by i połowę zebrali! Za te pieniądze można by i dom, i obejście tak ładnie wyszykować... Można by i płotem ogrodzić, nie na takim wydmuchu by się żyło, kwiatów by się nasiało, nasadziło, ja tak okropnie lubię kwiaty... krowę by się trzecią kupiło... Matko Boska, krowy na wieczór nie wydojone!... Izbę by się powinno dobudować dla młodych... Ale każdy mówi: nic nie robić, nie urządzać, i tak zabiorą; a jak nie zabiorą, to podatków nawalą, że ani tchniesz, bogaty, powiedzą, ładnie ma koło domu, niech płaci. I tak przez to gadanie wszystko się przeje, przepije albo na łachy się wyda, ale łachy to tylko dla młodych; im wszystko przebaczą, nawet gałgaństwo przebaczą; stary i ubrać się wstydzi, bo też powiedzą: stroi się, bogacz...“

„Albo te spółdzielnie produkcyjne — męczą się myśli. — Samo nazwanie takie jakieś nieludzkie, aż drze po skórze. A może jest co dobrego w tych spólnotach? Tyle naopowiadali, że domy będą nowe z elektrycznością, łazienkami, ogrodami, a tylko grunty mają być wspólne. Czy ja bym miała serce do takich wspólnych gruntów? Jak to wszystko takie dobre, to czego Pola chodzi teraz jak struta i mówi, że źle się dzieje? Pacierza żem nie zmówiła, przez to mną tak te myśli poniewierają. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego amen. Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi... na ziemi... Ale bez woli Bożej to wszystko by się nie działo... Chleba naszego powszedniego..."

Tu zmorzył Małgorzatę krótki i ciężki sen.

3

Michał Boguski też nie wyspał się tak, jak sobie obiecywał. Dobrze po północy wrócił Jacek, a już o piątej wstał i wybierał się do Jasnotów.

— Przecież grzankę mam robić — tłumaczył żonie gniewnej, że dzieci jej ocuci.

— Toć jeszcze czas. Tu grzanki nie możesz robić? — marudziła sennie.

— Tu ją będę robił!? — z boleścią zadrwił Jacek i z tym wyszedł.

Michał miał jeszcze młody sen, lecz nie tak młody, by nic go nie budziło. Budziły go więc nocne hałasy, wstał wcześnie, przemknął się milczkiem przez kuchnię, gdzie znowu wszystko posnęło, i skoro świt wyruszył ku weselnemu domowi. Powietrze było jędrne, ale bez mrozu i bez wiatru. Czyste niebo, miodowo-złote blaski na wschodzie, biaława mgiełka nad odległą strugą zapowiadały na przekór wczorajszym obawom dzień pogodny, ciepły i cichy. A świat wokoło przystrojony był w październikowe kolory. Na tle burej sosnowej zieleni złociły się brzozowe gaje, czerwieniały pnie sosen, a bielały brzozowe. Krwiście, rudo i brunatnie mieniły się dębiny, barwą miedzi gorzały kasztany, których tu sporo było przy chatach. Drzewka owocowe, prawie już gołe, połyskiwały gdzieniegdzie purpurowym, żółtym lub szarym, błyszczącym od rosy listkiem. Tu i owdzie bezlistne jarzębiny stały obsypane kraśną, już przemarzniętą jagodą, a ziemia równinna lecz cokolwiek falująca słała się popod owe kolory czarniawymi, płowymi, siwymi podorywkami i jaskrawą, zieloną oziminą. Gdzieniegdzie dokwitały wonne żółte łubiny.

Chałupa Jasnotów biednie wyglądała śród tych złocideł i świecideł jesieni. Stała na udeptanym gruncie, szczytem do wiejskiej drogi, od której oddzielała ją resztka płotu — kilka połamanych i walących się żerdek. Dom mający pod swym dachem izbę, sionkę i obórkę zbudowany był z pustaków, nawet nie otynkowany, zaledwie kiepsko pobielony. Tylko dwie wysokie topole, sypiące pożółkłym liściem na ciemną, omszoną strzechę, zdobiły niepowabne obejście. Koło domu kręcili się już ludzie, a od strony gospodarstwa Rucińskich niosła się w lotnych susach matka pana młodego, jakby podfruwając na swym kosturze. Wpadła do chałupy razem z nadchodzącym jednocześnie Michałem.

— Dzień dobry wszystkim! — woła schrypniętym, ale potężnym głosem. — Com to ja przyszła powiedzieć? Aha! Jest już muzyka! Zaraz tu przyjdą gościom grać, zaraz tu będą wszystkich witać! Tom powiedziała i lecę! U mnie tak!

Nikt jej nie zdążył odpowiedzieć, gdy już śmigała po miedzy; każdy zresztą był czymciś zaprzątnięty. Szczepan machając łańcuchem hukał na krowy, żeby szły sobie same na łąkę — przy takiej pogodzie nie ma co bydła trzymać w oborze. We drzwiach stanęła Małgorzata z okiem jeszcze markotnym od przedsennych rozmyślań.

— Szczepan! Ady krowy nie wydojone! Wczoraj wieczorem nie dojone i dzisiaj rano nie dojone! Ady nawróć te krowy! — zaniosła się gniewną rozpaczą.

Szczepan puścił się pędem i tę, co nie wyszła jeszcze za obręb drzew owocowych, prędko nawrócił, druga, biegnąca ciężkim krowim truchtem, była już daleko na drodze. Ale i ta, obejrzawszy się, przystanęła i opieszale wróciła.

— Jadwisia! Wołaj Zuzi, niech wydoi te krowy! — Małgorzata uśmiecha się winowajczo do Michała. — U nas ciągle bałagan — mówi żałośnie. — Obrusa mi jednego zabrakło. Michaś, ty byś nie przeszedł się do Marszałków? Oni na pewno pożyczą...

— Co bym się nie miał przejść? Marszałek... to będzie koło traktu pod lasem?

— Tam, tam... Znasz ich przecie. Jadwisia! Idź z wujkiem, przyniesiesz mi ten obrus.

— Z młodą panną, to choć na koniec świata — śmieje się wujek — ale obrus to ja i sam udźwignę.

— Nie, to nie pasuje, żeby gościowi nikt nie towarzyszył. A znów dziecko samo posyłać, to się jeszcze obrażą. Ona cię poprowadzi przez park, ona ci pokaże, gdzie mają tę spółdzielnię, ona ci opowie.

Poszli tedy, a mając niskie jeszcze słońce za sobą, Boguski zauważył nie oślepionym jego blaskami wzrokiem, że źdźbła ozimin stoją wszędzie na polach równiutko jak ząbki gęstego grzebienia.

— Macie pięknie na polach porobione — rzekł z uznaniem. — Dawniej tak nie bywało. Jakby maszynami zorane i zasiane? — Tu pomyślał, że co takie dziecko może o tym wiedzieć; z nią by trzeba o zabawach, o szkole.

Lecz Jadwisia odpowiedziała poważnie swym przenikliwym głosikiem:

— Tak, to siew maszynowy. I kartofle maszyną kopalim. Ale ona dużo zostawia. I nie wszyscy umieją czymś takim robić.

— A maszyny skąd?

— A z pałacu. Z gminy też pożyczają, z ośrodka. Tu — dodała — to jeszcze pole pana Dąbka, a tamto już pana Guzka.

— Co u was tylu panów się porobiło? — roześmiał się Boguski. Jadwisia nie odpowiedziała, nie zrozumiawszy, o co idzie. Grzecznie i spokojnie objaśniała dalej:

— A tera to już tu wszystko spółdzielniane. I z tej strony drogi, i z tamtej. Aż do rybnego majątku. Do tych stawów.

— Ja wiem. To dawne dworskie pola. Jak było ciężko, tośmy tu chodzili z twoją mamusią do roboty. Zanim pojechała do Warszawy.

— Ja też byłam w Warszawie. W mieście to złe powietrze, a na wsi to takie dobre powietrze, no nie? I na wiosnę, jak ja idę do szkoły, to tak skowronki śpiewają. Nieraz to naumyślnie wcześnie wyjdę i tak pomaluchnu idę, a one tak śpiewają, tak śpiewają. Wujku, czy to prawda, że skowronek z tego miejsca, co wyfruknie, to potem na to samiuchno miejsce spadnie?

Lecz wujek myślał snadź o czym innym, bo nagle spytał:

— A ci ze spółdzielni to gdzie mieszkają?

— A w pałacu. Mieszkali tu, w czworakach — Jadwisia pokazała na mijaną właśnie ruderę stojącą tuż przy drodze na zgnojonym pustkowiu. — Ale teraz, jak się zrobiła spółdzielnia, to mieszkają w pałacu.

— A spółdzielnię dawno tu założyli?

— Nieda-awno... Tego roku.

— To prawie dziesięć lat ludzie mieszkali w tej ruinie?

— No! Jakby się nie zapisali do spółdzielni, to i teraz by mieszkali. Ale że się zapisali, to mieszkają w pałacu.

— Nie woleliby to mieć osobnych domów?

— Mają mieć. Na Piaskach już pobudowali. Tam już jest trzeci rok

spółdzielnia. Ale u nas jeszcze nie pobudowali. Wujku, chodźmy tędy, koło pałacu. Tam ładnie.

Weszli w rozgrodzony stary park, bardzo już zapuszczony, ale żarzący się od bogatych kolorów aż w oczach ćmiło. A śród lip, świerków, buków, kasztanów, grabów i klonów bordowolistnych najwyższa z całej gęstwiny topola-białodrzew, okryta liściem po jednej stronie żółtym, po drugiej — śnieżnie białym, pieniła się w ciemnym błękicie kremową bielą, jak śmietankowa fontanna. Boguski pomyślał, że małym chłopakiem wiele razy chodził do dworu na robotę, ale nigdy nie był w tym parku, oglądał go tylko przez żelazne sztachety; a teraz chłopskie dzieci po nim chodzą. Ale też park nie jest już parkiem, lecz na pół leśną dziczą; dużo wody upłynie, zanim ludzie i na wsi nauczą się pielęgnować parki dla ich piękności.

— A to pałac — ocuciła go Jadwisia z zadumy.

Nie był to dwór starożytny, lecz wzniesiona widać na jego miejscu nowoczesna budowla, dosyć okazała, piętrowa, z tarasem, balkonami, werandą — wszystko szkaradnie odrapane. Dokoła było pusto i cicho; tylko dwoje mizernych dzieci wybiegło nagle z domostwa nazywanego pałacem — dziewczynka i chłopiec — oboje w bawełnianych sweterkach i w berecikach; popędziły ku wyschniętej sadzawce, pełnej opadłych liści, wskoczyły w owe liście nurzając się w nich po pachy i wiosłując po nich rączkami.

Gdy wracali z obrusem, Jadwisia opowiedziała wujkowi, jak mało dzisiaj spały, ale że w końcu posnęły, już chyba blisko nad ranem.

— I wyspałaś się?

— No! Ja już tak się bałam, że się wcale nie układziemy. A jak ja bym dzisiaj wyglądała, żebym się trochę nie przespała? Jak ja się nie wyśpię, to już nie człowiek ze mnie. Taka jestem zaraz czegoś zła, taka smutna. Wszystkie światła — dodała z ożywieniem — będą się paliły.

— Gdzie? W kościele?

— No! Zuzia z panem Cześkiem wczoraj zapłacili ślub i żeby wszystko się paliło. Żyrandole też się będą paliły. I taksówka będzie dla państwa młodych.

Zanim doszli do chałupy Jasnotów, zrobiło się tak ciepło, że Michał zrzucił palto. Przed domem roiło się od ludzi, a muzyka już grała witanego coraz to nowym gościom. Michał pamiętał jeszcze wiejskie zwyczaje i mijając graczy wsunął stojącemu na przedzie należny datek do kieszeni. A stał na przedzie stryj pana młodego, Adam Ruciński, który był w Warszawie kolejarzem i członkiem kolejowej orkiestry

harmonistów. Człowiek to był niedużego wzrostu, ale postawy nadzwyczaj godnej, a twarzy smagławej, bardzo przystojnej, nawet łysina dodawała mu jakby schludnej elegancji przy rosochato nastroszonych czuprynach młodzieży męskiej i żeńskiej. Rysy miał jak rzeźbione, spojrzenie piwnych oczu i uśmiech pełne delikatnej grzeczności, a choć był już po pięćdziesiątce, świecące w uśmiechu białe zęby nadawały mu przyjemny wygląd młodości. I nie brakowało mu ani jednego zęba, może miał sztuczne? Tu na wsi zdrowe zęby należały do rzadkości i tylko z opowiadań słyszało się o dawnych pięknozębnych starcach.

Wchodząc do izby Michał zapytał Małgorzatę:

— A skądeście takiego hrabiego wytrzasnęli na harmonistę?

Małgorzata stanęła w pąsach.

— Prawda? — spytała; i tajemniczym półszeptem: — On zawsze taki był, pański taki. To przecież Adam Ruciński, nie pamiętasz go? On do mnie kiedyś w Warszawie przychodził. O, jak on mi się podobał! Tak chciałam wyjść za muzykanta. On jeden jedniusieńki na świecie mi się podobał, on jeden i on jeden. Jak się ożenił, tom nawet bardzo płakała, tobie to tylko mówię, Michał.

Spojrzała na brata szarymi, promiennymi oczyma i nagle schwyciła się za głowę.

— Ja tu o głupstwach, a patrz, my nic jeszcze nie pokończyli. Grzankę dopiero robim, a tu gościom trzeba przed kościołem śniadanie podać. Jacek zły, bo wstał przed wschodem do tej grzanki, a my garnki mieli wszystkie zajęte i masła nam zabrakło, musielim po wsi szukać. Michaś, bój się Boga, toć prawie setka ludzi zjechała na Zuzine wesele!

W izbie szumiało. Zuzia, jeszcze w roboczej sukience, wespół z ciotką Pauliną rozstawiały na nakrytych już stołach wędliny, chleb, słodkie ciasto i pączki. Szczepan z Cześkiem przecierali szklanki i kieliszki, Małgorzata zaparzała kawę zbożową i herbatę. Przy kuchni Leokadia Boguska mieszała warząchwią w wielkim garze, do którego jej syn, Jacek, sypał cukier, kładł masło, przydawał utłuczonej gałki muszkatołowej i wlewał litrowe butle wódki. Jacek, choć jeszcze taki młody, słynął na parę wsi dokoła z najlepszego przyrządzania weselnej grzanki. Lecz oto już Michał Boguski staje w progu i zaprasza głośnym wołaniem:

— Prosimy pięknie! Do grzanki! Do śniadania! Kto pierwszy, ten lepszy, kto ostatni, ten najlepszy! Kto starszy, prosimy siadać, kto młody na stojąco!

Goście zaczęli sunąć i migiem zajęli miejsca przy stołach w pod-

kowę pozbijanych. Zasiedli starsi i ci, co byli z dziećmi, młodzież ciasno wypełniła środek izby nabierając smakołyków przez ramiona siedzących, jedni na chleb albo prosto do gęby, drudzy na talerzyki, jeśli jakiś udało się złapać; widelców było dosyć, każdy też tego tylko pilnował, żeby mieć szklankę albo kieliszek w ręku. Dymi z nich ognista, piekąca grzanka.

Goście jednak musieli się jeszcze ciaśniej zepchnąć, gdy do izby wkroczyła muzyka, wkroczyć zaś musiała, bo nieładnie, żeby cośkolwiek na weselu bez grania się obywało. Muzykantów było trzech; oprócz harmonisty jeszcze skrzypek i bębenista, no ten musiał bęben pozostawić na dworze, bo to instrument był nielada. Stał olbrzymim kręgiem na ziemi, pałę miał umocowaną na pedale, w który bębniarz uderza nogą. U górnej krawędzi przytwierdzone były dwa podłużne drewniane polanka, puste w środku; w te bębenista uderza pałeczką wzniecając suche dźwięki podobne do murzyńskiego tam-tam, a jak się muzyk przyłoży drobiąc misternie, to naśladujące hiszpańskie kastaniety. Nad bębnem na grubym drucie wisi mosiężny talerz, w który artysta grzmoci, gdy dla wzruszenia słuchaczy potrzebny jest mosiężny taki dźwięk. Sam bębenista pochodzi z Pawłowic, z większością obecnych na weselu chłopaków jest na ty. Ale już dawno miastowy, bębni, mosiężni i kastanietuje w Warszawie na tańcówkach i zabawach ludowych w lokalach i na powietrzu. Gębę ma trochę cyrkową i błazeńską, usta od ucha do ucha, w rysach ni ładu, ni składu, ale oczy szelmowskie i dowcipne, a w całym wzięciu coś sympatycznie i zaraźliwie wesołego, gdy się rozśmieje, ciągnie za sobą wszystkie oczy i wszystkich śmiać się przymusza. Wołają na niego Tolek. Oprócz trójdźwiękowego bębna Tolek w samym sobie posiada instrument rozrywkowy, piosenkarz z niego pierwszorzędny. Z tym tedy instrumentem wszedł do izby i natychmiast zaśpiewał stalowym barytonem coś z modnego wyboru; a choć celował głównie w piosenkach łobuzerskich, komicznych i prześmiewalskich, że przed ślubem to nie było stosowne, popisał się czułą śpiewanką o dziewczynie. Godny Ruciński wtórował mu tenorkiem i akordami harmonii.

Ale wszyscy patrzą na skrzypka. Tego tutaj nikt nie znał, to tamci dwaj w Warszawie go wynaleźli. Na dworze jakoś mu się nie przyjrzano, dopiero teraz, w niskiej izbie widać, jaki to wysoki człowiek. Do śmieszności wysoki, a zwłaszcza nogi ma takie, jakby głównie nogi posiadał i głowę, a między nimi kadłubek nieduży, słowem — bocian. Twarz chuda i wąziutka, rzekłbyś, z samych boków złożona i zawsze tylko z profilu oglądana. Tak, że i oczy wypadały po bokach jak oczy

ptaka. Że zaś kark trzymał skrzypek pochyło, a nos miał niezmiernie długi, zdawało się, że tym nosem wspiera się o pierś wypukłą, jak to właśnie czynią bociany. Ktoś krzyknął: „A to bocian!" Ktoś drugi zawołał: „Dylu, dylu na badylu!" — i tak już go między sobą nazwali. „Panie Badyl" — wołają jedni; „Bocian!" — upierają się drudzy. A skrzypek zagrał. I puścił nutę tak rzewną a ognistą, że w sercach zaświdrowało i nawet wrzawa biesiadna cokolwieczek przycichła. Skrzypek patrzy żółtymi oczyma jak ptak na raz w lewo i w prawo, a włosy ma też rudo-żółtawe. I gra. Lecz już kobiety nakryły przed sienią stoliczek z poczęstunkiem i wypraszają muzykantów na grzankę.

W izbie gwar panuje nieopisany; każdy ma coś do powiedzenia właśnie gościowi najdalej siedzącemu, krzyczą więc wszyscy na wyprzódki. Ale zgiełk przekrzyczała Katarzyna Gądkowa, gdy tuląc do piersi małą Bernadzię i stare wspomniawszy zwyczaje, zaśpiewała piskiem rozdzierającym, jakby sto czajek nad łąkami zawrzasło:

Oj, dobra była wódka, oj, dobra wódka grzanka
Oj, da i jesce lepsa, da dziewcyna kochanka!

I nie czekając zachęty nową zwrotką przekrzykuje wrzawę, a babusia Jasnocina raźno jej do śpiewu wtóruje. Śpiewają tedy obie:

Oj, w gaju przy drozynie, oj słowiki śpiewają
Oj, na moim weselu, da ptaseckowie grają!

Buchnęły śmiechy, zwłaszcza między młodymi; niektórzy z nich usiłują babusię zakrzyczeć śpiewając nieznaną tu miejską piosenkę:

Marynika, Marynika, nawet oczu, oczu nie odmyka!

Ktoś z gości, pono to był zięć Rucińskich — „umysłowy — mówili ludzie — z powiatu" — chciał uczcić dwie staromodne śpiewaczki.

— Śpiewaj pani tak! — woła do babusi. — Zawsze pani tak śpiewaj! Uszlachetniłaś, pani, to nasze posiedzenie, tę biesiadę! To nas podnosi na duchu! To nasza piękna pieśń ludowa, tradycja Polski Ludowej. Żyj, pani, żyj sto lat! Uszlachetniaj, pani! Tą grzanką... zdrowie pani... — tu zachwycony gość wypił trzecią szklaneczkę grzanki.

Ale babusia Jasnocina nie słyszała jego pochwał, a choć gość zwracał się ku niej poprzez stół i chciał z nią wypić, i szklankę wyciągał, tego też nie widziała, gdyż oczy miała z wielkiego przejęcia zamknięte, śpiewała po prostu wniebogłosy rozdziawiając szeroko bezzębne usta, aż jej niemal mały języczek było widać.

Józef Jasnota, brat Szczepana — a podobni byli do siebie jak dwie krople wody, tylko Józef miał oczy większe, jasne i szkliste, jakby chorobliwie świecące, a pierś jeszcze bardziej zapadłą — Józef tedy staje w progu i woła:

— Czas, czas! Do ślubu zbierać się czas!

Rumor się zrobił, wszyscy wstawali, państwo młodzi już dawno znikli, przyodziewano ich do ślubu.

Zuzię strojono w sąsiednim domu Popiołków, a dyrygowała ceremonią Aniela Pawoniakowa, znająca się na tym, co ładne. Sama Pawoniakowa też dnia tego ładnie wygląda w czarnej spódnicy, w jasnożółtej bluzce jedwabnej, z czarną koroneczką przy kołnierzyku spiętym czarną świecącą broszką. Małgorzata, nadal pozostająca w odzieniu kopciuszka roboczego, wstąpiwszy do Popiołków, zanim spojrzy na córkę, zagapiła się na Anielę. „Jaki ona ma gust, jaki szyk" — myśli, a głośno rzecze:

— Takusieńko wyglądała moja nieboszczka pani na portrecie, taką ją właśnie przedstawili, jak była jeszcze nie stara. Też tak w żółtej kremowej bluzce z czarną broszką.

— A Zuzia? — mówi Aniela uśmiechając się opiekuńczo. — Nie tak — strofuje pomagające jej druhny. — Inaczej welon upniemy. Jeszcze mało asparagusa.

— Jadwisia, leć do domu, przynieś asparagusy — nagli Małgorzata. Jadwisia odrywa zachwycone oczy od przystrajanej siostry, wybiega i niebawem powraca niosąc w obu ramionach donice asparagusa, wczoraj tak starannie przybrane w białą i różową bibułkę.

Gospodyni domu, Popiołkowa, podtrzymując tiulowy welon i roniąc łzy, powiada:

— Jakie to teraz wszystko inne. Dawniej to panna młoda musiała sobie rutę albo mirtę piękną na ślubny wianek wyhodować. A teraz, jak te nowe rządy nastały, to już asparagusy muszą być, mój ty Boże...

Zuzia poddaje się obrzędowi przystrajania posłusznie i w milczeniu. Oczy jej są szeroko otwarte, suche i nieruchome, wygląda ładniej niż wczoraj, bo krostki na czole i brodzie przypudrowała, blade policzki cokolwiek urożowała, usta ma też leciutko pomadką pociągnięte — Czesiek lubi, żeby kobieta była po miejsku przyrządzona.

Przed chałupą goście zaczynają się niecierpliwić, że państwa młodych nie widać. Suma już się musiała zacząć, taksówka z miasteczka przyjechała, stoi tętniąc motorem. Wozów przybywa, z najdalszych krańców Pawłowic, z sąsiednich wsi zjeżdżają jeszcze stryjeczni, cioteczni.

wujeczni obu rodzin, piechotą ciągnie różnymi ścieżkami młodzież, pojawia się i dwu żołnierzy odsługujących wojsko, to konkurenci młodszych córek Łukasza Boguskiego i Pauliny Szatkowskiej. Muzyka wita i wita, lecz wreszcie ciąg się kończy. Harmonista Adam Ruciński staje ze swą harmonią pośrodku wiejskiej drożyny i kogoś wypatruje.

— Kogo pan tak wygląda, panie hrabio? — pyta Michał Boguski.

— Ważnego gościa wyglądam — odrzecze poważnie harmonista. — Dziedzica naszego wyglądam.

— Dziedzica? — nie zrozumiał Boguski. — Za moich czasów żadnego Dziedzica tu nie było.

— Nazywamy go dziedzic, bo to teraz najważniejszy tu człowiek — objaśnia godnie harmonista. — Dyrektor majątku państwowego. Tego rybnego zespołu.

Michał Boguski już nic na to nie odrzekł, ale ujrzawszy, że i Małgorzata wybiegła tyłami domu na drogę też jakby kogoś wypatrując, podszedł do niej.

— Co, i ty, Małgosia, na niego wyglądasz? — pyta. — Oni czekają na „dziedzica". Na dyrektora Pegeeru — odpowiada na jej spłoszone wejrzenie.

— A-a — skinęła głową Małgorzata. — To pan Stępień. On jest Rucińskich krewny. Podobno go prosili na wesele. Ale gdzieby on do nas przyszedł? On nie przyjdzie... Nie, ja na Szczepana czekam. Czekam i czekam — westchnęła zdręczonym głosem.

— A gdzie Szczepan? — obejrzał się Boguski. — Prawda, że go już kawałek czasu nie widzę.

— Ady przecież pojechał do autobusu! Rucińskiej siostra ma przyjechać z mężem. Podobno chora na nogi, nie może iść piechotą. On ma bardzo miękkie serce, Szczepan, no to wziął i poleciał. Nie dam, powiada, żeby chora starsza kobieta szła piechotą na nasze wesele. Ja nic o to nie mówię, ale co teraz będzie? Autobus nieraz się spóźni, kiedy ci młodzi wyjadą do tego ślubu? Przecie Zuzia nie może jechać bez ojcowego błogosławieństwa. A Szczepana nie widać i nie widać.

— Przyje-edzie. A ksiądz ze sumą poczeka. Ma zapłacone — pociesza Michał.

— Ale ludzie czekają, tyle ludzi — skarży się Małgorzata. — Ja tak o to nie stoję, ale Szczepan, Szczepan, on się tyle namordował przy tym weselu i nawet dziecka nie pobłogosławi. Dla niego to takie nie wiem co, to błogosławieństwo!

Ku ciżbie gości nadchodzą tymczasem państwo młodzi. Śród śmiecia zalegającego dróżkę do Popiołków, sunie Zuzia sztywna w swej długiej

białej sukni jak figury na procesjach noszone. Z drugiej strony nadciąga Czesiek Ruciński w granatowym garniturze, z białą kokardką przybraną Zuzinym asparagusem. Oboje w otoczeniu panien i kawalerów. Przed chatą ustawiono już stolik okryty serwetką, na nim domowy krzyż i dwie świece; a tak jest cicho i ciepło, że świeczki palą się jak malowane, w blaskach jasnego dnia ledwo widać ich żółtawe płomyki.

Ludzie zaczynają się niecierpliwić. „Gdzie rodzice młodej?" — pogadują. — „Jak to, nie ma ojca?" — „Do autobusu?" — „To kiedy on tam przyjedzie?" — „Nie mógł to kto inny za niego jechać?"

A Małgorzata wciąż wybiega na drogę, za którymś razem spostrzega, że tuż przy niej stoi Adam Ruciński z wzrokiem przed siebie utkwionym.

— Nie widać go i nie widać — mówi Małgorzata nieśmiało. — Szczepana nie widać — dodaje przypomniawszy sobie, że Ruciński czeka na pana Stępnia.

Harmonista przyjrzał jej się, ukłonił, podał rękę.

— To pani gospodyni, mamusia młodej? — przywitał się uprzejmie.— Zbiedniała pani w sobie od czasu, kiedym u pani bywał na ulicy Emilii Plater; ja to pamiętam, ale te czasy przeszli.

Małgorzata raptownie o wszystkim zapomina, czuje tylko, że stoi przed tym szykownym warszawiakiem, kiedyś tak jej miłym, w brudnych od kuchennej roboty łachach. Przecież ona się nawet ubrać nie może, nawet na ślub swej córki nie pojedzie, bo trzeba zmywać, poślubne przyjęcie szykować. Chce coś o tym harmoniście powiedzieć, lecz brak jej słów. Na szczęście ludzie ją odwołują, w żaden sposób nie można dłużej czekać. Matka niech sama dzieci pobłogosławi!

Młodzi popchnięci przez kogoś klękają na podrzuconym przez Józefa Jasnotę dywaniczku, Aniela podaje Małgorzacie kropidło, ale ona tego nie widzi, cała drżąca obejmuje Zuzię, woła: „Moja córko, moje dzieci kochane, błogosławię...." I nic więcej nie rzekła, bo płacz zalał jej słowa. A i tego, co rzekła, nikt nie usłyszał, wrzawa nawet nie zdążyła przycichnąć. Nagle wszyscy ujrzeli, że Małgorzaty już przy stoliku nie ma, żwawa macierz pana młodego odstawiła ją, jakby zdmuchnęła piórko, i ta dopiero rzekła mowę, której wszyscy jak urzeczeni słuchali. Matka Rucińska nie patrzyła na młodych, tylko w tłum gości, jakby wszystkim udzielała błogosławieństwa; mówiła z namaszczeniem, a zarazem wesoło i cały czas do wiersza; długa to była przemowa, zakończyła się zaś słowami:

I błogosławię mego syna,
Którego ostatnia kawalerska
Przychodzi godzina.

Teraz dużo ludzi łzy ocierało. Nikt nie zauważył, że i ojciec pana młodego nie był obecny przy ceremonii błogosławieństwa.

Gdy przyszło do siadania i młodzi zajęli miejsca w taksówce, Zuzia oświadczyła nagle, że wsiąść wsiadła, lecz bez tatusia do ślubu nie wyjedzie. Zaczęło się więc ponowne czekanie. Jedni sarkali, że co za płochy człowiek, taką ważną osobą jest w obrzędzie, a poleciał do autobusu, jakby się nie mógł kim wyręczyć. Inni mościli się na wozach. „A muzyka?" — wołano. — „Co, bębnić chciałbyś w kościele?" — śmiano się — „Muzyka zostaje, skrzypce tylko jadą do kościoła!" — postanawiano. — „Skrzypce jadą do kościoła!" — „Skrzypce jadą!" — podawano sobie z ust do ust. — „Panie Bocian, siadaj pan!" — „Panie Be, do nas!" — „Ady pan skrzypek nie potrzebuje włazić na wóz, nogi ma takie długie, że wóz pod niego wjedzie!" — żartowano. Rudy skrzypek, nie nadto pokazuje radość z wyróżnienia, sadowi się na wskazanej mu furmance z pudłem skrzypiec przytulonym do boku. I zdumionym żółtym okiem łypie ku swej sąsiadce. Siedzi przy nim babusia Jasnocina, która mimo swych lat za nic nie chciała zostać w domu. Oczy ma zamknięte, widzi przed nimi zapewne strojnych drużbów na koniach, druhny we wstążkach, paciorkach, złocidlanych stroikach na głowie, i krzyczy zardzewiałym głosikiem:

Do ślubu jechała, tak sobie biadała
Nie dejcie mnie brać, matulu, nie dejcie mnie brać...

— Matka — strofuje ją Katarzyna Gądkowa. — Nie śpiewajta. Dejta spokój. To nie te casy, nie te ludzie....

A Małgorzata czeka, ledwo już może wytrzymać, o niczym nie myśli, tylko, żeby ten Szczepan zdążył, żeby go nie minęło pożegnanie z Zuzią-panienką, żeby zdążył choć na ostatnią chwilę, należy mu się ta radość, tak mało miał biedak jakiejś uciechy w życiu.

Ludzie też czekają, nudzą się, irytują, schodzą z wozów, łażą po drodze, znów na furmankach się moszczą, nie wiedzą czym przyśpieszyć powrót lekkomyślnego tatusia. — Jedzie!! — ktoś wreszcie krzyknął. Orszak weselny znieruchomiał i tylko słychać było furkotanie zapuszczanego po raz trzeci motoru ślubnej taksówki. Spoza nieznacznego wzniesienia drogi najpierw ukazał się łeb koński, potem wóz wyskoczył jak spod ziemi, w galopie mknąc ku patrzącym.

— Ojciec! Ojciec jedzie!! — wydarło się ze wszystkich niemal ust i nigdy jeszcze chyba ojcostwo Szczepana Jasnoty nie było tak uczczone, choć on o tym nie wiedział, gdyż okrzyku nie słyszał. Zdarł lejce, aż koń mu dęba stanął; był sam na wozie, snadź nie przyjechali czekani goście. Szczepan nie zeszedł z wozu, tylko jakby go zniosło. Roztrącając ludzi biegł do taksówki wołając: — Zuzia moja! Córcia moja kochana!

Zuzia wyskoczyła z auta jak z procy i zawisła na szyi ojca. Więcej nikt już nie widział, zakotłowało się dokoła: „Siadać! Jazda! Taksówka jedzie pierwsza! Po porządku!" — słychać było ze wszystkich stron — wesele wreszcie ruszało. Małgorzata wybiegła z domu z parą mężowskich kamaszy — ten wariat poleciał do autobusu w roboczych kapciach. Szczepan rzucił lejce komuś z młodych — sporo ich przysiadło się do niego — i obuwał się na jadącym już wozie.

Wozów było dziewięć, wszystko rodzinne, koni tylko niektórzy dopożyczyli, bo niełądnie do ślubu jechać w jednego konia; Szczepan jedynie, biedak, nie zdążył przyprząc zamówionej u Popiołków kobyłki. Jechano dobrym kłusem trzymając się taksówki, która sunęła przodem, statecznie miarkując bieg, by nie musieli pędzić za nią galopem. Wozy były porządne, przepisowe. Każdy miał deski pomalowane żółto, szaro albo brązowo, wszystkie miały koła z opon gumowych, na każdym z boku tabliczka z wypisanym czarną farbą nazwiskiem właściciela i wioski. Zgoła były to wozy nowoczesne, a droga też była nowoczesna, bo znaczną jej część przebywano już po wybrukowanym gościńcu. Tylko jasna pogoda nad jadącym w milczeniu orszakiem, tylko ziemia gorejąca od barw październikowych — były prastare i odwieczne.

4

Wieś Staszówka, podobnie jak parę innych wsi dokoła, siedzi oddzielnymi koloniami — zaledwie gdzieniegdzie dwa, trzy obejścia kupią się koło siebie — na ziemiach dawnych dóbr pańskich; wieś nie liczy sobie więcej nad setkę lat istnienia. Kościół, też nie nadto wiekowy, stoi na wzgórkach gęsto zadrzewionych pośród sosen, grabów, brzózek i jarzębiny. W słońcu jarzyło się to wszystko nader ozdobnie, lecz weselnicy tym najwięcej byli zaprzątnięci, jak dostać się przed ołtarz. Kościół brzmiał z cicha organami, a nabity był ludźmi tak, że i główne wejście, i drzwi zakrystji oblepione były tłumem, co nie zdołał się już wcisnąć do środka.

Skrzypek przedostał się pierwszy. Miał przecie grać na chórze, więc ze stanowczością posłannika, który musi wypełnić misję, przecinał ścisk swoją wąską, długą postacią („jak nóż ciasto" — śmieli się weselnicy). Rozstępowano się przed nim, dziwiąc się tej niezwykłej wzrostem, chudością i rudością figurze, on zaś parł naprzód, byle tylko się dostać do kruchty i w bok schodkami na chór. Śladem skrzypka ruszyli państwo młodzi; przeszli nieuszkodzeni, na widok białej sukni we wianku i z welonem ludzie stłoczyli się, ścisnęli, nieomal sprasowali. Za młodymi przemknęła dziewczynka mająca podawać obrączki, piękne dziecko z rodziny Rucińskich, też całe w powłóczystej bieli. Za nią szedł Szczepan Jasnota nic i nikogo nie widzący, wpatrzony w sztuczne pomarańczowe kwiaty i w gałązki asparagusa na głowie córki, a szedł z twarzą mokrą od łez. Potem Aniela Pawoniakowa wiodła babusię Jasnocinę. Inni cisnęli się wedle sił i możności, to jednym wejściem, to drugim.

Grzegorz i Michał Boguscy zostali przed kościołem i poszli na cmentarz znajdujący się tuż naprzeciw kościelnej bramy, po drugiej stronie drogi. Szli w milczeniu, szeleszcząc liśćmi grubo zaścielającymi cmentarne ścieżki, aż zatrzymali się przed wysokim dębowym krzyżem, co stał nad grobem ich matki. Grób miał ramę z kamienia z ziemią na kwiaty pośrodku. Na blaszanej tabliczce widniał napis: „Ś. P. Marianna Boguska, zm. 10.I.1945 r." Michał podniósł gałązkę i zmiótł nią z mogiły liście, spod których wyjrzały zbiedzone, ale jeszcze kwitnące drobnolistne begonijki, posadzone tu wiosną przez Małgorzatę. Potem stali przez długą chwilę nieruchomo, a obydwu tym starym chłopom łzy gradem ciekły z oczu. Przez te łzy widzieli matkę jak żywą, widzieli całe jej życie. Jakież to nędzne było życie! Niby gospodyni, a w gruncie rzeczy wyrobnica, wiecznie zgięta nad cudzym polem bogatych gospodarzy albo dworskim; ojciec był chorowity, umarł jeszcze w pierwszą wojnę światową, została sama z niedorosłymi dziećmi, ba, nawet jeszcze z małymi. Zapracowana, wyniszczona, a przecie taka krzepka, nieutrudzona, nigdy niczym nie zniechęcona wychowała ich w dobrych obyczajach i w wielkiej rodzinnej miłości. Nie pamiętali, żeby kiedy na które z nich krzyknęła, a słuchali i bali się jej, gdyż bali się jej zmartwienia. I do końca kochali ją i teraz żałowali, że nie doczekała lepszego losu wszystkich dzieci. Umierała patrząc na ciężką biedę Małgorzaty, a taki z niej był człowiek, że właśnie u Małgorzaty chciała na starość siedzieć, bo tam najwięcej trzeba było pomocy i otuchy. U innych zasobniejszych dzieci gościem tylko bywała i wracała do twardego żywota swej Małgosi, bo „żadne z was — mówiła — dniem

i nocą nie robi, a Małgosia moja nocami szyje, żeby dziadostwu się nie dać, to niech sobie choć do dnia pośpi, a ja za nią wszystko obrządzę". Jakby się matka cieszyła, żeby doczekała dnia dzisiejszego!

Wróciwszy, zdążyli jeszcze na sam ślub; kościelny zapalał właśnie żyrandole, a młodzi przystępowali do ołtarza. Hucznie rozległy się organy, głos męski prześpiewał *Veni Creator Spiritus*, a po chwili zabrzmiała muzyka skrzypiec. Weselnicy spojrzeli znacząco po sobie, a postronni obrócili się w stronę chóru.

Gdy w pół godziny potem siadano znów na wozy, długonogi skrzypek zbliżył się nieśmiało do poważnej, nadobnej Anieli Pawoniakowej.

— Proszę pani — zapytał — czy choć słychać było to moje granie?

Pawoniakowa miała domyślne serce.

— Jak to, panie — rzekła patrząc ku niemu w górę i jaśniejąc przychylnym uśmiechem. — Cały kościół na chór się obrócił, jak pan zagrał. Pięknie pan grał...

Skrzypek wpatrzył się w nią z niedowierzającą wdzięcznością.

— Ja mam, proszę pani, parę lat szkoły muzycznej — szepnął. — Gram w zespole... Ja od razu raniutko panią zauważyłem. Widzę, jakaś poważna, inteligentna kobieta. Wiedziałem, że pani się pozna... Tu, na wsi to nie mają gustu...

— Ja jestem ze wsi — rzekła Pawoniakowa. — Ja tutaj... — Lecz nie dano jej skończyć. Bracia odwoływali ją — czas już wracać.

— Do mamy na cmentarz nie poszłaś? — pyta Michał.

— Starą Jasnocinę prowadziłam. Gądkowa musiała dziecko nakarmić, bo co takie było ciche, to się rozkrzyczało pod kościołem. Teraz wstąpię do mamy. Poczekajcie małą chwilę, to się z wami zabiorę.

W godzinę potem wracające wesele zjeżdżać musiało między drzewa sadku, pod stodołę i na dróżkę idącą ku Popiołkom, bo na udeptanym gruncie przed chałupą Jasnotów rozstawiono sześć wypożyczonych stołów. Przy wspaniałej, ciepłej pogodzie miejsca dość się zrobiło dla wszystkich, część weselników jeść będzie pod kopułą niebieską.

Na stołach Leokadia i Paulina kończą rozstawiać talerze i półmiski z kiełbasą, boczkiem, salcesonem, pasztetówką i kaszanką na samej gryczanej kaszy przyrządzoną; Małgorzata wykłada na talerzyki pokrajaną galaretę z nóg, wstawia między półmiski dynię i śliwki w occie, marynowane grzyby różnych gatunków, sałaty z przechowanych na wesele własnych pomidorów, chrzan, musztardę i ćwikłę. Chleb jest i kupny, i domowy, słodkie ciasta podano te same, co rano, grzankę zastąpiła wódka i wina domowej roboty, z głogu, prosa, żyta i czarnych

jagód. Tu i tam porozrzucano od niechcenia jesienne gruszki szare bery i jabłka malinówki.

Najmłodsi sypnęli się do stołów na dworze, tu swobodniej było im dokazywać. Ale sporo młodzieży wwaliło się za starszymi do izby, gdzie przy poprzecznym głównym stole zajęli miejsce państwo młodzi; koło nich w zastępstwie rodziców, co zostali pośrodku izby, by weselników obsługiwać, zasiedli stryjek Józef Jasnota i wujek Michał Boguski, a dalej to już siadali jak popadło. Wesoło było przy stołach, śmiano się, krzyczano, śpiewano, dowcipkowano. Aż Zuzia z lubym uśmiechem rzekła do stryja Józefa:

— Ale ładnie goście się bawią. Ale ładnie się bawią, prawda?

Na co Józef Jasnota, człek niewesoły, odpowiedział:

— A ja mam już dosyć wszystkiego. Nawet życia. — Czemu panna młoda niezmiernie się zdziwiła.

Nieopodal siedząca babusia Jasnocina, której młodzi naleli kielich wódki, śpiewała jak najęta, zaś przy bocznym stole siedząca Gądkowa ze swą Bernadzią przy piersi wtórowała jej rześko:

Niedobry ten oset, co się w polu rodzi,
Nie każda synowa teściowej dogodzi.
Choćby ta synowa róże kwiaty szyła,
Teściowa jej powie, że nic nie robiła!

Pannica jakaś wspaniała, pięknie ondulowana i w pawiej barwy jedwabną bluzkę opięta, ze wstrętem spojrzawszy na staruchę, co jakieś niemodne i nawet niedelikatne wrzaski tutaj wywodzi, mrugnęła ku paru młodym szastającym się z kieliszkami koło stołu:

— My — zawołała ku nim — nie takie pieśni lubimy. Masowe!

I gardlano-metalowym głosem zaczyna inną pieśń: „Jadą goście, jadą — śpiewa — koło mego sadu...“ — lecz słowa jej się poplątały, więc mruczanką dokończa zwrotki, a głośno, jakby młotkiem biła w żelazo na kowadle, powtarza przyśpiew:

— No i hola, hola-la! No i hola, hola-la!

Któryś z młodych poprawia:

— Tam nie tak idzie! — I tenorkiem śpiewa:

— To i hola, hola-la! To i hola... — tupie nogą przy słówku „to“.

Lecz panna w pawiej bluzce patrzy wyzywająco na młodzieńca i altem ostrym jak dźwięk żelaza w kuźni powtarza uparcie: — No i hola hola-la!

I tak przez dłuższą chwilę przepierają się, jedno krzyczy „no!“, a drugie „to!“. Rozdrażniony młodzieniec woła do panny przez stół:

— To wiejska śpiewka! I ja dobrze wiem, jak się ją śpiewa! I ta moja babusia ją też umie — tu wskazuje na starą Jasnocinę. Śpiewająca panna nie wie, że kłócący się z nią to syn Józefa Jasnoty, Władzio, z wyglądu młodzik, ale w rzeczywistości żonaty pracownik warszawskiej Straży Ogniowej. Pannie przykro, że młody jej się sprzeciwia, bo sam jest śliczny jak panna, lecz tym bardziej pragnie go upokorzyć i woła:

— Mów mi pan takie rzeczy! To „Mazowsze", zespół pieśni i tańca. Na całym świecie to śpiewają. W Chinach, wszędzie! W Paryżu!

Dalszy ciąg sporu ginie w oklaskach i wrzawie, bo muzyka, dotąd przygrywająca przed domem, weszła do izby. Tolek bębenista wnet się popisał w swym najprzedniejszym repertuarze, wyśpiewując stalowym barytonem różne facecje do śmiechu z przekrzywianiem się, podrygami, wygibasami. Harmonista i skrzypek z lekka tylko, subtelnie przygrywają, żeby nie głuszyć potęgi barytonu i brzmienia słów.

Państwo młodzi nadal trwają w swej niemowności oblubieńców, ale po Zuzi widać teraz, jaka to skrzętna i na wszystko baczna dziewucha. Niby to siedzi tylko ceremonialnie przy młodożeńcu, lecz oko ma na wszystko, a gdy coś jej się nie zdało, nie mogąc się inaczej wydostać ze swojego miejsca, nurknęła pod stół, wynurzyła się w swych ślubnych bielach pośrodku izby, chwyta za łokieć matkę:

— Mama, dajcie na dworze poczęstunek dla muzykantów. Teraz tu nie mają co grać i śpiewać. Goście sami się bawią. Niech się muzykanty nie męczą, całą noc przecie grać będą musieli, a może jeszcze i przez jutro.

— Tak, tak — przytakuje Małgorzata na wpół przytomna. — Matko Boska, tyle ludzi, ja się tylko trzęsę, czy komu nie krzywda... Szczepan, proś muzykę do stołu! Pola, szykuj dla nich! Lodzia, jest tam jeszcze salceson?

Zuzia wraca do swego miejsca, niby kukiełka w jasełce dołem ze szpary podawana wynurza się spod stołu i siada przy mężu, co ujrzawszy Józef Jasnota zaczyna przygadywać posępnym głosem:

— Gorzkie! Niedobre! Gorzkie! Niedobre!

I wnet wszyscy powtarzają to samo albo wołają: „Kwaśne wino!" tak długo, aż państwo młodzi wedle zwyczaju nie pocałują się w usta. Co kiedy uczynili, końca nie było krzykom, oklaskom, wypijanym zdrowiom i wyśpiewywanym piosneczkom. Jakaś miejska rezolutna osóbka popisuje się zwrotkami własnego pomysłu, śpiewanymi na różnych uczestników biesiady. Michał Boguski obok tej osóbki siedzący jest wniebowzięty, lubi dowcipne kobiety. A mając już cokolwiek w czubie, ramię jej do boku przyciska i też śpiewać zaczyna:

Bo we Wrocławiu są także zakochani,
Co chodzą ręka w rękę tak jak my,
Księżyc nad Odrą nockami świeci dla nich,
A na Zalesiu dla nich kwitną bzy.

— Panie starszy, ja mam narzeczonego — śmieje się dowcipna sąsiadeczka. Michał odcina się natychmiast:

Od przybytku głowa nie zaboli,
Czasem panna żonatego woli...

Małgorzata zbiera opróżnione półmiski, żeby dołożyć wędlin, a odwróciwszy się widzi kogoś wchodzącego do izby.

— Łukasz — mówi półgłosem i śpieszy powitać najstarszego brata.

Łukasz Boguski robi teraz w Warszawie, mieli jakieś kłopoty z wykonaniem planu miesięcznego, uprzedzał, że może i niedzielę będą musieli ofiarować; widać się jakoś obeszło i choć późno, lecz przybył. Łukasz to człowiek barczysty, krępy, twarz ma czerwoną, jakby od swej murarki sam stał się trochę ceglasty. Włosy ma ciemne, szpakowate, oczy jasne — wszyscy Boguscy mają oczy jasne, szare albo niebieskie, takie, od których widno się robi, gdy spojrzą. Oczyma tymi Łukasz daje przelotny znak Lodzi, że ją widzi, czyli że wszystko dobrze. Michał nie patrząc na powagę wieku, a nie mogąc zruszyć ławy biesiadników, za przykładem Zuzi przełazi pod stołem. Obaj z Grzegorzem najdawniej Łukasza nie widzieli.

— Serwus, bracie! Pyska, Łukasz! — wołają, a że ten i ów z gości na dwór wychodzi dla ulgi, znajdują jakoś miejsce po zewnętrznej stronie głównego stołu, siadają koło siebie. Małgorzata podchodząc z kielichem i talerzem słyszy, jak Łukasz mówi:

— Ja teraz na wsi będę budował. U nas. Może jeszcze nie zaraz, ale rychło.

— Tu w Pawłowicach? — pyta Grzegorz. — A co tu będziesz budował?

Łukasz popija i przegryza. Dopiero po chwili odpowiada:

— Domy dla spółdzielni pawłowickiej mamy stawiać. Dla tej spólnoty rolnej.

Grzegorz roześmiał się szeroko.

— Ale ci strzeliło do głowy, Łuka! Co ty masz do spółdzielni?

— Ja nic nie mam do spółdzielni — Łukasz pożywia się i odpowiada nieśpiesznie. — Ale ona ma do mnie. To ma do mnie, że to jest w naszej wsi.

— No to co? W twojej wsi, ale to nie twoja rzecz. Może się zapisałeś?

— Nie zapisałem się. Ale jak w mojej wsi, to i moja rzecz. Ja jestem dobry murarz i nie lubię papranej roboty. Nasza wieś i tak licho pobudowana. Jak mają nowe domy stawiać, to muszą być galante. Spółdzielnia nie spółdzielnia, dla ludzi się buduje. To idzie o honor wsi.

Małgorzata patrzy promiennymi oczyma na Łukasza, a potem pytająco na Leokadię. Nie wie czy wypada okazać, że jej się słowa Łukasza podobają, ba, nie wie nawet, dlaczego jej się podobają. Łukasz z takimi zdaniami nigdy się dotąd nie wywnętrzał. Ale po twarzy Leokadii nic się nie zgadnie, Lodzia zresztą może i tej rozmowy nie słyszy zajęta obsługiwaniem gości.

Michał uderza brata w kolano.

— Dobrze mówisz — pochwala. — I ja, bracie, do tego doszedłem. Co dla ludzi, to wiadomo, dla ludzi...

Z dalszego miejsca pomyka ku nim człowiek lat może czterdziestu. Twarz ma szczupłą, wesołą, oczy jak niebieskie guziczki, ręce o długich palcach, nerwowe, w całej postaci wyraz biesiadnej przychylności dla wszystkich.

— Jak mi przyjemnie słyszeć poważną rozmowę — mówi, niezbyt pewnie stojąc na nogach przed rozmawiającymi. — Pan pozwoli, że się przedstawię — zwraca się do Łukasza. — Traczyk jestem, kamieniarz z Warki. Widzę, że pan ma pozytywny stosunek. Ja też. Mogę powiedzieć, że mi się udał ten ustrój. Ja jestem, panie, artysta, rzeźbiarzem nawet chciałem być, a teraz szanują artystów. Nagrobki pięknie ciosam, wedle życzenia, jaką chcąc figurę albo napis wyżłobię lub... na wypukło. I wiesz pan? Nigdy tyle nie zarabiałem, co teraz. Dwa pokoje z kuchnią mam dla rodziny, a dawniej mieszkałem w nędznej lepiance i to kątem. Nasze czasy są dobre.

— Tyle pan zarabiasz, bo ludzie coraz więcej umierają z tej dobroci tych czasów — nadmienia cierpko Grzegorz. — W gazetach nawet piszą, że ciśnienie krwi niedobre jest w tych czasach. Zganiają na atomy, a ono z tej zgryzoty, z tego planowego bałaganu jest niedobre; i przez to ludzie umierają.

—Ale zważ pan — kamieniarz z Warki podniósł kaznodziejsko palec do góry — zważ pan, ile dzieci się rodzi! Nigdy ten proceder tak nie rozkwitał. I nie umierają!! Panie! Ani jednego dziecięcego nagrobka żem nie wykonał przez ostatnie pięć lat!

Skądś podwinęła się Aniela. Mówi z właściwą jej pogodą serca:

— Grzesiek, opamiętaj się, Ty gazetami się świadczysz? Nie pamiętasz, ileś to nagadał, że w gazetach wszystko jest łgarstwo?

— Bo jest łgarstwo. Ale i ślepej kurze trafi się ziarno. Jak napiszą, co z praktyki wiem, że prawda, to przyznam. O niedobrym ciśnieniu krwi, prawda!

— Ja widzę, że i pani jest polityczna kobieta — cieszy się kamieniarz Traczyk z Warki. — Jak mnie to miło! Bo widzi pani, ja jestem z zawodu kamieniarz, ale z urodzenia polityk, o! I ja bardzo bym chciał wiedzieć, co ten pan budowniczy — zwraca się do Łukasza — myśli o trzeciej wojnie światowej. Bo ja myślę, że czy będzie, czy nie będzie, to tego... zwyciężymy. Udał mi się ten ustrój, powiadam panu.

— Ja nie polityk — mówi Łukasz, nieufnie patrząc na sympatycznego , ale nieznanego mu i w dodatku podchmielonego gościa. — I ja myślę, że przy wódce nie pora o polityce gadać.

— A dlaczego? — pyta czupurnie siedzący obok Władzio Jasnota, strażak. — Dla mnie — dodaje nie bez towarzyszenia lekkiej czkawki — owszem, zawsze jest pora. Wszystko jest polityka.

— Napij się wody, masz! — podsuwa mu szklankę siedząca obok żona, Krysia, pucołowata blondynka, w tej chwili czegoś nadąsana. Rodzina Jasnotów źle znosi wódkę. I ojciec, i syn smutnieją pijąc. Józef Jasnota dolewa sobie i znów powtarza:

— Mnie się wszystko sprzykrzyło. Nawet życie. Moja mama żyje osiemdziesiąt sześć lat i nie sprzykrzyło jej się żyć. A mnie, owszem.

— Ojciec! Ojciec! — mityguje go Władzio. Sam jak zły psiak coraz to małym słówkiem dogryza żonie. Ma z nią na pieńku, ale nikt nie wie, o co się poswarzyli.

Rozmowie starszych już od chwili przysłuchuje się Maniuś Szatkowski. Chłopię dogodziło sobie i leciutko drobi nogami jakby tańczył. Przytakuje nieznanemu sobie dotąd Władziowi Jasnocie, że o polityce zawsze pora jest mówić. Lecz nade wszystko chce mu się nawiązać rozmowę z kamieniarzem.

— K a p i t a ł, pan to zna? — zapytuje troszkę plączącym się językiem. — Jezus Maria, jakie tam wyzyski są opisane! Wszystkie wyzyski pan tam znajdziesz! Wielki człowiek, największy człowiek był ten nasz Lenin!

— Maniek, uspokój się — mówi pobłażliwie Michał Boguski. — To nie Lenin napisał K a p i t a ł. To Marks.

— Ja wiem! — obraża się Maniek. — Ale towarzysz Lenin wszystko zapoczątkował, a jak go wywieźli na zesłanie, to Marks za niego dokończył.

Felek Pawoniak wyrósł jakby spod ziemi. Jego łagodne orzechowe oczy srogo patrzą na ciotecznego brata.

— Maniek! Nie wygłupiaj się! O czym ty gadasz w takim stanie?

— W jakim stanie? Ja jestem w po... poważnym stanie (pobliskie panny zakrywszy twarze parsknęły śmiechem). Maniek chwiejnym palcem wskazuje na Felka. — Feluś poeta — mówi do kamieniarza — on wiersze pisze. Przyznał mi się. A... a Mickiewicz był przyjaciel Puszkina naj... największego poety światowego... I dlate... dlatego jego dzieła zbłądziły pod nasze strzechy.

— Pod twoją strzechę nawet rozum jeszcze nie zbłądził — gniewny Felek zgrabił palcami kunsztowną fryzurę Maniusia.

— Nie psuj! — pisnął Maniuś dziecinnie i rzucił się na Felka z pięściami.

— Co wy!? Co wy!? — Małgorzata już była między nimi, rozepchnęła ich ramionami siłaczki, szepcząc ze zgrozą: — To wy tak? Ładna młodzież! To wam każą przykładem świecić, a wy... To ja się tu trzęsę, żeby nikt się na weselu nie pobił... Ani mi się ważcie!

Przyskoczyła i Paulina chwytając Maniusia za ręce. Twarz jej była pełna zrozpaczonej żałości.

— To właśnie tak! To taką wychowaliśmy młodzież! To przez to ja się na śmierć zagryzam! Ty gówniarzu — spostponowała syna — mówiłam ci, wódki nie waż się brać do gęby!

Felek już zupełnie spokojny i bardzo zawstydzony przepraszał obie ciotki.

— Maniek nic takiego nie zrobił — zapewniał Paulinę. — To moja wina. Chyba też za dużo wypiłem. Ale to wszystko nie tak... Wszystko nie tak... — powtarzał znękany.

— Idź na powietrze, idź na powietrze, prześpij się gdzie w stodole. Żebyś mi do Rucińskich przyszedł trzeźwy. — Paulina popycha syna ku wyjściu, a Maniek daje się prowadzić jak dziecko.

W zgiełku i ciżbie mało kto zauważył to zajście między chłopcami. Tylko Michał chwilę jeszcze pogaduje z kamieniarzem o dzisiejszej młodzieży, tylko Grzegorz powtórzył parę razy do Łukasza: „Masz, jak tym młodym we łbach wszystko pokiełbasili, buduj te domy spółdzielniane, buduj!" Tylko Agnieszka odciągnąwszy męża złajała go: „Czego się wdajesz w takie rozmowy? Znasz to wszystkich, wiesz kto jest na weselu? I masz to jaki rozum, żeby gadać?"

Większość przyjezdnych gości bawiła się czym innym. Pytali i zgadywali, i zakładali się, kim jest nieznany starszy człowiek, co już od początku biesiady siedzi przy jednym z bocznych stołów, trochę je, tro-

chę pije, lecz do nikogo nie wyrzekł jeszcze ani słowa. Miejscowi niebawem wyjaśnili zagadkę.

— Przecież to stary Ruciński. Ojciec pana młodego.

Natenczas zrozumiano i już się nie dopytywano, czemu ten człowiek tak milczy. A matka Rucińska, jak i rodzice panny młodej, nie zasiadła do stołu. Nosiło ją światami na chromej nodze, coś jeszcze przysposabiała do tańców nocnych w jej domu. W końcu jednakże wpadła i głosem, od którego wszystko przycichło, jęła wołać:

— Proszę wszystkich do naszego mieszkania, do hulania, do tańcowania! Niech raczą starzy, niech pośpieszają młodzi, bo każdemu potańcować się godzi!

5

Muzyka u progu domu zagrała krótki wiwat ku wstawaniu i ruszaniu do tańca. W szumnych tonach harmonii, w tętencie bębna, w sypkim gradzie jego kołatki, w ogłuszających zawrzaśnięciach mosiężnego talerza zaledwie było słychać wątłe piskanie skrzypiec. Ludzie, prowadzeni przez wciąż przygrywającego harmonistę i pomagając Tolkowi nieść trójdźwiękowy bęben, wychodzili parami, w pojedynkę i po kilkoro, trzeźwiejąc od razu na świeżym chłodzie zmierzchu rozwidnionego piękną ciemnożółcistą zorzą. Lecz skrzypek-badyl pozostał jeszcze w izbie. Skrzypce, już w skrzynce zamknięte, trzymał pod pachą i oczyma, z których każde jakby samodzielnie po bokach się rozglądało, kogoś w mroku zalegającym już kąty mieszkania wypatrywał. I wypatrzył — Anielę Pawoniakową, dystyngowaną osobę, co się według jego przekonania znała na prawdziwej muzyce. Zachodził od tej strony i od tej, ale ona przewiązawszy się fartuchem pomagała siostrom i bratowym sprzątać ze stołu i zmywać, a jego jakby nie widziała. Chcąc koniecznie czymś zwrócić na siebie uwagę skrzypek raptem zaśpiewał, a głos miał nadzwyczajny, gęsty bas miodowy jak patoka:

Za stodołą pasła bydło
Rozłożyła motowidło!
Idźcie, chłopcy, po tej nici
Póki miesiąc świci-i-i-i...

To „i" ciągnęło się dźwiękiem przejmującym, jakby kto bicz rozpuścił.

Skrzypek-śpiewak osiągnął swoje. Aniela Pawoniakowa podniosła głowę znad obcieranych talerzy i zadała pytanie:

— To pan też ze wsi? W Pawłowicach śpiewalim tę piosneczkę...

— Nie, ja nie ze wsi, ja z Warszawy! — krzyknął z rozpaczą skrzypek. — Ja w Filharmonii w chórze przed wojną śpiewałem! Ja dla pani arię zaśpiewam!

Ktoś z gości, których zawsze trochę przyzostawało w chałupie Jasnotów, zawołał od stołu, gdzie jeszcze popijał i pojadał:

— Co gadasz, Bonek, żeś nie ze wsi? Ze wsi on jest, spod Błonia. To fajny chłop, ten Bonifacy Gajda! — objaśnia zapóźniony gość domowników. — Fajny z niego majster stolarski, a i w zespole muzycznym gra jak szatan. I głos ma taki, że mógłby organy w kościele udawać, bo i cienko śpiewać potrafi!

Okazało się, że nie wszystkim skrzypek był tutaj obcy, lecz on sam nie zdawał się być kontent z objaśnień dotyczących jego osoby. Zamyczał coś nieprzyjaznego w odpowiedzi, ale w tejże chwili przyleciano po niego od Rucińskich. A i Małgorzata wyganiała resztę gości, żeby szli na wesele, gdy nagle Jadwisia wpadła ze dworu ze świdrującym w uszach krzykiem:

— Ksiądz przyjechał! Mamusiu! Ksiądz proboszcz na wesele przyjechał!

— Matko Boska! Gdzie Szczepan? Wołaj tatusia! Czekaj! Wołaj, proś, niech pani Rucińska, niech matka pana młodego przyjdzie! Anielcia! Lodzia! Zróbcie czyste miejsce przy stole! Pola, krajesz kiełbasę? Dobrze! — gorączkuje się Małgorzata.

Ksiądz wszedł z Jadwisią i Szczepanem, pozdrawiając jak wypadało duchownej osobie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odparł śród izby ten i ów, a paru, co uważali to pozdrowienie za przestarzałe, rzekli: — Dobry wieczór. — Między tymi był Jan Szatkowski, rymarz, który z racji społecznych zebrań i zajęć późno przyszedłszy na wesele, jeszcze się pożywiał resztkami biesiady.

— Już myślelim, że ksiądz proboszcz nie przyjdzie — rozżaliła się Małgorzata gościnnie. — Światło zapalcie, światło! — napędzała po cichu domowników.

— Jak to? — mówił ksiądz niepewnym głosem. — Rodzice wspominali, alem ja czekał, że młodzi do mnie wstąpią po ślubie z zaprosinami. Taki był zawsze zwyczaj.

— Ja im kazałam wstąpić. Może nie śmieli? Nie wiedzieli? To jeszcze takie młode i głupie. Niech ksiądz proboszcz daruje! — Małgorzata nie

ma pojęcia, czy ksiądz poznaje ją jako gospodynię domu w jej zaszarganych szmatkach.

— Ja rozumiem — zgadza się ksiądz, niespokojny, czy to teraz wypada przychodzić do nowożeńców. Może oni tego nie chcieli? Może się bali, że im to w czym zaszkodzi? Nigdy nie wiedział teraz, czego się trzymać, żeby swe powinności duszpasterskie wypełniać, a nikogo przy tym, ani też siebie, nie narazić.

W słabym świetle dwu lampek podchodzi do księdza szczupły mężczyzna o wypukłym czole, śpiczastym nosie, wąskich ustach i mizernych policzkach. Aha, ksiądz go po chwili poznaje. To Jan Szatkowski, rymarz, jeden z nielicznych partyjnych wioski, więcej sławny z tego, że taki jest podobny do swej żony.

— Ksiądz proboszcz mnie może nie pamięta — mówi Szatkowski. — Może i nieładnie księdzu ze mną rozmawiać. Ale ja, proszę księdza, chciałbym skorzystać z okazji tego wesela. Bo ja mam wątpliwości...

Księdza momentalnie ogarnia przerażenie.

— Wątpliwości? To pan ma od tego swoich kapłanów, te... swoje władze. Do nich pan idź ze swoimi wątpliwościami — ksiądz czuje, że traci grunt pod nogami.

— Ale kiedy tu idzie, proszę księdza, o rzeczy kościelne. Żeby ksiądz proboszcz wytłumaczył, jak papież może w spółce z heretykami...

— Ja tego nie pochwalam... — wyrywa się księdzu i nagle język mu staje kołem. W samej rzeczy nie rozumie on polityki papieża, tak zawsze wrogiego ludowi polskiemu, sobie najwierniejszemu; pomiędzy duchownymi nieraz się o tym gada; lecz nie podobna mówić o papieżu z nieprzyjacielem kościoła. Ksiądz płoszy się coraz bardziej, czuje nawet coś w rodzaju zimnego potu na ciele. Prowokacja! Chcą go wyciągnąć na słówka, żeby na niego donieść. Nie, skądże, Szatkowski to dobry człowiek, proboszcz przypomina sobie z żalem, jak mu kiedyś ślub dawał, jak spowiadał go i komunikował, chrzcił jego dzieci. Ale tacy neofici to najzajadlejsi. Ksiądz probuje się ratować humorem, kładzie rękę na ramieniu swego byłego parafianina.

— Cóż pan tak z polityką na wesele wyjeżdża? — mówi jowialnie. — To jakbyś pan pieprzu, ha-ha-ha... pieprzu do tabaki dodawał.

Na szczęście w tejże chwili nadciąga swymi niczym niezmitrężonymi susami matka Rucińska, a za nią — państwo młodzi; oboje już rozdziani ze strojów obrzędowych, nadchodzą w codziennym przyodziewku. Witają księdza uściskiem ręki, dziękują za przybycie. Czesław grzecznie podaje ramię: „Ksiądz proboszcz będzie łaskaw na poczę-

stunek". To zabrzmiało tak niewłaściwie, że Małgorzata aż cmoknęła. Chwyta Zuzię, odbiera jej z rąk butelkę.

— Wódki nie pasuje — szepcze. — Podajcie księdzu wina.

Za chwilę ksiądz już siedzi przed zarzuconą na wyplamiony obrus czyściusieńką serwetką, na której poustawiano małe talerzyki z różnymi rodzajami przekąsek i słodyczy. Rucińska wyrywa butelkę wina z rąk Małgorzaty, zasiada naprzeciw księdza, napełnia kieliszki, wznosi toast za zdrowie proboszcza, drugi zaś za zdrowie młodych, ale ksiądz oba zdrowia jednym kieliszkiem pije. Skubie po trochu kiełbasę, spożywa odrobineczkę ciasta, rad, że nie musi gadać, bo Rucińska ma do niego przemowę. Ksiądz bardzo stropiony, niewiele z tej przemowy rozumie, ale usłyszał nagle, że Rucińska zakończa ją słowami: „Marsz, marsz, Dąbrowski, z ziemi włoskiej do Polski, za twoim przewodem złączym się z narodem"! Ostatecznie przestraszony, ksiądz wstaje, żegna się i przeprasza, że tak na chwilę wpadł, ale ma jeszcze to i tamto. Gdy wychodził, obstąpiła go młodzież jakaś, tańców snadź odbieżawszy dla zobaczenia księdza. Witali się, coś pokrzykiwali, zdaje się słowa miłej serdeczności. Ale czy że światła lampek się chybotały, czy że bractwo było podpite, księdzu wszystkie te młode twarze zdały się wyczyniającymi jakieś miny błazeńskie i drwiące. Przeżegnał dom krzyżem świętym, lecz z ulgą znalazł się w zupełnych już ciemnościach wieczoru, z ulgą siadł na swą bryczuszkę i ruszywszy lejcą grzbiet konia, z ulgą westchnął: „Wio, siwka"!

Ksiądz nie był głupi ani zły, tylko stropiony i jakby na zawsze już przestraszony. Syn szewca z małego miasteczka, znał chłopów, miał zresztą i dalszą rodzinę na wsi. Zdolny kiedyś i wysoko dosyć kształcony, mógł był zajść dalej niż do wiejskiej plebanii; ale lubił żyć z prostymi ludźmi, chciał też dla nich wszystkiego najlepszego. A jednak nie czuł się już teraz dobrze między swoimi parafiany. Miał on był pewnej nocy, jakieś dwa lata temu, natchnienie do kazania. I teraz wlokąc się pośród gwiezdnego mroku przypominał sobie owo kazanie. Łaska Boska oświeciła go wtedy w taki sposób, że mu jakoby kazała mówić według własnego serca, sumienia i rozumu. A zadanie postawił sobie nie byle jako trudne. Chciał wytłumaczyć ludziom, że nie powinni się odwracać wrogo do czasów teraźniejszych. Wchodził tego dnia na ambonę, jakby go skrzydła niosły; miał ofiarne i bohaterskie poczucie, że idzie pomóc narodowi, a zarazem — pomóc nowej władzy ludowej, która z sercem narodu dogadać się nie może, a której nie tyle był przeciwny, ile bolał tylko, że sprawiedliwość społeczną chce bez Boga budować. Mówił długo, a w kościele cisza była, jak makiem zasiał. Mówił, że nie

tylko przez ręce poświęcane dzieją się dobre rzeczy na świecie, a nawet nie tylko przez ręce wiernych i pobożnych; że przewrót, co się w kraju odbywa, to jakby czyściec, w którym dusze mają hartować się i wykazać, co naród polski potrafi dokonać w najtrudniejszych okolicznościach; że cokolwiek naród zbuduje, zbierze z roli, wypracuje w przemyśle, to wszystko uczyni dla Polski, bo rządy mijają, a ziemia i naród, i plony jego trudów pozostają; że grzeszą ci, co się czegoś po trzeciej wojnie światowej spodziewają, bo ta wojna, od której zachowaj nas Boże, jeszcze gorszą niewolę narodom by przyniosła, jeśli nie całkowitą światu ludzkiemu zagładę; że nie trzeba iść przeciw swoim czasom, bo każde czasy to siew pod przyszłość, a często bywa, że gdy siew jest w płakaniu, znaczy się w trudnościach i błędach przykrych, to żniwa bywają w weselu.

Po tym kazaniu wezwał go urząd bezpieczeństwa, zakazując, żeby żadnych spraw politycznych w kazaniach nie poruszał, bo choć mówi niby to za ustrojem, ale używa, tak się wyrażono, „wrogiej argumentacji". A były to jeszcze czasy, w których nie tak uprzejmymi słowy dano mu to do zrozumienia. Po powrocie z urzędu bezpieczeństwa zastał w domu dwa tajemnicze, niepodpisane listy z pogróżkami, że skoro zdradził sprawę narodu polskiego i wiąże się z komunizmem, niech wie, że i sukienka kapłańska od gniewu i kary narodu go nie ochroni. W parę dni potem kuria biskupia wezwała go, żeby się wytłumaczył, co właściwie mówił w owym niesfornym kazaniu. Paru tylko chłopów — między innymi Łukasz Boguski z Pawłowic — przyszło do niego z podziękowaniem, że im wiele w głowach rozświetlił i że pierwszy raz usłyszeli czasy dzisiejsze tak po ludzku wyjaśnionymi. To było za mało, żeby podnieść księdza na duchu, mdłego był widać ducha. Rozumiał tylko jedno — że sercem swym i rozumem ani ustrojowi nowemu pomóc nie może, ani wrogom jego nic wytłumaczyć. A przecież mówił, zdawało się, tak, jak jedynie mógł być przez swoich parafian zrozumiany. Słowa trzeba stosować do ludzi, jak ziarno — do gleby. Ci rządowi, i ci partyjni, to nawet jak dobrą rzecz mówią czy to gębą, czy pisaniem w gazetach, takim ją mówią słowem, które na glebie narodu, a już tym bardziej chłopskiej, przeważnie się nie przyjmuje, albo w niej nawet gnije; a wszak idzie o to, by dobre ziarno się przyjęło. Ale i przez księdza posiane ziarno się nie przyjęło, gleba była już widać nazbyt zatruta. Lub może nie zauważył, że się przyjęło? Zląkł się wtedy za bardzo, a co gorsza — zniechęcił. Teraz, kiedy mu niektórzy powiadają, że lepsze tchnienie nadpływa, sprzyjające temu, o czym był marzył, ksiądz już nie wierzy. „Nie głupim" — powiada sobie i we wszystkim zacho-

wuje milczenie. Lecz i to mu nie daje spokoju. Na próżno mówi sobie, że „Bóg ucieczka moja" i że byle spełniał uczciwie obowiązki kapłańskie, niczego bać się nie powinien; nawet i służba kapłańska strachu mu napędzała. Dość powiedzieć, że spowiadanie stało się dla proboszcza torturą; a nuż tam za kratką klęka ktoś, kto nie swoje grzechy chce wyznawać, ale jego za jakieś słówko chwycić i potem jeszcze je przekręcić i gdzie należy podać, jemu na zgubę? „Ksiądz — myśli proboszcz z goryczą — już przez to samo, że ksiądz, winien jest i zawsze może spodziewać się nieprzyjemności." Prawda, że pobożność jakby wzrosła, tyle ludzi garnęło się do kościoła, że i dwa razy taki jak w Staszówce by ich nie pomieścił. Ale, cóż robić! Ksiądz nie dowierza nawet i tej pobożności. Cóż po niej! Ludzie nie stali się lepsi! Bytność na weselu też nie przyniosła pociechy, chociaż mu dość świadczyli. Po co ta Rucińska z tym „Jeszcze Polska" wyjechała — i to tak prosto do niego. Wprawdzie ksiądz nie nazywa się Dąbrowski, tylko Dąbrowiak, ale jeszcze całe to jej gadanie wytłumaczą jako jakąś manifestację? Po co jeździł na to wesele? Czego się tam spodziewał? I na myśl, jak niemiłe stało się jego życie, ksiądz zapłakał człapiąc po nocy w swej bryczuszce zaprzężonej w siwą kobyłkę.

6

U Jasnotów mieszkanie opustoszało, wszyscy hulają w domu pana młodego. Małgosia, Pola i Lodzia jak niestrudzone mrówki robocze wietrzą izbę, zamiatają podłogę, zagniatają i krają makaron, szykują wszystko do nocnego przyjęcia. Po jedenastej zajrzał Szczepan. Dyszy ciężko, na żółtych policzkach ma rumieńce.

— Ale ładnie się wesele odprawia — mówi. — Ładnie się wesele odprawia, matka — powtarza, obejmuje nagle żonę i całuje ją w usta. Małgorzata ma chętkę ofuknąć męża, powstrzymuje się jednak, odsuwa go leciutko i mówi:

— Idź już, idź, za jaki kwadrans proś do stołu.

— Nikt się nie pobił, matka — rozaniela się Szczepan i nagle fałszując nutę, zaczyna śpiewać:

A jeżeli mnie troszkę kochasz, to mi to też troszkę okaż,
A okaż mi chociaż tyćko, będę myśleć, że to wszyćko...

— Idź, Szczepan — mówi surowo Leokadia. — Małgosia ci mówi, proś do stołu. Zanim się zejdą...

O północy goście zbierają się przy weselnym obiedzie. Jakoś wszyscy

się pomieścili, bo choć nikt się nie pobił, wielu chcąc nie chcąc zapadło w sen, jedni po stodołach, drudzy — miejscowi — dobrnąwszy chwiejnie do swych domów.

Obiad był jak od wieka. Na pierwsze rosół z wołowiny i drobiu z makaronem, a sławny był we wsi makaron Małgorzaty. Drób i wołowinę ludzie jedli w rosole, bo za mało tego było, żeby osobno podawać. Na drugie — smażone kotlety, schab i bigos. Potem ciasta, słodycze, a przez cały czas wódka i wino. Alkohol nawet młodym przypomniał stare wiejskie przyśpiewki w dzieciństwie słychiwane, lecz przy weselnym rozhukaniu głównie pijackie zwrotki na pamięć przychodziły. Władzio Jasnota, strażak smutniejący od picia, zawodzi ponuro:

Wódki mi dać, wódki mi dać, bo mi z kapcia wiecheć widać,
A czy widać, czy nie widać, wódki mi dać, wódki mi dać...

Ale gdy mu naleli, nie pije, tylko patrzy złym okiem na żonę, co naprzeciwko siedzi i jakiemuś zalecać się do siebie pozwala. Maniuś Szatkowski, który na rozkaz matki wyspał się, późno poszedł na tańce i teraz całkiem jest trzeźwy, chce jednak dziecinnie uchodzić za hulakę i podskakując tanecznie wyśpiewuje:

Nie będę ja mająteczku zbijał,
Tylko będę gorzałeczkę pijał!

Kilku młodych przytykając się zuchowato w szyje, podejmuje natychmiast:

Ani ja na żonę, ani ja na dzieci,
Niech mój mająteczek przez gardło przeleci!

Zuzia, w ciemnomodrej sukience, uśmiecha się jak ojciec; spojrzenie ma teraz czułe i wilgotne.

— Ale się ładnie goście bawią, ale się bawią — powtarza rozradowana.

Michał Boguski odwołał na bok Szczepana.

— Słuchaj, szwagier, trzeźwy jesteś? Ja muszę o piątej rano wyjechać. Aniela z dziećmi mogą zostać do nocnego pociągu, ale ja muszę przed wschodem wyjechać.

— Michaś... Ani mowy... Takie ładne wesele.

— Szczepan, ja nie żartuję. Tak się wykierowało, że jutro mam nocny dyżur, bo się remonty na torach tramwajowych zaczynają. Szczepan, odwieziesz mnie? Czy mam piechotą iść? To bym musiał przed czwartą...

— Jak piechotą? Kiedy już musisz... — markotnieje Szczepan.

— Nie zaśpisz? Bo ja się pójdę przespać. We łbie mi huczy...

— Co mam zaspać? My się wcale nie pokładziemy. A po drugie, ja i tak przed piątą muszę zaprzęgać, bo i moja familia na ten ranny autobus chce jechać. Tylko mamusia moja zostaje, to ją którego dnia odwiozę.

Szczepan w samej rzeczy nie zaspał, bo i nie kładł się spać. Za to Małgorzata bała się, że Michał zaśpi. Na długo tedy przed piątą wyszła po niego do Jacków. Uszła już parę stajań, gdy nagle przypomniało jej się, że znów krowy na wieczór nie wydojone. Zdrętwiała; trzeba zaraz to komuś powierzyć, bo potem się zapomni; w nią też wmusili parę kieliszków i głowę ma zaćmioną. Zawróciła tedy, a gdy zbliżała się już do swego obejścia, ujrzała, jak z ich domu wyszła jakaś, po ruchach uważając młoda chyba, kobieta i szybkim krokiem zmierzała ku domostwu Rucińskich. Po chwili wyleciał z domu mężczyzna, też chyba młodziak, bo chybki w biegu, a smukły, zręczny w sobie.

— Kryśka! — krzyczał za odchodzącą. — Kryśka! Wróć się, jasna cholera! Wróć się, dopókim dobry! Kryśka! Bo będziesz płakać!

Gdy zaś młoda kobieta szła nie oglądając się dalej, goniący przyśpieszył kroku, a na chodzie gmerał coś koło spodni odwinąwszy połę marynarki. W bledniejących już mrokach nocy Małgorzata ze zgrozą ujrzała, że ściągnął pasek, a dognawszy pędem odchodzącą kobietę, zaczął ją pasem tym okładać, gdzie popadło. Oszołomiona Małgorzata raczej słyszała niż widziała szamotanie się bójki tych dwojga. Po chwili zobaczyła, że młody człowiek puścił swoją ofiarę i oboje rozeszli się w dwie strony. Mężczyzna wracał powoli zakładając pasek, przeszedł tuż koło Małgorzaty, a wtedy zdało jej się, że to Władzio Jasnota. Przypomniała sobie, że na jego żonę wołali Krysia.

Przygnębiona i jakby obumarła, zapomniawszy o krowach, podeszła ku domowi, obeszła chatę; między stodołą a szopą jacyś kłócili się niegłośno lecz zapalczywie. Szczepan tam był; w milczeniu zakładał konia do wozu, obok stał, jak po mgnieniu rozeznała, Józef Jasnota; trzymał za odzienie na piersiach kogoś młodego, był to, zdaje się, zięć drugiej siotry Szczepana, przybyły aż z Łukowa. Młody ów mówił ze złością:

— Co to jest do jasnej cholery! To nieładnie! Ja pójdę, chłopaków zwołam, r-raban im taki zrobimy, mordy tak im zbijemy, że jedno drugiego nie pozna!

— Co się stało, na rany Boskie?! — krzyknęła trwożnie Małgorzata.

— A ja ci mówię, Boleś, uspokój się! — mitygował rozgniewanego Józef Jasnota. — Idź do studni, wylej sobie na łeb wiadro wody.

— No, proszę pani — objaśniał, słaniając się, nieznany dotąd Małgo-

rzacie Boleś. — Co to za draństwo! Matka pana młodego wleciała, jedną butelkę wódki przyniosła i „macie" — powiada — „do śniadania". Co to za takie traktowanie? Tam jeszcze z osiem litrów mają, dla swoich gości je schowali, a dla gości panny młodej to co ma być? Ochłapy jak dla psów?

— A ja ci mówię, milcz! — przekładał ze smutkiem Józef Jasnota. — Ja ci pokażę, co to jest chuliganić na przyzwoitym weselu.

— To ja chuliganię?! To ja!? Wujku!? To ja schowałem wódkę?! — wrzeszczał piskliwie nie licho wódką już napełniony Boleś.

— Cicho, ci-icho — błagała zrozpaczona Małgorzata. — O marną wódkę tyle hałasu. Rucińscy nieładnie zrobili, ale już Czesiek tam poszedł. Zaraz tę wódkę przyniosą, a lepiej, żeby się bez niej obeszło. Szczepan — zwróciła się do męża — niech ktoś wydoi krowy. Pamiętaj, z wieczora nie dojone. Ja idę po Michała.

— Idź, idź — rzekł z cicha Szczepan. — Ja już wszystkiego dopilnuję.

— Boleś, żadnych awantur — mówił tymczasem Józef Jasnota. — A gdzie Władzio? Władzio ma ze mną odjechać. I Krysia. Gdzie oni się podzieli? Sprzykrzyło mi się wszystko — wzdycha Józef Jasnota.

— Władzio? — z nagłym gniewem oznajmia Małgorzata. — Dopiero co go widziałam. Walił paskiem swoją małżonkę.

— To nieprawda — zaprzeczył bez wahania Józef Jasnota. — W Polsce nikogo bić nie wolno.

Małgorzata popatrzyła na niego, otworzyła usta jakby gwałtownie pragnąc coś wypowiedzieć, lecz równie prędko zamknęła je, zacisnęła. W dalszym ciągu zmowa milczenia trwała nad słowem prawdy.

— A kto to robił, to został ukarany — rzekł jeszcze posępnie Józef Jasnota. — Władzio bił Krysię? — krzyknął nagle. — To nieprawda!

— Może mi się po ciemku zdawało — szepcze wylękniona Małgorzata. — Pewno to był kto inny...

Rozjuszony Boleś zrobił parę kroków ku ławce pod ścianą chaty, wymacał ją, siadł i natychmiast zasnął.

Małgorzata pośpieszyła ku Jackom. Na sto kroków od ich domu spotkała brata, idącego już w gotowości do drogi.

— Dzień dobry Michał. Przespałeś się choć trochę?

— Małgosia? Toś bała się, że zaśpię? Pamiętna jesteś, kochana. Prawdę mówiąc, tom pospał może z godzinę. Tu ciągle to podjeżdżali wozem, to przychodzili z wesela. Niby to spocząć albo przeodziać się, bo tu panny różne u Marysi rzeczy pozostawiały. Ale naprawdę, to przychodzili pić. Jacek ma w domu zapas piwa i wódki, więc sobie dogadzali.

Ja jestem człowiek wesoły i lubię wypić, ale coś mi się zdaje, że przebierają miarę.

— I tak jeszcze — rzekła Małgorzata z westchnieniem — wesele dobrze się odprawia. Nikt się nie spił tak, żeby wymiotowali albo na ziemi leżeli. Nikt nikogo — dodała z wahaniem — nie pobił.

— Toś kontenta z wesela?

— Kontentam. Ale mnie żal, Michaś, że już odjeżdżasz. Obcy się teraz rozjadą, zostalibyśmy sami swoi. A nawet się z tobą nie ugadałam. Pamiętasz, jak my się dawniej kiedy zeszli, wszyscy bracia i siostry, co to my się ze sobą naśmieli, narozmawiali, napajacowali! A jeszcze jak mama żyła... Wesoło było... Tędy, Michaś, pójdziemy koło parku, ja lubię przez park chodzić. Czasem to myślę, że jakbym kiedy miała czas, to bym tu sobie tak sama pochodziła.

Gęstwina parku nie jarzyła się jeszcze kolorami, lecz białolistna topola jaśniała już w przedświcie swą śmietanową barwą.

— Ja to sobie nieraz myślę — podjęła z cicha Małgorzata — gdzie to się te dochody z tych pańskich majątków podziały. Przecież dziedzice mieli mieć takie pieniądze z tych majątków. I pewno mieli, bo jak wszystko pięknie utrzymywali, w jakich to zbytkach żyli. A teraz rząd podobno do tych majątków dokłada. I ludzie nie mają na nich dobrze...

— Nie przyzwyczaili się jeszcze tym zarządzać jak swoim — rzekł Michał, a po mgnieniu dodał. — Robić na tym jak na swoim.

— Toć i dawniej ci, co tu robili, też nie robili jak na swoim; i panów nie lubili, chyba rzadko którego, a te majątki lepiej stały. Ja to bym chciała, żeby wszystko szło teraz dobrze, martwię się, jak źle idzie.

— A tobie, kochana, lekko szło, jak zmieniłaś stan z panieńskiego na małżeński? Jak nowe życie zaczynałaś? Też mordowaliście się i narzekali na los, a przecie dopracowałaś się czegoś lepszego. I patrz, jakie wesele wyprawiłaś!

— Michał, ty już nie taki jak byłeś? — mówi Małgorzata ni to żałośnie, ni to ciekawie. — Zanimeś wyjechał do Wrocławia, to mówiłeś jak drudzy i nie lubiłeś tego wszystkiego, co nastało. Ale ja wiem — łagodzi — ty zawsze miałeś taki charakter, że w każdej rzeczy szukałeś czegoś dobrego.

Usłyszeli poskrzypywanie i szelest liści ku nim nadciągający. Z obrębu podwórza, które mijali, wyszła kobieta z wiadrami na skrzypiących nosidłach.

— Dzień dobry — rzekła grzecznie i nie dziwiąc się tak rannym przechodniom.

— Dzień dobry — odpowiedzieli razem, a Małgorzata zatrzymała się i odwróciła głowę za mijającą ich kobietą. — Andzia — spytała — świnie przestały wam chorować?

— Jakoś przestały — odrzekła tamta. — Weterynarz przyjeżdżał i lekarstwa jakieś zagraniczne zastrzykiwalim.

— Ja z jej mamą — objaśniała po chwili Małgorzata — dawnymi czasy robiłam w dworskim ogrodzie. Sobczaczka, pamiętasz ją?

— Pamiętam. A wyście tych ze spółdzielni na wesele nie zapraszali? Nikogo?

— Nikogo — brzmi krótka i węzłowata odpowiedź.

— A ten Stępień od tych stawów rybnych nie przyszedł?

— A nie przyszedł. Ja od razu mówiłam, że nie przyjdzie. I spółdzielniacy by nie przyszli. Bo to takie jest...

— Inny świat — podpowiada Michał Boguski.

— Inny świat — zgadza się niepewnie Małgorzata.

— A czy świat był kiedy jednaki? Każdego dnia jest inny — rzecze Michał. — Że coś jest inne, to nie musi jeszcze być złe.

— To nie o to — poskarży się Małgorzata. — Tylko, że czas jest jakiś niedobry. Wszyscy tacy się zrobili zdenerwowani, bojący. I żeby to złe ludzie tak się bały, ale nie, złe ludzie niczego się nie boją. Przecie tak zabijają, mordują, oszukują, kradną, jak jeszcze chyba nigdy nie bywało. Nawet i w gazetach o tym się czyta. A dobrzy ludzie to chodzą teraz tacy nieszczęśliwi albo się boją. Ludzie ludzi się teraz boją, a miało być nie tak... I tych spółdzielni to się też tak boją, jakby to była jaka choroba. Czemu to tak jest, żeby mi kto wytłumaczył?

Michał Boguski westchnął i rzekł z namysłem.

— Spółdzielnie... Podług mojego rozumu życie to jest na przykład jakby droga. Coś uszła, to już twoje, to już tego nie stracisz. O to już nie masz się co bać. Ale co przed tobą, to możesz stracić, o to się musisz bać. Pobłąkasz się, nie dojdziesz, przegapisz. A gdzie tą drogą życia idziesz? W przyszłość idziesz. To trzeba na tę drogę do przyszłych czasów uważać, żeby przyszłości nie stracić, nie przegapić... Chodźmy prędzej, kochana, ja nie mogę się spóźnić.

— Już blisko. Znów będzie ładny dzień — uśmiechnęła się Małgorzata.

Noc uchodziła ze świata. Na bladym, czystym niebie tuż nad chałupą Jasnotów świeciła gwiazda zaranna.

Listopad — grudzień 1954. **Maria Dąbrowska**

OPOWIEŚĆ O STRYJU

1

Chutor wśród brzóz, na skraju lasu.
Cebrzyki zawsze mokły w stawie.
Ty w swojej izbie niepodobnej
do izb sąsiadów. Pełno figur,
rzeźbionych w drzewie, a na ścianach
olejne wiszą malowidła...
W niej farbą pachnie i pokostem.
Na stole pędzle, dłuta ostre.

2

Śmiano się z ciebie: „Ot, gospodarz!
Takiemu oset i lebioda...
Udaje tylko, czy też głupi?
Oj, chyba głupi! Jawny dowód:
z kiermaszu wrócił, lecz nie kupił
uzdy i brony, ale znowu
dwie jakieś książki, płótno, ramę"...
Więc nieraz słychać było lament,
starzy gorszyli się i młodzi,
sam nie wiedziałem, o co chodzi!

3

Iluż tak żyło samouków,
o których nie chciał nikt zapytać.
Szyderstwo biegło strzałą z łuku,
prześmiewka rżała jawna, skryta.

4

Niewiedzą własną skrępowany,
oleodruków chciwy łowca —
wsłuchany w swoje cztery ściany,
chciałeś być tylko naśladowcą.

Rzucałeś czasem jednak dłuto
do stóp świętego bez wyrazu
i, ponaglany jakąś nutą,
do rozstajnego biegłeś głazu.

Dziewczyny biegłeś podpatrywać,
gdy — nagie — stały nad jeziorem
i wtedy sztuka była żywa,
mówiła linią i kolorem...

I wtedy w „bloku rysunkowym",
chowanym skrzętnie do szuflady,
żyły kobiety, chłopskie głowy,
przy sianokosach dworskich zwady!

Lecz uważałeś to za zdradę
talentu swego, powołania...
Gdzież mogłeś dobrą znaleźć radę?
Wracałeś znów do kopiowania!

5

Przejrzysta ciemność czerwcowa.
Jeszcze jedno echo.
Macierzanka pachnie w rowach,
turkanie rechot.

Księżycek, złota strużyna,
nad sadem, nad żytem.
Znowu niejedna dziewczyna
nie wróci przed świtem.

6

Toż policjanta trzeba było,
ślad tropiącego, szept u płotu,
rysować pilnie lub otyłą
wójtowską mość, tak wierną złotu!

Albo z Kupały nosić w oczach
ognisko, rwetes i noc w lesie...
Czy też parowów strome zbocza,
gdzie drgał paletą całą wrzesień.

Toż wieczorynkę należało
na papier przenieść, „lawonichę"...
Tę, co tańczyła, jakże śmiało —
(przy mężu skromną!) kowalichę...

Przecież sam udział brałeś w pląsach!
Choć potem szedłeś do kościoła,
to twoja twarz o rudych wąsach
nie miała nic z rysów anioła.

7

Jesień w ubogiej stronie,
mętnieją okna chat.
Szurpate pędzi konie
do wodopoju wiatr.

Od rojstów znów żurawi
odlatujących krzyk.
Rudawa śniedź na trawie,
pełznące nad nią mgły.

Październikowe chłody,
błotnistych smutek dróg.
Dzień o barwie lebiody
ledwo się z nieba zwlókł.

Samotny się kołysze,
po osie grzęznąc, wóz.
Brzozy w ostatniej pysze,
czerwone pręty łóz.

Jesień w ubogiej stronie,
nasturcji płomyk sczezł.
Wieczór przy samogonie
gra i śpiewa do łez!

8

Zostało gorzkie niespełnienie,
rysunków kilka samouka...
Ja, by wytoczyć oskarżenie,
w pamięci czasu twego szukam!

9

Gdy piszę, śnieg za oknem. Dom pośrodku miasta,
lecz ulica na chwilę jałowcem porasta
i słyszę dzwonek tego, co cię wiezie, konia...
O, stryju sprzed lat wielu!... Tramwaj tylko dzwoni!

Łódź, grudzień 1954 r. **Jan Huszcza**

BOGUSŁAW KOGUT

SONATA MELANCHOLICA

Pamięci
Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego

I

Księżyc, księżyc — pijana lampa —
wisi na szybie czy na drzewie?
Czy to szumi pod szkłami szampan,
czy to skrzypki góralskie — nie wiem.

Gęśliki-płaczki, grajcie głośniej,
zielone basy, huczcie śmielej.
Tańcuje na drodze i na moście
chłopskie wesele — nie wesele...

Księżyc, księżyc — srebrny kociołek,
pusty kociołek — dzwoni, dzwoni.
Umarło na moście dzieciątko gołe,
zielone świerczki płaczą po nim.

Dzieciątko gołe może usnęło,
kto je ogrzeje, kto okryje.
Gęśliki-płaczki cichutko pieją
chłopskie rekwije — nie rekwije.

Trzydzieści lat już ze sobą noszę
świerkowy płacz, żałobny koncert.
Płyną, płyną muzyczne noce —
i nie wiem, kiedy pieśń dokończę.

Bo wszystkie nuty płaczą naraz.
Ciemno się robi. Gasną lampy.
Jeszczem melodii swej nie znalazł.
Pomóż, pomóż śpiewny Konstanty!

II

Daleka droga, daleka,
tak pusto na niej, tak ciemno.
Dokąd to idziesz? Zaczekaj.
Zostań tu z nami. I ze mną.

Słyszysz? Muzyka się rodzi.
Słyszysz? Serce uderza.
A ty, Konstanty, odchodzisz...
Pieśni i serca Ci nie żal?

Słyszysz ten ton oszalały?
To łza upadła na klawisz
i skrzypce Twoje załkały.
A Ty te skrzypce zostawisz?

III

Umieją długo stać u trumien,
frazesem żal maleńki koić,
umieją łgać. A ja nie umiem,
mnie Twoja śmierć zbyt ciężko boli.

IV

Pod powieką zamarznięta łza —
krzyk zamknięty w lodowej uwięzi.
Brwi rozpięte — orle skrzydła dwa.
I nic nie ma. I nic już nie będzie.

Tak Cię widzę. Wokół śnieżna mgła.
Wokół cisza. Tylko skrzyp gałęzi.
Coraz głębiej. Coraz bliżej dna.
Coraz smutniej. I coraz to ciężej.

Mgły spadają. W czarnym niebie tkwi
księżyc blady jak twarz zakonnika.
Słyszę jeszcze przez zamknięte drzwi

jak zawodzi sierota-muzyka.
Coraz ciszej. Coraz smutniej mi.
O, — — sonata, o, — — melancholica...

V

Mojej córce zachciało się gwiazdki,
żeby gwiazdka była stokrotką.
Przyszedł nocą do córki Wieniawski,
podał gwiazdkę na smyczku przez okno.

Mojej córce zachciało się księżyca,
żeby księżyc był balonikiem.
Miałeś przyjść. A tu taka śnieżyca.
Ślad zasypie. I świat zasypie.

Miałeś przyjść. A tu taka kurzawa
nad Poznaniem i nad Warszawą.

Próżno czekać. Słyszysz, córeczko?
Wiatr na drodze oszalał i — w ryk!

Gdzieś pod śniegiem z nutami teczka
i z wierszami zielona książeczka,
gdzieś pod śniegiem złamany smyk.

Cztery struny umierające,
cztery tony zaklęte w rym.
A to miał być skrzypcowy koncert,
nasz koncert, Konstanty! Co z nim?

VI

Pozostały wiersze i nuty,
pozostało szczęśliwe piękno.

O, Konstanty! Milczący i smutny!

O, piosenko, zielona piosenko...

Bogusław Kogut

DO TUWIMA WIERSZ ELEGIJNY

Łamią się pieśni,
łamią słowa.
Zagrał, zagrał świerszcz
i smyczek schował.

A lato już się chyli,
łąkami ciągnie zmierzch.
Mają obłoki swoją rzecz:
Wędrować po świecie tylim.

Dzwoni, dzwoni jak miedź.
To wiatr tak dzwoni.
I mnie już siwizna u skroni —
i jedź tu, jedź.

Koło kołom opowie,
jedzie, stuka —
i czarne skrzydło kruka
nad lasem — i łza u powiek.

W LIPNICY U MADZIARA

U Madziara w Lipnicy, takie włości:
woda bystra z góry, z rynienki spada —
a koło młyńskie huczy, pieni się, złości
we młynie w Lipnicy u Madziara.

Huczy koło, miele, sypie mąkę, sypie —
lipnicki jęczmień obrabia na kaszę,
skwierczy dach, pogwizduje, podłoga skrzypi,
koło kołem obraca, rzemieniem klaszcze.

Zubrzyckich chłopów zjechało wiele,
od Babiej Góry zjechali, od Wielkiej Lipnicy —
i Madziar miele, nie liczy —
Madziar miele.

Bo i cóż? Zięć nie pomoże, psia para,
i rządzi, i źli się, nie chce słyszeć
o pomysłach, które w młyńskiej izbie rodzą się u Madziara,
i znowu Madziar do „Gromady" pisze:

O tym, jak górską wodą fabryki obracać,
o jeziorach wśród dolin, w których łyska łuska pstrąga,
o traktorach wśród pól, z których lżejsza ludzka praca,
o bacówkach wśród hal, dzwoniących owiec górskich łąkach.

Bo to dziwnie jeszcze w orawskiej ustroni:
gdy wiatr niską płanetą od Babiej Góry
lunie deszczem skośnym z nisko wlokącej się chmury,
Józefinka w Lipnicy burzę odpędza — i dzwoni.

LIST

Ze zbocza gór jak ze siodła
schylam się — i wiatry mnie niosą.
Borowiny czarne lśnią ranną rosą,
obłok nad turnią, ta góra mnie uwiodła.

Ty ręce masz zielone, góro, lesie,
Ty ranny wiew siejesz u potoka siny.
Czerwone nad wodą jarzębiny
jesienna pora już nam niesie.

Dziewczyno, łódzka włókniarko,
góry, lato leśne ze sobą zabierz.
Igliwie prószy, jaszczurka śliska pełza w trawie,
drży osiczyny liść — leśny zachwyt wychylany czarką.

Dziewczyno, gdy zerwaną łączyć będziesz nić u krosien,
ten wiersz pomoże ci, przypomni wczasy —
a wczasy to radość nasza, słońce i lasy,
powietrze z gór, potoków szum, woń ziół i trawy rośne.

Józef Andrzej Frasik

JANINA BRZOSTOWSKA

CUDZY OGRÓD

To był cudzy ogród, do którego wejść nie było wolno...
Ulica Zielona dziesięć
i ten ogród, pierwszy na prawo...
Przedmiot dziecięcych tęsknot
z lat najwcześniejszych, szkolnych:
Jakby dopiero wczoraj, jakby niedawno...

Kawał życia przewędrowałam,
a tamten ogród pamiętam...
Co rano, wracając ze szkoły, na jedną krótką chwilę
przystawałam pod sztachetami
i patrzyłam z zachwytem, chciwie
w zieleń tchnącą wilgotną świeżością —
choć na ulicy był skwar.

W dużym domu w ogrodzie mieszkał nieduży chłopiec:
miał lat nie więcej ode mnie: osiem a może dziewięć?
Skoro mnie tylko zobaczył,
podbiegał ku sztachetom
i mówił:
To nie twój ogród!
Tobie tu wejść nie wolno!

Potem chyba już nigdy
żaden ogród na świecie
nie nęcił mnie tak, nie wabił —
choć zawsze kocham ogrody.

JEŚLI MASZ

Jeśli masz czyjeś serce
masz dom
na każdym miejscu
na którym staniesz.

Jest w nim o tobie myśl
gorąca
i nieustanna pamięć.

I nawet w obcym kraju
one twój sen osłaniają
tworzą nad nim baldachim czułości.

Janina Brzostowska

CHLEB

Tak już jest od dawna;
Słońce złoci ziemię,
Ludzka wsiąka w nią krew,
A ziemia jest czarna,
A z niej wschodzi zieleń,
I bez smaku krwi — chleb.

W ziemi sam urośnie
Z grudy twardej kamień.
I sam wschodzi z niej mech.
Ale w żadnej z wiosek,
W ziemi niezoranej
Nie rozmnoży się chleb.

Tak już jest od dawna;
Mija to, co było,
Światła giną we mgle.
Lecz zostaje w ziarnach
Najważniejsza miłość —
Ziemi i ludzi chleb.

Człowiek stawia domy.
W domach czyta wiersze,
Uczy się imion drzew.
Lecz wśród dźwięków mowy
Zawsze jest najpierwsze
To stare słowo — chleb.

Jerzy Feliksiak

FRANCISZEK FENIKOWSKI

KAMIENNY UŚMIECH

Wszystko zaczęło się od telefonu. Kiedy aparat zadzwonił i podniosłem słuchawkę, odezwał się znajomy głos. Młody archeolog z gdańskiego Ośrodka Badań nad Początkami Państwa Polskiego, rezydujący w odbudowanej kamieniczce nieopodal nadmotławskiej baszty „Łabędź", mówił nieco zdyszanym głosem:

— Znaleziono urnę. Jakiś Kaszuba wyorał ją na swoim polu i napisał o tym do nas, do Gdańska.

— Skąd nadszedł ten list? — zapytałem.

— Z Łyskowic.

— Gdzie to jest?

— Powiat wejherowski, gmina Brochowo.

— Brochowo? — powtórzyłem. — To się dobrze składa. Właśnie wybieram się w tamte strony na reportaż. Tak, do Brochowa. Podobno urządzono tam w jakimś junkierskim pałacu bardzo interesujące wiejskie ognisko plastyczne. Pierwsze w naszym województwie.

Archeolog ucieszył się i poprosił mnie o drobną przysługę.

— Oczywiście — zgodziłem się od razu. — Zajrzę do Łyskowic i przywiozę urnę. Proszę tylko o nazwisko znalazcy.

Musiałem na nie chwilę poczekać. Mój znajomy na drugim końcu telefonicznego przewodu szukał widocznie łyskowickiego listu, bo usłyszałem najpierw trzask otwieranej szuflady i przerzucanych pospiesznie papierów, a dopiero potem zabrzmiała w słuchawce odpowiedź:

— Nazywa się Bieszk. Mikołaj Bieszk.

Nazajutrz byłem już w drodze. Zaraz za Wejherowem samochód zagłębił się w Darżlubską Puszczę. Z obu stron mokrej szosy, tuż za rowami porosłymi wysoką zżółkłą trawą, powiędłymi rumiankami i szałwią, wyrosły ściany milczącego lasu.

Po dawnej puszczy pozostała właściwie tylko nazwa. Sosny, świerki i buki, wyciągające gałęzie nad drogę, nie przypominały puszczańskich olbrzymów, w których cieniu polowali ongi na żubry i tury pomorscy książęta, a potem ścigał jelenie dziedzic niedalekiego Rzucewa — Sobieski. Spomiędzy rudych i sinych pni, z głębi boru niosła się mocna woń wilgotnej ziemi, butwiejących liści, igliwia i grzybów: nieuchwytny zapach jesieni. Szare niebo wisiało nisko i groziło ulewą. Lada chwila mógł lunąć deszcz.

Chłopi, których mijaliśmy, spoglądali w górę, naciskali czapki na

uszy i popędzali konie, ciągnące z wysiłkiem długie pnie o ciemnej, chropawej korze. Błoto tryskało spod kół. U końca ściętych sosen, wiezionych do wejherowskiego tartaku, powiewały ostrzegawczo czerwone strzępki. Na przydrożnej porębie snuł się tuż przy ziemi dym. Stary robotnk leśny, wypalający chrust i korzenie, brodził po kolana w błękitnych kłębach. Szosa wiła się zakolami przez jesienny krajobraz, tchnący przygnębiającym smutkiem.

— Piaśnica — objaśnił nagle szofer wskazując ruchem głowy krzyż, który niespodziewanie zaczerniał u wylotu bocznej drogi, prowadzącej w las. — Tu esesowcy wytłukli kilkanaście tysięcy naszych. Jest tu niedaleko taka polana. Wielka, prostokątna. Tam zwozili ich po nocach ciężarówkami. Kazali kopać rowy. Potem strzelali. Partia za partią, aż rów był pełny. Trzydzieści parę takich grobów wypełnili, zasypali. Ale w czterdziestym trzecim, po Stalingradzie, wziął ich strach. Przywieźli więźniów ze Sztuthofu, żeby wykopywali trupy i palili. Potem i ich rozwalili. Tylko trzy groby ocalały. Krzyże teraz tam stoją. Jeden przy drugim. We trzy, cztery rzędy...

W lusterku nad kierownicą widziałem tylko pochylone czoło opowiadającego i głęboką, prostopadłą bruzdę dzielącą jego jasne brwi. Znałem go dość dobrze, bo nieraz już jeździliśmy razem „w teren". Wiedziałem, że nie jest szczególnie rozmowny. Jeśli powiedział w ciągu dnia piętnaście słów, to było już wiele. Zastanawiałem się więc, czemu przypisać jego dzisiejszą wielomówność. I on widocznie uznał, że powinien ją usprawiedliwić, bo powiedział po chwili:

— I mój ojciec tu leży.

W milczeniu jechaliśmy dalej. Z czarnych gałęzi kapała wilgoć. Za zakrętem po prawej stronie drogi las cofnął się nagle. Zabłysła woda. Nad podłużną, stalowo-szarą taflą bielały zwiewne mgiełki. Posępne świerki odbijały się w jej lustrze, ostre, strzeliste jak wieże gotyckiej katedry.

„Jezioro Dobre" — przeczytałem nazwę na samochodowej mapie.

Łyskowice leżały niedaleko, na rozstaju dróg, pod wyniosłą górą, uwieńczoną krzakami dzikiego bzu i sosną czerniejącą w jesiennym wichrze jak wielki zrywający się do lotu ptak.

— Gdzie tu mieszka Mikołaj Bieszk? — zapytałem jakiegoś napotkanego przechodnia.

— O, to jesz je spory kawał drogi — odpowiedział.

— Jak to? — Zdziwiłem się. — Przecież mówiono mi, że mieszka w Łyskowicach.

— W Łyskowicach, ale na pustkach. Już niedaleko Tarnowca. Po-

jedziecie tą drogą — wskazał polną, błotnistą drożynę. — Najpierw będzie „Stojc" — taki wielki kamień, potem chojny, a zaraz za nimi Pustkowie. Tam mieszka Bieszk.

— Niepotrzebnie pan pytał — mruknął szofer, kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę. — Znam tu każdy kamień.

— Skąd? — zainteresowałem się.

— Urodziłem się w Tarnowcu — wyjaśnił i rozmowa się urwała.

Samochód podskakiwał na wybojach złej drogi. Było wszystko tak, jak określił nasz informator. Minęliśmy ogromny głaz, potem kilka czarnych świerków na żółtym piaszczystym pagórku, aż nareszcie na samej niemal granicy Bielawskich Błot, rozciągających się daleko ku nadbałtyckim wydmom, wyrósł kwadrat zabudowań Pustkowia.

Ceglany dom garbił się pod strzechą porosłą zielonymi liszajami mchów. Na stodole widniało puste bocianie gniazdo. W niewielkim ogródku, oddzielającym chatę od drogi, chwiało się kilka wątłych drzew. Górowała nad nimi potężna grusza, której nagie konary ciemniały nad domem jak wielkie wyciągnięte ku niebu ramiona.

Mój towarzysz zatrąbił. Na dźwięk klaksonu pojawiła się w drzwiach młoda, gładko uczesana kobieta w pasiastym fartuchu.

— Czy zastaliśmy pana Bieszka?

— Stark je w domu — odpowiedziała cofając się zapraszająco w głąb sieni.

Kiedy minąłem próg, zobaczyłem plecy starego człowieka rozrąbującego polano na szczapy. Żółte wióry pryskały spod siekierki na ceglaną, czysto wyszorowaną posadzkę.

— Goście do was — powiedziała głośno kobieta.

Stary widocznie nie dosłyszał, bo trzeba było trzy razy powtarzać, zanim podniósł głowę. Zobaczyłem wyblakłe niebieskie oczy, pod którymi obwisła skóra tworzyła dwie pomarszczone torby, siwy wąs pod ostrym, wydatnym nosem, srebrną szczecinę na źle ogolonej brodzie i grdyce. Twarz starego, zmęczonego człowieka, na której długie życie wypisało swe dzieje skomplikowanym alfabetem zmarszczek i bruzd.

— Do mnie? — zdziwił się. — Aż z Gduńska pón przyjechał? Z gazety? Pewnie za tą urną? — domyślił się i oczy zabłysły mu w uśmiechu. — Widzisz, Klara, jaki jem sławny. Prawie jak nasz Ceynowa. No, chodźmy...

Podniósł się z klęczek. Zrzucił z nóg drewniaki i w grubych, wełnianych skarpetkach wszedł do kuchni, pociągając lewą nogą.

— Reuma — wyjaśnił widząc, że spostrzegłem jego kusztykanie. — Tu kole Bielawskich Błot wszystkim tak na starość wchodzi w kości.

Żeby nie te kąpiele, co mi je Klara z pokrzyw robi, byłoby ze mną czysto źle.

Mój przyjazd ucieszył go. Nie spodziewał się widać tak szybkiej odpowiedzi na list. Uprzejmie podał mi krzesło i siedliśmy przy stole o powierzchni białej od szorowania.

— Z tymi urnami — zaczął — to było tak. Tam, gdzie idzie droga do Parszyc, na lewo od pierwszych budynków, z dawien dawna leżały na roli czarne kamienie. Wyglądały jak wypalone. „To piekielne kamienie — gadała jeszcze moja nenka. — Nie trzeba ich ruszać, bo pod nimi są groby". Nikt też ich nie ruszał. Leżały sobie spokojnie, aż, będzie jakieś czterdzieści parę lat temu, graf z Brochowa zaczął robić w swoim majątku melioracje. Kazali wtenczas na tamtym miejscu obrzucać kopce. Poszedłem do roboty z Józefem Dębkiem z Tarnowca. Nie żyje już. Utonął na jeziorze. Dawno temu. Szkoda go. Dobry był knop i robotny. Robiliśmy razem do południa. Potem szachmajster powiedział, że robi przerwę. Knopy skorzystały z tego i poszły na kornus do łyskowickiej karczmy. Wrócili czysto pijani, a zaraz przy pierwszej łopacie trafili na urnę. „Co to za diachel?" — krzyknął jeden i kopnął gliniany grónk i zaczęła się zabawa. Rzucali urnami jeden na drugiego, aż szachmajster zobaczył, co się robi, i kazał im iść do domu. Ale na polu zostały tylko same skorupy i nikt tu u nas już o urnach nie słyszał, aż do tego roku.

— A co się stało w tym roku? — zapytałem.

Stary wyjął ciemny rożek, wytrząsnął z niego w zagłębienie ręki szczyptę tabaki, wciągnął ją w nozdrza i kichnął, aż się echo rozległo w kuchence. Potem dopiero podjął rozmowę:

— Muszę naprzód panu powiedzieć, że nie jem z Łyskowic. Urodziłem się w Sławoszynie. Tam, gdzie Ceynowa. O, to był piankny knop i sławny dochtór. Nie ma już takich lekarzy. Teraz kurują mnie na reumatyzm już z dziesięć lat, a wykurować nie mogą.

Na wielkim piecu w rogu izby huczał ogień, trzaskały w płomieniach żywiczne szczapy, bulgotała woda w wielkim garnku. Młoda kobieta zajrzała pod pokrywkę, skąd buchnął biały obłok pary, a potem oparła się o drzwi i ze ściągniętymi brwiami przysłuchiwała się opowieści dziadka.

— Miał stark powiadać, co było tego roku — przerwała nagle. — Co tam pana obchodzą te stare dzieje. Niech stark lepiej powie, jak Grzegorz znalazł tę urnę.

Mikołaj stropił się nieco, stracił wątek i musiał znów sięgać do rożka, by zapełnić lukę, która niespodziewanie powstała w opowiadaniu.

— Dobra tabaka dla starego — mruknął. — Rozjaśnia w głowie. Zara wszystko lepiej widzę i pamiętam. Powiadasz, żeby mówić o urnie — zwrócił się do wnuczki. — Toć mówię. Żebym ze Sławoszyna nie przyciągnął do Łyskowic i nie kupił przy parcelacji pięć mórg tego gruntu pod Pańską Górą, to by pan tu dziś do mnie nie przyjechał. Orałem tam wiele razy i nic. A tego roku Grzegorz, mąż Klary, zahaczył o coś pługiem na środku pola. Patrzy, a tu jakiś płaski kamień. Dźwigo i widzi, że pod nim skrzynka ustawiona z czterech takich samych kamieni, a w środku grónk duży, gliniany, z uchami. Przyniósł to wszystko do domu i postawił noprzód w stodole, le że tam stało w drodze, więc Klara zaniosła na strych. Dzieciaki chodziły tam patrzeć i uciekały z krzykiem, że to niby widziały kogoś stojącego nad tą urną, że straszy. Grzegorz wykopał już dół kole tych czarnych chojen i chciał tam ten grónk schować. „Co ty chcesz zrobić, głupi knopie!" — krzyknąłem na niego. — „Czy ty nie wiesz, że to je staro-słowiańsko urna, że ona powiada, jak łgali hitlerowcy, kiedy przechrzcili Gdynię na Gotenhafen i pisali, że to jest germańska ziemia, że wszystkich Polochów precz stąd wygonią?" Nie pozwoliłem zakopać urny. Siadłem i napisałem list do Gduńska.

Kiedy mówił o hitlerowcach, między brwiami jego pojawiła się bruzda podobna do tej, którą dostrzegłem poprzednio na czole szofera.

— Nie lubicie hitlerowców — zauważyłem.

Poruszył się niespokojnie na krześle.

— Już ja ich lubię. Jak wściekły pies wodę. Mam za co lubić. Syna, córkę, wnuki, całe dwie rodziny, co tu u mnie mieszkały, wszystkich mi wystrzelali. Jeno Klara i ja zostaliśmy, bo nie było nas w domu. Klara pracowała wtedy u jednego bauera na Żuławach, a ja leżałem na moją reumę w lazarecie we Wejherowie.

Klara znów wtrąciła się do rozmowy:

— Co tam stark będzie panu głowę zawracał. I tak co się stało, to się już nie odstanie.

Ale nie udało się zamknąć dziadkowi ust. Mówił dalej, rozpalając się coraz bardziej wspominaniem. Krwiste żyłki na policzkach zaczerwieniły się. Ręce, leżące dotąd spokojnie na stole, nabrały życia, skurczami pomarszczonych palców pomagały słowom, czyniły je bardziej wyrazistymi, plastycznymi.

— Chce pan wiedzieć, jak to było? — ciągnął. — Ano zdarzyło się tak, że jakoś tak pod jesień czterdziestego trzeciego roku przyszedł do nas jednego wieczoru Bernard Dębek z Tarnowca. Syn tego Józefa.

co to ze mną robił wtedy przy melioracji u brochowskiego grafa. Le nie przyszedł sam. Przyprowadził ze sobą jednego dreha. Powiedział, że szandary go ścigają, i prosił, żeby go schować. Bo tu u nas jest taki kąt, gdzie diachel mówi dobranoc. Ceynowa, jak mu się nie udało zdobyć Starogardu, to też tu się ukrywał. Mówiła mi nenka, że z jednym jeszcze swoim kamratem nieraz siedział po szyję w wodzie między trzciną i czekał, aż szandary odjadą do Pucka.

— Ale koniec końców złapali go przecież — wtrąciłem.

— Jo. Wywąchali, gdzie się kryje, schwycili go i chcieli ściąć toporem. Był wielki sąd w Berlinie. Teraz to zrobili krótszy proces. Jak tylko zwiedzieli się, że tu na Pustkowiu ukrywa się zbieg, wpadli jednej nocy jak prawdziwe szatany. Zabrali wszystkich starych, dzieci i bez miłosierdzia powystrzelali.

— W Piaśnicy?

— Nie, tu. Pod tymi chojnami, kole których pan jechał. Postawili ich przy pniakach, nie darowali nikomu. Mój wnuczek Tóna, choć miał dopiero dziewiąty rok, też poszedł z innymi.

— A wszystko przez Bernarda — syknęła Klara. — Zawsze mówiłam Barbarze, że jakby mnie kto tak... Wypędziłabym jak psa. Przedtem to latał do plebańskiego sadu, ale jak przyszła trwoga, to umiał znaleźć drogę na Pustkowie.

— Daj spokój, Klara — mitygował stary. — Szło mu o ludzkie życie.

— Czemu tamta nie pomogła mu schować przyjaciela? — nie dawała za wygraną. — Ja wiem. Wy zawsze go bronicie, choć ukrzywdził Barbarę i na całą familię ściągnął nieszczęście. W złą godzinę przyszedł tu do nas ten wasz Bernardek. Żeby nie on...

— Czy on... — zacząłem i nie dokończyłem pytania.

Stark, zmieszany wybuchem wnuczki, drżącą ręką nasypywał sobie na dłoń nową porcję żółtej tabaki i dziwnie długo wciągał ją w zaczerwieniony nos. Zrozumiałem, że mimo woli dotknął w swojej opowieści jakiejś bolesnej struny. Wstałem z krzesła i zacząłem się żegnać.

— Przynieś no, Klaro, tę urnę — rozkazał gospodarz.

Kiedy wnuczka, czerwona jeszcze z gniewu, wyszła z kuchni, powiedział usprawiedliwiająco:

— Bernard... Bernard... Wszyscy tu na niego. A co on tu winien. Dobrze chciał dla wszystkich, a że inaczej wyszło... Znałem go od maleńkiego. Dobry był chłopak, choć się w swojego ojca nie wdał i ludzie różnie o nim gadali we wsi. Człowiek nie uniknie tego, co mu pisane. Barbara też przez całką wojnę siedziała u krewnych pod Chojnicami,

a akurat w październiku wróciła tu jakby naumyślnie po swoją śmierć...

Staliśmy już w progu sieni. Przez otwarte drzwi widać było rozległe Bielawskie Błota, ciągnące się za srebrną smugą Piaśnicy aż hen ku Białej Górze. Wiatr bił stamtąd ostry, przenikliwy. Szarpał pożółkłymi liśćmi wodnych paproci, krzakami karłowatego jałowca i dzikiej maliny. Stary stojący obok mnie w spłowiałej, niedopiętej kamizelce i welwetowych portkach z wypchniętymi kolanami, połatanych w wielu miejscach, wzdrygnął się.

— Czemu właściwie nazywacie te błota Bielawami? — zapytałem, aby odwrócić jego myśli od przykrych spraw.

Mikołaj potarł dłonią pomarszczony kark.

— Teraz to naprawdę trudno to zgadnąć — powiedział. — Le wiosną, jak te mokradła i torfowiska zabielą się kwieciem, to by pan zaraz poznał, że to bielawy. Nocą strach się tam zapuszczać. Płomyki tam wtenczas ino migają. Smantek suszy swoje pieniądze.

Za naszymi plecami, w sionce zastukały drewniaki. To Klara, wciąż jeszcze chmurna, zjawiła się z urną starannie zapakowaną w gazetę. Dziadek wziął od niej pakunek i sam wręczył mi go ze słowami:

— A proszę, niech pan wszystko dokumentnie opisze, żeby ludzie dowiedzieli się, jak tu było za okupacji, jak hitlerowcy mordowali tych, co się nie chcieli na Niemców przechrzcić. W Tarnowcu, kole klasztora, je grób moich dzieci. To niedaleko stąd.

Wyciągnął rękę tam, gdzie na wzgórzu rudziała sylwetka gotyckiego kościoła.

— Niech pan jedzie tąd — mówił. — Lepsza droga i do szosy bliżej. A w Tarnowcu może pan wstąpić na cmentarz i zobaczyć na własne oczy, że wszystko je tak, jak powiedziałem.

*

Sam nie wiem, dlaczego posłuchałem rady Mikołaja Bieszka. Właściwie należało jechać prosto do brochowskiej świetlicy, która przecież była głównym celem mojej wyprawy. Spełniłem prośbę gdańskiego archeologa, zabrałem urnę i powinienem uważać sprawę za załatwioną. A jednak...

— Niech pan tu stanie na chwilę — poprosiłem kierowcę, kiedy auto, podskakując na kocich łbach wiejskiej ulicy, mijało tarnowiecki klasztor.

Wysiadłem i pchnąłem żelazną furtkę w wysokiej, ceglanej bramie

cmentarza. Ustąpiła niechętnie, przeraźliwie skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Tutejszy cmentarz miał niepokojący, smętny urok. Zielony mech wpełzał na zapadłe nagrobki z piaskowca, zasłaniając stare napisy. Na żelaznych krzyżach rdza czerwieniła się jak krople dawno zakrzepłej krwi. Na mogiłach czerniały łodygi zwiędłych kwiatów, żółciły się wianki zeschłych nieśmiertelników.

Między pniami drzew o korze porosłej szaro-zielonkawą pleśnią barwiła się przydymiona, stara czerwień murów wyniosłego kościoła. Świątynia „tarnowieckich panien" — tak nazywano rezydujące tu od wieków mniszki — piękna była w swojej surowej prostocie. Patrzałem na nią długo. Podziwiałem szlachetność linii, śmiałe ostrołuki okien i portali, wysmukły, ceglany słup gotyckiej wieży, dokoła której krążyła chmura kawek i wron.

Zaraz za prezbiterium wyłaniał się obronny mur klasztoru, ciemniejący okienkami strzelnic. Mogło się wydawać, że czyjeś czujne oczy śledzą z ich głębi każdego, kto wejdzie na cmentarz. Otrząsnąłem się z tego wrażenia i zajrzałem na chwilę do mrocznego kościoła, a potem chodziłem między grobami odczytując imiona zmarłych. Na jednym z nagrobków był napis: „Karol Meyer — kapitalista", na innym: „Tu leży ś.p. Walenty Łysk, nasz ukochany «ojciec»" — ojciec w cudzysłowie! Powtarzały się wszystkie nazwiska, które dziś słyszałem: Ceynowa, Bieszk, Dębek, Pobłocki, Zaczek, Nadolski...

Wiatr dął od pobliskiego jeziora, strącał z czarnych gałęzi ostatnie, przeżarte rdzą liście, szeleścił metalicznie wiecznymi wieńcami, zawieszonymi na żelaznych płotkach otaczających niektóre z mogił, szarpał poły mojego płaszcza, jakby nakłaniając mnie do opuszczenia cmentarza. Nastawiłem kołnierz i dalej szukałem grobu, o którym mówił mi Bieszk.

Zobaczyłem wreszcie w rogu, między ścianą kościoła a cmentarnym murem, nowy pomnik. Może na innym, banalnym miejskim cmentarzu, wśród setek podobnych „arcydzieł" nie raziłaby jego pretensjonalna brzydota. Tu jednak, w sąsiedztwie dawnych, prostych nagrobków i zabytkowych murów świątyni wyglądał jak Twainowski Yankes na dworze króla Artusa. Był czymś gorszym niż szpetota. Był nietaktem.

Cztery znicze ze sztucznego kamienia otaczały dużą, kwadratową mogiłę. Pochylał się nad nią Chrystus o twarzy znanej z tysięcy bohomazów. Jedną ręką wskazywał swe serce uwidocznione pośrodku piersi, drugą dotykał wielkiego krzyża, górującego nad całą kompozycją. Ckliwy uśmiech przyklejony do kamiennych warg, włosy długie, rozdzielone równym przedziałkiem, starannie rozczesane, kędzierzawa

broda, sztywno ułożone fałdy szaty, wymuszony ruch — wszystko to razem tworzyło typowego Chrystusa drobnomieszczan, wykpionego przez surrealistów „Chrystusa z ufryzowaną bródką".

Nie było w tej postaci ani jednego oryginalnego ciosu dłuta. Również dwa anioły klęczące po bokach, niby straż przyboczna, wydawały się jakby zawstydzone swymi nienaturalnymi pozami i zupełnym, zdawałoby się, brakiem talentu rzeźbiarza, który je stworzył. Lewy, w powłóczystej szacie, z kamienną palmą w ręku, opuścił nawet wstydliwie swoją słodką twarz. Spojrzałem na drugiego trzymającego w dłoniach cierniową koronę.

I zdumiałem się. Szata, poza, ruch były takie same, jak u sąsiada. Ale twarz. Nie mogłem oderwać od niej oczu. Była tak nieoczekiwana, jak nokturn Chopina w dorożkarskiej knajpie. W rysach nie było nic ckliwie anielskiego. Śmiały profil, bujne włosy, splecione na karku w puszysty węzeł, wyraziste oczy pod jaskółczo wygiętymi brwiami, wargi pełne, rozchylone uśmiechem. Twarz młodej, pomorskiej dziewczyny.

Skąd się ona wzięła w tym banalnym pomniku? Czyżby rzeźbiło go dwóch różnych ludzi? Trzeba było dobrego mistrza, by tyle życia zakląć w kamiennych rysach dziwnego anioła, uśmiechającego się na przekór cierniom kłującym mu dłonie.

Na tablicy, u stóp Chrystusa, wyryte nazwiska straconych. Ciągnęły się dwoma długimi szeregami: Bieszkowie i Pobłoccy. Był wśród nich i dziewięcioletni Antoni Pobłocki (pewnie ten mały Tóna, o którym mówił stark), była i wspominana przez siostrę Barbara. Dziewięć osób: kobiety, mężczyźni i dzieci. Starzy i młodzi ludzie, którzy niespodziewanie zakończyli życie tej samej listopadowej nocy w przedostatnim roku wojny. Na samym dole, pod tymi dwiema kolumnami widniało dziesiąte nazwisko: Adam Kukliński. Nie trudno odgadnąć, że to był ten „ukrywający się", przyczyna śmierci obu rodzin.

Czytałem nazwisko po nazwisku, ale co chwila podnosiłem oczy i wracałem spojrzeniem ku kamiennej twarzy uśmiechniętego anioła. Przykuwała do siebie wzrok, zaciekawiała, niepokoiła. Powoli, ale nieustępliwie rosła ciekawość: kto był jej twórcą, co chciał powiedzieć rzeźbiarz skazując ją ciosem swego dłuta na wieczny, kamienny uśmiech?

Wiatr wzmagał się coraz bardziej. Wyginał gałęzie drzew, porywał z grobów chmury żółtych i rdzawych liści, szumiał nad cmentarzem jak wielkie skrzydła. Jego rosnącą melodię zamącił nagle zgrzytliwy ton. Odwróciłem się. W gotyckim portalu bocznej ściany kościoła

otwarto drzwi i z kruchty wyszedł ksiądz w ciemnym płaszczu, narzuconym na sutannę.

„Jest informator — przebiegło mi przez myśl. — Od kogo dowiem się dziejów tej rzeźby, jeśli nie od proboszcza".

Podszedłem i zapytałem o pomnik.

— O, to długa historia — odpowiedział.

Był już stary. Wiatr targał siwe pasma włosów otaczających proboszczowską łysinę jak srebrna aureola. Ksiądz miał pomarszczoną, ale mocną twarz. Rysy wyraziste, nacechowane szlachetnością, oczy żywe. Za młodu musiał być wysoki jak kaszubski stolem. Teraz garbił się nieco, ale zachował sposób bycia człowieka patrzącego na ludzi z góry.

Z chmurnego nieba spadły pierwsze ciężkie krople deszczu.

— Jeśli pan ciekaw, proszę na plebanię — zapraszał. — Tu może zastać nas ulewa.

Zgodziłem się chętnie. Plebania była zaraz za cmentarnym murem, po drugiej stronie drogi. Do obszernego domostwa, zbudowanego z czerwonej cegły w bezstylowym stylu pruskich szkół, urzędów i dworców, przylegał drewniany ganek, opleciony bezlistnymi pędami dzikiego wina. Nad wejściem bielała tabliczka: „Dzięki ci, Panie, że mi pozwalasz mieszkać obok siebie. Niechaj tak będzie i w niebie".

— Proszę — pleban powtórzył zaproszenie otwierając drzwi. — Proszę do środka.

Minęliśmy sień i weszliśmy do obszernego pokoju o bielonych ścianach. Na jednej czerniał wielki krzyż, inne ozdobione były świętymi obrazami rozmaitej wartości. Obok tandetnych oleodruków wisiały pociemniałe płótna. Przy dużej bibliotece w rogu izby stała drewniana figura Madonny.

— Początek szesnastego wieku — powiedział gospodarz dostrzegłszy moje spojrzenie. — Odwoziłem ją ostatnio do Gdańska, do konserwacji, bo korniki podziurawiły drewno. Dziś znaku po tym nie zostało. Tyle wstrzyknęli terpentyny, że w powrotnej drodze ledwiem tę figurkę udźwignął. Ale najciekawsze ta polichromia. Wyszła po konserwacji. Parafianie nie będą zadowoleni, bo poprzednia aż kapała od złota, dla mnie jednak jest to miła niespodzianka.

— Ksiądz proboszcz interesuje się sztuką?

— Sztuką i historią — odpowiedział. — Kiedym objął czterdzieści lat temu tutejszą parafię, zacząłem zbierać materiały do dziełka o państwie „tarnowieckich panien": przywileje książąt, wielkich mistrzów i królów, akta procesów z sąsiadami. Zainteresowały mnie zwłaszcza

losy klasztoru podczas reformacji. Był tu wtedy taki „presbyter tarno-vecensis", który gromadził strzelby zamiast książek.

— Widzę, że obecnie nie kontynuuje się już w Tarnowcu tych tradycji — zażartowałem wskazując półki biblioteki uginające się pod ciężarem grubych tomów i broszur. — Książek tu nie brak.

— Miałem więcej — machnął ręką — sporo przepadło mi podczas okupacji. Musiałem się ukrywać. Ocalały mi tylko te, które zdążyła zakopać moja siostrzenica, Waleska. Dzięki niej zachowało się i moje dziełko.

Podszedł do szafy i odwrócony do mnie plecami szperał wśród książek.

— Są w nim ciekawe ryciny — mówił — portrety ksień, wśród których wiele było cór najmożniejszych kaszubskich rodów, dawne wizerunki klasztoru, fotografie ornatów haftowanych przez tutejsze mniszki, chóru, antyfoniarzy i rzeźb. O, tu ma pan zdjęcie naszej Madonny. Tak wyglądała przed renowacją.

Położył na stole przede mną książeczkę, której kartki przechowały stęchłą woń, świadczącą o długim pobycie w ziemi. Popatrzałem na wyblakłą fotografię figury.

— Przypuszczam — wywodził proboszcz, który dosiadł swego konika i nie zamierzał zbyt prędko z niego zsiąść — że jest to dzieło jakiegoś miejscowego rzeźbiarza. Niech pan spojrzy na twarz. Takich znajdzie pan tu wiele. Tarnowiec to stare ognisko kultury pomorskiej. Tutejsze zakonnice krzewiły od wieków naukę i sztukę. Miały wspaniałe organy, piękny chór, sławne hafciarki. W takim środowisku mógł wyróść rodzimy talent, kaszubski rzeźbiarz, który tworząc posąg Panny Marii uwiecznił w nim typ tutejszej urody niewieściej.

— Bardzo prawdopodobne — przytaknąłem. — Właśnie podobną rzecz zauważyłem w tym cmentarnym pomniku, o który zagadnąłem księdza proboszcza.

— Pomnik Bieszków i Pobłockich — przerwał tarnowiecki „presbyter". — Postawiliśmy go zaraz po wojnie. Przeprowadziłem w radzie parafialnej, żeby ufundowano ten nagrobek ofiarom teutońskiego terroru. Sam naszkicowałem projekt i ułożyłem napis, aby było godnie i po katolicku.

— A kto — zapytałem pospiesznie — wyrzeźbił pomnik?

Popatrzał na mnie spod siwych brwi.

— Co pan mówi? Kto wyrzeźbił? Racja. Przecież pytał pan już o to tam na cmentarzu. Nie powiedziałem panu jeszcze?

— Nie.

— To mój tutejszy parafianin — powiedział głosem, w którym był odcień dumy i nutka niechęci — Bernard Dębek. Zająłem się nim jeszcze jako chłopcem zaraz po śmierci jego ojca i...

*

I tak zaczęła się opowieść o człowieku, który zaklął w sztucznym kamieniu uśmiech kaszubskiej dziewczyny.

Bernard Dębek był „tutejszy" w najpełniejszym znaczeniu tego słowa. Jego przodkowie od wieków związani byli z tarnowieckim klasztorem. Ksiądz Augustyn Grula (tak nazywał się proboszcz) w swym „dziełku" cytował pewien dokument, w którym „pracowity" Maciej Dębek, trzymający od klasztoru kawał ziemi i chatę w pobliżu ujścia Piaśnicy, zobowiązywał się oddawać mniszkom znalezione bursztyny, złowione jesiotry i łososie.

Józef, ojciec Bernarda, mieszkał w Tarnowcu jak komornik i wynajmował się do pracy. To pomagał przy melioracji gruntów, to „rybaczył" u dzierżawcy tarnowieckiego jeziora. Żona starała się mu pomagać. Latem zbierała w lesie jagody i sprzedawała je na targu w Pucku czy Wejherowie, co powiększało o kilka marek domowe dochody. Ponieważ jednak junkrowie zaczęli się skarżyć, że ten sposób zarobkowania pozbawia ich potrzebnych przy żniwach rąk roboczych, landrat zabronił leśnikom wydawania zezwoleń na zbieranie jagód i Dębkowa, podobnie jak inne Kaszubki, musiała zacząć chodzić do roboty na któryś z okolicznych majątków.

Po wojnie uciekł landrat i zmieniła się władza, ale w życiu Dębków zmieniło się niewiele. Jak dawniej pracowali od świtu do nocy. W domu pozostawał jedynie mały Bernard. Trzeba przyznać, że nie odczuwał on zbyt dotkliwie braku matczynej opieki. Gdy tylko podrósł na tyle, by samodzielnie poruszać się po świecie, biegał po wsi i okolicy. Wyprawiał się z kolegami po jabłka do plebańskiego sadu, szukał na wieży kawczych gniazd, bawił się na rybackiej przystani. Czekając godzinami na powrót ojca rzucał na jezioro płaskie kamyki z taką wprawą, że nieraz siedem razy odbijały się od wodnej powierzchni. Kiedy zaś zmęczyła go ta zabawa, siadał na kamiennej grobelce, spuszczał nogi i gołymi piętami rozbijał wodę, zapatrzony w okruchy słońca migocące w srebrnych bryzgach. Albo też dłubiąc z kory łódki, łyżki i figurki przysłuchiwał się opowiadaniom starych rybaków naprawiających sieci przy drewnianej budzie, w której przechowywano rybacki sprzęt.

A było czego słuchać, zwłaszcza kiedy zabierał głos leciwy Mikołaj z Pustkowia. Ten całymi godzinami potrafił gadać o Ceynowie, który nie uląkł się pruskiego króla, o ostatniej tarnowieckiej mniszce, co to w samotności, po kasacie klasztoru, dostała pomieszania zmysłów, o podziemnych przejściach, łączących groty w Darżlubskiej Puszczy z Tarnowcem. Malec z owartymi ustami słuchał dziwnych historii o podziemnych ludziach z mechowskich grot, którzy niepostrzeżenie zamieniają kaszubskie niemowlęta na swoje odmieńce, o wielkim szczupaku z Dobrego Jeziora, o tym, dlaczego okoń ma pręgi, a płotka czerwone oczy, o czarnej królewience z Zamkowiszcza.

Kiedyś słuchając tych dziwów wystrugał Bieszka jak żywego z ogromną fajką w zębach. Mikołaj uśmiał się z tej podobizny i pochwalił chłopaka.

Odtąd każdą chwilę Bernardek poświęcał swojej dłubaninie. Nawet w szkole pod ławką rzeźbił podczas lekcji rozmaite cudactwa. Na próżno „pon szkólny" walił go linią po łapach, na próżno kpili koledzy i nazywali odmieńcem, na próżno łajała nenka, a ojciec groził, że odbierze nożyk. Nic nie pomagało. Gdy tylko dostał do ręki kawałek drewna czy kory, wszystko inne przestawało dla niego istnieć. Mimo kar i „szkalowania" był szczęśliwy, aż nadeszła pewna niedziela, która na zawsze pozostała w jego pamięci.

Był to piękny, słoneczny dzień. Zaraz po nabożeństwie chłopiec poszedł z ojcem na Zamkowiszcze, wysoką górę nad jeziorem, porosłą bukami. Siedli na szczycie w trawie spalonej słońcem. Bernard rozmyślał o znajdującym się tu pod ziemią zaklętym zamku i jego władczyni, czarnej księżniczce, czekającej od wieków na kogoś, kto wybawi ją z mocy złego czaru, a ojciec patrząc chmurnie na wodę rozważał w milczeniu swoją troskę.

Sprawa była taka: kilka dni temu wyciągnął z towarzyszami niewód. Cygan z taboru obozującego właśnie w pobliżu pomógł im obracać ciężki kołowrót. Kiedy matnia wynurzyła się i zaczęto kaszorami wyjmować z niej ryby, nieproszony pomocnik upomniał się o swój „part" za robotę. Tłumaczyli mu, że łowią dla dzierżawcy Rittera i nie mogą samowolnie rozporządzać rybą. Ale Cygan uparcie domagał się swego, aż rozzłoszczeni wyrzucili go za burtę. Dopłynął do brzegu i tam dopiero zaczął przeklinać: żeby sztorm ich złapał, żeby potonęli, żeby nie złowili ni jednej ryby. Nie przejęli się tym zrazu. Gdy jednak zrobili następny hol i znaleźli w niewodzie kilka tylko rybek, zasępili się a dziś przed mszą poszli prosić księdza, by poświęcił jezioro. Ale ksiądz Grula zbeształ ich za brak szacunku dla rzeczy świętych i trza-

snął drzwiami zakrystii. Na domiar złego wspomniał jeszcze o tym podczas kazania.

Przez szeroką wodę ku drugiemu brzegowi, gdzie w nasłonecznionej mgiełce rysowały się chaty Nadola, płynęła wolno zanurzona po burty łódź. Na tle szarego żagla czerniało w niej kilka postaci.

— Nadolscy wracają z kościoła — zawołał Bernard.

Po twarzy Dębka przemknął cień. Przypomniał sobie szydercze spojrzenie Michała Nadolskiego, gdy ksiądz wymienił dziś na ambonie po nazwisku rybaków, którzy „wierzą, że klątwy cygańskie mogą zmienić boskie wyroki". Nagle zerwał się na równe nogi. Nordowy sztorm uderzył niespodzianie od morza, skłębił się w jeziornej kotlinie, sfałdował toń i potężną dłonią pchnął żagiel. Łódź wywróciła się jak łupina.

— Toną — wrzasnął chłopiec.

Ojciec nie słyszał już tego. Wielkimi susami pędził w dół, ku jezioru. Skoczył w spróchniałą łódkę, porzuconą przy brzegu, i co sił począł wiosłować ku tonącym. Bernard widział, jak ojciec zbliża się do miejsca katastrofy, odrzuca wiosła, podaje dłoń jednemu z rozbitków. Widział, jak czółno przechyla się niebezpiecznie, jak ojciec próbuje na próżno przywrócić mu równowagę. Krzyknął. Dławiąc się szlochem wołał pomocy, ratunku. Zrozumiawszy, że nikt go tu nie usłyszy, zaczął, płacząc głośno, biec ku wsi. Zadzwoniono tam właśnie na południe i głos starego dzwonu zdawał się powtarzać odwieczną prawdę, którą wyrył na nim średniowieczny ludwisarz:

„Śmierć jest pewna, lecz dzień jest nieznany".

Od tego dnia cały ciężar utrzymania domu zwalił się na matkę. Bernard dopiero za rok miał opuścić szkołę, myślał już jednak o tym, jaki obrać zawód. Mógł jak ojciec rybaczyć na jeziorze, ale myśl o tym przejmowała go lękiem. „Nic z tego nie będzie — oświadczył stary Bieszk. — Kto chce ryby łowić, nie może mieć strachu przed wodą. Musisz się obejrzeć za inszą robotą".

Na razie zostało wszystko po staremu. Chłopiec chodził do szkoły i dłubał swoje figurki, gdy tymczasem matka wysługiwała się miejscowym gburom, albo też szła na plebanię plewić ogród, prać, szorować podłogi. Kiedyś proboszcz zagadnął ją o syna.

— Czyste skaranie boskie z tym chłopakiem — użaliła się. — Już i biję go, i po dobroci tłumaczę, a on wiedni swoje. Nie je przecie zły. „Pon szkólny" mówią, że pojętny i uczy się dobrze, le skorno tylko znajdzie jakie drewienko, to jakby diachel w niego wstąpił. I kłamać zaczął.

— To źle — stwierdził surowo ksiądz — kto kłamie, Boga obraża.

— On to tak jeno z głupoty — zaczęła bronić jedynaka. — Naopo-

wiadał chłopakom, że widział księżniczkę z Zamkowej Góry i obiecał im ją pokazać. Poszli. A on namówił Barbarę Bieszków, żeby się oblekła w czarną suknię swojej nenki, wystrzygł jej z papieru złotą koronę i kazał udawać na Zamkowiszczu czarną królewienkę. Nie wiem, skąd mu się takie głupie myśli biorą?

Ksiądz Grula zainteresował się małym łgarzem. Najpierw co prawda sarkał i zrzędził:

— Ładnie zaczyna. Nie dosyć, że sam kłamie, jeszcze dziewczęta w swoje kłamstwa wciąga.

Potem jednak udobruchał się.

— Przyprowadźcie go tu do mnie — powiedział i niecierpliwie schował za plecy rękę, którą stara Dębkowa próbowała z wdzięczności ucałować. — Organizuję właśnie kurs przy Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży. Wezmę go. Nauczy się czegoś pożytecznego, to może i zmądrzeje.

Ksiądz Augustyn Grula nie był przeciętnym wiejskim proboszczem, dzielącym swój czas między kościół, gospodarstwo i dobrze zastawiony stół. Nie znaczy to, aby zaniedbywał kapłańskie obowiązki, gardził dobrym jedzeniem lub nie umiał ocenić smaku wytrawnych win. Pochodził z zamożnego rodu gburskiego z południowych Kaszub. Była w nim gburska gospodarność, upór, chęć narzucenia swojej woli innym. Twardo sprawował rząd tarnowieckich dusz. Słuchał spowiedzi, odwiedzał po kolędzie najdalsze nawet zabudowania, znał wszystkie grzechy kilku pokoleń swoich owieczek i karcił je surowo przy kratkach konfesjonału lub z ambony.

Miał jednak i inne zainteresowania, wyniesione z młodości, kiedy to ledwie ukończywszy pelplińskie seminarium, jako wikary przy kościerskiej farze, brał żywy udział w ruchu młodokaszubskim. Dużo czytał, pisywał artykuliki do „Gryfa", opracował i wydał własnym sumptem jakiś zbiorek pism Ceynowy, tłumaczył na gwarę kaszubską Dawidowe psalmy, a wreszcie, osiadłszy już na bogatej tarnowieckiej parafii, ogłosił swoje „dziełko" o tutejszym klasztorze.

Z czasem rozeszły się drogi energicznego duszpasterza i młodokaszubów. Z dawnych przyjaciół pozostał mu jeden, najwierniejszy. Był artystą-plastykiem. Trochę malował, przede wszystkim jednak rzeźbił. Talent miał mierny, odznaczał się za to wielkimi zaletami towarzyskimi, dużą fantazją i jeszcze większym pociągiem do wina lub też w braku tego — jak mawiał — do akwawity. Kiedy do jego toruńskiej pracowni zaglądała bieda, pakował co najpotrzebniejsze manatki i zjawiał się w Tarnowcu, by odkarmić się i podreperować kieszeń.

Grula witał go chętnie i nie odmawiał pomocy. Zawsze znajdował dla przyjaciela jakąś pracę. To zamówił na boczny ołtarz figurę świętego Mikołaja, patrona rybaków, to znów nakłonił parafię, by na rozstaju dróg wystawiono statuę świętego Rocha. Płacił za wszystko hojnie z... funduszów parafialnej kasy.

Kiedy w ten sposób plastyczne potrzeby tarnowieckich parafian zostały bez reszty zaspokojone, proboszcz wpadł na nowy pomysł: postanowił na nadjeziornych wzgórzach wybudować kalwarię. Obgadywał tę sprawę z przyjacielem dokładnie, w najdrobniejszych szczegółach. Całymi wieczorami przy butelce dobrego wina obliczali, sprzeczali się, kreślili projekty. Ksiądz Augustyn widział już kapliczki bielejące nad wodą, tłumy pielgrzymów i siebie w szerokim, prałackim pasie, gdy z kurii nadeszła odpowiedź. Odmowna. Biskup uważał, że nie ma potrzeby tuż pod bokiem starej wejherowskiej kalwarii wznosić nowej, konkurencyjnej.

Obaj druhowie zmartwili się: pleban, bo runęły jego plany i rozwiały się związane z nimi nadzieje, artysta, bo ominął go niezły zarobek. Pocieszył się jednak szybko, gdy ksiądz postanowił przeznaczyć część zebranych już funduszów na urządzenie kursu przy tarnowieckim kole KSM. Wprawdzie niektórzy członkowie parafialnej rady nieśmiało wtrącali, że może należałoby raczej pomalować wpierw odrapane ławki kościelne, ale proboszcz postawił na swoim.

— Pamiętaj — pouczał przyjaciela — żebyś podszedł do tego praktycznie. Nauczysz ich trochę rysunków i rzeźby, a jeśli okażą się zdolni, to może z czasem zorganizujemy tu jaką wytwórnię dewocjonalii w stylu kaszubskim albo zabawkarnię.

Kurs powstał. I tym razem jednak nie spełniły się proboszczowskie marzenia. Rzeźbiarz, pytany o wyniki nauki, machał tylko ręką i zniechęcony mruczał, że wolałby kamienie tłuc niż wtajemniczać młodocianych tarnowieckich adeptów w arkana sztuki. Ale pewnego wieczoru przybiegł na plebanię podniecony i już w progu wyciągnął z kieszeni jakąś niewielką figurkę.

— Popatrz, wielebny druhu.

Pleban wziął do ręki drewniany posążek i przyjrzał mu się uważnie w świetle naftowej lampy. Wyciągnął ramię, by oczami dalekowidza ocenić wszystkie szczegóły maleńkiej postaci w powłóczystej szacie i koronie.

— Dobrze odrobione — przyznał po chwili. — Twarz, ręka, włosy, korona. Zaraz poznać, że to Matka Boża, chociaż brak aureoli.

— Nie zgadłeś — sprostował rzeźbiarz — to czarna księżniczka. Ta,

co się podobno pokazuje tu u was, na Zamkowej Górze. A wiesz, kto ją wyrzeźbił? Bernard Dębek. Szczęśliwą rękę miałeś, przysyłając mi tego chłopaka. Prawdziwy talent. Będą z niego ludzie. Trzeba tylko wysłać go do jakiej szkoły.

— Oszalałeś — oburzył się proboszcz — chcesz smarkaczowi przewrócić w głowie?

Powiedział to ostro, kategorycznie. Mogło się wydawać, że sprawa jest przesądzona. Mistrz dłuta nie skapitulował jednak. Przynosił coraz to nowe dzieła Bernarda (między innymi doskonały portret plebana), podnosił pod niebiosa zdolność młodego Dębka i tak długo przekonywał księdza Augustyna, aż ten uwierzył, że ma naprawdę w swojej parafii przyszłego Michała Anioła. Gdy zaś oswoił się z tą myślą, zaczął się zastanawiać, w jaki sposób umożliwić chłopcu rozwój talentu. Nim dobiegł końca rok szkolny, znalazła się rada.

Proboszcz przypomniał sobie nieśmiałe głosy parafian, przeliczył kasę i posłał po Bernarda. Obejrzał jego świadectwo, nienajgorsze zresztą, zadał kilka pytań i wreszcie, zadowolony z odpowiedzi, oświadczył:

— Słyszałem, że masz talent do rzeźby. Talent to dar boży i grzech go marnować. Ale pamiętaj, nauka kosztuje drogo, a bez pracy nie ma kołaczy. Jest w kasie parafialnej trochę pieniędzy na pomalowanie kościelnych ławek. Jeśli chcesz sobie na naukę zapracować, to ci pomogą. Wykonasz robotę akuratnie i dostaniesz tyle, ile by wziął malarz z miasta. Będzie to spora kwota. Przechowam ci te pieniądze. We wrześniu pojedziesz do Poznania, do Szkoły Zdobniczej. Będziesz się uczył, a ja co miesiąc poślę ci pięćdziesiąt złotych.

Chłopcu wzruszenie nie pozwoliło wykrztusić ani słowa. Wydawało mu się, że nagle wynurza się przed jego oczami spod ziemi zapadły zamek, że wychodzi z niego czarna królewionka i obiecuje spełnić wszystkie życzenia. Serce waliło mu w piersi jak młot.

— Zgadzasz się? — zapytał ksiądz.

Bernard pochylił rozczochraną głowę i z gorącą wdzięcznością przytknął wargi do pachnącego naftaliną mankietu księżowskiej sutanny.

— No, dobrze już. Dobrze — proboszcz przejechał mu dłonią po czuprynie. — Widzisz, że Pan Bóg opiekuje się sierotami. Tylko pamiętaj, żebyś mu się za to odpłacił pobożnością i pilnością.

Przez całe lato przyszły rzeźbiarz pracował w pocie czoła, choć w mrocznym wnętrzu świątyni chłód panował nawet w największe upały. Klęcząc na zimnych kamieniach pociągał brunatną farbą odrapane deski. Trudził się zapamiętale, byle zdążyć na czas z robotą.

Z rzadka tylko pozwalał sobie na krótki odpoczynek. Prostował wte-

dy obolałe kolana i plecy albo też przysiadał pod chórem na płycie nagrobnej spoczywającego tam krzyżackiego kondotiera i oddychając z ulgą patrzał, jak światło dzienne, przesiane przez kolorowe szybki witraży, pełza po licu pięknej tarnowieckiej Madonny, nadaje niepokojące pozory życia kamiennym twarzom mnichów, świętych i rycerzy, jakimi dawni majstrowie ozdobili wsporniki gotyckich sklepień tego kościoła.

W końcu sierpnia praca została ukończona. Ławki kościelne błyszczały świeżą farbą, tak że jak w lustrze odbijały się w nich płomienie gromnic i światła lamp płonących przed ołtarzem. Parafianie zadowoleni byli z roboty. Ksiądz Grula dał ruszającemu po sławę chłopcu nieco pieniędzy i nieporównanie więcej dobrych rad i upomnień. Matka, pochlipując żałośnie, odprowadziła go na stacyjkę do Brochowa.

Z małą drewnianą skrzynką, mieszczącą cały jego dobytek, wsiadł do wagonu ślubując w duszy, że będzie stosował się święcie do wszystkich rad i wskazówek dobroczyńcy. Lokomotywa zagwizdała, ruszyły tłoki i pociąg powiózł małego Bernarda ku wielkim nadziejom.

*

— Przez pierwsze lata — mówił ksiądz — sprawował się bardzo dobrze. Pisywał często do matki i do mnie. Na wakacje przyjeżdżał z celującymi świadectwami. Zarabiał sam na siebie. Ale potem przewróciło mu się w głowie. Zamiast się cieszyć, że skończył szkołę, może wrócić, zabrać się do pracy i pomagać matce, zdał jako ekstern maturę i pojechał do Krakowa na Akademię. Po zgorszenie pojechał i po swoją śmierć. Ostrzegałem go, nie słuchał. Żeby nie moja siostrzenica Waleska, która zawsze broniła tego postrzeleńca, nie wpuściłbym go na plebanię. Ilem to mu napowtarzał, że nie trzeba chcieć za wiele, że pycha jest grzechem, a pokora cnotą chrześcijańską. Na nic się nie zdały moje nauki. Innych miał już nauczycieli. A czego się od nich nauczył — wstyd powiedzieć... Kiedy w trzydziestym dziewiątym roku zamówiłem u niego posąg Matki Boskiej Morskiej, wyrzeźbił taką ohydę, że i wspomnieć przykro. Prawdziwa obraza boska. Myślę, że sam potem żałował tego, bo...

Zza okna połyskującego kroplami deszczu dobiegł głos klaksonu. Raz, drugi, trzeci. Ostrzegawczo jak boja na morzu. To szofer przypominał, że czas ruszać dalej. Spojrzałem na zegarek. Trzeba było kończyć rozmowę. Dochodziła czwarta. Zaczynała się praca w brochowskim ognisku. Niechętnie podniosłem się z krzesła.

— Muszę się już, niestety, pożegnać — powiedziałem.

Ksiądz przerwał swoją opowieść i wstał również. Zapytałem wtedy o to, co stało się przyczyną mojej wizyty w plebanii: skąd wziął się kamienny uśmiech.

— A, zauważył pan — ucieszył się niespodziewanie pleban. — Bo też trudno tego nie dostrzec. Kto widział takiego anioła? Psuje tylko harmonię całości pomnika. Mówiłem Bernardowi, że tak będzie, kiedy uparł się. Żeby przynajmniej dał jej smutny albo poważny wyraz twarzy. Mniej by raziło. Ale nie. On zawsze musiał być mądrzejszy. Przeprowadził swoje i stworzył dziwoląga z cierniową koroną w ręku, a uśmiechem na ustach. A pan — zmienił temat — dokąd się spieszy?

— Do Brochowa. Mam zamiar zajrzeć do tamtejszego ogniska.

Gościnny gospodarz ochłódł nagle.

— Do Brochowa? — powtórzył. — A to nie zatrzymuję, nie zatrzymuję.

Po chwili jechałem już połyskliwą szosą. Za szybą wozu migotały wilgotne pnie starych przydrożnych drzew. Szybko gęstniał listopadowy zmierzch. Rozpadało się na dobre. Pejzaż zmienił się w zamazany, czarno-szary szkic węglem. Jednostajny szum motoru zlewał się w jedno z pluskiem ulewy.

— Długo pan siedział u tego księdza — odezwał się niespodziewanie kierowca.

— Zagadaliśmy się — usprawiedliwiałem się. — Zaczęliśmy rozmawiać o tutejszym rzeźbiarzu Dębku...

— O Bernardzie?

— Znał go pan?

— W Tarnowcu wszyscy się znają — mruknął.

— To ciekawy człowiek — zauważyłem, by zachęcić mego towarzysza do zwierzeń.

— Mało o nim wiem. Był starszy ode mnie. Jak chodziłem do szkoły, to on już siedział w Krakowie. Dopiero za okupacji... Wtedy wrócił tu... Prosto z wojska.

Mówił krótkimi, urwanymi zdaniami, nie odrywając oczu od śliskiej powierzchni szosy.

— Zwolnili go z niewoli, czy uciekł? — ciągnąłem milczka za język.

Wzruszył ramionami.

— A bo ja wiem. Nic nigdy o tym nie mówił. Wciąż chorował albo chodził po wsi jak mruk. Wytykali go palcami.

— Dlaczego?

— Gadali, że mędrek, Antychryst. Ksiądz wypędził go z plebanii,

bo kpił ze świętych rzeczy. Matka umarła ze zmartwienia. Sumienie go pewnie gryzło. Ludzie omijali go jak zapowietrzonego. Nikt nie wziął go do roboty. Przyszło mu na to, że musiał kamienie tłuc na szosie.

Wyobrażałem sobie samotność rzeźbiarza. W takim Tarnowcu, w atmosferze deskami zabitego partykularza, gdzie ksiądz proboszcz stanowił najwyższy autorytet, plotki o „marnotrawnym synu" musiały rosnąć szybciej niż rośliny w podzwrotnikowym klimacie. Pleniły się na podatnym gruncie i przybierały potworne kształty. Dębek był inny niż wszyscy. Niezrozumiały i obcy drażnił na pewno nieznośnie tych, co znali go od dziecka. Wyrósł nad nich. Zazdrościli mu, tym więc skwapliwiej brali potem odwet za to, gdy los przygiął go ku ziemi.

— A co się później z nim stało? — dopytywałem się niecierpliwie.

— Nie wiem — odburknął niechętnie. — Niemcy wywieźli mnie na roboty. Nie wróciłem już tutaj.

Krople deszczu srebrzyły się w smugach reflektorów. Patrząc na ich migot starałem się uporządkować zebrane wrażenia i wiadomości w jakąś całość. Wciąż jednak pozostawały puste miejsca, białe plamy psujące obraz i niepokojące wyobraźnię.

Cóż takiego mógł wyrzeźbić Dębek jako „Madonnę Morską", że oburzył całą wieś, że jeszcze po kilkunastu latach ksiądz kipiał z gniewu na samo wspomnienie tego dzieła? Którą z rozstrzelanych obrał za model anioła? Dlaczego uparł się, by utrwalić jej twarz i uśmiech? Co się stało z talentem młodego rzeźbiarza? Matka umarła mu podobno ze zmartwienia. Czyżby to go załamało? Co wreszcie stało się z nim samym? Mówiono o nim jak o umarłym. Proboszcz mówił, że pojechał do Krakowa po swoją śmierć, a przecież jeszcze po wojnie wyrzeźbił nagrobek Bieszków. Wszystkie te pytania domagały się odpowiedzi. Obiecałem sobie, że przy najbliższej sposobności wrócę do Tarnowca, popytam ludzi i dowiem się całej reszty.

Tymczasem samochód przebył już ceglany most na fosie i zatrzymał się przed portalem brochowskiego zamku. Było już całkiem ciemno. Jaskrawa żarówka nad drzwiami wydobywała z mroku kamienny kartusz herbu dawnych dziedziców. Wyskoczyłem z auta i szybko, by ujść siekącym niemiłosiernie strugom deszczu, przekroczyłem próg barokowej rezydencji grafów na Brochowie.

W przestronnej, mrocznej sieni głucho załomotały moje kroki na kamieniach posadzki. Nikt jednak się nie zjawił. Bezradnie rozejrzałem się dokoła. Na ściankach czerniały rozłożyste rogi jeleni i łosi jak liście fantastycznych paproci. W głębi, w sączącej się z góry smudze nikłego

światła przy dębowych schodach ciemniała postać o niewyraźnych, na pół zatartych konturach.

— Przepraszam — powiedziałem głośno — gdzie tu mieści się plastyczne ognisko?

Odpowiedziało mi milczenie. Podszedłem bliżej. Drewniany, beznosy rycerz w starożytnej zbroi i hełmie godnym Achillesa, choć stał tu na straży rzeźbionych schodów od dwustu co najmniej lat, nie mógł udzielić mi żadnej informacji.

Przez chwilę stałem zdezorientowany. Dopiero gdy z góry, skąd prószyło światło, dobiegły mnie przytłumione głosy, minąłem niemą figurę i po wydeptanych stopniach, przeraźliwie skrzypiących za każdym moim krokiem, zacząłem wspinać się na pierwsze piętro.

Z uchylonych drzwi padała na korytarz żółtawa smuga, dochodził gwar rozmów, biła woń świeżej farby, mieszająca się z zapachem kurzu i pajęczyn szczodrze zdobiących zamkowe schody. Zajrzałem.

W dużej wysokiej komnacie, niegdyś chyba sali jadalnej, pracowało przy stołach i sztalugach kilkanaście osób. Byli tu chłopcy i dziewczęta, nie brakło również dorosłych. Ściany, niemal pod sam sufit ozdobiony barokowymi stiukami, pokrywała pstrokacizna akwarel, rysunków, szkiców węglem. Nad dębowym kredensem, w którym zamiast stołowych sreber umieszczono książki, czasopisma i malarskie przybory, czerwieniały litery transparentu:

„W rozkwicie sztuki widzimy jedno z głównych zadań socjalizmu".

Między stołami i sztalugami krzątał się niewysoki człowiek w szarym kitlu. Pochylał się nad uczniami nisko, aż opadały mu na oczy kosmyki włosów tak ciemnych, że w ostrym elektrycznym świetle zdawały się niemal błękitne. Stukał ołówkiem, wskazywał dostrzeżone błędy i mówił szybko piskliwym nieco głosem:

— Źle. Źle. Jak będziesz tak dalej robić, niedaleko zajedziesz, rysować czyjś obraz przez kalkę to nie sztuka. Sztuka powiedzieć coś własnego. Przeszło sto lat temu był we Francji taki malarz. Nazywał się Ingres. Jemu też się wydawało, że wszystko jest już znane, wynalezione, że wystarczy naśladować dawnych mistrzów, żeby samemu zostać wielkim mistrzem. I jak na tym wyszedł? Nikt prawie dziś o nim nie pamięta. Zwyciężył jego przeciwnik, Delacroix.

Chłopak, którego malowidło krytykowano, zwrócił twarz ku nauczycielowi.

— Ten, co wymalował „Wolność wiodącą lud paryski na barykady"? — zapytał.

— Pamiętasz? To dobrze. Pokazywałem wam reprodukcję tego obrazu.

To naprawdę był artysta. Wiedział dobrze, że styl polega na oryginalnym wyrazie osobistych właściwości każdego twórcy. To znaczy, że na obrazie musi być nie tylko model, ale i ten, co go malował. Tak żeby nie patrząc na podpis każdy mógł od razu powiedzieć: to malował ten, a to tamten.

Uczniowie porzucili swe prace, otoczyli gromadą kierownika, włączali się do rozmowy.

— Ja zaraz poznałam, co malował Wyspiański, a co Matejko — chwaliła się dziewczynka, na której płowych włosach kołysała się wielka kokarda jak czarny motyl.

— A nieprawda — przycięła jej koleżanka. — Jak pan nam w zeszłym tygodniu pokazywał różne obrazy i zasłaniał ręką podpisy, to się dwa razy pomyliłaś.

— To Halinka pomyliła się dwa razy — broniła się pierwsza — ja tylko raz.

Korzystając z tej niespodziewanej przerwy w pracy ogniska, podszedłem do kierownika. Przedstawiłem się i powiedziałem o celu mojej wizyty.

— Proszę, proszę. Prasa się nami zainteresowała — ucieszył się potrząsając mi dłoń. — Dobrze pan trafił. Tematów to znaleźć można na sto reportaży. Nawet nie przypuszczałem, że wyłowimy tyle talentów. Masa zdolnych ludzi tutaj. Powiadam panu: masa. We wrześniu dopiero założyliśmy ognisko, a dziś już można by uruchomić ze trzy zespoły: dla dzieci, młodzieży i dorosłych. A jaki zapał! Przychodzą z okolicznych wiosek: z Łyskowic, Tarnowca, Sławoszyna. Niektórzy po osiem i więcej kilometrów. Przez deszcz, przez błoto...

Kierownik przypominał południowca. Nie tylko bujną, czarną czupryną, ale i temperamentem. Żywy, ruchliwy, zapalał się łatwo i z równą namiętnością mówił o źle funkcjonującym piecu, jak o talentach swoich adeptów. Choć w Brochowie był od niedawna, doskonale orientował się w miejscowych stosunkach i świetnie znał życiowe koleje wszystkich ogniskowych bywalców.

Przekonałem się o tym wkrótce. Przedtem jednak musiałem obejść sąsiednie, puste jeszcze pomieszczenia i wysłuchać ambitnych planów małego nauczyciela:

— Tu staną stelaże dla rzeźbiarzy. Tu umieścimy grafikę. Tutaj pracuje już kurs kaszubskiego haftu. Trzy razy w tygodniu. A tutaj zamierzamy urządzić pracownię literniczą.

Wielkie pokoje o nagich ścianach i zimnych piecach zaludniły się w jego opowiadaniu gromadami wielbicieli plastyki, równie zapalo-

nymi jak ci, co w sali zamkowej zgłębiali właśnie pierwsze tajemnice sztuki. Wróciliśmy do nich po kilkunastu minutach. Mój przewodnik chwycił mnie za ramię i ruchem głowy wskazał mi przysadzistego, pochylonego bruneta z kilkoma srebrnymi nitkami we włosach.

— O, proszę popatrzeć na tego — szepnął przenikliwie — to nasz pegeerowski magazynier. Repatriant zza Bugu. Nazywa się Dowgiałło. Kiedy prosił o przyjęcie do ogniska, napisał swój życiorys. Przeczytałem go i wzruszyłem się. Stary ze mnie koń, a łzy zakręciły mi się w oczach. Rysował od szesnastu lat. Wszędzie, gdzie był, cały wolny czas poświęcał malarstwu. Brakło mu kierownictwa. Nie znał zasad artystycznych. Chciał je poznać — nie było okazji. Dopiero teraz. „Kiedy dowiedziałem się, że w Brochowie będzie utworzony kurs artystyczny, zrozumiałem, że otwierają mi się drzwi, że i mnie zaświeci słońce." Tak napisał. Dosłownie. Nie zapomnę tych słów.

Popatrzałem na Dowgiałłę. Ściągając gęste, czarne brwi śledził badawczym wzrokiem każde pociągnięcie pędzla. Zauważyłem, że on jeden malował olejnymi farbami.

— Te farby — objaśniał nieznużenie kierownik — to też temat do noweli. Pół miesięcznej pensji wydał na kupno kasety. Pojechał po nią specjalnie do Gdańska. Długo odkładał pieniądze, bo chłop ma na utrzymaniu cztery osoby. Ale powiedział mi, że musiał kupić te farby. Bez malowania nie mógłby już żyć.

Nauczyciel mówił szeptem, ale z werwą włoskiego cziczerone. Słowa rzucał szybko jak kulomiot pociski. Wyjąłem notes, nie mogłem jednak zdążyć z zapisywaniem najciekawszych nawet szczegółów. Starałem się więc notować przynajmniej nazwiska: Halinka Nadolska (specjalizuje się w kaszubskich wycinankach), Bolek Detlaf i Brunon Łysk (dwaj nierozłączni przyjaciele, ogniskowi Lelum i Polelum, jeden malarz, drugi lepiglina), Marcia Żelewska (walczy o palmę pierwszeństwa w malarstwie z własną matką, równie pilną uczestniczką prac ogniska) itd.

W końcu niezmordowany pedagog zaprowadził mnie do dwunastoletniego chłopca, który wysuwając z przejęcia koniuszek czerwonego języka, szkicował węglem profil stojącego przy sztalugach magazyniera. Węgiel pryskał mu w palcach i czarnym pyłem osiadał na chropawym papierze. Malec się tym nie peszył i śmiałymi kreskami wykańczał szkic. Podobieństwo modela i rysunku było uderzające.

— To chyba największy nasz talent — zaszeptał czarny nauczyciel — wiele sobie po nim obiecuję. Proszę popatrzeć: rysuje jak stary, majster. Co za śmiałość linii. Jak doskonale uchwycone podobieństwo. Ten

podbródek. Te brwi. Będzie z niego malarz całą gębą. Za jakieś dziesięć lat może być w Polsce głośno o Bernardzie Dębku.

— Jak pan powiedział? — przerwałem zaskoczony tym nazwiskiem wracającym jak powrotna fala. — Jak się nazywa ten chłopiec?

— Dębek — powtórzył spokojnie. — Bernard Dębek. Syn naszej instruktorki hafciarskiej, Waleski Dębkowej. Mieszka tu na drugim piętrze razem z matką i rodzeństwem, ale całymi dniami, jak tylko wróci ze szkoły, przesiaduje w ognisku. Matka narzeka, że znarowiłem jej chłopaka. Myślę jednak, że w głębi serca cieszy się chyba z tego. Jej mąż też był artystą. Podobno kończył rzeźbę w Krakowie u Dunikowskiego.

*

To była niespodzianka. Waleska, siostrzenica proboszcza, żona Bernarda Dębka. Dlaczego ksiądz nie wspomniał o tym ani słowem? Czy to ona była przyczyną dziwnej niechęci, którą wyczuwałem na dnie opowieści tarnowieckiego Medyceusza o swym protegowanym? Jakkolwiek zresztą było, nastręczała się doskonała sposobność do ostatecznego rozwiązania wszystkich zagadek. Postanowiłem z niej skorzystać i odwiedzić księżowską krewniaczkę.

Pożegnałem się z uprzejmym kierownikiem i poszedłem na drugie piętro. Zapukałem. Drzwi otworzyła mi sama gospodyni. Waleska. Dziwaczne to imię nie bardzo „pasowało" do właścicielki. Przywędrowało na Kaszuby jeszcze w poprzednim stuleciu z Niemiec, gdzie sentymentalne mieszczaństwo wyrażało nim swój kult dla nieszczęśliwej kochanki „boga wojny". Chrzczono nim dziewice, wzdychające potem *„ah, wie romantisch!"*, kiedy romantyczni kanceliści i subiekci w cylindrach i podcinających uszy „vatermörderach" wycinali ich miano w korze germańskich lip i dębów. Dziś było skamieliną pozostałą po minionej epoce.

Pani Dębkowa nie przypominała zupełnie portretów pięknej szambelanowej z Walewic. Stworzona była na obraz i podobieństwo gburskiego rodu Grulów. Wysoka, koścista, z surową, męską niemal twarzą i płowym, bynajmniej nie bujnym warkoczem, oplecionym jak korona dokoła głowy, nie mogłaby się wyprzeć bliskiego pokrewieństwa z tarnowieckim plebanem. Nawet głos i ruchy miała tak samo władcze, jak jej stryj. Wszystko to nie wróżyło łatwej rozmowy.

Kiedy jednak powiedziałem, że interesuję się pracami Bernarda Dębka, „gotycka" twarz pani Waleski rozjaśniła się nieco, a w chłodnych oczach zabłysły życzliwe iskierki. Zaprosiła mnie do swego pokoju.

Był nieduży, zatłoczony rozmaitymi sprzętami. Na środku stał czworokątny stół, nakryty czystym obrusem. Obok drzwi wiodących do sąsiedniego pomieszczenia, kuchni czy sypialni, ludowa skrzynia i kredens jaskrawo barwiły się kaszubskimi wzorami. W pobliżu okna, zasłoniętego nakrochmalonymi firankami, tuż przy trawiastej, pluszowej kanapie, połyskiwała szybami jasna szafa, zatłoczona książkami i rulonami papierzysk. Stała na niej tandetna figurka Matki Boskiej depczącej węża. Haftowane serwetki na kredensie, fabryczny gobelin z zezowatymi jeleniami i srogim myśliwym, fotografie i oprawione dyplomy porozwieszane na ścianach uzupełniały tę dziwaczną mieszaninę stylów. Pokój przypominał pobojowisko walki stoczonej przez dwa odmienne smaki.

Na stole pod różową lampą leżał album w okładce z szarego płótna, zahaftowanej kaszubskimi margerytkami, słońcami i sercami. Domyśliłem się, że to praca pani domu.

— Pani od dawna interesuje się kaszubskim haftem? — nawiązałem rozmowę.

— Będzie już chyba piętnaście lat — odpowiedziała. — Bernard, ile razy przyjeżdżał na wakacje, zawsze powtarzał, że trzeba ratować ludową sztukę. Sam chodził po okolicy, fotografował stare figurki, kapliczki. sprzęty, chaty, a mnie namówił do kopiowania wzorów ze starych czepców i serwet. W trzydziestym dziewiątym roku zamierzałam nawet zorganizować w Tarnowcu kurs hafciarski. Pozostało mi z tamtych czasów trochę haftów i cały strój kaszubski, z czepcem, z gorsetem.. Chciałam w nim ślub brać, ale wybuchła wojna i wszystko przekreśliła.

Po szybach stukał deszcz jak cierpliwe palce telegrafisty, nadające depeszę długą i zawiłą. Z sąsiedniego pokoju, zza uchylonych drzwi dochodziło jednostajne tykanie zegara. Siedziałem przy stole naprzeciw kobiety w ciemnej sukni i patrzałem na jej skupioną twarz. Światło lampy rzucało na biel firanki nasze cienie. Jeden z nich poruszył się właśnie. To gospodyni położyła na płóciennej oprawie albumu dłoń dużą i szorstką, ale kształtną. W jej czystych, krótko przyciętych paznokciach zamigotał poblask żarówki.

— Pytał pan o prace mego świętej pamięci męża — powiedziała cicho. — Tu znajdzie pan wszystkie fotografie. Całe jego życie — dodała i przysunęła album w moją stronę .

Wyciągnąłem rękę, by otworzyć go, i nagle ogarnęło mnie pragnienie, by odwlec tę chwilę.

— Całe jego życie — powtórzyłem w myśli.

Uświadomiłem sobie, że naprawdę leży przede mną, zamknięte w szare okładki tego kaszubskiego „Janka Muzykanta", który z wiejskiego chłopca przedzierzgnął się w zbuntowanego rzeźbiarza z etykietką „bezbożnika", a potem w zgorzkniałego odludka, tłukącego kamienie na tarnowieckiej szosie. Śledziłem go od rana. Z rosnącym zainteresowaniem i niecierpliwością odwracałem kartka za kartką jego życiorys, ale teraz, kiedy zacząłem się zbliżać do kresu jego splątanej drogi, zabrakło mi odwagi, by odwrócić ostatnią stronę. Poczułem śmieszny lęk dziecka, które ma przekroczyć próg ciemnego pokoju.

— Obaśnię panu te zdjęcia — przerwała moje wahanie Dębkowa.

Przysunęła swe krzesło bliżej mojego i otworzyła album, dotknęła palcem pierwszej, wyblakłej odbitki.

— To w Tarnowcu, w trzydziestym dziewiątym roku. W plebańskim sadzie. Bernard przyjechał wtedy z wojska na kilka dni urlopu.

Po jej poważnej twarzy przemknął uśmiech, jak przelotne muśnięcie słońca, łagodzące surowe rysy. Może dlatego poznałem od razu, że wysoka, uśmiechnięta panna w letniej kwiecistej sukience, stojąca w cieniu kwitnącej jabłoni, to właśnie ona. Tuż przy niej stał młody, chudy człowiek w wojskowych bryczesach i sportowej koszuli. Na twarz padały mu cienie liści. Chyba to wywoływało wrażenie, że marszczy brwi i patrzy wilkiem. Wydawał się posępny i skrępowany jak ktoś, kto włożył cudze ubranie.

— To były szczęśliwe dni — westchnęła komentatorka odkładając zdjęcie.

Na jednej z dalszych fotografii, wyraźnej i ostrej, stara kobieta w chustce na siwych włosach schylała pomarszczoną twarz nad glinianą misą, pełną ryb.

— Matka Bernarda — objaśniła pani Waleska — mąż sfotografował ją tuż przed wojną. Właśnie w czasie tego urlopu. Chciał ją wyrzeźbić w tej pozie, ale nie zdążył. Umarła wkrótce potem, w grudniu. A to — dodała obracając karty albumu — zdjęcia z czasów poznańskich i krakowskich.

Przeglądałem amatorskie fotografie, pamiątki ze studenckich wycieczek i zabaw, grupowe zdjęcia pod barokowymi arkadami poznańskiej Szkoły Zdobniczej, na tle krakowskiej Akademii, w rzeźbiarskich i malarskich pracowniach. Dębek inaczej tu wyglądał niż w plenerze proboszczowskiego ogrodu. Nie było w nim sztywności ani skrępowania. Patrzał z połyskliwych odbitek wesoło i zadzierzyście.

I prace jego, których podobizn nie brakło, cechowała ta sama zadzierzystość i śmiałość. Były wśród nich świetnie skarykaturowane głowy

profesorów i kolegów, były nieomylne w liniach i ruchu rzeźby: arkońskiego Swarożyca, pomorskich chłopów i rybaków, Jana z Kolna, Arciszewskiego, Ceynowy, studia ludzi i zwierząt. Kipiała w tych pracach nieokiełznana młodość, ale nie trudno też było w nich dostrzec drapieżne ślady „lwiego pazura". Zajęła mnie zwłaszcza jedna z rzeźb.

— Madonna Morska — objaśniła Waleska — ostatnia praca Bernarda przed wojną. Mąż bardzo ją lubił, choć nie podobała się ani mnie, ani wujowi. Ksiądz wuj to człowiek uczony i mądry, ale starej daty. Zawsze się złościł, że Bernard „nagusy" rzeźbi. Fotografie tych prac chowam w osobnej kopercie, żeby dzieci nie zobaczyły — dodała nawiasem. — Tłumaczyłam nieraz wujowi, że rzeźbiarz musi modelować akty, że bez tego nie dostanie dyplomu. Ale tym razem sama musiałam przyznać mu rację. Nie dziwiłam się, że jak zobaczył ten projekt, nie chciał już więcej widzieć Bernarda na plebanii.

Projekt podobał mi się, rozumiałam jednak oburzenie proboszcza. Na fotografii jaśniał akt kobiecy, doskonale widoczny mimo powłóczystej, opływającej go szaty. Kształty i twarz urzekały pięknem. Najdoskonalszą jednak zaletą w tym dziele był ruch. Zdawało się, że rzeźbiarz podpatrzył morską falę, w chwili kiedy wspina się do skoku na brzeg, w tej ostatniej sekundzie, nim załamie się i rozbije w śnieżystą pianę. Nieporównana we wdzięcznym przegięciu, buntownicza, zdobywcza, parła przed siebie jak dopiero co wspomniana w ognisku Wolność na paryskich barykadach Delacroix'a. Zastanowiły mnie też rysy Madonny. Były mi dziwnie znajome. Jakby przez welon mgły przebijała w nich chyba tamta twarz z tarnowieckiego pomnika.

— Nie lubię tej figury — żachnęła się gospodyni, widocznie niezadowolona, że zbyt długo przyglądałem się zdjęciu.

— Dlaczego? — zapytałem — To przecież doskonała rzeźba.

— Zepsuła mi ostatni, przedwojenny rok — wyjaśniła niechętnie. Ksiądz wuj się rozgniewał. Potem Bernarda powołali do wojska. Wrócił z wojny ciężko chory. Lekarze mówili, że grożą mu suchoty. Za młodu nie dojadał. Kto nie ma ryb, jest kontent z zupy — powiadają tutejsi rybacy. Ale u jego rodziców i tej zupy nie było za wiele.

— Na studiach też pewnie było nie lepiej — wtrąciłem w nadziei, że dowiem się czegoś o tamtym okresie.

— Rozmaicie mu się działo — odpowiedziała. — Nikt o niego nie zadbał, żeby jadł w porę. A Bernard, jak pracował, o wszystkim zapominał. Nieraz nawet mojej paczki nie odebrał z poczty. Mógł przez cały dzień nic nie wziąć do ust. To musiało się odbić na zdrowiu. Ilem się nakłopotała, nim go z tej choroby wydobyłam. Długi czas nie wie-

rzył, że wyzdrowieje. Powtarzał, że taki suchotnik jak on nie powinien wiązać nikomu życia. Dopiero jak mieli mnie wywieźć na roboty do Niemiec, wzięliśmy cichy ślub.

Niespodziany kaszel wstrząsnął jej płaską piersią. Kaszlała długo, zasłaniając usta dłonią. Miałem czas zastanowić się, co skłoniło Bernarda do tego kroku: miłość, litość czy chęć spłacenia drażniącego, narastającego z każdym dniem długu wdzięczności wobec księżowskiej siostrzenicy: paczki wysyłane do Krakowa, bronienie Bernarda przed wujem, a wreszcie czuła, choć może natrętna opieka podczas choroby mogły zadecydować o powstaniu tego dziwnego domu, w którym drobnomieszczańskie meble i gipsowe świątki kłóciły się z kaszubskimi sprzętami i „nagusami" rzeźbiarza.

— Ciężkie musiało tu być życie podczas okupacji — zauważyłem.

— Szkoda mówić — westchnęła. — Z początku to Bernard kamienie tłukł. Potem dostał się na majątek jako buchalter. Ja haftowałam. Urodził się nam syn, potem córka. Było ciężko, ale myślałam już, że jakoś szczęśliwie wyjdziemy z tej wojny. Nie spodziewałam się, że przyjdzie takie nieszczęście.

O szyby uderzała fala gwatłownego deszczu. Przez szpary nieszczelnego okna przedarł się wicher i poruszył białe fałdy firanek. Zafalowały na nich cienie mroczne i przerażone.

— Psia pogoda dzisiaj — szepnęła Waleska — jak wtedy. Jak tamtego wieczora. Nigdy tego nie zapomnę, jak nagle otworzyły się drzwi i wszedł ten Kukliński — wspomnienie tamtej chwili przejęło ją dreszczem. — Szedł od niego trupi ciąg. Czułam, że przyniesie nam nieszczęście.

— Któż to był ten Kukliński?

— Przyjaciel Bernarda jeszcze ze studiów. Pracował w gdyńskim porcie i był w konspiracji. Grunt mu się zaczął palić pod nogami. Przyjechał tu i prosił, żeby go ukryć. Mieszkaliśmy w samym środku wsi. Niemcy patrzeli nam na ręce. Zaraz by się wydało, że siedzi u nas ktoś obcy. Pierwszy raz pokłóciłam się wtedy z mężem. „Nie jesteś sam — tłumaczyłam — masz żonę, dzieci. Nie wolno ci ryzykować głową". Obraził się. Zaraz po kolacji pogadał z przyjacielem, narzucił płaszcz i razem wyszli w noc.

— Na Pustkowie — uzupełniłem opowieść.

— Skąd pan wie? — zdziwiła się i jej usta, wąskie jak dwie kreski znaku równania, zacięły się w jedną, czarną niemal linię.

Ale trwało to zaledwie sekundę. Nie czekając na moją odpowiedź mówiła dalej:

— Zawsze bałam się tego Pustkowia. Przed wojną też nie lubiłam, kiedy tam chodził. I dobre miałam przeczucie. Nic dobrego nie przyniosły te nocne odwiedziny. Ani Bieszkom, ani nam. Bo Bernard...

Przerwała, pochyliła głowę i ciężko odetchnęła. Przez chwilę słychać było jedynie poszum ulewy, głos wiatru zaplątanego w gałęziach starych drzew za oknem. Kobieta patrząc na swoje ręce zdawała się zbierać siły do dalszej opowieści.

— Jak wracał stamtąd — podjęła wreszcie — natknął się na żandarmów. Całą noc tłukł się po Bielawskich Błotach. Krył się, czołgał, zapadał po pas w trzęsawiska. Wrócił rano ledwo żywy, przemoczony do nitki, zabłocony jak nieboskie stworzenie. Na drugi dzień zaczął kaszleć. Choroba zaczęła się od nowa. Już z niej nie wyszedł. Na wiosnę w czterdziestym siódmym zgasł...

To pretensjonalne, godne klepsydry określenie zabrzmiało w moich uszach jak dysonans.

— Dobrze jeszcze, że nie powiedziała „zasnął w Panu" — pomyślałem.

Zakaszlała znowu, nie przerywając jednak opowiadania:

— Zostałam sama z trojgiem dzieci. Jarek, najmłodszy, urodził się krótko przedtem. I znowu zwaliły się kłopoty. A dopiero co zaczęło się nam lepiej powodzić. Jak się tylko wojna skończyła, Bernard dostawał zamówienie za zamówieniem. Ledwo nadążył z robotą.

Wskazała stos fotografii:

— O, proszę popatrzeć, ile figur wyrzeźbił przez te ostatnie dwa lata.

W sąsiednim pokoju zapłakało dziecko. Piskliwy, dziewczęcy głosik na próżno starał się je uspokoić. Kobieta podniosła się z krzesła.

— Jarek się obudził — powiedziała. — Brygidka nie potrafi go uspokoić. Muszę iść na chwilkę do dzieci. Może pan obejrzy sobie tymczasem resztę zdjęć.

Wyszła i zaraz usłyszałem jej przytłumiony, ale gniewny głos:

— Co tu za hałasy?

— On nie chce spać — tłumaczyła piskliwie Brygidka — prosi o bajkę. Tę, którą nam tatuś zawsze wieczorami opowiadał.

— O żelaznym wilku i Doblym Jezioze — dopominał się płaczliwie malec.

— Za późno teraz na bajki — ucięła kategorycznie matka. — Nie możesz spać, to uklęknij. Pomodlimy się za tatusia.

Wróciłem do albumu. Przerzucałem wskazane mi przez Waleskę odbitki: szablonowe figury przydrożne, tandetne kościelne posążki, nagrobki ze sztucznego kamienia. Były na nich ckliwe anioły, nudni

święci, banalni pielgrzymi, oparci czołami o krzyże, dobrzy pasterze z barankami na rękach, Madonny o cukrowym uśmiechu. Słowem: archiwum rzeźbiarskich okropności, dzieła określone przez plastyków bezlitosnym słowem „knot".

Nie poznawałem Dębkowego dłuta. Gdzie podziała się jego oryginalność, odwaga, rozmach? Co stało się z twórcą Madonny Morskiej? Był taki, jakim chcieli go widzieć ksiądz proboszcz i jego parafianie, nagiął się do ich gustu, rzeźbił to, czego żądali, skapitulował. Dlaczego? Czym wytłumaczyć jego rezygnację? Czy tylko zmęczeniem, chorobą, koniecznością utrzymania żony i dzieci?

Zrobiło mi się nieswojo, że tak bezceremonialnie wchodzę w cudze, zamknięte już życie, że swoimi domysłami zniekształcam może jego najintymniejsze, najtrudniejsze sprawy. Wyciągnąłem z kieszeni pudełko i wyjąłem papieros. Zapaliłem go drżącymi rękami, zaciągnąłem się dymem i odkładając zapałki strąciłem mimo woli jedną z fotografii.

Pochyliłem się i podniosłem z ziemi amatorskie zdjęcie młodej dziewczyny o twarzy anioła z tarnowieckiego cmentarza. Patrzałem i upewniałem się o tym coraz bardziej. Ten sam śmiały profil, bujny węzeł włosów, wyraziste oczy, uśmiech rozchylający pełne wargi.

U dołu ktoś napisał kilka słów. Atrament wyblakł, musiałem połyskliwą odbitkę zbliżyć do oczu, by je przeczytać. To, co wziąłem początkowo za objaśnienie, okazało się dedykacją:

„Kochanemu Bernardowi, żeby zawsze pamiętał o czarnej królewience — od kochającej brutki..."

A niżej, pod tymi dwiema liniami wyraźny podpis i data:

„Barbara, Pustkowie, sierpień 1937".

O szyby ciągle bębnił uparty, listopadowy deszcz. Z ciemnego pokoju dochodził spokojny głos gospodyni, która z Brygidką i małym Jarkiem odmawiała długi i monotonny, jak stukot deszczowych kropel, pacierz za tatusia i dusze w czyśćcu cierpiące.

— Brutka to przecież po kaszubsku narzeczona — przypomniałem sobie.

Znalazłem ostatni wyraz rozwiązujący trudną krzyżówkę. Rozumiałem już złość Klary, słowa starego Bieszka, milczenie księdza i zaciśnięte usta Waleski, kiedy w swojej opowieści natknęła się na Pustkowie. I zrozumiałem, co oznaczał kamienny, pełen triumfującego życia uśmiech cmentarnego anioła.

To był ostatni cios Bernardowego dłuta. Mocny i wyraźny jak podpis pod testamentem.

Franciszek Fenikowski

STROFA

Gdy już zamilkną i kroki, i głosy,
Gdy w ciszy znowu oddycham jak człowiek,
Dopiero wtedy żywe ludzkie losy
Prawdziwy obraz kreślą w mojej głowie;
Pięść się zaciska, łza błyska u powiek
I w czterech ścianach prawda szumi szersza,
Niż tamta, którą herold dnia opowie:
Jego relacja jest pusta, choć pierwsza —
Ale wszystko pomieści jedna strofa wiersza.

OKTAWY PRZY WINIE

Witaj szklanico wytrawnej czerwieni!
Witaj mi łyku tęgi i szumiący!
Witaj kompanio nieproszonych cieni,
Którą napędza zmierzch niepokojący!
Witaj szalona głowo! Gdzieś w przestrzeni
Zerwał się znowu ten podmuch gorący,
Co iskrzy oko spoza próżnych dzbanów
Odbitym blaskiem gwiazd i oceanów.

I znowu żagiel łopocze nade mną,
Łatany, zblakły, schłostany wichurą —
I znowu księżyc srebrzy drogę ciemną,
I Eldorado gdzieś tam poza chmurą —
I znowu serce wzbiera nadaremno,
Tknięte przedziwną jakąś awanturą —
I znowu miłość — flaga potargana,
Ludziom niechętna, bogom nie poddana.

Powiecie, że to nastroje przebrzmiałe?
Że epigonizm poetycki? — skądże!
Człowiek jest wieczny — i serce dojrzałe,
Tylko gdy szczerze bije — bije mądrze.
Nie wszystko to co chwalone to trwałe —
A tak jak iskra w atomowym jądrze,
Nagłe uczucie w codzienności drzemie
I przenikając niebo — wzrusza ziemię.

W GÓRACH

Trudno być sprawiedliwym pośród ludzkich gwarów —
Łatwiej na ścieżce skalnej, co w ciszy zakrzepła,
Z uśmiechem witać żmiję szukającą ciepła
Pod słońcem mdłym, zgaszonym falami oparów,
Lub krwią karmić jastrzębia oślepłego. Ale
Na głos ludzki lawina biegnie — i ja wracam stale.

Trudno być sprawiedliwym człowiekiem i dobrym...
Ale być samolubnym i złym — jeszcze trudniej...
Mgła cześnie, gdy samotny w jesienne południe
Stoję przed skalną ścianą. Nade mną szczyt modry.
A ja tu o tych myślę, co za mną zostali.
Naprzód! Nim szczytu sięgnąć zdołam — zachód się zapali.

Juliusz Żuławski

Wrzesień 1954

TADEUSZ BREZA

Wspomnienie o „Węzłach życia"

„Niechaj dusza twoja będzie związana węzłami życia". (Pierwsza Księga Samuelowa, rozdział 25-ty, werset 29).

Zofię Nałkowską poznałem prawie trzydzieści lat temu. Chodziłem jeszcze do gimnazjum, ale już miałem kilka wierszy wydrukowanych. Przyjęło je pisemko akademickie wychodzące w Poznaniu, gdzie mieszkałem, które najprawdopodobniej nazywało się „Życie Literackie". Zgasło niebawem. Toteż nikt o nim nie pamięta. Tylko może jeden ja, ponieważ uczyniło mnie autorem.

Już więc jako autor, jadąc pod Lublin na wakacje, zatrzymałem się w Warszawie. Krewna moja, przebywająca w Poznańskiem, pisarka, którą później wykreśliła z pamięci środowiska literackiego jej publicystyka, mówię o Marii Jehanne Wielopolskiej, opatrzyła mnie w listy polecające do autorów warszawskich. Tych listów było trzy. Pierwszy z nich adresowany był do Zofii Nałkowskiej, drugi do Jarosława Iwaszkiewicza, a trzeci do Juliana Tuwima, na którego wiele lat potem napisała Wielopolska swój niesławny pamflet.

Ale wówczas była kim innym. Była autorką K r y j a k ó w, do których dał jej przedmowę Żeromski. Była autorką szumnych i zaciekłych polemik prowadzonych na łamach „Wiadomości Literackich" z ponurym katolikiem, Karolem Hubertem Rostworowskim. Z Nałkowską Zofią przygotowywała również do druku tom nowel o zwierzętach pod tytułem K s i ę g a o p r z y j a c i o ł a c h, która ukazała się niebawem.

Ta książka zadecydowała, że z trzech listów, w jakie zostałem zaopatrzony, zużytkowałem tylko list do Nałkowskiej. Przed Tuwimem i przed Iwaszkiewiczem obleciał mnie ów *timor reverentialis*, o którym tyle pięknych słów napisał św. Jan Fidanza zwany Bonawenturą.

Do pani Nałkowskiej odczuwałem tyleż rewerencji, co do obu poetów ze „Skamandra", ale rozmowy z nią mniej się bałem. Miałem z nią o czym mówić. Nie tylko o moich wierszach, których próbki znajdowały się we wszystkich trzech kopertach. Straszno się wtedy każdemu początkującemu robi, kiedy jego utwory stają się wyłącznym tematem rozmów z wielkimi. Z Nałkowską mogłem sobie pogadać o nowelach Wielopolskiej, mających wejść w skład ich wspólnej książki. Wybrałem się więc do Zofii Nałkowskiej.

Dziwną rzeczą są rozmowy. Są trochę jak sny. Jeśli od razu ich nie zapisać, nic się z nich nie pamięta. Jednak pomimo tego bezwzględnego prawa, chociaż z tej pierwszej rozmowy nie zapamiętałem żadnego sformułowania i żadnych słów Nałkowskiej, zapamiętałem wrażenie, jakie na mnie rodzaj jej rozmowy zrobił, bo rodzaj był niezwykły.

Zdefiniować go nie jest łatwo. Nawet dziś po tylu, tylu rozmowach z Nałkowską nie jestem pewien, czy to potrafię. Było w jej rozmowie to samo zdumiewające połączenie skomplikowania i prostoty, które znamy z jej pro-

zy. Ale oczywiście jej rozmowy były czym innym niż jej pisanie. Chociaż w jej życiu rozmowa pełniła niezmiernie ważną funkcję, pełniła funkcję inną. W późniejszym swoim życiu spotkałem wielu świetnych rozmówców. Do takich należał Giovanni Papini. Człowiek wychodził od niego zasmucony. Bo nie znał tych książek, które on oczywiście znał. Bo nie znał tych miejsc, które Papini, rzecz prosta, znał jak własną kieszeń, bo nie wpadł na te myśli, którymi olśniewał i które uważał za takie naturalne. Podobnie jak Papini zasmucał, podobnie znowu Karol Irzykowski rozdrażniał. Rozmawiał w ten sposób, w jaki gra się w gry hazardowe. Chciał za wszelką cenę wygrać. W każdej poruszonej kwestii okazać, że ma rację.

Otóż autoafirmacyjne pobudki nigdy w rozmowie Nałkowskiej nie występowały. Nie po to rozmawiała, żeby przekonywać, ani też nie po to, by ją przekonywano. Wydaje mi się, że od tak dawna miała świadomość najdoskonalszej klasy swojej rozmowy, że przestała się temu faktowi dziwić. Nie podziwiała siebie i w tym względzie nie był jej wcale potrzebny cudzy podziw. Nie oznacza to jednak, żeby rozmawiała bezinteresownie. Ona bardzo potrzebowała rozmowy. Tak jej potrzebowała jak rzadko który pisarz. Bo to było jej okno na świat. Albo raczej, jeszcze ściślej, okno na życie.

Nie rozmawiała więc po to, aby okazać, jaka to ona jest oczytana i jaka inteligentna. I nie rozmawiała też po to, żeby się zabawić czy zabić czas. Rozmawiała poszukując i przypatrując się życiu. Nie o materiał jej szło, a przynajmniej nie o materiał w najprostszym znaczeniu tego słowa. Nie o zdarzenia, nie o fakty, nawet nie o te językowe ciekawostki i smaczki, na które ludzie pióra tak lubią polować, nie o te wszystkie specyficzności języka potocznego, nieoszacowane przy robieniu dialogów. Nałkowska, wychylona przez to swoje okno na życie, innych rzeczy chciała się dopatrzeć. Mechanizmu różnych sił, które kryją się za każdym zdarzeniem. Procesów intelektualnych, uczuciowych i myślowych, które stoją za każdym odezwaniem. Żeby się czegoś w tej kwestii dowiedzieć, musiała wiedzieć, jak się o te różne rzeczy pytać.

Tę umiejętność opanowała w sposób mistrzowski. Pytała tak po prostu. A kiedy człowiek odpowiadając jej plątał się, pomagała mu w sposób niepostrzegalny. Wspomniałem przed chwilą przykładowo o dwu innych świetnych rozmówcach, z którymi się w późniejszych latach zetknąłem. Tym pierwszym zasmucającym i tym drugim rozdrażniającym. To, co oni robili w wielkiej skali, iluż z nas robi w mniejszej! Puszymy się, próbujemy drugich zdominować. Stroimy się w różne piórka. Tego nie było u Nałkowskiej. Zarazem jednak, jak już wspomniałem, jej rozmowa nie była ani bezinteresowna, ani bezcelowa. Nie była łatwa, ale także nie była męcząca. Była nieskrępowana, a jednocześnie nie żywiołowa. Była pełna humoru, ale zawsze była serio. Był to więc rodzaj rozmowy rzeczywiście niezwykły. Uczynił też na mnie wielkie wrażenie. Ale właśnie w takich sytuacjach człowiek jest przez to upośledzony, że nic nigdy prócz ogólnego wrażenia nie pamięta. Tak samo jest ze mną i w tym wypadku. Lecz ogólne wrażenie pamiętam wybornie do dziś. Oto po godzinnej wizycie wyszedłem od Nałkowskiej zadowolony z siebie i pełen radości, widząc, że to wcale nie jest takie trudne inteligentnie z literatami rozmawiać. I dopiero trzeba mi było wielu lat i wielu rozmów z Zofią Nałkowską, żeby maszynerię tego wrażenia zrozumieć.

Była tych rozmów nieprzebrana ilość. Po maturze przeniosłem się do Warszawy. Zachodziłem więc na Marszałkowską pod numer czwarty, gdzie pani Zofia mieszkała przez długie lata. A potem odwiedzałem ją we wszystkich jej mieszkaniach wojennych i powojennych. W pierwszym powojennym rozległym apartamencie w Łodzi, a z kolei w obu warszawskich: na Brackiej i na Krakowskim Przedmieściu. Kiedy z Brackiej przeniosła się na Krakowskie do tak zwanego Domu Literatury, gdzie już wtedy mieszkałem, śmiejąc się rzekła: „Nigdy nie byliśmy tak blisko". Rzeczywiście, mierząc sprawę miarą mieszkaniowo-przestrzenną nie podobna było być bliżej. Natomiast mierząc sprawę miarą znajomości, przyjaźni, zrozumienia, byliśmy sobie już od dawna bliscy. Tak się ta rzecz ułożyła od czasu wojny. Przez pierwsze piętnaście lat kontaktów z Zofią Nałkowską należałem do tego szerokiego, wciąż poszerzającego się koła młodzieży literackiej, które fascynował jej talent i jej technika. Czytałem jej książki, odczytywałem, rozgryzałem. Pisałem o niej kilka razy. Przed wojną tyle o niej jednak pisano. Można powiedzieć, że była w tym względzie zepsuta. Lubiła więc tylko, jak było napisane ciekawie i inteligentnie. Pochwał nie zauważała. Te się rozumiały same przez się. Była przecież dzieckiem szczęścia, od pierwszych rymowanych panieńskich szczebiotów budzących zachwyt. Z chłodem w tej mierze zetknęła się nieomal u samego kresu swej drogi. Ale wtedy, kiedy ja pisałem o niej, byłem jednym z chórzystów śpiewających: Gloria! Gloria!

Czasami po takich występach dzwoniła do mnie. Dzwoniła też albo zapraszała karteczką nas, to znaczy moją żonę i mnie, na swoje wielkie przyjęcia. Na takich przyjęciach można się było natknąć na dziesiątki istot w moim rodzaju. Wojna to zmieniła. Odczułem to wprędce. W połowie października, już po Wrześniu, przyszedłem do niej z żoną. Przed paroma dniami Zofia Nałkowska wróciła z wędrówki. My również. Spędziliśmy u niej popołudnie i wieczór. Rozmowa szła jak po grudzie. Nie była świetna. Może to właśnie ona nas zbliżyła. A może zwyczajnie to, że mieszkaliśmy niedaleko siebie i że to było ważne w epoce okupacji. A może także z tego powodu, że z rozległego pisarskiego świata, któremu Nałkowska była bliska, i z tej młodzieży, która się wokół niej grupowała, nieliczni jedynie pozostali w Warszawie. Zacieśniły się więc stosunki.

I takie dotrwały już do ostatnich dni jej życia. A nawet wolno mi powiedzieć, że do ostatniego dnia. Do owego ostatniego wieczora w życiu Zofii Nałkowskiej, kiedy jeszcze pracował jej umysł przytomnie. Ten wieczór spędziła u niej zgodnie z naszym sąsiedzkim obyczajem moja żona. Mnie wtedy nie było w Warszawie. Na stoliku leżały P a m i ę t n i k i O p o l a n. Była to najpewniej ostatnia książka, którą Zofia Nałkowska czytała. Przyniósł jej tę książkę redaktor P a m i ę t n i k ó w, Ryszard Hajduk. Tego samego dnia zabrała się do czytania jej. Była książką głęboko poruszona. Do tematu Opolszczyzny często powracała w rozmowach. Trapiło ją, że o tyle mniej niż pragnie wie o tej ziemi, z której wybrano ją posłem do Sejmu. Po P a m i ę t n i k a c h, które zajęły jej ostatni wieczór, wiele sobie obiecywała. Mówiły o ludziach, a ona umiała zrozumieć wszelką sprawę tylko poprzez ludzi. „Jaki materiał" — powtarzała. „Jaki to materiał!". Taka była jej ostatnia książka. A ostatni temat przez nią poruszony to sprawa broni masowej zagłady. Mówiła, że ze wszystkich sekretów natury, które człowiek

rozszyfrował, sekret energii atomowej jest najniezwyklejszy. I akurat to, co rozum najlepszego wynalazł, miałoby się obrócić na najgorsze! Nie po to przecież rozum taką rzecz wynajdywał. Z tym się nie mogła zgodzić jak wierzący człowiek z bluźnierstwem. Poza wszystkim innym, tym elementem sprawy była przejęta. A ostatnie jej słowa, niejako na marginesie tej rozmowy, brzmiały tak: „I nie myśl, że chodzi mi o mnie. W moim punkcie tak bardzo przedłużającej się biografii jest mi zupełnie obojętne, co mnie z a ł a t w i!". Taki miała ton ironiczno-pobłażliwy, kiedy mówiła o swojej śmierci. Tym samym tonem już przedtem się posługiwała. Ale dotychczas używała go tylko mówiąc o swoim wieku, o swojej starości.

*

Prawie trzydzieści lat temu! Ile to ona przez ten czas książek napisała! „Wspomniane już opowiadania o P r z y j a c i o ł a c h, C h o u c a s, N i e d o b r ą m i ł o ś ć, Ś c i a n y ś w i a t a, G r a n i c ę, N i e c i e r p l i w y c h, M e d a l i o n y, W ę z ł y Ż y c i a i wreszcie ostatnią młodzieżową książeczkę pod tytułem M ó j o j c i e c, tę *vita minor* Wacława Nałkowskiego, bo już jego *vita maior*, nad którą pracowała tyle lat, nie miała dokończyć. Wśród tych wszystkich książek są książki pokazowe, są książki świetne i są też takie, jak ci N i e c i e r p l i w i, o których można powiedzieć nieomal to samo, co Virginia Woolf powiedziała o U l i s s e s i e, eksperymentalnej, sześćsetstronicowej powieści James Joyce'a, nazwanej przez nią „pamiętną katastrofą literacką".

Że N i e c i e r p l i w i są tacy, wiem to raczej od innych niż sam z siebie. Nie ma zresztą na świecie nic łatwiejszego niż otworzyć literatowi oczy na błędy w książce jego kolegi. Ale pomimo tę prawdę i pomimo tego, że książki Zofii Nałkowskiej są różne, wszystkie są dla mnie fascynujące, bo we wszystkich mam do czynienia z jej tak fascynującą osobowością. Kiedy jakiś pisarz staje się nam bliski, lubimy każde jego zdanie, w którym da się odczuć jego obecność. Prawdopodobnie nie jest to dyspozycja właściwa dla krytyka, lecz dla zwykłego czytelnika jest cenna. Niepomiernie wzbogaca jego stosunek do książki.

Bliskie mi są więc wszystkie książki Nałkowskiej. Lecz nie wszystkie jednakowo. Zawsze jedna z nich wzruszać mnie będzie szczególnie. Zawsze do jednej z nich będę miał inny stosunek niż do pozostałych. Po prostu dlatego, że byłem niejako przy jej narodzinach. Niejako znałem ją od maleńkości. Od pierwszego zamysłu, poprzez pierwsze umocowania fabularne aż po wszystkie prace wykończeniowe. Ta książka to W ę z ł y ż y c i a. Powieść ta powstała w czasie okupacji. W trudnym czasie i w ciężkich warunkach. Moim zdaniem, najogólniejsza idea, a raczej pierwsza przesłanka zrodziła się u Nałkowskiej jeszcze przed Wrześniem, Wrzesień zaś podsunął jej tylko drugą przesłankę i wniosek.

Wspomniałem już, że pierwszy września zastał Nałkowską w Warszawie. Jak tylu z nas wahadłowym ruchem ruszyła z zachodu na wschód i z powrotem. Wspomniałem też, że wróciła do swego mieszkania przy Podchorążych. Napisałem również o naszej pierwszej rozmowie po klęsce, rozmowie ciężkiej i nieświetnej. Potem nastał czas, kiedy można się było odzywać tylko o naszym nieszczęściu. A potem znowu czas, kiedy dawało się mówić jedynie

o własnym, codziennym życiu. Tego rodzaju była tematyka we wszystkich domach, do których zaglądałem. Kiedy jednak po dwu tygodniach od pierwszej bytności zajrzałem do Nałkowskiej, zobaczyłem, że pomimo wszystko można mówić o innych rzeczach, a przynajmniej można mówić inaczej. Nałkowska bynajmniej nie otrząsnęła się z tego stanu, w jakim ją przed dwoma tygodniami zastałem. Nie otrząsnęła się, ale nie chciała się poddać. Nie pamiętam, kto wtedy powiedział o niej, że wszystkie zagadnienia nie dotyczące naszej szarej, okupacyjnej codzienności pozostają jak gdyby na przechowaniu u niej. Rzeczywiście, o każdej rzeczy wartej głosu mówiło się wtedy w jej domu, a raczej pokoju, jedynym oszklonym. Do pozostałych części mieszkania wchodziło się tylko po książki, źródło jej wieczystej troski, tak były rozpożyczone.

W tej pierwszej fazie okupacyjnej rozmowy z panią Zofią odbywały się więc na górze. W pilnej sprawie jednak goście wpadali również na dół, do sklepiku z papierosami, który zaraz od pierwszej zimy zaczęły prowadzić obie siostry Nałkowskie, Zofia i Hanna Bickowa, rzeźbiarka. To była nielada zima, ta pierwsza wojenna! Niezwykle ostra! Ulicę Podchorążych, położoną nisko, nie zasłoniętą do strony Wisły, pokrył wysoki nabój śniegu. Dzieci ujeżdżały po nim na łyżwach. Papierosiarze również. Tupiąc, rozpychając się, wpadali po towar w kilkunastu naraz. Był to szalony narodek. Nałkowska powtarzała różne ich powiedzenia i bawiła się nimi.

— Taki jestem wesół, proszę pani — wołał na przykład jeden z nich — że gdybym buty zgubił, to bym jeszcze podskakiwał na boso!

Nastrój do pochwały, ale nie w sklepiku, na domiar kiedy go wyraża mową i uczynkiem cały legion. Niekiedy zresztą chłopcy stawali się spokojniejsi, jak chłopaczki z jasełek czy raczej jak pastuszkowie, wtedy rzeczywiście można było powiedzieć o tej „trafice pani generałowej", że ma w sobie coś ze stajenki betleemskiej. Czarowny spokój nie trwał długo. Już zaczynali hałasować. Trzeba się było uciekać do sankcji. Ale odpędzani rozpraszali się na krótko. Zaraz zaczynali się tłoczyć, a za nimi gromady dorosłych.

Od tego chaosu, od tego zgiełku wzrok pani Hanny Bickowej stawał się półprzytomny, mała sklepowa pomocniczka upadała z przemęczenia. Stężałej atmosferze zawiści i podenerwowania, jaką zionie wszelki ogonek, zwłaszcza parę razy zakręcony w kółko, z końcem na mrozie, każdy po kolei dawał się zgnębić. Nawet ów chłopaczek arcywesoły. Tylko nie pani Zofia, która dnia tego wstała o szóstej, by ze składów gdzieś w polu za miastem odebrać przydział, potem odbyć nad jego przejazdem stróżę, a teraz zwolnić siostrę na popołudnie. Ręce jej jak pianisty, puszczone same, wprost grały, co chciały paczuszkami z towarem, banknotami, resztą, a język również przytomny, z towarzyszeniem wymowy oczu, formułował w pełnym spokoju jakiś sąd doskonały czy pyszne opowiadanie. I nie było to żadne zasłuchanie w sobie, urazowa wymowność i niewrażliwość, ale tak wyborny gatunek całej fizycznej substancji i szarej substancji mózgu, jak bywa czasem doskonały motor, w każdych warunkach na chodzie.

Mimo to sklepik jest oczywiście uciążliwy, zwłaszcza kiedy wszystkie mieszkania na Podchorążych zostają zajęte dla esmanów. Wtedy z wiosną Nałkowskie przenoszą się na Madalińskiego, na rok, bo tam znowu w rok później podoba się mieszkać jakiejś „treuhänderowej". Wtedy dla trzech Po-

lek — a jest ich teraz trzy: pani Zofia, pani Hanna i panna Genia Goryszewska, która od niedawna u pań Nałkowskich prowadzi gospodarstwo — w olbrzymiej Warszawie istnieje tylko jedna możliwość — zagnieździć się w pracowni pani Hanny, na rogu Nowego Światu i ulicy Foksal, na czwartym piętrze, na poddaszu, gdzie latem słońce jak diabli, zimą od wielkich przestrzeni oszklonych mróz, a wiosną i jesienią zacieki i potoki. Ale po cóż od razu cały kalendarz?

Ta pracownia ma być na krótko. Musi być! Grupce osób będących blisko z Nałkowską wiadome jest, że zbiera jej się na pisanie. To odwet za te lata milczenia, zwycięstwo nad przymusem warunków, w które ją pchnięto, odparowanie przynajmniej jednego z ciosów zadanych naszej kulturze, maltretowanej z taką premedytacją. Przecież ze zgrozą liczymy ubytek wśród pisarzy, z prasą podziemną dzielimy boleść nad upadkiem rozmyślnie psutej po szmatławcach mowy. Więc to tryumf dla nas, że oto z mózgu i serca tej właśnie pisarki może popłynąć struga sensu i piękna. Ale gdzie?

Górka u Nałkowskiej była niewątpliwie jednym z najbardziej swoich miejsc, jakie miała kultura w stolicy. Za każdą bytnością zbiegało się z tych wysokich pięter na nowo w oczarowaniu. Zofię Nałkowską odwiedzało stale niewielkie koło jej kolegów literackich. U c z ę s z c z a l i tu również młodzi i ci najmłodsi. O nich to się mówiło, właśnie z taką pomocą terminologii akademickiej, że c h o d z ą na Nałkowską, k o ń c z ą, jak gdyby o jakichś wykładach. Albo nawet wprost o tym czy innym z tej młodzieży, że jest na p i e r w s z y m czy n a d r u g i m r o k u Nałkowskiej.

Nie znaczy to, aby ktokolwiek mógł w przebywaniu z nią odczuwać coś z kursów, bo nic tam nie było szkolarskiego. A tylko rozmowa z osobą pasjonującą się wszystkim, wszystkiego szalenie ciekawą, życia ludzkiego i biegu każdej myśli. Ja już to znałem. Teraz przyglądałem się, jak inni młodzi przychodzili na górę z gotowym materiałem spostrzeżeń i przemyśleń. Nałkowska słuchała jak nikt, po czym następował moment owej świetnej formulacji, kiedy na żywo w pogawędce, którą na chwilę przerwała swoim „Zaraz, zaraz, chwileczkę!" — brała rzecz dopiero co powiedzianą, aby nadać jej kształt jak z igły, krótszy i przejrzystszy. Czyniła tak przede wszystkim, żeby lepiej zrozumieć to, co ktoś powiedział, tłumacząc to sobie na swój własny język, doskonalszy.

A wnioski, którymi opatrywała cudzą relację! Często one dopiero nadawały jej sens i wyjaśniały, po co w ogóle człowiek z nią przed Nałkowską wystąpił. A jakie pyszne były własne opowiadania pani Zofii albo dyskusje w sprawach literackich czy filozoficznych. Gdyby istniała kulturalna nagroda Warszawy za najlepsze utrzymanie atmosfery w tych rzeczach podczas pięciu lat okupacji, przyznałbym ją bez wahania Nałkowskiej! Najprostsza rozmowa z nią, doprawdy, to był wtedy pokaz, o ilu rzeczach zawsze trzeba pamiętać i jak bardzo spokojnie, aby coś zrozumieć. Widząc w jakiej znajduje się formie, można się było wściec, że warunki nie dają jej pisać. Bo ta górka na pracownię literacką się nie nadawała. A poza tym istniała kwestia sklepu, który wymagał od wszystkich trzech kobiet, aby mu cały dzień poświęcały, bo inaczej nic nie dawał. A tymczasem dla ludzi, którzy mieli pełne kieszenie, książka w tej fazie wojny to było coś nierzeczywistego. Zwłaszcza taka, której jeszcze nie było.

Aż w końcu przyszły czasy, że i oni się zmienili. Przez nich zarabiany pieniądz zakosztował wszystkich rzeczy w swoim mniemaniu prawdziwych. Ulokował się w brylantach, w walutach, w zapasach, w domach, w ziemi, w wełnie, w papierze i obrazach, jednak nadal pęczniał po kieszeniach, nie umiejąc sobie miejsca znaleźć. Wtedy poszukał książki. Okazało się, że kiedy chodzi o interes, on się nawet zna na literaturze. Niestety, kiedy szło o literaturę, nie znał się na interesie! Bo wprawdzie do Nałkowskiej się zgłosił, ale jako honorarium zaoferował — w takie słowa oblekł swoją propozycję — „życie za kwartał". Inne pieniądze, którym patronował pewien profesor uniwersytetu, zaryzykowały w tym względzie okres półroczny. Miała to być również zapłata za prawo druku książek Zofii Nałkowskiej po jej śmierci.

— Teraz są takie czasy — oświadczył w rozmowie z Nałkowską ten kandydat na kontrahenta — że pani może już nic nie napisać!

Reprezentant znakomitego nakładcy przedwojennego też się okazał ostrożny i taki sam pesymista. W końcu zjawił się człowiek dorzeczny i przyzwoity, przezwany w s z y s t k o k u p i ć, którego rozmach jednak był znaczniejszy niż środki, uległe przez to rozdrobnieniu. I trzeba powiedzieć, że jeżeli ostatecznie udało się Nałkowskiej związać koniec z końcem nowej książki, stało się to dlatego, że istniał pod Grodziskiem, we wsi Adamowizna, domek należący do państwa Zahrtów, właścicieli apteki na Chłodnej.

Tam na wsi, goszcząc za mnóstwem nawrotów, świadomie i przemyślnie napędzana do roboty przez swoich odwiecznych przyjaciół, mogła Nałkowska dokonać tej wyczerpującej pracy, a technicznie biorąc zupełnie niepojętej, do której się uciekała swoje powieści k l e j ą c. Bo odpowiednie w tym wypadku jest właśnie takie wyrażenie. Książki Nałkowskiej powstawały we wszystkich miejscach naraz. Wyrastały wszędzie na całej przestrzeni przyszłego dzieła jak kiełki na roli. Zarys powieści był autorce dokładnie znany. Nałkowska myślała o niej już widząc całość. Zabierała się zaś do niej w ten sposób, że przez całe miesiące rankami notowała na kartkach kawałki późniejszego tekstu. Dziś rzeczy do jednego rozdziału, następnego dnia do innego. To stąd, to zowąd. Po trosze do różnych opisów, do różnych rozmów, wszystko dość bliskie ostatecznej stylizacji, ale właśnie z rozdziałów nie po kolei i w ogóle nie podporządkowane tokowi przyszłego opowiadania. Aż wreszcie powstawała odpowiednia góra takich akapitów, biała czupryna gotowych do dalszego użytku paseczków. I w końcu było ich dosyć. Wtedy pisarce potrzeba było największego spokoju, i to na czas długi, by mogła się wziąć do trudnej sztuki scalenia cząsteczek, zalewania luk często znacznych oraz wypolerowania całości dla uzyskania owej cudownej, gładkiej, jednolitej powierzchni, jaka cechuje wszystko, co wychodziło spod jej pióra.

Tę pracę wykonała Nałkowska w Adamowiźnie, w ostatnim półroczu przed powstaniem. W owej Adamowiźnie, nie w żadnym latyfundium, lecz w chłopskim gospodarstwie, do którego pan Zahrt dzień w dzień, wracając z farmacji, przykładał ręki. Przez całe miesiące pokój Nałkowskiej, ciasny, niewielki, ale mający tę zaletę, że znajdował się na końcu korytarza, usłany był papierkami. Wszędzie leżały skrawki. Na stole, na oknie, na łóżku. Panna Genia, która teraz nie tylko prowadziła gospodarstwo, ale również „prowadziła papiery pani Nałkowskiej", przewiozła z Warszawy jej D z i e n n i k i. Oca-

lało ich dzisiaj w ten sposób z pożogi powstańczej sześćdziesiąt tomików. Dzienniki pisała Nałkowska przez całe życie. Nie po to wcale, aby gromadzić w nich materiał, ale dla siebie. Ponieważ jednak pamiętała dobrze, co w nich było, nieraz przy zalewaniu owych luk pomiędzy cząsteczkami tej swojej niezwykłej mozaiki przypominała sobie o jakimś opisie czy o jakiejś refleksji z Dzienników, które mogły się w tym miejscu przydać.

Wśród paseczków, wśród papierków, wśród stroniczek, w okularach, z ołówkiem w ręku, bo do pracy twórczej nie używała pióra, łączyła, naklejała, wiążąc wszystko w całość. W tej technice było jeszcze i to niepojęte, że nad tymi wszystkimi składowymi elemencikami grymasiła jak nad cudzym. Tyleż więc wtedy było dopisywania, co odkładania na bok. Że w tej olbrzymiej stercie potrafiła się wyznać, to też był cud. Tak samo jak nielada wyczynem, wręcz cudownym w tych warunkach — mając sobie zakazaną lekturę chociażby jednej linijki z tych paseczków i karteczek — było „prowadzenie papierów pani Nałkowskiej". A trzeba je było prowadzić, bo na to, żeby osiągnęły swój cel, musiał w nich zapanować nie tylko duchowy ład, ale jakiś porządek ziemski.

— Nałkowska to pisze na kartkach, jakoś je kroi, zlepia śliną i ma powieść! — zdumiewał się po odwiedzinach w Adamowiźnie Włodzimierz Pietrzak.

Tylko że to szło w bardzo powolnym tempie. Dopiero na wiosnę czterdziestego czwartego roku można było coś, to znaczy sam początek pierwszego rozdziału, zobaczyć. A raczej tych pierwszych stron wysłuchać. Z jakim niepokojem przeczytanych!

— I to pani ma tremę, będąc Nałkowską — przypominam sobie, że powiedziałem. — Dlaczego?

Odparła żartobliwie:

— A bo chcę nią pozostać.

Był to ten rozdział nowej książki, którym „Odrodzenie" w rok potem rozpoczęło swój okres krakowski. Większa część kraju odzyskała wolność i wtedy mógł się odezwać głos Zofii Nałkowskiej. „To zupełnie jak gdyby dzwon Zygmunta zabrzmiał!" — zakrzyknął wówczas z wzruszającą, ale też i śmieszną emfazą pewien jej entuzjasta. Ale chociaż nieudolnie wyrażony, podniosły nastrój był w tym wypadku na miejscu. Była to przecież tak dla nas, literatów, jak i dla czytelników, nawykłych do głosu Nałkowskiej, chwila odświętna. Myśl ich spieszyła do pisarki, losów jej nie odgadując, ale z dostatku i jakości owocu, który podczas wojny dojrzał, wnosiła, że pracę i osobę Nałkowskiej w tej epoce widać otoczono troską. Wniosek taki częściowo był słuszny. Za to, że był taki choć w części, winniśmy wdzięczność państwu Zahrtom oraz pannie Goryszewskiej, która z takim oddaniem pełniła swoje wszystkie obowiązki u Zofii Nałkowskiej aż do końca.

W Adamowiźnie przeczytała mi Nałkowska ów pierwszy rozdział. Potem dała mi na wieczór całą pierwszą część książki, żebym sam przeczytał. Tekst zrobił na mnie ogromne wrażenie. Przez niejedno. Przez to, że ukazywał Nałkowską bez precjozów, spokojną, z blaskiem umyślnie ściszonym, aby czytających sobą nie rozpraszać. Rozumiałem wybór tego stylu w ten sposób, że widocznie teraz byłoby dla niej szczególnie niecierpliwiące znowu zwracać uwagę swoim jak ona mówi, a nie co mówi.

Powieść również była uderzająca przez to, że ponownie oglądało się Nałkowską, tę z Teresy Hennert i tę z Granicy, a nie tę z tych książek, które prócz rozwiązań psychologicznych nie dają żadnych innych. Tutaj, choć jeszcze do żadnego szerszego rozwiązania nie można się było doczytać, bo konstrukcyjnie nie mogło go być w pierwszej części, ta część zapowiadała bądź co bądź jego nadejście. Chociażby wyrażonym stosunkiem do świeżo zamkniętej przeszłości. Tej sprzed wojny. Stosunkiem do klas rządzących i do warstw wyższych, który we wspomnianych przed chwilą powieściach był chłodny, teraz lodowato zimnym. Może nawet samej Nałkowskiej dopiero pisanie okazało, co myśli, co ostatecznie czuje wobec tej epoki, w której „starzy odeszli od siebie samych", a młodzi „głupieli w oczach". Dawna jej powściągliwość w stosunku do ludzi, na których tyle tylko, że się nie godziła, znajdowała już teraz inne słowa. Ciekawość do ich osób zmieniła się w zdecydowaną niechęć. Taki bywa nieraz bieg twórczości. W rozmowach, w roztrząsaniach, obracając jakąś sprawę w głowie, pisarz patrzy, przygląda się i aby nie spłoszyć, zawczasu nie wyrokuje.

Dopiero kiedy ma ukazać, kiedy w dziele zaczyna wywoływać, to już wywołuje na sąd. Bo choć probował wszystko zrozumieć i powinien zrozumieć, prawdę wybrał tylko jedną. Tutaj była ona, jak się okazało, opóźniona. Przynajmniej owa prawda o tych „starych (którzy) odeszli od siebie samych". Spóźniona to była prawda i bardzo cząstkowa. Mogła dotyczyć jednostek, ale nie całych klas, nie całych warstw, nie ruchów wziętych w całości, które przecież nie mogły odejść z tego miejsca, gdzie ich nigdy w sposób rzetelny i prawdziwy nie było. Świadomość czytelników Nałkowskiej już się na te rzeczy inaczej patrzyła. Druga część Węzłów nie była jeszcze wtedy gotowa. Wszystkie jej elementy widniały na papierkach. Nie budziły w Nałkowskiej zwykłej ufności. Druk w „Odrodzeniu" wpływał na pośpiech. „Czytelnik" też gwałtował. Oddała tekst tak, jak już jej się zdarzało oddawać, tekst jeszcze na warsztacie. Taki był na przykład tekst Granicy drukowany w odcinkach „Tygodnika Illustrowanego". Ale tym razem to nie warsztat był nie gotów. To były różne niegotowości twórcze na wyższym piętrze. Kiedy na koniec Węzły życia całe ukazały się w druku, Nałkowska od razu zabrała się do ich drugiej części po raz wtóry. Przepracowała ją w całości. Ta część jest teraz inna. Przez to i książka jest zmieniona. Ale pomimo to jeszcze nie zadowalała Nałkowskiej. Ta książka, o której tak niedawno powiedziała mi, że „cała powinna być inna".

Ten tekst książki, która się ustalała tak powoli, jeszcze więc podług Nałkowskiej nie był ustalony. Zmieniał się i ona nie była z niego zadowolona. Natomiast tytuł, Węzły życia, tak, jak go sobie obrała, przetrwał przez całe lata zbierania materiałów do tej książki i przez długie lata pisania, i nie przyszło Nałkowskiej do głowy go zmieniać. Granica miała się początkowo nazywać Schematy, Dom nad łąkami — Na torfowiskach. Natomiast Węzły życia to był tytuł, który ani na chwilę nie przestał się jej podobać. Chciałbym na zakończenie tych wspomnień o Węzłach dorzucić jeszcze kilka słów o genezie ich tytułu.

Jest to tytuł ogromnie dawny. Pochodzi chyba z tego czasu, kiedy Nałkowska przed samą wojną jeździła do Wrotkowa pod Lublin, przygotowując się do książki o ojcu. Wrotków był to folwarczek, który należał do jego rodziców.

Otóż w powrotnej drodze, nocując w Lublinie, poszła rankiem na spacer i trafiła na cmentarz żydowski. Na jednym z nagrobków odczytała zdanie, które podałem tu jako motto. Nic o nim nie wiedziała. Nie wiedziała, że ono się powtarza na innych nagrobkach, tak jak na nagrobkach katolickich inwokacja o wieczne odpoczywanie. Zauważyła ten jeden napis, ponieważ był w języku polskim. Ale napis uderzył ją. Zachwycił ją walor leksyczny i pojęciowy owych „węzłów życia". Zapamiętała go sobie. Zapamiętała i po latach zużytkowała. Przekonana była zawsze, że napis był indywidualny. Że był owocem indywidualnej inwencji. Dopiero przed kilku miesiącami ktoś jej powiedział, że to jest prawdopodobnie cytat ze Starego Testamentu. Ale ponieważ to, co stanowi o jego istotnym walorze słownym, w przekładzie ks. Wujka brzmi całkiem inaczej, bo zamiast „węzłów życia" mamy tam „wiązkę żywiących", nikt z biegłych w Piśmie nie mógł jej tej ogólnikowej informacji potwierdzić ani też podać bliższych szczegółów.

A tymczasem rzeczywiście cytat jest z Biblii. Odnalazł mi go łaskawie i wyjaśnił profesor Bernard Mark, dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Zapożyczony jest z tego ustępu Pierwszej Księgi Samuelowej, gdzie Abigail spotyka Dawida i przepraszając go za nietaktowne zachowanie swego męża Nabala, stara się ułagodzić miłymi i podnoszącymi na duchu słowami. Powiada wtedy między innymi do Dawida: „A chociażby powstał człowiek, co by cię prześladował i szukał duszy twojej, niechaj dusza twoja będzie związana węzłami życia, lecz dusze nieprzyjaciół twoich Bóg jako z procy wyrzuci". Wzięty z tego miejsca werset, tradycyjnie figurujący na nagrobkach żydowskich, różnie jest wyjaśniany. Niektórzy tłumaczą go i rozumieją mniej więcej tak, jak się zwykle rozumie łacińskie *non omnis moriar*. Czasem nawet interpretując go szerzej jako zapewnienie, że duchowy testament zmarłego, jego czyny i idee zostaną wcielone w życie. Niekiedy znowu zwężając sens i sądząc po prostu, że wyraża ono pobożne życzenie, by człowiek, który odszedł, pozostał związany „węzłami życia" z żyjącymi, to znaczy, aby żyjący nie zapominali o osobie zmarłej.

Tadeusz Breza

Nieznany list Cypriana Norwida do Wojciecha Cybulskiego

Cyprian Norwid, który lekceważył na ogół autorytety w literaturze i w twórczości pisarskiej postępował niezwykle samodzielnie, był bardzo wrażliwy na sądy krytyków o sobie.

Gdy w 1866 r. wyszedł w Poznaniu Kurs literatury polskiej dla użytku szkół Władysława Nehringa z nieprzychylnymi wzmiankami o poecie, Norwid poczuł się dotknięty do żywego. Goryczą i gniewem, które wówczas w nim wezbrały, nie omieszkał on dzielić się ze swymi przyjaciółmi. Dowodem tego jest list Norwida do Mariana Sokołowskiego, pisany około 8 listopada 1866 r. W liście tym poeta podnosi z gniewem cały ciężar zarzutu Nehringa, zamknięty w twierdzeniu, że „utwory" jego „pełne są myśli zagadkowych i uniesień niezrozumiałych[1])". Pamięć o ocenie, wydanej przez Nehringa, profesora gimnazjum poznańskiego (niedługo, bo od 1868 r. profesora uniwersytetu wrocławskiego), autor Promethidiona zachował niemal do końca życia. Oto w liście do Teofila Lenartowicza z 1882 r. (na rok przed śmiercią) wspomina gorzko: „Tudzież hist. lit-ry dla użytku gimnazjów zniesławia także imię moje i pisma, aby przyszłe pokolenia oświecić[2])".

Nieznany do tej pory list Cypriana Norwida do Wojciecha Cybulskiego napisany został również pod wrażeniem sądu Nehringa ogłoszonego w Kursie literatury. Autograf tego listu przechował się w papierach Wojciecha Cybulskiego, do których dotarłam dzięki uprzejmości Anny Mańkowskiej i Jadwigi Orłowskiej z Milanówka pod Warszawą. Obecnie spuścizna po Cybulskim znajduje się w Bibliotece Narodowej w Warszawie. List ten powstał poźniej od listu przesłanego Sokołowskiemu. Stempel pocztowy wskazuje, że został on napisany na krótko przed 9 stycznia 1867 r. Norwid zaadresował list do Cybulskiego (1808-67), naszego uczonego, znawcy literatury słowiańskiej i krytyka literackiego, który karierę naukową zaczął w latach czterdziestych na uniwersytecie berlińskim, a od 1860 r. był profesorem uniwersytetu we Wrocławiu.

Znajomość z Wojciechem Cybulskim zawarł Norwid najpewniej w latach 1845-6, kiedy przebywał w Berlinie i uczęszczał na wykłady uniwersyteckie oraz utrzymywał ożywione stosunki towarzyskie [3]).

Publikowany tutaj list jest jedynym znanym listem Norwida do Cybulskiego. Mimo to przypuszczać należy, że w ciągu 20 lat istniała łączność między poetą i uczonym, skoro zwraca się korespondent do adresata wprost słowami „uprzejmy Wojciechu" i skoro w papierach po Cybulskim zachował się autograf wiersza Norwida z 1863 r. pt. Do wroga — (pieśń).

---

[1]) Cyprian Norwid Listy. Wyd. i nakład Z. Przesmyckiego. Warszawa, 1937, cz. 2, s. 52.

[2]) C. Norwid, op. cit. s. 441.

[3]) Norwid Pisma zebrane. Wydał Z. Przesmycki (ukończył wyd. W. Borowy), Warszawa 1911 (ukończ. 1945), t. F, s. 475: w przypisie wyraża Przesmycki przypuszczenie, że N. w 1845/6 słuchał wykładów uniwersyteckich Cybulskiego.

W liście, wzburzony oceną Nehringa, Norwid broni swojej poezji. Pośrednio mówi on o swej twórczości poetyckiej, gdy charakteryzuje Pana Tadeusza i III część Dziadów. Narzucające się tu uwadze sądy o Panu Tadeuszu wyrażał Norwid już wcześniej w liście do Karola Ruprechta, byłego członka Rządu Narodowego z powstania styczniowego, pisanym w kwietniu 1866 r.[1]) i w liście do Józefa Ignacego Kraszewskiego z maja 1866 r.[2]). Pisząc do Ruprechta i Kraszewskiego zdania o „poemacie arcynarodowym", które następnie powtórzył Cybulskiemu, Norwid określał swój kierunek poetycki w zestawieniu z kierunkiem mickiewiczowskim. Do Kraszewskiego pisze Norwid bez późniejszych ogródek: „Ależ: po poezji pejzażów i fletów pasterskich może i biedny mój kierunek zasługuje lub zasłuży na nieco wziętości przez samą konieczność — sensu [3])". Zupełnie bezpośrednio określa Norwid w liście do profesora wrocławskiego swoje miejsce w kulturze polskiej.

Oryginalne spojrzenie na utwory Mickiewicza a także sąd Norwida o sobie samym mają wartość historyczno-literacką.

(Na kopercie:) Monsieur Albert Cybulski
Professeur de l'Université de Breslau
â Breslau (en Prusse, Allemagne du Nord)
(Piecz.:) Paris R. St. Lazare 9 janv. 67.
(List:) 1867 Rue Lallier 3, Paris.

Uprzejmy Wojciechu! [4])

Miałem w ręku książkę polską o literaturze z tym uczuciem, z jakim się bierze do ręki książki Narodu (albo raczej Społeczeństwa), w którym każdy druk pojawia się za późno, a każdy czyn za wcześnie.

Głęboka treść do rozmyślania, co z tego będzie.....

Energiczneż to Społeczeństwo, gdzie za późno myślą, a za wcześnie działają!.....

Z tym wszystkim przystępuję do rzeczy: „O literaturze — prof. Nehring, doktor filozofii i członek etc. [5])".

Racz łaskawie uwiadomić doktora filozofii, że Cyprian Norwid nigdy żadnej szkoły Mazowieckiej stworzyć nie myślił i że pana Romana Zmorskiego miał przyjemność widzieć 3 lub 4 razy w życiu i mówić tyleż razy z tym utalentowanym poetą i wieszczem [6]). Zaś co do szkoły

[1]) Norwid Listy cz. 2, s. 11-2.
[2]) Norwid, op. cit. s. 15.
[3]) Norwid, op. cit. s. 15.
[4]) W tekście listu unowocześniona została pisownia i interpunkcja, a zachowane właściwości językowe i stylistyczne oraz podkreślenia.
[5]) W tym i następnym wypadku poprawiono niewłaściwy skrót z autografu: „ect".
[6]) Nehring w Kursie literatury pisze na s. 180 o Zmorskim i w związku z nim o młodzieży, „która marzyła o utworzeniu osobnej szkoły mazowieckiej", przy czym w odsyłaczu podaje, że do tej młodzieży należeli Norwidowie.

powiatowej Mazowieckiej albo jakiejkolwiek innej pańszczyźnianej i glebae-adscriptej, to Cyprian Norwid miał i ma pojęcia zupełnie niepodobne do przyznawanej jemu kwalifikacji i klasyfikacji.

On mniema nawet i o samym „Panu Tadeuszu", że to genialna tylko satyra.

„Pan Tadeusz": ulubiony i słynny poemat narodowy polski, w którym jedyną poważną i serio figurą jest kto?... Żyd! (Jankiel). Zresztą: awanturniki, facecjoniści, gawędziarze, pasibrzuchy, którzy jedzą, piją, grzyby zbierają i czekają, aż Francuzi przyjdą zrobić im ojczyznę... Kobiet w tym arcytworze narodowym dwie — jedna metresa petersburska, druga panienka pensjonarka i wyrostek bez profilu wyrobionego. Tła mistrzowskie, pejzaże wyższe od Rhuizdala[1]). Oto „Pan Tadeusz"! Poemat pejzażysty i satyryka.

Osoby i charaktery narodowe polskie:

1. Żyd-arendarz
2. Metresa petersburska
3. Pensjonarka

4, 5, 6, 7 itd.: awanturniki, pasibrzuchy, facecjoniści, gawędziarze i trywialne figury.

Co do „Dziadów", to znowu w słynnej Improwizacji Konrada cała teologia Prudhona[2])!... Osoba Przedwiecznego jest zło, wyzwane do walki przez głąb siły myślnej ujarzmionego człowieka: istny Prudhon!!

Z takowymi to pojęciami o arcydziełach przez Polskę ukochanych nie mógł Cyprian Norwid należeć do żadnej szkoły. Ale na cóż go między kobiety kłaść i przypadkiem spominać[3])??

Właściwiej byłoby spojrzeć na to, że Cyprian Norwid wytrzymał polemikę pieciw tym [Klaczko „O sztuce"[4])], którzy mniemali, iż sztuka umysłowi polskiemu jest wstrętna i szkodliwa, — i że przeto naturalnie, że on jest wyraźnym promotorem artystycznego ruchu w Polsce:

---

[1]) Jacques Ruysdael, 1636-81, pejzażysta holenderski.

[2]) Pierre Joseph Proudhon, 1809-65, ekonomista francuski i filozof głoszący idee socjalistyczne, publicysta, który brał żywy udział w ruchu paryskim 1848 r.

[3]) U Nehringa w rozdziale Kobiety polskie po wiadomościach o Łuszczewskiej, Żmichowskiej, Pruszakowej, Ilnickiej, Liberze i Marii z Gniezna na s. 208 podane: „Uwaga. Do szeregu nowszych poetów lirycznych i epicznych, którzy większym lub mniejszym talentem się odznaczyli, wymienić należy jeszcze Cypriana Norwida, którego poezje zanadto są pełne zagadkowych i ciemnych myśli i niezrozumiałych uniesień".

[4]) Artykuł Juliana Klaczki Sztuka polska drukowany był w „Wiadomościach Polskich" (Paryż 1857) i osobno.

ku czemu też uczył się r z e ź b y, m a l a r s t w a, s z t y c h a r s t w a itd. Zaiste, nigdy słowa poczciwego Norwid o sobie nie spotkał u Polaków w krytyce ich, oprócz lekceważenia i obojętności (patrz: „Pamiętnik" kaszt. Koźmiana[1]), „Kurs" Nehringa, Przegląd Poznański[2]) etc. etc. etc.). Ależ, musi on być cokolwiek zrozumiałym, jeśli rodacy w Paryżu ofiarowali mu adres podziękowalny (bez względu na partie liczne i różne[3]) i jeżeli w epoce tak mało stałej ojciec ś-ty Pius IX zaszczycił go swym listem[4]).

Padam do nóg naszym krytykom. Ściskam Cię serdecznie Cyprian Norwid

(Luźna karta:)

Mickiewicz za ostatniej bytności w Rzymie nie mógł wpływać na k l a s ę r z e m i e ś l n i c z ą[5]) dlatego, iż tej klasy w Rzymie nie ma. Rzym jest tradycjonalne, nie przemysłowe miasto, a każdy ostatni fakir rzymski jest jeszcze jako człowiek-społeczny lepiej wychowany od uczonego niemieckiego i kawalera orderów cudzoziemskich. Zaś Norwid musi dobrze o tym wiedzieć, albowiem widywał wtedy i tam śp. Mickiewicza r a z n a t y d z i e ń, śp. Zygmunta Krasińskiego więcej niż r a z n a d z i e ń. Mickiewicz był tam jak wszędzie: to jest s a m w społeczeństwie, które m i a ł z a n i c dlatego, iż przez cały czas jego urabiania się toż społeczeństwo albo miało go za w a r i a t a, albo za p ó ł-b o g a! Tak robią zawsze d z i c y l u d z i e ze wszystkimi wyższymi umysłami!

Pomiędzy kobietami piszącymi pod napisem uwaga:

Norwid

„Do szeregu tych (mówi doktor filozofii Nehring) wymienić należy Norwida".

---

[1]) Kajetan Koźmian w P a m i ę t n i k a c h (oddz. III, Kraków 1865) krytykuje ostro Norwida (s. 401, 594, 606-10).

[2]) „Przegląd Poznański" redagowany przez Jana Koźmiana, mimo że drukował od czasu do czasu niektóre poezje Norwida, już od 1850 r. ostro krytykował Norwida i ustalał mu opinię jako autorowi niejasnemu i niezrozumiałemu.

[3]) W 1860 r. po ostatnim odczycie rozprawy O J u l i u s z u S ł o w a c k i m Norwid otrzymał od rodaków „adres podziękowalny". Pisze o tym też Norwid w liście do Augusta Cieszkowskiego z maja 1860 r. (Norwid L i s t y, cz. 1, s. 367).

[4]) W korespondencji z 1861 r. wspomina Norwid kilkakrotnie otrzymanie listu od papieża: do J. I. Kraszewskiego z 1861 r. (Norwid, op. cit. s. 399), do kuzyna M. Kleczkowskiego ze stycznia 1861 r. (tamże, s. 379), do M. Sokołowskiego z czerwca 1861 (tamże, s. 380) i do A. Cieszkowskiego z 18 czerwca 1861 r. (tamże, s. 382).

[5]) W K u r s i e na s. 128 pisze Nehring o spotkaniu Mickiewicza z Krasińskim w Rzymie 1848 r. i zaznaczając, że obydwaj bardzo różnili się poglądami, podaje o Mickiewiczu: „w owym czasie starał się wpływ wywierać na klasę rzemieślniczą".

„Do szeregu“ nie „wymienia się“, ale włącza.

Wymienia się w szeregu, nie do szeregu.

Oto gramatycznie, estetycznie i historycznie uwaga doktora filozofii i członka.

Vale! C. N.

Antoni Czajkowski, poeta i profesor prawa polskiego w stolicy Rosji, zasłużył na troszkę poważania[1]).

---

[1]) „Antoniego Czajkowskiego, tłumacza Hermana i Doroty z Goethego i autora pomniejszych wierszy, nie bez talentu pomyślanych i wykonanych“ wymienia Nehring we wzmiankowanej Uwadze po Cyprianie Norwidzie.

Do druku przygotowała i objaśniła
Jadwiga Rudnicka

II Zjazd Pisarzy Radzieckich

15. XII. — 26. XII. 1954.

Drugi Zjazd Pisarzy Radzieckich skupił na sobie uwagę całego postępowego świata. Obradom pisarzy, obradom przedstawicieli literatury będącej odbiciem trudu i bohaterstwa narodu, który z najwyższym poświęceniem buduje komunizm, towarzyszyły najlepsze myśli tych wszystkich, dla których kultura nie jest pojęciem oderwanym od rzeczywistego losu człowieka. Znaczenie Zjazdu Pisarzy Radzieckich nie zamyka się w granicach radzieckiego państwa. Ideały, którym literatura radziecka służy, mają dostęp do wszystkich serc bez względu na granice geografii i języka. Problematyka literatury radzieckiej nie ogranicza się tylko do Kraju Rad. Doświadczenia jej sięgają swoimi szczytami najistotniejszych spraw ludzkich w skali powszechnej. Posiadają tę wielką siłę uogólnienia, którą literaturze radzieckiej daje zrealizowana przez radziecki naród idea socjalizmu. Stąd znaczenie drugiego Zjazdu, stąd waga, jaką do tego wydarzenia przykładamy.

Pisarze polscy, obecni na Zjeździe, poczytywali sobie za zaszczyt swój udział w nim. Mieli także pełną świadomość doniosłości tego wydarzenia. „Skąd (płynęło) to niecierpliwe napięcie — pyta Henryk Markiewicz w swojej relacji ze Zjazdu — z jakim oczekiwaliśmy Zjazdu, skąd to ideowe i emocjonalne zaangażowanie, z którym towarzyszyliśmy jego obradom, wychodząc raz po raz z pozycji tylko obserwatorów, czując się niemal jego uczestnikami? Stąd, że literatura radziecka to w naszych oczach nie tylko wielka literatura i nie tylko literatura narodu budującego ustrój komunistyczny, lecz także najstarsze i najbogatsze gospodarstwo pisarskie realizmu socjalistycznego. Doświadczenia jej, podsumowane i uogólnione na Zjeździe, są dla naszej literatury inspiracją i przykładem, skłaniającym do wielu przemyśleń a niekiedy również pouczającym ostrzeżeniem przed błędami i wypaczeniami".

Pierwszy i obecny, drugi, Zjazd Pisarzy Radzieckich dzieli dwudziestoletni okres doświadczeń i dokonań. W ciągu tego czasu powstały w literaturze radzieckiej dzieła o trwałej, nieprzemijającej wartości. Nie tylko dzieła. Powstały całe literatury narodów, które przed dwudziestu laty dopiero uczyły się czytać i pisać, którym ustrój socjalistyczny umożliwił tworzenie własnej kultury. Zadaniem drugiego Zjazdu Pisarzy było więc podsumowanie tych dokonań i spojrzenie na dzień dzisiejszy literatury radzieckiej z perspektywy przebytej drogi. To jedno. Drugim, najistotniejszym zadaniem było poprzez krytykę dzisiejszego stanu literatury wytyczyć drogi wiodące w przyszłość.

Olbrzymie, bezsporne osiągnięcia literatury radzieckiej w okresie minionego dwudziestolecia mają już dzisiaj znaczenie światowe. To znaczenie uwyraźniły na Zjeździe głosy tych pisarzy, którzy ze wszystkich zakątków kuli ziemskiej przybyli do Moskwy, by swoim udziałem zaświadczyć o międzynarodowym zasięgu literatury kraju socjalizmu. Szczególnie dobitnie, wzruszająco dobitnie brzmiały głosy przedstawicieli narodów walczących z przemocą imperializmu o wolność, o prawo do własnej, narodowej kultury. Przedstawiciele literatur południowo-amerykańskich — Pablo Neruda, Jorge Amado — uprzytomnili raz jeszcze, czym jest przykład wolności

i ideał humanizmu socjalistycznego dla ich narodów. W sformułowaniach delegatów narodów wyzwolonych, Chin Ludowych, Korei, Wietnamu, problematyka literatury miała czystą urodę samej dopiero co narodzonej wolności. Trudno było bez wzruszenia słuchać słów poety wietnamskiego, Nguyen Din Thi, młodego autora bojowych pieśni spod Dien-Bien-Fu, gdy mówił o tym, że literatura radziecka dla walczących Wietnamczyków była towarzyszem walki i słowem nadziei.

Ta na nowo z taką dobitnością wyrażona przez przedstawicieli literatur całego świata wiara w rolę literatury radzieckiej nie mogła nie zaważyć także na obradach. Pisarze radzieccy są świadomi swego powołania, są świadomi także ciążącej na nich odpowiedzialności. Toteż krytyka i samokrytyka wystąpień zjazdowych była bezkompromisowa, ostra, chwilami zdumiewająca namiętnością i bezwzględnością. Krytyka stanu teraźniejszego literatury radzieckiej służyć ma przecież wytyczeniu jej dróg w przyszłość i sformułowaniu postulatów rozwojowych. Przeciwko niektórym schorzeniom literatury, przeciwko przejawiającemu się lakiernictwu, przeciwko schematyzmowi wystąpili na Zjeździe pisarze różnych autoramentów, różnych środowisk i różnej dyscypliny twórczej. W namiętnej dyskusji starły się poglądy, które mimo skrajności sformułowań łączyła mocna, nierozerwalna więź: wspólna troska o przyszłość i wielkość całej literatury radzieckiej. Zjazd Pisarzy był jeszcze jednym przykładem tej jedności, tak typowej dla społeczeństwa radzieckiego, gdzie gwałtowna, bezwzględna walka toczy się z pozycji zasadniczo i ideowo jednolitych. Ta bezwzględność była odpowiedzią na apel, z jakim na początku Zjazdu zwrócił się do pisarzy radzieckich Komitet Centralny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego.

„Naród radziecki — czytamy — w piśmie powitalnym Komitetu Centralnego — chce widzieć w swych pisarzach żarliwych bojowników, aktywnie wkraczających w życie, pomagających narodowi w budowie nowego społeczeństwa, w którym wszystkie źródła bogactwa społecznego popłyną szerokim potokiem, w którym wyrośnie nowy człowiek o psychice wolnej od przeżytków kapitalizmu. Powołaniem naszych pisarzy jest wychowywać ludzi radzieckich w duchu idei komunizmu i moralności komunistycznej, pomagać wszechstronnemu i harmonijnemu rozwojowi ich osobowości, pełnemu rozkwitowi wszystkich twórczych możliwości i uzdolnień ludzi pracy. Obowiązkiem pisarzy radzieckich jest tworzyć sztukę prawdziwą, sztukę wielkich myśli i uczuć, głęboko sięgającą w bogaty świat duchowy ludzi radzieckich, ukazującą w obrazach bohaterów całą różnorodność ich pracy, działalności społecznej i życia osobistego w nierozerwalnym związku. Nasza literatura winna nie tylko odzwierciedlać to, co nowe, ale ze wszech miar pomagać jego zwycięstwu."

Zarówno referaty zjazdowe, jak i dyskusja podniosły wychowawcze wartości literatury radzieckiej i metody realizmu socjalistycznego. Za motto tych rozwiązań można by uznać słowa Konstantego Simonowa: „Radziecka metoda wychowania to nie metoda kołysanki, to metoda hartowania". Podkreślano także, że realizm socjalistyczny nie jest bynajmniej pisarskim stylem, lecz m e t o d ą. Może po raz pierwszy zostało z taką wyrazistością

sformułowane, że w granicach tej jednej metody mieszczą się bardzo różne, a równouprawnione prądy literackie, że właśnie największa ich różnorodność i twórcze współzawodnictwo stanowią jedną z podstaw dalszego rozwoju literatury radzieckiej.

„Nie ma u nas różnych kierunków literackich — powiedział Surkow — gdyż powszechnie uznana metoda realizmu socjalistycznego stanowi jedyny kierunek ideowo-twórczy całej literatury społeczeństwa socjalistycznego. Ale w granicach wspólnego kierunku literackiego nie tylko mogą istnieć, ale istnieją różnorodne nurty, posiadające swe odrębne cechy."

Wyodrębnienie i analiza tych nurtów jest przede wszystkim zadaniem krytyki. I dlatego znaczna część dyskusji i najgorętsze może spory dotyczyły zadań krytyki i jej roli w rozwoju literatury radzieckiej. Wiele spornych zjawisk, które wystąpiły w dzisiejszej literaturze radzieckiej, częściowe obniżenie jej poziomu — przypisywano krytyce, która obniżając kryteria i wymagania stawiane pisarzom przyczyniła się do osłabienia ich wysiłku twórczego.

„Wielka wina krytyki wobec literatury i czytelników — powiedział Riurikow w swoim referacie — polega właśnie na tym, że słabo walczyła ona o wysokie kryteria, broniła ich niekonsekwentnie i z łatwością przyznawała rabaty. Dzisiaj rabatu udzielano za aktualny temat, jutro — za minione zasługi pisarza, pojutrze z powodu jego społecznej działalności itd. Jednemu pisarzowi udzielono rabatu, aby go nie skrzywdzić w porównaniu z innym, a do trzeciego już, oczywiście, stosowano obniżone kryteria, użyte w stosunku do dwóch pierwszych."

Zjazd jednomyślnie potępił lakiernictwo, zacieranie konfliktów, lęk przed dotykaniem spraw trudnych i bolących, zaniechanie walki z przeżytkami kapitalizmu, wreszcie filozoficzne zaplecze tego biernego, schematycznego stosunku do rzeczywistości — teorię bezkonfliktowości. Szczególnie wyraziście sprecyzowano postulaty pod adresem krytyki, której obowiązkiem jest towarzyszyć pisarzowi uczciwością w analizowaniu błędów i rzetelnością w ocenie wartości.

„Jak wiadomo — powiedziała Margarita Aliger — w dziedzinie architektury lekceważenie krytyki doprowadziło do tego, że przez wiele lat panowała tam potępiona przez naszą opinię społeczną rozrzutność, monumentomania, filisterskie upodobanie w przesadnych ozdobach — wszystko to, czego nie potrzeba nowemu człowiekowi radzieckiemu. W literaturze ma to również swoje synonimy: lakierowanie życia, obniżenie poziomu, sielankowość i samouspokojenie, które wytwarzają w ludziach nie siłę do przezwyciężania rzeczywistych trudności, lecz zarozumiałość, samochwalstwo, niefrasobliwość, cechy charakteru nie odpowiadające tym burzliwym czasom, w jakich żyjemy."

Zjazd moskiewski bogactwem problematyki, żarliwością ideową, poziomem dyskusji zaświadczył w sposób bezpośredni o powadze, z jaką pisarze radzieccy odnoszą się do najistotniejszych zadań stojących przed literaturą, i o poczuciu godności reprezentowanego przez nich piśmiennictwa.

„Stawiamy sobie za cel — powiedział Konstantin Fiedin — żeby książki nasze były głosem narodów radzieckich. Dlatego głównym naszym tematem

jest pokojowa działalność społeczeństwa socjalistycznego budującego komunizm, praca i kultura, przyjaźń narodów, bezpieczeństwo i obrona ojczyzny. O ludowości literatury radzieckiej świadczy to, że w książkach naszych odzwierciedlone zostało krok za krokiem życie człowieka radzieckiego w czasie pokoju i wojny.

Dziś znowu ciemne chmury zasłoniły niebo nad światem. Bronimy pokoju — chcemy służyć jego zwycięstwu wszystkimi siłami ducha. Ale jeśli zbrodnia zostanie popełniona i zostanie rozpętana nowa wojna światowa, pisarze radzieccy oddadzą w obronie socjalistycznej ojczyzny swój talent, swoją sztukę, swoje życie tak samo ofiarnie, jak oddawali je w czasie minionej wojny z niemieckim faszystą."

Całego znaczenia drugiego Zjazdu Pisarzy Radzieckich nie tylko niesposób sformułować, ale nawet nie można dzisiaj jeszcze w pełni przewidzieć. Dyskusja zjazdowa, szczera, otwarta wymiana poglądów na sztukę, wyrażona z różnych stanowisk ocena doświadczeń prozy i poezji radzieckiej ukazały rozległe perspektywy rozwojowe, otwarte przed literaturą realizmu socjalistycznego. Nam, jak wszystkim pisarzom postępowym świata, Zjazd Pisarzy Radzieckich ukazał z całą wyrazistością różnorodność form, stylów i dróg artystycznych, stojących przed tą literaturą, która chce służyć człowiekowi i wspierać go w walce o pokój i przyszłość świata.

ALEKSY SURKOW

Zjazd nasz poprzedziła tocząca się w prasie dosyć ożywiona dyskusja o pozytywnym bohaterze w literaturze radzieckiej.

Pewna uczestniczka dyskusji tak pisała: „Nasza rzeczywistość daje pisarzom niewyczerpane możliwości stworzenia postaci idealnej" — i bardzo uporczywie domagała się tworzenia przez pisarzy „bohaterów idealnych". Dyskusja ta była jednak dość płytka, dyskutanci bowiem nie traktowali bogatego dorobku naszej literatury jako podstawowego elementu w sporze literackim.

Kiedy jednak sięgamy bezpośrednio do utworów, które na kształtowanie charakteru młodego człowieka radzieckiego wywarły bardzo silny wpływ, możemy ustalić, iż dzieła te obalają argumenty tych, którzy pchają pisarzy na drogę sztancowania na zimno „bohaterów idealnych".

Nikt przecież nie przeczy, że kolosalną rolę w kształtowaniu charakterów naszej młodzieży odegrały i odgrywają takie książki, jak: powieść M. Ostrowskiego Jak hartowała się stal, powieść A. Fadiejewa Młoda Gwardia, książka B. Polewoja Opowieść o prawdziwym człowieku albo A. Gajdara Timur i jego drużyna.

Czym więc zdobyli serca młodzieży niewątpliwie „pozytywni" bohaterowie tych utworów? Czy tym, że we wszystkich swoich czynach i przeżyciach byli „idealni"? Nic podobnego!

Właśnie w tych książkach (i w tym tkwi tajemnica ich niezwykłej popularności) bohaterowie przedzierają się przez gąszcz prób i trudności, piętrzących się na ich drodze, bynajmniej nie tak po prostu i bez wewnętrznej walki. Z trudem udaje im się osiągnąć ostateczne zwycięstwo.

Czytelnik pokochał Pawła Korczagina właśnie za to, że pisarz nie rozcina za jednym zamachem splątanych supłów

w losach bohatera, lecz odsłania skomplikowaną dialektykę jego bardzo trudnego życia.

Czytelnik pokochał Pawła Korczagina za to, że w jego czynach, w jego poglądach na życie drogi człowiekowi naszej wielkiej epoki rewolucyjnej surowy realizm zespala się ze wsniosłym patosem heroizmu młodości.

Ale Paweł Korczagin nie stanowi wyjątku.

Czy Gajdarowski Timur jest radzieckim idealnym „cacanym chłopczykiem"?

Czy lotnik Mieriesjew — ranny w walkach, zmagający się z nieubłaganymi przeciwnościami losu — od razu i po prostu znajduje decyzje i rozstrzygnięcia skomplikowanych spraw swojego życia? Czy nie nawiedzają go chwile zwątpienia i rozpaczy? Czy jego charakter jest idealny i bez skazy? Czy zawsze jego czyny i decyzje zgodne są ze stuprocentowo komsomolskim postępowaniem?

Czy w bogatym pod względem charakterów zespole bohaterskiej młodzieży z Krasnodonu — „Młodej Gwardii" — nie rozróżniamy każdej twarzy, każdego charakteru, każdego temperamentu właśnie dlatego, że bohaterscy chłopcy i dziewczęta w obliczu prób, trudnych dla młodych dusz, postępują nie w myśl z góry przez autora wyrozumowanej koncepcji ukazania charakteru „idealnego", ale zgodnie z indywidualnością postaci, żywą logiką postępowania. Toteż — nie ma co ukrywać! — serce młodego czytelnika najmocniej wzruszają najmniej „idealne" charaktery — Sierioży Tiulenina i Luby Szewcowej.

Żyją i zdobywają serca młodych czytelników książki Fadiejewa, Gajdara, Ostrowskiego, Polewoja, Czwarte zwycięstwo Iljinej, Ulica młodszego syna Kassila i Polanowskiego, utwory o Zoi Kosmodemiańskiej, o Aleksandrze Matrosowie i innych realnych bohaterach naszej rzeczywistości — właśnie dlatego, że wbrew morałom pedantów, którym marzy się „bohater idealny" — pokazują nam żywych ludzi naszych czasów, ludzi epoki kształtującej nowy charakter, nową moralność, nowe normy postępowania w stosunkach prywatnych i społecznych. Magnesem, który przyciąga serca młodych czytelników, są więc dominujące w charakterze i zachowaniu się postaci cechy tego, co nowe. Te nowe rysy charakteru współczesnego bohatera wniosła literatura radziecka do literatury światowej; wpisała do jej dziejów nową kartę, tworząc literacki portret tego bohatera w prozie i w poezji, na scenie i na ekranie.

Próby stwarzania przepisów określających rozmieszczanie tonów ciemnych i jasnych przy malowaniu postaci satyrycznych, negatywnych czy społecznego tła utworu — są niedopuszczalne i szkodliwe. Równie szkodliwe są także próby reglamentowania wzajemnych proporcji postępowości i zacofania czy też cech wzorowych i „zwykłych" w postaci pozytywnego bohatera jakiegoś utworu literackiego. Każda próba reglamentowania niezawodnie pozbawia postać życia, uśmierca książkę, zastępuje życiową siłę przekonywania dydaktycznym moralizatorstwem.

Żywa, prawdziwa, wydobyta z gąszczu życia postać ludzka ześliznie się z twardego gruntu realnej rzeczywistości tylko wtedy, jeżeli autor, wbrew prawdzie życiowej, obciąży swego bohatera nadmiarem cnót, jakiego ten udźwignąć nie jest w stanie.

Zrodzona z naszej rzeczywistości kołchozowej, odzwierciedlająca żywe cechy przodującego człowieka radzieckiego — postać Siergieja Tutarinowa wyszłaby bez porównania mocniej i byłaby bardziej przekonywająca, gdyby zakochany w nim autor nie postawił sobie za cel, by w powieści Światło nad ziemią szczególnie podkreślić jego

zalety. Tym samym Babajewski przekroczył granice roli i znaczenia jednostki w życiu społeczności. Upodobniwszy Tutarinowa do „ideału", który znalazł się już ponad kolektywem — autor podważył wiarę czytelnika w prawdę rozwoju tej postaci.

Jeśli chodzi o postacie wybitnych działaczy państwowych, uczonych i ludzi sztuki, stworzone przez naszą literaturę w ciągu ostatniego dwudziestolecia, w szczególności w latach powojennych, trzeba stwierdzić, że i w tej dziedzinie można było zaobserwować, zwłaszcza w dramaturgii teatralnej i filmowej, przypadki niewłaściwego, fałszywego przedstawiania roli jednostki w historii.

W związku z tym, iż zdarzało się to w naszej sztuce, nie zaszkodzi przypomnieć wypowiedzi Karola Marksa sprzed 108 laty na temat tego, jak należy odtwarzać ludzi, którzy wysunęli się na czoło ruchu politycznego. Słowa te mają i ogólniejsze znaczenie:

„Byłoby nader pożądane — pisał Marks — ażeby ludzi, którzy stanęli na czele partii, ruchu — czy to jeszcze przed rewolucją, w tajnych stowarzyszeniach lub prasie, czy też po rewolucji, kiedy są już osobistościami oficjalnymi — nareszcie odtwarzać w surowych barwach rembrandtowskich, w pełni ich plastyczności życiowej. Wszystkie istniejące opisy nigdy nie ukazują tych osób w ich realnej postaci, lecz jedynie w postaci oficjalnej, na koturnach i z aureolą. W tych zniekształconych portretach rafaelowskich przepada cała prawda wyobrażenia."

Kiedyś partia przypomniała nam o zadaniu literatury radzieckiej:

„Zadanie literatury radzieckiej polega na tym, aby dopomóc państwu we właściwym wychowywaniu młodzieży, aby zaspokoić jej duchowe potrzeby, aby wychować nowe pokolenie na ludzi dzielnych, pełnych wiary we własną sprawę, nie lękających się przeszkód, gotowych do przezwyciężania wszelkich przeciwności."

Aby wykonać z honorem te wielkie historyczne zadania, literatura nasza nie może stwarzać „bohaterów idealnych" lub obrazu „idealnej osobowości".

Jeśli nasza literatura wstąpi na tę śliską drogę, grozi jej stoczenie się do kiepskiego pisania „z głowy", narazi się na to, że poznanie realnej rzeczywistości zastąpi wymyślaniem postaci „wyrazicieli" idei i dydaktycznych morałów.

W uczciwych sercach rzesz czytelników radzieckich również nie znajdą oddźwięku namiastki pozytywnych bohaterów w rodzaju owych „błękitnych postaci", jakie w niektórych utworach, niby przysłowiowi generałowie zapraszani dla większego przepychu na wesela, asystują socjalizmowi.

Siła postaci, na których współczesny młody człowiek pragnie się wzorować, tkwi w głębokiej prawdzie życiowej, w rozwijaniu charakterów tych postaci zgodnie z regułami odtwarzania „typowych postaci w typowych sytuacjach".

Siła życiowej prawdy tych postaci jest tym większa, iż w naszej rzeczywistości żyli — Mikołaj Ostrowski, Oleg Koszewoj i Siergiej Tiulenin, Lubow Szewcowa i Uliana Gromowa, żyją — lotnik Aleksy Mariesjew, kombajnista Prokofij Niektow, przewodniczący kołchozu Orłowski, żyją tysiące im podobnych, jeszcze nie wymienionych przez pisarzy i dziennikarzy ludzi, którzy śmiało mogą zostać prototypami bohaterów takich utworów, jak powieść Ostrowskiego.

Literatura jest ostrym orężem oddziaływania społeczno-politycznego. Literatura jest ściśle powiązana z polityką i jej podporządkowana. Jest więc rzeczą naturalną, iż rozwój literatury, zwłaszcza w naszych warunkach, nie płynął z dala od ostrych starć klasowych, od

walki ideologicznej, towarzyszących utrwaleniu ustroju socjalistycznego.

Po ostatecznym zwycięstwie socjalizmu w Związku Radzieckim, wraz ze skruszeniem jawnego i bezpośredniego oporu klasowo wrogich sił społecznych, w naszym społeczeństwie usunięta została możliwość występowania sprzeczności antagonistycznych.

Jednakże przeżytki kapitalistyczne, „rodzime piętna" kapitalizmu — pozostawały w obyczajach i w sposobie życia, w świadomości i uczuciach ludzkich. Istniało też nadal okrążenie kapitalistyczne wraz ze wszystkimi wypływającymi z tego faktu następstwami.

Reakcja światowa niejednokrotnie czyniła wysiłki, by wywrzeć presję na literaturę. Walki toczące się w rzeczywistości musiały znaleźć oddźwięk w środowisku literackim.

Echa tych walk znajdujemy na kartach książek, w artykułach krytyczno- i teoretyczno-literackich.

Gdy więc dokonujemy bilansu ostatniego dwudziestolecia, gdy z radosną dumą wspominamy przebyty przez nas szlak, powinniśmy mieć na względzie, iż była to droga ostrej walki z nawrotami najróżnorodniejszych ideowo obcych wpływów. W walce tej literaci zawsze znajdowali oparcie w stanowczej, mądrej pomocy Partii Komunistycznej i całego społeczeństwa radzieckiego.

W okresie międzyzjazdowym można było odczuć nawroty reakcyjnej teorii „sztuki dla sztuki". Pod hasłami tej fałszywej teorii od czasu do czasu ponawiano próby zepchnięcia literatury z patriotycznych pozycji obywatelskich, uświęconych tradycjami wszystkich wielkich pisarzy świata, a zwłaszcza tradycjami naszych rodzimych klasyków. W naszej sytuacji było to jednoznaczne z odsuwaniem literatury od udziału w prowadzonej przez partię i naród walce o komunistyczną przyszłość naszego kraju.

Nam, literatom, i w ogóle wszystkim ludziom sztuki radzieckiej, uchwały partii z lat 1946—1948 uprzytomniły, że takie niebezpieczeństwo istnieje. Uchwały KC KPZR dopomogły nam skupić siły celem szybkiego opanowania grożącego niebezpieczeństwa.

Zarówno w latach przedwojennych, jak i powojennych napotykaliśmy takie, nieodłącznie towarzyszące „sztuce dla sztuki" tendencje, jak: formalizm, który w konsekwencji powoduje oderwanie formy od treści lub naturalizm spychający literaturę na manowce obiektywizmu.

Na jednomyślny opór społeczności literackiej napotkały kosmopolityczne wypady kliki z „Litieraturnego Kritika". Pismo zakończyło żywot w samą porę, a „kadry" jego współpracowników chwilowo usunęły się w cień.

Kiedy po drugiej wojnie światowej rozpoczęła się toczona po dzień dzisiejszy „zimna wojna", na powierzchnię życia literackiego, jako nieodstępny towarzysz „czystej sztuki", wypłynął kosmopolityzm. Przeciwko temu szkodliwemu „kierunkowi" z całą ostrością wystąpiła nasza społeczność w latach 1949—1950, demaskując obcą i wrogą istotę tego „kierunku". Niestety, pewne elementy ze świata literackiego wyrządziły dużą szkodę sprawie wnosząc zacietrzewienie międzyklikowych utarczek i tendencje do załatwiania porachunków osobistych.

Szczególnie ostra i gwałtowna reakcja na wypady kosmopolityczne w latach powojennych jest chyba całkowcie zrozumiała. Przecież imperializm amerykański, rozpoczynając „zimną wojnę" w celu osiągnięcia panowania nad światem drogą ekonomicznego, politycznego i kulturalnego pochłonięcia narodów i państw — nie przypadkiem u podwalin swej ekspansji położył właśnie kosmopolityzm.

To, że przed Zjazdem w czasopiśmie

„Nowyj Mir" ukazało się kilka jednomyślnie przez naszą społeczność literacką potępionych artykułów — świadczy, że w dalszym ciągu możliwe jest ponowienie prób atakowania podstawowych pozycji naszej literatury — „na platformie" nihilistycznej.

Kontynuując drogie nam tradycje radzieckiego patriotyzmu i proletariackiego internacjonalizmu będziemy zwalczać ohydną ideologię podżegaczy wojennych — zgniły kosmopolityzm.

Wszystkie te tendencje znajdowały i znajdują wyraz w najprzeróżniejszych formach i postaciach. Już to pojawiały się jako pozornie niewinne próby uzupełnienia realizmu socjalistycznego „socjalistycznym symbolizmem", już to (niekiedy nawet pod osłoną przekręcanych sądów Bielińskiego i innych autorytetów) występowały w postaci twierdzenia o subiektywnym powołaniu liryki, która rzekomo stanowi tylko formę samoujawnienia podmiotu lirycznego; już to, posługując się pochopną i opaczną interpretacją tradycji Włodzimierza Majakowskiego, próbowały w ten sposób maskować wypady iście LEF-owskiego formalizmu. Tendencje takie występowały również pod innymi postaciami, nie mamy więc żadnych gwarancji, że nie będą pojawiały się także i w przyszłości.

Tendencje kosmopolityczne również należy zaliczyć do najbardziej uporczywych recydyw obcych, reakcyjnych wpływów.

Kosmopolityzm, podobnie jak towarzysząca mu czołobitność w stosunku do wszystkiego, co obce, przy nihilistycznym negowaniu kulturalnych wartości własnego narodu — nie jest w dziejach literatury rosyjskiej zjawiskiem nowym.

Nihilistyczne, kosmopolityczne tendencje po Październiku odbijały się na działalności wielu badaczy i historyków literatury, należących do tzw. OPOJAZ-u *), a także niektórych innych grup, wyrosłych na tradycjach tzw. „szkoły" A. Wiesołowskiego.

W dziedzinie, że się tak wyrażę, „praktycznego" zastosowania idei kosmopolitycznych w literaturze znamienna była działalność grupki konstruktywistów, zdradzających zupełnie jawny pociąg do „amerykanizmu". Nowych trubadurów znalazł sobie kosmopolityzm w latach trzydziestych w osobach pewnych teoretyków i krytyków, skupionych wokół czasopism „Litieraturnyj Kritik" i „Litieraturnoje Obozrienije" (Przegląd Literacki).

Przed żadnym uczciwym pisarzem radzieckim, zarówno krytykiem jak i twórcą, który zbłądził na manowce kosmopolityzmu, nie zamykamy możliwości owocnej i harmonijnej działalności twórczej w rodzinie literatów radzieckich — dla dobra i rozwoju naszej literatury, jeśli dokona rewizji swego błędnego stanowiska.

Nawroty obcych i wrogich tendencji, ujawnione w praktyce twórczej i w teorii literatury, znajdowały wyraz w „lewackich" metodach krytycznych, które wskrzesiły najgorsze przeżytki „proletkultowszczyzny" i obelżywego tonu działaczy RAPP-u. Wystarczy przypomnieć linię działu krytyki w miesięczniku „Oktiabr' " w tym okresie, kiedy na jego łamach występowali „krytycy" typu A. Bielika — ażeby zrozumieć żywotność tej szkodliwej tendencji. Przejawy „noworapowszczyzny" w postaci nawrotów wulgarnego socjologizmu, wszelkiego rodzaju prymitywizmu etc. można było znaleźć i w historii literatury, i w bieżącej krytyce.

Poważnym wrogiem, którego nasze środowisko literackie stale musiało zwalczać, był nacjonalizm burżuazyjny.

---

*) OPOJAZ — powstałe w Petersburgu jeszcze przed rewolucją towarzystwo miłośników rosyjskiego języka i piśmiennictwa. — Przyp. tłum.

Przejawiał się on i przejawia w jawnym lub z lekka zamaskowanym szerzeniu poglądów „jednolitego nurtu" w historii kultury.

Na polu „praktycznej" twórczości nacjonalizm burżuazyjny znajdował swój wyraz na przykład w tym, że panów feudalnych, krwawych satrapów i innych wrogów ludu, którzy hamowali bieg historii narodu — przedstawiano w wielu utworach jako bohaterów narodowych.

Liczne spory na temat spuścizny kulturalnej w dziedzinie folkloru (w Kirgizji, Kazachstanie, Turkmenii, Azerbejdżanie, Uzbekistanie i innych bratnich republikach) unaoczniły fakt, że nacjonalizm burżuazyjny także i w tej dziedzinie usiłował i usiłuje utrzymać swoje pozycje: zamiast ludowego eposu podsuwa współczesnym czytelnikom radzieckim obce ludowi feudalne falsyfikaty o bejach i książętach.

Z drugiej zaś strony lewaccy wulgaryzatorzy usiłowali zbagatelizować wybitniejsze dzieła twórczości ludowej.

W zwalczaniu obcych wpływów ideowych aktywny udział brali wraz z całą społecznością literacką nasi krytycy i badacze literatury, którzy wnieśli wkład do prac nad syntezą dorobku naszej kultury.

Krytycy i badacze literatury zadali sobie wiele trudu celem właściwego ujęcia z pozycji marksistowskich bardzo wielu przejawów kultury artystycznej w przeszłości.

W ciągu ostatniego dwudziestolecia wydano obszerne prace z dziejów literatury rosyjskiej, wielotomowe studia z historii literatury angielskiej, francuskiej, niemieckiej i in. Wyszły i wychodzą z druku poważne prace typu monograficznego — o najwybitniejszych pisarzach i krytykach przeszłości, studia poświęcone problemom stylu, języka, artyzmu klasyków.

Znacznie słabiej opracowuje się zagadnienia literatury radzieckiej. Jednak i w tej dziedzinie opublikowano serię książek poświęconych studiom nad twórczością Gorkiego i Majakowskiego. Wiele monografii o twórczości poszczególnych wybitnych pisarzy radzieckich opublikowano w bratnich republikach. Przed Drugim Zjazdem opracowano pierwsze systematyczne zarysy historii literatury rosyjskiej, ukraińskiej, białoruskiej, litewskiej oraz literatur szeregu innych bratnich narodów. Najbardziej owocną działalność na polu literaturoznawstwa i krytyki rozwijają: D. Błagoj, S. Makaszyn, J. Elsberg, W. Jermiłow, B. Mejłach, W. Orłow, W. Piercow, B. Riurikow, N. Chrapczenko, L. Nowiczenko, M. Szamota, K. Korsakas i inni.

Jeśli wobec przejawów obcej ideologii jesteśmy nieprzejednani, to jednak dla dobra rozwoju literatury, naszej krytyki utworów i artykułów zawierających błędy nie powinniśmy przekształcać w hałaśliwe kampanie „rozróbkowe". Trzeba zaznaczyć, że nasi krytycy nie zawsze znajdowali właściwy w sprawach literatury ton i styl. O tym trzeba pamiętać i o tym należy mówić.

Gdy sprawa dotyczy literata radzieckiego, błądzącego w takich czy innych sprawach, musimy zrobić wszystko, ażeby zarówno jemu, jak i czytelnikom wyjaśnić istotę owych błędów i wskazać sposób ich przezwyciężenia. Zawsze powinniśmy dobrze o tym pamiętać, że gdy chodzi o żyjącego literata, który tworzy z pożytkiem dla literatury i społeczeństwa, walczymy nie z nim, lecz z jego błędami i cierpliwie wyjaśniając ich istotę, walczymy tym samym o niego jako pisarza radzieckiego.

W naszej działalności krytycznej powinna zapanować taka atmosfera, żeby w stosunku do radzieckich książek, radzieckich pisarzy raz na zawsze zniknęły przejawy drobnomieszczańskie w rodzaju „rozróbki" — nawet wówczas,

kiedy książka względnie rękopis zawiera błędy, słusznie wywołujące surową i bezkompromisową krytykę.

W wydawaniu sądu o tym lub owym zjawisku albo utworze literackim nieodzownie konieczne jest, by zarówno w pracy redakcji periodyków i gazet, jak i w działalności organizacji pisarskiej — w niepomiernie większym stopniu wykorzystywać każdą sposobność do szerokiej wymiany poglądów, aby w ten sposób raz na zawsze usunąć okazje do jednostronnego i nieobiektywnego traktowania sprawy. Należy zlikwidować fałszywą sytuację, w której każdą wydrukowaną recenzję uważa się za pewnego rodzaju ostateczny i bezapelacyjny wyrok na dzieło literackie.

Autorytet recenzji powinien opierać się na przenikliwości i głębokości sądów krytyka, a nie wyłącznie na tej okoliczności, że recenzję lub artykuł wydrukowano.

Gdy mowa o sytuacji w naszej krytyce, to muszę zatrzymać się na pewnym, bardzo ważnym aspekcie tej sprawy.

My wszyscy — i pisarze, i krytycy — jak wiadomo, zgadzamy się z tym, że nową treść w dziele literackim należy oblec w formę artystyczną, odpowiadającą temu nowatorstwu.

Codzienne życie naszej literatury w latach przedwojennych i powojennych dostarcza, niestety, wielu dowodów, iż zbyt często łamiemy złotą regułę stawiania wysokich wymogów artystycznych w stosunku do pracy pisarskiej, zwłaszcza w wypadku, gdy recenzujemy utwory o palącej tematyce aktualnej.

Przyczyny tego bywają rozmaite. Niekiedy są one wynikiem niewygasłych jeszcze w naszym środowisku nawyków i przyzwyczajeń do niewybrednych stosunków kumoterskich albo do „krycia" przez klikę. Niekiedy — niektórzy podpisują do druku słabe książki albo robią im „dobrą prasę", kierując się szlachetnym dążeniem, aby czym prędzej puścić w świat utwór, który rzuca światło na zaczerpnięte z życia nowe tworzywo, który podejmuje nietknięte jeszcze w literaturze tematy i problemy.

Wypadki udzielania tego rodzaju rabatu zdarzały się zarówno w pracach zespołów redakcyjnych, jak i w działalności rad wydawniczych. Również uczestnicy publicznych dyskusji o nowych utworach i nasi krytycy — w omówieniach tych utworów na łamach prasy — szafowali pobłażliwością. Zdarzały się wypadki przyznania Nagród Stalinowskich niewątpliwie słabym utworom literackim z lat powojennych — przez wzgląd na nowatorstwo tematyczne, świeżość tworzywa albo na młodość literatury danej narodowości.

Szczególnie szkodliwe jest udzielanie jakiegokolwiek rabatu pisarzom wybitnym, cieszącym się uznaniem.

Siergiej Michałkow znany jest i lubiany przez miliony młodych i dorosłych czytelników jako autor wspaniałych, bardzo oryginalnych, napisanych z wielkim talentem poetyckim wierszy dla dzieci, dobrych sztuk dla teatru dziecięcego, wielu doskonałych fraszek i bajek. Ostatnio jednak ten utalentowany poeta opublikował i wystawił na scenie kilka utworów niewykończonych, słabych.

Niedawno toczyła się w naszym środowisku debata o szkodliwości t. zw. „teorii bezkonfliktowości"; gorączkowo poszukiwano jej autorów i propagatorów.

Pisarze zwalali winę na krytyków i redaktorów, ci z kolei — na pisarzy.

A przecież wystarczyło tylko spokojnie przeanalizować sytuację, ażeby ustalić, że winę ponoszą wspólnie — i pisarze, i krytycy, i redaktorzy.

Ważny dla nas jest w tym wypadku fakt, że krytyka, aczkolwiek pierwsza powinna była z wyżyn właściwej sobie przenikliwości ideowej i teoretycznej

dostrzec te ujemne przejawy, sama wystąpiła w chórze „bezkonfliktowców" jako jeden z głównych wodzirejów.

Krytycy mogliby uświadomić pisarzy i wyjaśnić im tę niezbitą prawdę, że teoria ta sprzeczna jest z prawami rozwoju rzeczywistości; w rzeczywistości bowiem toczy się nieustająca walka tego, co nowe, ze starym. Krytycy nie wyjaśnili, że usunięcie z literatury konfliktów albo też zastąpienie ich „nieporozumieniami" — jest jednoznaczne z uśmierceniem literatury.

Krytycy nie analizowali także niebezpieczeństwa przenikania „teorii bezkonfliktowości" do świadomości i dzieł literatów, nie wyjaśnili, że teoria ta wnosi marazm i zbiurokratyzowanie stosunku literatury do rzeczywistości, nie wniknęli w istotę powinowactwa tej „teorii" z dawno już zdemaskowanym kłamstwem o „wygasaniu walki klasowej" itd.

Nasi krytycy, pomimo że pośliznęli się na sprawie zwalczania „teorii bezkonfliktowości" i głównej przyczyny tego pośliznięcia nie dociekli, nie zajęli jednolitego stanowiska nawet i wtedy, gdy w niektórych utworach literackich autorzy z krańcowej „bezkonfliktowości" wpadli w drugą krańcowość odtwarzania przejawów rzeczywistości w całkowicie ciemnych barwach.

Nasi krytycy i literaturoznawcy dotychczas nie nadążają za potrzebami społeczeństwa i literatury.

Nie dokonano bilansu trzydziestu lat rozwoju literatury pod kątem głębokiej i syntetycznej analizy, a zatem nie wsparto ogólnych formuł realizmu socjalistycznego na fundamentach „widzialnych" przejawów.

Z onieśmielenia, ogarniającego krytyków i badaczy w obliczu żywego dorobku naszej literatury, wypływa także i to, iż deklamuje się o nowej marksistowskiej nauce o pięknie, o opracowaniu marksistowskiej estetyki, nad czym powinni — mam wrażenie — wspólnie popracować pisarze, i krytycy, i filozofowie, a jednak do chwili obecnej pozostaje to w sferze uroczyście deklamowanych zapewnień.

Przypuszczam, iż właśnie to onieśmielenie przysparza naszej krytyce i nauce o literaturze również innego przykrego kłopotu: nieumiejętności wartościowania przejawów literatury na płaszczyźnie nierozerwalnej jedności i wzajemnego oddziaływania, współzależności treści i formy utworów.

W bardzo wielu artykułach na temat konkretnych przejawów literatury albo poszczególnych utworów skupia się zawsze uwagę wokół mniej lub bardziej rozbudowanej analizy socjologicznej pomysłu autora, tworzywa, natomiast o kunszcie pisarza, o formie jako o pojęciu uniwersalnym, kategorii wyższej niż „suma chwytów" pisarskich — mówi się pobieżnie, ba! niekiedy nawet zupełnie się to pomija.

W recenzowaniu nowych utworów nasza krytyka wykazuje, niestety, nie zawsze przemyślaną operatywność i — co nie mniej ważne — nie bardzo jest śmiała, gdy chodzi o pierwsze sądy. Przecież — chociaż tak przykro się do tego przyznawać — wielu krytyków nabierało śmiałości sądów dopiero nazajutrz po kolejnym komunikacie o przyznaniu Nagród Stalinowskich. Szczególnie mało uwagi zwracają krytycy na książki wychodzące na prowincji.

Oto pierwsze kroki, które koniecznie należy poczynić celem ożywienia tej bardzo ważnej dziedziny działalności literackiej: intensyfikacja prac krytycznych i literaturoznawczych, położenie nacisku na działalność placówek Akademii Nauk, powołanych do rozwiązania wielkich zagadnień syntezy dorobku literatury współczesnej, naświetlenie w prasie literackiej problemów teorii i historii literatury, zagadnień bieżącej krytyki i bibliografii, ożywienie

działalności redakcyj krytyczno-literackich i literaturoznawczych w wydawnictwach, stworzenie specjalnego czasopisma poświęconego zagadnieniom teorii i historii literatury.

Niewątpliwe i wydatne osiągnięcia literatury radzieckiej w okresie międzyzjazdowym nie tylko nie czynią zbędnym, ale na odwrót — zmuszają nas do niezwykle wnikliwej analizy jej braków i niedociągnięć. Musimy powiedzieć z trybuny zjazdowej, że literatura nie nadąża za potrzebami naszej bujnie rozwijającej się rzeczywistości, że literatura pozostaje w tyle za stale rosnącymi wymaganiami czytelników. Braki naszej literatury powinniśmy krytykować mocno i otwarcie, wychodząc nie z przesłanek nihilistycznej niewiary w jej możliwości rozwojowe, ale z założeń, jakie daje przeświadczenie, że literatura nasza, posiadająca liczny zastęp utalentowanych pisarzy, osiągnęła taki poziom doświadczenia i dojrzałości twórczej, iż może rozwiązywać zadania o wiele bardziej skomplikowane niż te, jakie realizowała i realizuje.

W naszym kraju w ciągu 37 lat zmienił się cały układ życia narodu. Kolosalne wymagania wobec literatury zawarte są nawet w takiej zwykłej informacji statystycznej: w ostatnich 25 latach ilość mieszkańców radzieckich miast wzrosła z 26 do 80 milionów. Przecież nie pokazaliśmy całego rozmachu i głębi procesów masowej przebudowy świadomości i uczuć wczorajszego mieszkańca wsi, wczorajszego drobnego posiadacza, który dziś został pracownikiem przemysłu socjalistycznego.

Procesy gruntownego przeobrażenia całego życia narodowego przejawiają się również w tym, że miasto, przemysł, nowa, wysoka cywilizacja — docierają na wieś i zmieniają jej oblicze. Zawody nauczyciela, lekarza, agronoma, zootechnika, mechanizatora, elektryka, traktorzysty, kierowcy itd. — w naszym kraju stały się zawodami masowymi. Przedstawiciele tych zawodów, ludzie przeważnie wiejskiego pochodzenia, przebywając na wsi, przekształcają oblicze także i stałych mieszkańców wsi.

Wszystko to świadczy, że rzeczywistość radziecka wysuwa sprawę zlikwidowania istotnych różnic pomiędzy miastem i wsią w sposób zasadniczo nowy.

W literaturze naszej mamy wspaniałe postacie przedstawicieli klasy robotniczej, ale jakże wiele muszą jeszcze popracować najbardziej utalentowani pisarze, aby w pełni zabrzmiał w poezji, w prozie i dramaturgii temat człowieka pracy — twórcy materialnych dóbr społeczeństwa: górnika i naftowca, hutnika i metalowca, robotnika budowlanego i stoczniowca.

Przełomowym procesom socjalistycznego przekształcenia wsi, życiu i pracy rolników — nasza literatura zawsze udzielała wiele zainteresowania. Często jednak sprawę odtworzenia życia kołchozów i kołchoźników literaci traktowali powierzchownie, problemy te rozwiązywali w sposób ułatwiony. Pisarze na razie nie wniknęli jeszcze w życie kołchoźników tak śmiało i głęboko, jak to niegdyś uczynił na przykład Szołochow w Zoranym ugorze.

Postacie inteligentów zawsze zajmowały i zajmują wydatną pozycję w naszej literaturze. Jeśli jednak trzeźwo ocenimy wszystko, co stworzyliśmy, jeśli nawet odnotujemy duży postęp w opracowaniu tworzywa, materiałów z życia inteligencji radzieckiej — czy możemy powiedzieć, iż w pełni odtworzyliśmy typowe postacie przedstawicieli obecnie już wielomilionowej, uprawiającej różnorodne zawody, spełniającej różne funkcje społeczne — armii pracowników umysłowych?

Skoro więc literatura powinna dawać

natchnienie i budzić zapał do pracy, to pisarze nie mają prawa stale faworyzować ulubionych zawodów „bohaterskich". Mamy wiele milionów ludzi takich zawodów, w których praca — mimo że nie zalicza się jej do czynów bohaterskich — staje się bohaterska chociażby dlatego, że jest społeczeństwu nieodzownie potrzebna, tak samo, jak praca lotników, badaczy bieguna i odkrywców nowych ziem.

Zadaniem literatury jest współdziałanie w kształtowaniu charakteru budowniczego komunizmu, ukazywanie ludzi naszych czasów w całym pięknie ich człowieczeństwa, a poprzez celową, bezkompromisową krytykę przeżytków kapitalizmu w świadomości i psychice ludzi — wskazywanie życiowych niedogodności i braków.

Człowiek radziecki, który rozwojowi dziejów nadał nieznane dotychczas tempo, nie lubi czekać. Od literatury oczekuje on szybszej odpowiedzi na nurtujące go pytania i problemy. Ludzie radzieccy pragną widzieć w pisarzu nie kronikarza „antydatującego" opisy ich życia i walk, ale towarzysza i doradcę, zwiadowcę przyszłości, darzącego budowniczych komunizmu nowymi ideałami, odsłaniającego przed nimi nowe widnokręgi.

Człowieka radzieckiego nie zadowala występująca u niektórych literatów słabość do tzw. „patosu perspektywy", przeczy bowiem temu cały dorobek naszej literatury. Nasze klasyczne książki z lat dwudziestych i trzydziestych tworzone były na gorąco, przynosiły one echa najświeższych wydarzeń, były oddźwiękiem jeszcze nie przebrzmiałych potrzeb serca współczesnych. Aktualność Zoranego ugoru, Młodej Gwardii i wszystkiego, co w twórczości Majakowskiego brzmi najmocniej — stanowi duży i zasadniczy walor tych utworów, będących przejawami literatury istotnie wielkiej. Aktualność utworu bynajmniej nie zuboża pisarza o rozległym horyzoncie historycznym, nie pozbawia go głębokich myśli i uogólnień. Natomiast autorowi powierzchownemu żaden „patos perspektywy" nie pomoże.

Odbiorca poezji i prozy, widz teatralny i kinowy — wszyscy oczekują od pisarzy radzieckich różnorodności gatunków twórczych — powieści, opowieści i opowiadań, poematów epicznych, liryki obywatelskiej i osobistej, tragedii i dramatów, pełnej pasji satyry i wesołych komedii obyczajowych. Czytelnik ma prawo żądać, aby każdy utwór stał na wysokości jego horyzontów, odpowiadał jego wysokim wymaganiom, jeśli idzie o artystyczne walory utworu.

W ogóle problemy kultury artystycznej i kunsztu pisarskiego, sprawy nowatorskich poszukiwań harmonijnego współbrzmienia formy i nowej treści na równi z zawsze ważnym zadaniem ideowego uzbrojenia literatów radzieckich są owym podwójnym celem, który Zjazd winien sformułować jako decydujący warunek dalszego rozwoju literatury radzieckiej. Albowiem nowe głębokie treści bez wątpienia wymagają od nas podniesienia poziomu kunsztu pisarskiego.

Rzeczywistość naszej literatury natarczywie domaga się od pisarzy, aby energiczniej wkraczali w życie, nie tylko po to, by napisać książkę, ale celem pogłębienia i rozwinięcia znajomości życia, opartej na bliskim, bezpośrednim stykaniu się z ludźmi budującymi komunizm.

Partia Komunistyczna uważa literaturę za aktywnego pomocnika w dziele komunistycznego wychowania mas narodu, za oręż w walce z przeżytkami tego, co stare, za środek do uogólnienia tego, co nowe w życiu i charakterze człowieka radzieckiego. Rozwiązując jednak zadania wspólne dla wszystkich rodzajów twórczych, specjalnie należy

wysunąć te odmiany i gatunki literackie, których rozwój jest warunkiem rozkwitu pokrewnych dziedzin sztuki. Szczególne zainteresowanie twórcze pisarzy powinna wzbudzać działalność na polu dramaturgii teatralnej i filmowej, w dziedzinie gatunków poezji zespolonych z twórczością pieśniarską i muzyczną. Właśnie na tych odcinkach szczególnie mocno odczuwa się nienadążanie twórczości za życiem, co hamuje rozwój nader ważnych i najbardziej masowych rodzajów sztuki.

Dzięki pomocy partii mamy obecnie możliwość rozszerzenia istniejącej sieci periodyków literacko-artystycznych. Z zadowoleniem zawiadamiamy Zjazd, że w Leningradzie powstaje drugie czasopismo literackie „Newa", że wychodzący obecnie almanach „Drużba Narodow" zostanie przekształcony w miesięcznik, że będzie wychodzić czasopismo „Junost'" (Młodość) i że wznawia się czasopismo „Internacjonalnaja Litieratura".

Rozwój literatury radzieckiej w ciągu ostatnich 20 lat, stworzenie olbrzymiego zasobu dóbr artystycznych nowej, socjalistycznej jakości — wszystko to oznacza, że już obecnie jasno wykrystalizowały się odrębne właściwości, którymi nasza literatura różni się od wszystkich poprzednich kierunków, a więc także i od literatury realizmu krytycznego. Odrębność ta polega na tym, że nasza literatura broni i utrwala rzeczywistość socjalistyczną, że na podstawie ściśle obiektywnego, historycznie konkretnego obrazu życia po raz pierwszy literatura ma możność odtworzenia wszechstronnego triumfu pozytywnego bohatera, wspieranego przez potęgę, prawo, etykę i moralność społeczeństwa socjalistycznego. Odrębność ta polega na tym, że literatura nasza jest jednolitą literaturą wielonarodową. Odrębność ta polega wreszcie na tym, że literatura nasza niezmiernie podnosi rolę i znaczenie pisarza w życiu narodu.

Z wielkim wzruszeniem słuchaliśmy wszyscy w tej historycznej sali listu powitalnego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego do II Wszechzwiązkowego Zjazdu Pisarzy Radzieckich.

List ten wzbudził w nas uczucie głębokiej wdzięczności za to, że partia tak bardzo ceni pozycję i znaczenie naszej literatury w życiu społeczeństwa radzieckiego. Wzruszeni tym zaufaniem uroczyście zapewniamy Partię Komunistyczną, Rząd Radziecki i nasz wielki pracowity naród, że z jeszcze większą energią będziemy pracować nad stworzeniem nowych książek, godnych wielkiej, twórczej działalności bohaterskiego narodu, że zawsze będziemy wiernymi, niestrudzonymi pomocnikami partii w sprawach wychowania ludzi radzieckich na dobrych obywateli przyszłego społeczeństwa komunistycznego.

ILJA ERENBURG

Nieraz słyszałem namiętne dyskusje czytelników o naszych książkach nie tylko w moskiewskich wyższych uczelniach, ale także w odległych, stepowych wioskach. Daleko za granicami naszego kraju widziałem ludzi, których wzrusza i wychowuje książka radziecka. Literatura nasza zawdzięcza swoją wartość narodowi, który ją zrodził, narodowi, który buduje przyszłość na sprawiedliwych i humanistycznych zasadach.

Dlaczego upada coraz bardziej burżuazyjna literatura Zachodu? Czyżby zabrakło tam ludzi utalentowanych, czyżby pisarzy ogarnęło lenistwo? Bynajmniej, utalentowanych i pracowitych pisarzy jest wielu, nie może ich jednak zapłodnić społeczeństwo, w którym żyją: jedne zjawiska zostały już dawno opisane w literaturze, inne ce-

chuje taka pustka moralna, że pisarz małodusznie chowa się do swojej nory, która bardziej przypomina ciemny schron przeciwlotniczy niż wieżę z kości słoniowej. Trudno podejrzewać Priestleya o skłonności buntownicze i dlatego właśnie pozwolę sobie przytoczyć jego zdanie o młodej literaturze angielskiej: „Jeśli się nawet zdarzy, że powieści te bodaj fragmentarycznie ukazują życie społeczeństwa, wydaje się ono dziwne i bezsensowne. Literatura, zajmując się na ogół tylko życiem osobistym ludzi, przedstawia jakieś życie uszczelnione, ograniczone sypialnią i knajpą..." Około trzydziestu lat temu ukazała się dziwna powieść R. Wilsona, która wzbudziła wielkie zainteresowanie. Tytuł jej brzmiał Śmierć społeczeństwa. Czytając utwory współczesnych młodych pisarzy ma się wrażenie, że śmierć ta już nastąpiła.

Możemy dodać od siebie: tak, rozkład społeczeństwa burżuazyjnego już się odbywa i w tym właśnie tkwi tajemnica bezpłodności pisarzy, którzy nie zerwali z moralnie zbankrutowanym światem. Tym się również tłumaczy znaczenie, jakie ma w świecie literatura radziecka.

Gdybyśmy się zgromadzili tutaj na uroczystej akademii, poświęconej dwudziestoleciu Pierwszego Zjazdu Pisarzy Radzieckich, mógłbym chyba na tym skończyć. Zebraliśmy się jednak nie tylko po to, aby dokonać podsumowania. Warto się zastanowić nad tym, czego jeszcze nie zrobiliśmy i dlaczegośmy jeszcze tego nie zrobili, należy się zastanowić nie nad książkami już napisanymi, ale nad tymi, które pozostały jeszcze do napisania.

Wiemy, że młoda literatura radziecka stanęła wobec wyjątkowo trudnego zadania. Poprzednicy nasi opisywali społeczeństwo ukształtowane, niejako ustabilizowane. My natomiast spędziliśmy dziesiątki lat na rusztowaniach nie tylko budujących się miast, ale przeobrażających się ludzi. Szybko zmieniało się życie, myśli, uczucia. Wraz z narodem zmienialiśmy się i my. Teraz mamy przed sobą już nie wykopy pod fundamenty, ale dom mieszkalny. Nowe czasy domagają się nowego zrywu twórczego.

Pisarze radzieccy dali swoim czytelnikom wiele pięknych książek. Dlaczego więc czytelnicy wpadają czasem w gniew czytając tę czy inną powieść odzwierciedlającą rzeczywistość radziecką? Dlatego chyba, że nie odnajdują w niektórych książkach ani siebie, ani swoich współczesnych.

W pewnym artykule, któremu moim zdaniem poświęcono zbyt wiele uwagi, wysunięta została teza, że słabość niektórych książek tłumaczy się brakiem szczerości autora. W swoim czasie niektórzy krytycy burżuazyjni twierdzili, że Niekrasow nie jest całkiem szczery. Nikt jednak nie kwestionował szczerości Katkowa. Mimo to prawdziwy obraz swojej epoki dał nie Katkow, ale Niekrasow. Znamy takich pisarzy współczesnych, którzy z głębokim przekonaniem piszą rzeczy nieprawdziwe — jedni dlatego, że niedostatecznie rozumieją swoich współczesnych, inni, ponieważ w różnobarwnym obrazie świata przyzwyczaili się dostrzegać tylko dwa kolory — biały i czarny. Autorzy tacy upiększają na zewnątrz swoich bohaterów, nie dają im jednak pełni wewnętrznej; nie szczędzą pozłótki przedstawiając wspólne mieszkania, wnętrza fabryk wyglądają w ich książkach jak laboratoria, świetlice — jak pałace bojarów; ale w tym wyzłoconym, sztucznym świecie żyją istoty prymitywne, figurki z wosku, grzeczne dzieci, nie mające nic wspólnego z ludźmi radzieckimi, z ich skomplikowanym, bogatym życiem wewnętrznym.

Społeczeństwo, które się rozwija i krzepnie, nie może się lękać prawdziwego obrazu: prawda jest niebezpieczna tylko dla skazanych na zagładę.

W naszej literaturze wierność prawdzie nie stoi w sprzeczności z partyjnością, ale ściśle się z nią łączy. Wiemy, że wielka sztuka była zawsze tendencyjna, to znaczy namiętna. Pisarz nie jest obserwatorem życia, ale jego twórcą. Opisując duchowy świat człowieka — pisarz zmienia go jednocześnie. Nie należy jednak pojmować oddziaływania pisarza na czytelnika w sposób uproszczony: rób to a nie rób tamtego; jeżeli będziesz postępował jak bohater pozytywny, wszyscy będą cię podziwiali, a jeżeli pójdziesz drogą bohatera negatywnego, zostaniesz na pewno zdemaskowany.

Mamy w Związku Pisarzy komisję literatury młodzieżowej, która dała naszym dzieciom wiele pięknych książek. Czytając czasem powieść, w której autor od pierwszej stronicy zanudza czytelnika morałami, człowiek myśli, czy nie czas najwyższy powołać w Związku Pisarzy komisję literatury dla dorosłych.

W ciągu pierwszych dziesięciu — piętnastu lat po Rewolucji Październikowej nie brak było w naszym kraju ludzi, którzy nie chcieli i nie mogli zrozumieć zasad społeczeństwa socjalistycznego. Zdarzali się i jawni wrogowie, i ludzie, którzy zajęli postawę wyczekującą—zobaczymy, czym to wszystko się skończy — i sceptycy, i obojętni. Toczyła się walka o samo uznanie nowego ustroju. Wówczas społeczeństwo dzieliło się nie tylko na ludzi postępowych i zacofanych, ale także na przyjaciół i wrogów. Od tamtych czasów wiele się zmieniło. Wyrosły pokolenia, dla których nasz ustrój społeczny jest bliskim, jedynie słusznym ustrojem społecznym. Walka bohaterstwa, porywów twórczych i miłości do ludzi z egoizmem, obojętnością i zacofaniem toczy się teraz w świadomości, w sercach wielu ludzi, tam właśnie, gdzie nowe walczy z cieniami przeszłości, dobro ze złem. Można oczywiście ustalić bieguny, przedstawić w romantycznej książce bohatera będącego wcieleniem wszystkich cnót i przeciwstawić go prawdziwemu łajdakowi. Książka taka, o ile będzie prawdziwa i napisana z pasją, porwie na pewno czytelników, zwłaszcza młodzież. Wydaje mi się jednak, że obok takich książek powinny być i inne, przedstawiające nie bieguny, ale cały ogromny świat, książki odzwierciedlające myśli i uczucia milionów ludzi radzieckich.

Czytelnicy radzieccy są zmęczeni dziesiątkami utworów, w których od pierwszej stronicy wszystko jest od razu wiadome, przestępca czeka na zdemaskowanie, a przodownik pracy wygląda jak zdjęty ze świętego obrazka. Takie książki nikogo nie wychowają: człowiek z wadami nigdy nie rozpozna siebie w łajdaku, a ludzie wartościowi, aczkolwiek nie pozbawieni pewnych słabości, będą uważali bohatera pozytywnego za istotę nie z tego świata.

Literaci, którzy dzielą postacie powieściowe na obowiązujące kategorie „pozytywnych" i „negatywnych", sami są zjawiskiem negatywnym w naszej literaturze: wiele jeszcze pokutuje w nich przeżytków przeszłości.

Obecnie oczywiście niemal wszyscy przyznają, że nie można malować obrazu używając tylko białej farby albo sadzy. Wystarczy jednak, by pisarz przedstawił człowieka wartościowego, posiadającego jednak pewne słabości, a natychmiast ktoś zapłonie oburzeniem: „To potwarz rzucona na ludzi radzieckich". Wystarczy, by pisarz pokazał, że biurokrata, niedołęga czy leniuch nie są przestępcami, że jest w nich jednak coś ludzkiego, a natychmiast ten sam krytyk albo jego koledzy zaczną protestować: „Dlaczego autor okazuje wyrozumiałość dla bohaterów negatywnych?" Tego rodzaju literaci chcą za wszelką cenę zachować uproszczone podejście do postaci powieściowych: boją się, żeby literatura ich nie wyprzedziła. A co się dzieje naprawdę?

Czytelnicy wyprzedzili wielu pisarzy. Przypomnijmy sobie dni Pierwszego Zjazdu Pisarzy Radzieckich. Znaleźliśmy się wówczas wobec dziesiątków milionów nowych czytelników. Czytelnicy ci po raz pierwszy brali powieść do ręki. Od początku rewolucji do lat trzydziestych kultura nasza rozrastała się wszerz; trzeba było ogarnąć nią cały naród. Niejeden pisarz mógł uskarżać się wówczas na pewien prymitywizm duchowy swoich czytelników. Teraz czytelnik radziecki patrzy na niego z góry: widzi, że postacie powieściowe są bardziej uproszczone, prymitywniejsze, uboższe duchowo niż on czy jego towarzysze.

Nasz stosunek do indywidualności ludzkiej jest biegunowo różny od stosunku Amerykanów: tam kultywuje się indywidualizm, ale depcze indywidualność, człowieka deformuje tam zawód, wąska specjalizacja. My natomiast dążymy do harmonijnego rozwoju indywidualności. Niekiedy jednak wykształcenie ma u nas pierwszeństwo przed wychowywaniem uczuć. Każdy z nas spotykał ludzi, którzy dobrze pracują, słusznie rozumują, a nie umieją po ludzku traktować żony, matki, własnych dzieci czy kolegów. Można chyba powiedzieć, że pewną część winy ponosimy my, pisarze: poświęcaliśmy czasem więcej uwagi obrabiarce niż człowiekowi, który stoi przy obrabiarce. Nazywają nas „inżynierami dusz ludzkich". To nakłada na nas wielkie obowiązki. Tymczasem czyta czasem człowiek opowiadanie czy powieść — wszystko tam jest na swoim miejscu: i części maszyn, i narady produkcyjne, można powiedzieć — inżynier to napisał, tylko gdzie się podziały dusze ludzkie?...

Przypomnijmy sobie czasy Pierwszego Zjazdu Związku Pisarzy: wówczas socjalistyczna przebudowa wsi była jeszcze wydarzeniem wywołującym żywe dyskusje. Naród budował z największym wysiłkiem pierwsze giganty ciężkiego przemysłu, które pozwoliły mu obronić ojczyznę przed najazdem wroga, a dziś, po dwudziestu latach, ułatwiają i upiększają życie obfitością artykułów codziennego użytku. W roku 1934 za granicą mówiono jeszcze o „eksperymencie rosyjskim" i Hitler, który na krótko przedtem zdobył władzę, obmyślał przy życzliwym poparciu swoich późniejszych przeciwników plan podboju Rosji. Czasy się zmieniły. Nie ma na świecie państwa, które by cieszyło się obecnie takim autorytetem jak nasze. Zjazd nasz odbywa się podczas dni doniosłych dla przyszłości Europy i całego świata: narody wiedzą, że ręka wyciągnięta po bratersku przez potężny i miłujący pokój Związek Radziecki może uratować ludzkość od potwornych nieszczęść. Nie jesteśmy osamotnieni: z nami są wielkie Chiny, kraje demokracji ludowej, cała postępowa ludzkość. W ciągu ostatnich dwudziestu lat kultura rozwinęła się w naszym kraju i weszła w głąb narodu, teraz możemy się pochwalić nie tylko liczbą czytelników, ale również ich poważnym, namiętnym stosunkiem do literatury pięknej. Dawniej tak umiały czytać dziesiątki, może tysiące wybranych, dziś literatura piękna stała się naprawdę własnością całego narodu i cały naród śledzi obrady naszego Zjazdu. To nakłada na nas największy obowiązek: powinniśmy uczynić wszystko, by literatura nasza była godna naszego wielkiego narodu.

Mówiłem już, w jaki sposób pisarze powinni traktować bohaterów swoich dzieł. Teraz chciałbym powiedzieć, w jaki sposób, moim zdaniem, pisarze nie powinni postępować z pisarzami. Nie trzeba ani apoteozować pisarza, ani mieszać go z błotem. Nie należy traktować pisarza jako wybrańca ani dawać mu w skórę jak uczniakowi, który coś przeskrobał.

Dlaczego zdarzało się, że książki mierne a nawet sporne były chronione przed wszelką krytyką? Dlaczego ton niektórych artykułów krytycznych przypominał i przypomina niekiedy akt oskarżenia?

Krytyka to konfrontacja różnych zdań. Ostateczny sąd wydaje czytelnik dzisiejszy i jutrzejszy. Zdanie czytelników różni się niekiedy od zdania krytyków, spotykałem się z tym nieraz na zebraniach z czytelnikami.

Zgadzam się całkowicie z tow. Simonowem, kiedy ubolewa, że u nas często drukuje się tylko pewne listy czytelników, inne zaś pomija. To prawda, wielu czytelników przysyłało mi odpisy swoich listów do „Litieraturnej Gaziety", w których polemizowali oni z artykułem tow. Simonowa. Listów tych nie zamieszczono, opublikowano natomiast wiele innych, solidaryzujących się ze zdaniem sekretarza Związku Pisarzy. Miło mi było dowiedzieć się, że tow. Simonow potępia takie obyczaje.

Pochwalam nieubłaganą walkę z wrogą ideologią. Moim zdaniem krytycy muszą jednak być niezmiernie ostrożni, kiedy mają orzekać, czy utwór przesiąknięty naszą ideologią radziecką jest dobry, czy zły. Wiemy, jak często nawet wielcy pisarze mylili się w swoich ocenach. Gonczarow nazywał Turgieniewa plagiatorem, Turgieniew zapewniał, że Niekrasowa czeka szybkie zapomnienie. Hugo uważał Stendhala za nudnego ignoranta i grafomana, a Stendhal zaliczał Hugo do wątpliwej wartości wierszokletów.

Po cóż jednak sięgać do dalekiej przeszłości? Przypomnijmy sobie drogę twórczą Majakowskiego i sąd, jaki o nim wydało wielu spośród tych, którzy go potem wychwalali pod niebiosa.

Może mi ktoś zarzucić, że wyważam otwarte drzwi. Dziś wszyscy się zgadzają, że oceny krytyczne nie mogą być powszechnie obowiązujące. Lecz tak jest w teorii. Mam nadzieję, że niebawem będzie tak również i w praktyce.

Nie chciałbym wspominać o krytyce, z jaką moja ostatnia opowieść spotkała się w referacie i koreferacie, milczenie moje mogłoby jednak być fałszywie zrozumiane. Nie mam bynajmniej złudzeń co do siebie samego i wiem, że w O d w i l ż y, podobnie jak w innych moich książkach, wiele jest niedoskonałości, wiele rzeczy po prostu nie dokończonych. Wyrzucam jednak sobie nie to, co wyrzucała mi krytyka. Jeśli będę jeszcze mógł napisać nową książkę, postaram się, żeby była krokiem naprzód w stosunku do mojej ostatniej opowieści, a nie krokiem w bok.

Halinie Nikołajewej nie spodobała się powieść Wiery Panowej. Nie ma w tym nic dziwnego i z pewnością można znaleźć pisarza, któremu nie podoba się powieść Nikołajewej. Ale zarówno Nikołajewa, jak Panowa są radzieckimi pisarkami oddanymi ojczyźnie. Tymczasem w stosunku do Panowej, podobnie zresztą, jak i w stosunku do mnie, niektórzy krytycy używają ostatnio terminu „obiektywizm". Zarzuty takie są chyba niedopuszczalne. Toczy się wielka bitwa o przyszłość naszego narodu i całej ludzkości. Książka — to serce pisarza i nie podobna odłączyć autora od jego dzieła. Czy można, oceniając sprawiedliwie pracę pisarza, przeciwstawiać tej pracy jedną z jego książek twierdząc, że w książce tej zaprzecza rzekomo wszystkiemu, czego bronił całym swoim życiem? Czyż można ludzi, którzy stoją w bojowych szeregach i walczą o wspólną sprawę, zaliczać do obojętnych obserwatorów życia?

Bez udziału w budowaniu naszego społeczeństwa radzieckiego, bez pasji i ognia pisarz skazany jest na wewnętrzną bezpłodność. Zagraniczni przeciwnicy zarzucają nam fanatyzm, brak indywidualności twórczej. Nie chcą albo nie mogą zrozumieć, że dla nas polityka

Partii Komunistycznej to droga do rozkwitu wartości ludzkich, do zwycięstwa humanizmu i że jeżeli jesteśmy fanatycznie oddani drodze, po jakiej idzie nasz naród, to nie jest to bynajmniej sprzeczne z testamentem pozostawionym nam przez naszych wielkich poprzedników: Puszkina, Tołstoja, Czechowa, Gorkiego — bronić człowieka.

Pod tym względem zgadzamy się wszyscy, różnimy się natomiast w sądach literackich i w sposobie pisania. Wybieramy różnych bohaterów — wybór ten wiąże się z charakterem pisarza, jego doświadczeniem życiowym, jego formą literacką. Gdzie jest ten kodeks, który ustala, jak właściwie należy pisać? Gdzie ta waga, gdzie te probówki, które pozwalają bezbłędnie ustalić, że ten bohater jest typowy, a tamten nie? O wszystkim tym można i należy dyskutować, ale omówienie książki to nie proces sądowy, a zdania tego czy innego sekretarza Związku Pisarzy nie należy uważać za wyrok skazujący wraz ze wszystkimi jego konsekwencjami.

Arbitralne wyroki są szczególnie niebezpieczne w stosunku do początkujących pisarzy. Młodzi autorzy to nasze jutro, nasza nadzieja. Powinniśmy zrobić wszystko i pomóc im, by nas prześcignęli; w tym celu trzeba zerwać ze zwyczajami, które, niestety, istnieją u nas jeszcze. Można tylko gorzko się uśmiechnąć na myśl o tym, co by spotkało początkującego Majakowskiego, gdyby w roku 1954 przyniół swoje pierwsze wiersze na ulicę Worowskiego.

Dzisiaj oczywiście wspomina się Majakowskiego przy każdej sposobności. Wspomina się go również wówczas, kiedy chce się potępić niemiłego krytykowi autora. Reprymendy prawione przez sędziów nie mających należytego autorytetu moralnego, subiektywne oceny, które uważnie śledzą redaktorzy pism i pracownicy wydawnictw, są częstokroć poparte powoływaniem się na tradycje Majakowskiego. Przykro tego słuchać przyjaciołom i współczesnym Majakowskiego, którzy nie zapomnieli, jak trudna była jego droga twórcza.

Dlaczego mówiąc o drogach naszej literatury poświęciłem tyle czasu warunkom, w których pracujemy? Dlatego, że los literatury nie da się oddzielić od losu pisarzy. Pewien pisarz powiedział kiedyś: „Będziemy bezlitośnie pomagać naszym kolegom". Moim zdaniem bezlitosnym trzeba być tylko w stosunku do wrogów, a nie w stosunku do kolegów. Chciałbym wezwać pisarzy do większego zrozumienia wzajemnego i większego koleżeństwa. Jeden z czołowych działaczy Związku Pisarzy rozwodząc się nad znaczeniem „średnich" pisarzy powiedział, że bez mleka nie można mieć śmietanki. Rozwijając to nieco niezręczne porównanie można powiedzieć, że bez krów nie można mieć nawet mleka. O tym warto pamiętać.

Nigdy i nigdzie literatura nie odgrywała tak ważnej i odpowiedzialnej roli, jak obecnie w naszym kraju. Państwo radzieckie i partia stworzyły nam wyjątkowe warunki. Nie jesteśmy zdani na łaskę handlarzy traktujących nas jak towar, nie mamy nad sobą żadnych Mac Carthych. My, pisarze, powinniśmy sami zastanowić się wspólnie, co mamy robić, aby lepiej pracować. Musimy przy tym pamiętać, że rozwój naszego społeczeństwa w ciągu ostatnich dwudziestu lat był szybszy i bardziej olśniewający niż rozwój naszej literatury. To jest zupełnie naturalne: budowy domu nie zaczyna się od dachu. Kiedy społeczeństwo dojrzewa, kształtuje się i umacnia — zjawia się literatura, która w pełni odzwierciedla jego moralność, jego nadzieje, jego namiętności. Pisarz — to człowiek obdarzony specjalnym darem, płomieniem wewnętrznym, bystrym spojrzeniem i wyostrzoną wrażliwością. Dzięki nim wyraża myśli i uczucia swojego narodu. Nasze społeczeń-

stwo radzieckie stoi teraz na tak wysokim poziomie, że mamy prawo spodziewać się niezwykłego rozkwitu naszej literatury.

Przyjaciele! Wrogowie humanizmu, wrogowie postępu, wrogowie narodów próbują zatrzymać bieg czasu. Grożą, że zatopią ludzkość we krwi. Będziemy ze wszystkich sił bronić pokoju, a jeżeli ci szaleńcy ośmielą się podnieść rękę na nadzieję całej ludzkości, znajdą się wobec narodu, który ma nie tylko potężną armię i przodujący przemysł, lecz także wielkie serce i wielką literaturę.

WALENTIN OWIECZKIN

W ciągu dwudziestu lat, które upłynęły od Pierwszego Zjazdu, literatura radziecka dała narodowi radzieckiemu i narodom całego świata bardzo wiele. Czy możemy jednak powiedzieć, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, i że literatura nasza sprostała całkowicie swoim zadaniom i stanęła na poziomie tego wielkiego dwudziestolecia?

Nie, nie ma wśród nas, pisarzy radzieckich, chyba ani jednego, który by to twierdził.

W referacie Aleksego Surkowa szczególnie uderzył mnie fakt, że wyniki prac pisarzy w okresie dwudziestolecia zostały wrzucone niejako do jednego worka. Oceniając osiągnięcia naszej literatury referent posłużył się metodą „przeciętnego obliczenia".

Ubiegłe dwudziestolecie literackie odznaczało się dużą pojemnością. Mieściły się w nim i ostatnie księgi Cichego Donu, i Poemat pedagogiczny, i Piotr Pierwszy, i Szkatułka z malachitu, i Ostatni z Udege, i Młoda Gwardia, i wiele innych świetnych utworów. Nie można jednak zaletami jednych pokrywać niedostatków innych. A tak właśnie postąpił referent. Stąd, jak wynikało z referatu, ocena dwudziestolecia wypadła na „dobrze" czy nawet na „dobrze z plusem".

Gdyby jednak referent — a było to jego obowiązkiem — uważnie przeanalizował procesy zachodzące w literaturze, gdyby podzielił dwudziestolecie na poszczególne etapy i uważniej przyjrzał się tym etapom, musiałby dostrzec, że w ciągu ostatnich lat wystąpiło u nas niepokojące, niebezpieczne zjawisko — obniżenie kryteriów. Ostatnio ukazało się u nas niemało miernych, ponuro bezbarwnych książek. I gdyby te książki tylko się ukazywały — to jeszcze pół biedy. Niejednokrotnie dostawały się one na najbardziej wysunięte flanki naszego literackiego frontu, jako te, do których inne powinny się podciągać.

Referat Simonowa nie zdradzał istotnego zaniepokojenia tym zjawiskiem. Ogólnie sprawa ta została poruszona i nie można zarzucić Simonowowi, że pominął jakiś problem milczeniem. Wypowiedź jego jest w miarę krytyczna i w miarę samokrytyczna, w miarę odważna i w miarę ostrożna. Wszystkie proporcje zostały zachowane.

Tow. Surkow wspomniał mimochodem, że zdarzały się u nas wypadki nagradzania (i wobec tego — dodam od siebie — wysuwania na czołowe miejsce w literaturze) utworów nie zasługujących na nagrody ze względu na swoje wartości ideologiczne i artystyczne.

Nie o poszczególne błędy jednak mi idzie, wadliwy był sam system przyznawania nagród literackich. W znacznym stopniu opierał się on na osobistych gustach, był nie dość demokratyczny. Zdania czytelników, zdania bezstronnej krytyki nie były brane pod uwagę.

Corocznie przyznawanie Nagród Stalinowskich w literaturze spowodowało później, powierzchowność analizy i

oceny przedstawianych do nagrody utworów! Nie było koniecznego sprawdzianu czasu. W sprawach tych zarząd Związku nie miał żadnej określonej linii postępowania. A jaki brak zasad wykazywał! Zazwyczaj Związek Pisarzy typował i proponował do nagrody wyższym instancjom niemal wszystkie utwory, które były w ciągu roku drukowane w pismach i zwróciły na siebie mniejszą albo większą uwagę. W ten sposób Zarząd Związku uchylał się od wszelkiej odpowiedzialności, od bezpośredniego i odważnego wyrażania własnego zdania o tym, jakie utwory literackie ubiegłego roku uważa za najlepsze.

Wiele nagród przyznano oczywiście słusznie. Któż mógłby kwestionować Nagrodę Stalinowską za Szkatułkę z malachitu, Piotra Wielkiego, Lubow Jarowaja, Cichy Don, Wasilija Tiorkina, Młodą Gwardię i wiele innych utworów, które zdobyły powszechne uznanie? Takie nagrody to święto dla nas, literatów, i dla całego narodu. I takie nagrody służą postępowi. Jednakże w ciągu ostatnich lat nasze wymagania się obniżyły, zatraciliśmy surowość konieczną do oceniania dzieł istotnie wybitnych.

Widzę w tym jeden z powodów, że do literatury w ciągu ostatnich lat napchało się wiele szarzyzny, miernoty, prymitywu, i to nie tylko napchało, ale nawet wepchnęło się, wysunęło się na czoło, do szeregów, że tak powiem, pierwszych piewców czy nawet — bardziej uroczyście — chorążych naszej literatury.

Drugi powód braku szczególnych osiągnięć w naszej literaturze na przestrzeni ostatnich lat ubiegłego dwudziestolecia tkwi, jak mi się wydaje, w poważnym, niebezpiecznym oderwaniu niektórych naszych pisarzy od życia.

Młode nazwiska, które ostatnio wybiły się w literaturze, to nazwiska ludzi ściśle związanych z życiem. Tichon Żurawlow, autor dobrych powieści: Szeregowy Antipow i Kombajnerzy, przyszedł do literatury od kombajna, a i teraz wcale mu się nie śpieszy do stolicy, żyje po dawnemu tak, jak jego bohaterzy. Tiendriakow to moim zdaniem autor ciekawy życia, ruchliwy i szukający ostrych, skomplikowanych tematów życiowych. I on rozumie, że nie należy odrywać się od ziemi, że jest to niebezpieczne! Trojepolski to człowiek o wielkim doświadczeniu życiowym.

Na ogół biorąc młodzi pisarze, wchodzący obecnie do literatury, to albo dziennikarze, którzy dużo jeździli i dużo widzieli, albo ludzie pracujący w jakimś dziale przemysłu, którzy niemało pracowali i przeżyli, a obecnie także nie chcą odrywać się od życia narodu.

Natomiast niektórzy z naszych starszych pisarzy, czołowych przedstawicieli naszej literatury w okresie Pierwszego Zjazdu, zbyt wcześnie uznali siebie za weteranów i spoczęli na laurach.

Ta grupa pisarzy dała w ciągu ostatnich lat — trzeba to powiedzieć — o wiele mniej, niż mogłaby dać, należą do niej bowiem największe, najdojrzalsze talenty, najwięksi mistrzowie słowa.

Przejdźmy do drugiej grupy — grupy średniego pokolenia. I tu również nie wszystko jest w porządku. Niektórzy przedwcześnie nagrodzeni laureaci po wydaniu pierwszej i jedynej książki przenieśli się do Moskwy. Posady, posiedzenia, przyjęcia, bankiety. Poza tym pochłonęło ich wygodne życie, któremu oddali się z całym zapałem. Rezultat — dziesięcioletnie milczenie albo po debiucie mniej lub więcej udanym bardzo przeciętne, nieciekawe książki.

Kiedy mówię, że należy jakoś uwolnić Moskwę od nadmiaru pisarzy, spotykam się ze zdaniem, że głoszę ascezę,

fanatyzm, czy ja wiem co jeszcze — „pójście w lud". Kiedy zaś słyszę, że jakiegoś literata przeraża perspektywa wyjazdu z Moskwy, że boi się nawet pomyśleć o tym, iż mógłby mieszkać gdzieś na wsi albo w miasteczku Zagłębia Donieckiego czy nawet w centrum obwodu gdzieś w głębi Rosji, po prostu nie wiem, co mam myśleć.

Czyż historia naszej literatury zna wypadki, aby kiedykolwiek pod Moskwą czy Petersburgiem istniało całe miasteczko pisarzy odizolowane od życia? A przecież teraz prawie wszyscy najwybitniejsi pisarze moskiewscy zgrupowali się w Pieriedielkinie, w Moskwie zaś wszyscy mieszkają w jednym domu przy zaułku Ławruszyńskim.

Nie, trzeba by jakoś poruszyć pisarzy zasiedziałych w Moskwie.

Wiele błędów popełnionych w naszej literaturze — rzucanie się z jednej ostateczności w drugą, szybka zamiana lakieru na dziegieć i na odwrót — wynika z braku pewności myśli i przekonań. Brak pewności zaś wynika z niedostatecznej znajomości życia, myśli i pragnień narodu. Toteż niektórzy literaci piszą nie z mocnego nakazu partyjnego i obywatelskiego sumienia, ale jedynie, by „trafić w nurt".

Mogę się spotkać z zarzutem, że w sposób nazbyt uproszczony, prymitywny rozstrzygam zagadnienie związku z życiem — po prostu, że tak powiem, przez „wysiedlenie" pisarzy z Moskwy. Czyż Moskwa to pustynia? W Moskwie także wre życie. I tu są zakłady przemysłowe, fabryki, budowa metra, studenci. Tak, w Moskwie życie jest również ciekawe, bogate, różnorodne. Ale nie przy ulicy Worowskiego 52, nie w klubie pisarzy, nie w salach posiedzeń.

Podobało mi się pełne patosu zakończenie referatu o prozie, w którym tow. Simonow wreszcie gwałtownie zaatakował szarość i miernotę w literaturze oraz krytyków wynoszących w pochwałach słabe utwory literackie. Nasuwa się jednak pewne pytanie. Towarzyszu Simonow, czy jako redaktor „Litieraturnej Gaziety", redaktor pisma, nie drukowaliście wielu artykułów (wprawdzie nie swoich, ale byliście przecież redaktorem!), w których wszystkie kryteria były pomieszane, a rzeczy mierne i słabe wynoszono w pochwałach pod niebiosa?

Czyż osobiście nie wychwalaliście pod niebiosa sztuki Zorina, bardzo złej i szkodliwej politycznie, a nieporadnej artystycznie? A potem bąknęliście coś półgębkiem na temat swojego „błędu"?

Mając zaufanie i pełnomocnictwa społeczności pisarskiej, przewodnicząc w różnych komisjach i posiedzeniach, czy często występowaliście odważnie w obronie obiektywności i wysokich wymagań, czyście dyskutowali i dowodzili, że utwory średnie są średnie a słabe — słabe?

I czy nie uważacie, towarzyszu Simonow, iż krytycy skrzywdzili was osobiście i to właśnie dlatego skrzywdzili, że przesadnie i bez umiaru chwalili i przechwalali wszystko, czego dokonaliście we wszystkich rodzajach literackich, jakie uprawiacie?

Doprawdy, gdybyśmy zebrali razem wszystko, co o was powiedziano i napisano, wszystko, co wam wydano, okazałoby się, że żaden z dawnych wielkich pisarzy rosyjskich ani żaden ze współczesnych nie może się z wami równać.

Sądząc więc z hołdów, które wam składano, można by wnioskować, że jesteście genialnym pisarzem. Przypuszczam jednak, że nawet sami nie uważacie się za geniusza.

Nie można sobie nawet wyobrazić czytelników książki Jak hartowała się stal, którzy po roku czy bodaj po 10-20 latach nie pamiętaliby

imion jej bohaterów. Nie podobna zapomnieć bohaterów Młodej Gwardii. Poemat pedagogiczny ma dużo postaci, ale pamięta się je wszystkie. W Cichym Donie występuje również dużo osób, ale pamięta się je nie tylko z nazwiska, lecz nawet z imienia; postacie te są żywe, stają człowiekowi przed oczami.

Postacie zaś waszych powieści i niektórych sztuk, nawet postacie główne jakoś bardzo szybko się zapomina.

Weźmy ostatni wasz utwór: Towarzysze broni — jeszcze farba drukarska całkiem nie wyschła, a już bohaterowie powieści zacierają się w pamięci.

Nie, towarzyszu Simonow, musimy uczciwie przyznać, że w stosunku do was i do waszej twórczości krytycy dopuścili się niejednej zbrodni.

Naród spodziewa się, że w dalszej swojej twórczości podniesiecie poziom swoich prac, podciągniecie je do poziomu tego, co wydaliście dawniej niejako awansem.

Na Zjeździe nie powinna się skończyć, ale dopiero zacząć wielka rozmowa o naszej literaturze.

To nie do pomyślenia, żeby nasze czasy nie mogły wydać swoich Gorkich, Czechowów, Niekrasowów!

Dopóki jednak ich nie ma, starajmy się pisać lepiej, nie szczędząc sił i zdolności. Musimy tak pisać, by nie wstyd nam było spojrzeć w oczy naszym czytelnikom, ludziom żywej, twórczej pracy, prawdziwym twórcom i budowniczym życia. Musimy tak pisać, aby literatura nasza stała się rzeczywiście potężną dźwignią naszego społeczeństwa. By wielokrotnie wzrosła pomoc, jaką niesiemy partii w wychowywaniu mas. By naród budujący komunizm wspominał zawsze i wszędzie nas, pisarzy, jedynie dobrym słowem!

OLGA BERGHOLC

Poezja towarzyszyła rewolucji od jej pierwszych dni. Nie każde wydarzenie polityczne czy nawet historyczne znajduje echo w poezji, ale losom władzy radzieckiej, całej jej historii poezja towarzyszy wiernie, z oddaniem i poświęceniem. Najwięksi mistrze przeszłości, tacy jak Błok i Majakowski, poszli z rewolucją, z narodem. Poezja stała się potrzebą duchową naszego czytelnika, który kocha ją miłością zazdrosną i wdzięczną. I mimo to, mimo posiadania takiej poezji, takich mistrzów, tak wspaniałych tradycji mówimy tutaj, że poezja nasza nie nadąża za życiem i potrzebami narodu. Mówimy o zacofaniu nie tylko poezji, lecz także krytyki i dramaturgii.

O cóż chodzi? Zebraliśmy się tutaj właśnie po to, by podsumować nasze osiągnięcia i wykryć istotne przyczyny naszych braków.

Wydaje mi się, że jedna z głównych przyczyn tego „nienadążania" nie tylko poezji, lecz także dramaturgii i krytyki tkwiła w tym, że zarówno wśród samych twórców, jak i w prasie oceny utworów literackich dokonywano częstokroć nie z pozycji ideowych i estetycznych, biorąc pod uwagę nie ich wartości artystyczne, lecz względy całkiem inne, niejednokrotnie koniunkturalne; nieraz ocena ta opierała się na dyrektywach sekretariatu. Wydaje mi się, że taka „krytyka" nic oprócz szkody przynieść nie może. Przytoczę dwa przykłady: szanujemy pracę F. Panfierowa, czyżbyśmy jednak nie wiedzieli, że powieść jego W kraju pokonanych nie należy właściwie do literatury? Wiedzieliśmy o tym doskonale i mimo to nie krytykowaliśmy, lecz chwaliliśmy ten utwór z całkiem innych powodów. Z jakich? W każdym razie nie przez wzgląd na dobro sztuki! Już w roku 1949 wiedzieliśmy doskonale, że

sztuka Surowa Zielona ulica jest złą sztuką i w gruncie rzeczy nie należy również do dramaturgii. Przed Zjazdem znalazłam ówczesne numery „Litieraturnej Gaziety" i zdumiałam się czytając na jednej stronicy przemówienie A. Sofronowa, który powiada, że w związku z tą sztuką i wszystkim, co się wokół niej dzieje, „rosną mu skrzydła". Na drugiej znów stronicy K. Simonow mówi, że Surow krocząc dzielnie naprzód toruje literaturze „nową drogę"...

Obok czytamy pełną uszanowania informację o dyskusji, która się odbyła nad tą sztuką w MCHAT-cie, i oświadczenie jednej z czołowych aktorek, że wreszcie w MCHAT-cie powiał świeży wiatr, i dowiadujemy się o zadowoleniu, jakie wyraził Surow wysłuchawszy tego wszystkiego...

Przykłady takie nie należą niestety do rzadkości.

Jak widzicie, od czasu do czasu niejako sami zdradzaliśmy sztukę, sprzeniewierzaliśmy się jej wielkim prawom. Sztuka zaś zaczyna nie nadążać za życiem od chwili, kiedy przestaje być sztuką. Z jakąś nieśmiałością, wywołaną w nas okrzykami krytyków, oceniamy ciągle naszą pracę i stan literatury z pominięciem kryterium wartości artystycznej, bez wartości zaś artystycznej sztuka nie może przecież być ani ideowa, ani partyjna. Nie podobna oddzielać w sztuce jednego od drugiego.

Nie mogę wyrzec się przytoczenia przykładu z innej dziedziny. Byłam niedawno w wyniosłym gmachu Hotelu Leningradzkiego w Moskwie. Wszystko tam jest jak gdyby w porządku: i architektura arcywspółczesna, i pięter bez liku, ale urządzenie wnętrza jest tak pozbawione gustu, że ma się wrażenie, iż cały hotel jest bardzo daleki od naszego życia współczesnego. Najważniejsze zaś, że pomimo całego luksusu, złotych kandelabrów, brokatowych portier, w tym ogromnym gmachu jest bardzo mało powierzchni użytkowej, po prostu mówiąc pokojów, te zaś, które są, kosztują bardzo drogo. Takich właśnie wyniosłych gmachów nie brak w naszej literaturze i o tym należy mówić wprost. Wydaje mi się, że w pewnym stopniu takimi wyniosłymi gmachami były także niektóre referaty, wygłoszone na naszym Zjeździe.

A. Surkow wymienił w swoim referacie bardzo wielu spośród trzech i pół tysiąca literatów radzieckich. Teraz pisarze żartują, że mogą się dzielić na wymienionych raz, wymienionych dwa razy, wyżej wymienionych i niżej wymienionych. Nie jest to, oczywiście, najważniejsze, czy pisarz został, czy nie został wymieniony w oficjalnym sprawozdaniu, dokumencie itd. Najważniejsza jest troska, którą otacza pisarza jako jednostkę twórczą zarówno Związek Pisarzy, jak i krytycy.

Mamy w Leningradzie promienną, radosną twórczość A. Prokofjewa; pisarz ten potrafi pisać tylko w tej tonacji, która mu jest właściwa. I oto od kilku już lat narzuca mu się inne, nie odpowiadające mu tematy, gani się za brak niewłaściwych mu tonów. Niestety wypadek ten nie jest odosobniony.

Przecież kiedy poecie uparcie narzuca się coś, co nie odpowiada jego istocie twórczej, poeta ten wykoleja się, zaczyna śpiewać nie swoim głosem, fałszować. I wtedy właśnie poezja zaczyna nie nadążać za życiem. Powtarzam: nadszedł czas, by możliwie najuważniej, najtroskliwiej odnosić się do indywidualności poety, do tego, co sam poeta chce powiedzieć „o epoce i o sobie".

Dwa lata temu dyskutowano o wypowiadaniu się indywidualności poety w liryce; dyskusja ta wywiązała się dlatego właśnie, że indywidualność poety po prostu znikła z poezji. Zastąpiły ją koparki, zgarniarki, kanały, ale człowiek i jego ludzkie uczucia — indywi-

dualność poety — znikły prawie zupełnie. Dyskutowano nie o wyrażaniu różnych uczuć, ale o tym, że poeta powinien wypowiadać się w swoich wierszach jako wielowymiarowa jednostka socjalistyczna. We wszystkich swoich wystąpieniach i artykułach podkreślałam społeczną funkcję, jaką spełniają osobiste uczucia poety radzieckiego, wyrażone w jego twórczości. I niepotrzebnie Samed Wurgun usiłował w swoim referacie sprowadzić wszystko do sporów o terminologię. Jest to wycofanie się moich oponentów na z góry upatrzone stanowiska. Żadnych nowych i ważkich argumentów referent nie przytoczył i dlatego nie chcę rozpoczynać z nim nowej polemiki. Chcę tylko jeszcze raz podkreślić, że, moim zdaniem, bez istotnego, swobodnego wyrażenia przez poetę swojej indywidualności — społecznej, wielowymiarowej — liryki nie ma, nie bywa i być nie może. Bogactwo poezji polega na bogactwie wyraźnych indywidualności w poezji. Krytycy nasi przysięgają, że tego właśnie pragną — jak najwięcej poetów dobrych i różnych, ale proszę mi darować — czytając ich artykuły mam niekiedy wrażenie, że marzą tylko o tym, żeby mieć jednego jedynego poetę, w miarę możności już nieżyjącego: wówczas mieliby święte życie.

Jeszcze jeden z powodów, dla których poezja nasza nie nadąża za życiem, to niedocenianie własnych zdobyczy i tradycji. Dlaczego na przykład, mówiąc o rewolucyjnym romantyzmie, Samed Wurgun nawet nie wspomniał i nie ocenił tak wybitnego poety, jak Michał Swietłow? Dlatego, że Swietłow nie jest w „ładownicy literackiej" ani w poezji, ani w dramaturgii. A przecież G r e n a d a to jeden z najlepszych wierszy w poezji świata! Swietłow jest nie tylko poetą. Osobiście myślę, że istnieje poza tym teatr Swietłowa, ale o nim jakoś się nie mówi. Teatr nasz prawie zatracił teatralność, podobnie jak liryka straciła wiele właściwych jej tematów. Z liryki prawie znikła miłość, tak jak z malarstwa znikł akt, a z kina ruch — tam bohaterowie głównie siedzą i rozmawiają, najwięcej zaś konferują. Musimy zwrócić i liryce, i malarstwu, i teatrowi wszystko, co straciły.

Teatry narzekają na brak repertuaru, a mamy takiego mistrza dramaturgii, nie należącego również do „ładownicy", jak E. Szwarc. Nie miał racji tow. Polewoj mówiąc o nim tylko jako o inscenizatorze. E. Szwarc ma talent samoistny, oryginalny, głęboko humanistyczny. Pisze nie tylko sztuki dla dzieci. Jego sztuki dla dorosłych leżą jednakże w biurkach, nikt ich nie wystawia, o nich się nie pisze.

Uważam, że zapomnienie o wielu naszych bogactwach i tradycjach wynika z tego, że za mało posługujemy się kryterium, które powinno nas prowadzić — kryterium wartości artystycznej, bez którego nie można wyrazić w sztuce naszej ideowości i partyjności.

Naród nasz kocha poezję i odczuwa jej potrzebę. Jest to największe osiągnięcie i zwycięstwo lat, które upłynęły między pierwszym a drugim Zjazdem Związku Pisarzy. Mamy partię, która pomaga naszej poezji. Mamy mistrzów, tradycje, bogactwa, mamy wielu przyjaciół wśród czytelników — uczynimy wszystko, by literatura nasza nie opóźniała się w stosunku do życia, ale szła ciągle naprzód, osiągając nowe zwycięstwa.

MICHAŁ SZOŁOCHOW

Stare przysłowie ludowe, które powstało tam, gdzie szumią wartkie potoki górskie, powiada: „Tylko małe strumyczki robią wiele hałasu".

Przebrzmiały hałaśliwe zebrania organizacji pisarzy na prowincji, zebra-

nia pełne ostrej polemiki, zuchwałych przemówień. Zjazdy organizacji pisarzy poszczególnych republik odbywały się w spokojniejszej już atmosferze, a oto teraz obrady naszego Wszechzwiązkowego Zjazdu, podobnego do wielkiej rzeki, która wchłonęła mnóstwo dużych i małych dopływów, toczą się wprost majestatycznie, w atmosferze niedobrego moim zdaniem spokoju...

Wiele mówiono tu o naszych wspólnych osiągnięciach. Nie ulega wątpliwości, że sporo rzeczywiście dokonała wielonarodowa literatura radziecka w ciągu ubiegłych dwudziestu lat. Wielu utalentowanych pisarzy weszło do literatury. Mimo to plagą naszą jest nadal strumień bezbarwnych, miernych utworów literackich, który w ostatnich latach płynął na łamach naszych pism i zalewał rynek księgarski.

Czas zatrzymać ten mętny potok i wznieść wspólnymi siłami tamę. Grozi nam bowiem, że stracimy szacunek czytelników, który wieloletnią pracą zdobyli poważni pisarze.

Nie odnosi się to, oczywiście, do tych młodych pisarzy, którzy dopiero wchodzą do literatury i rosną od jednej książki do drugiej, ale do tych znanych już literatów, którzy straciwszy szacunek do własnej pracy i czytelnika usychają od korzeni i z mistrzów przeobrażają się w rzemieślników.

Cóż stało się w ciągu ostatnich lat, tj. od końca wojny? Podczas wojny większość pisarzy nie mogła, rzecz prosta, nawet myśleć o pisaniu większych utworów, owoców poważnych rozmyślań, książek wycyzelowanych stylistycznie. Wówczas słowo artysty służyło zbrojeniu narodu, pisarze nie mieli czasu na to, by dbać o doskonałość formy. Stanęli wobec jednego zadania: słowo ich miało godzić we wroga, podtrzymywać ducha naszych bojowników, rozpalać i utrzymywać w sercach ludzi radzieckich nienawiść do wroga i miłość Ojczyzny. Zadanie to, jak wiadomo, pisarze nasi spełnili nienajgorzej. Po wojnie jednak bardzo wielu z nich, jak gdyby pod działaniem siły bezwładności, pisało nadal pośpiesznie, niedbale, byle jak. Musiało to się, oczywiście, odbić na poziomie artystycznym znacznej liczby utworów. To, co można było wybaczyć podczas wojny, stało się nie do wybaczenia po wojnie. I tak — prawdziwie wartościowe utwory powstałe po wojnie, jak książki Fadiejewa, Fiedina, Auezowa, Pawlenki, Gładkowa, Leonowa, Paustowskiego, Upita, Twardowskiego, Jakuba Kołasa, Gonczara, Niekrasowa i kilku innych jeszcze, wyraźniej ukazywały ubóstwo artystyczne utworów-efemeryd, które śmiało można nazwać poronionymi płodami literatury.

Ta nabyta podczas wojny skłonność do pośpiechu nie była jednak głównym powodem ogólnego obniżenia poziomu naszej literatury.

Jednym z głównych powodów tego obniżenia wydaje mi się zdumiewające i niczym nieusprawiedliwone zmniejszenie wymagań pisarzy w stosunku do siebie samych oraz obniżenie kryteriów oceny naszej krytyki literackiej. Pisarze ze zdumiewającą obojętnością przechodzili nie tylko obok miernych, ale i najwyraźniej bezwartościowych utworów swoich kolegów, jak gdyby w ogóle utworów tych nie dostrzegali. Nie oburzali się na zalewającą pisma i wydawnictwa makulaturę.

Jeśli idzie o krytyków, to sprawa wyglądała jeszcze gorzej: niektórzy z nich nie tylko nie chcieli dostrzec, że bezwartościowe i mierne są niektóre utwory, podpisane znanymi nazwiskami, zwłaszcza jeżeli było to nazwisko laureatów nagród literackich, ale omijali je z zażenowaniem. W oczach społeczności literackiej następowała zdumiewająca, niekiedy wprost wstrząsająca metamorfoza: „nieubłagany zoil" przeobrażał się nagle we wstydliwą

dziewicę. Jedni w milczeniu, bez słowa oblewali się rumieńcem wstydu, inni cmokali z zachwytem, nie szczędząc znakomitemu mistrzowi niezasłużonych komplementów. Bo naprawdę: czy ukazał się u nas bodaj jeden krytyczny artykuł sprawiedliwie oceniający jakiegoś mistrza za nieudany utwór? Takich artykułów nie było. A szkoda. U nas nie ma i nie może być literackich „settlementów" i osób nietykalnych...

Wspominano tu już nieraz o „literackiej ładownicy" i o pięciu czy dziesięciu pisarzach kroczących na czele literatury. Czy nie nadszedł już czas, towarzysze, żebyśmy, jako starzy żołnierze, sprawdzili swoje ładunki? Któż nie wie, że wskutek długiego leżenia w ładownicy, zwłaszcza pod wpływem działania deszczu czy pluchy zwanej odwilżą, kule rdzewieją? Czy nie nadszedł więc czas, żebyśmy wyrzucili z ładownicy zleżałe naboje, a włożyli nowe, świeże? Starych kul, oczywiście, nie należy wyrzucać, mogą się jeszcze przydać. Ale trzeba je po gospodarsku przetrzeć ługiem, a w razie potrzeby piaskiem.

Nic to im nie zaszkodzi, skórka z nich nie zlezie! Trzeba przechować te stare naboje, nie każdy musi być niewypałem. To także trzeba rozumieć.

Złym bojownikiem jest jednak ten, kto ma tylko jedną ładownicę. Nie podobna wygrać bitwy z tak nędznym ładunkiem. Podobnie jak wy wszyscy jestem za tym, byśmy mieli jak najwięcej nabojów w ładownicy i pod ręką, na wszelki wypadek. A mamy kogoś, kto dopilnuje, by się dobrze przechowały. Czytelnik nasz to nie sknera, ale dobry i oszczędny gospodarz...

I jeszcze jedno: termin „kroczący na czele" w zastosowaniu do człowieka, który rzeczywiście coś prowadzi, jest bardzo dobry, ale w życiu tak się zdarza, że pisarz, który kroczył kiedyś na czele, teraz po prostu stoi w miejscu. I stoi tak nie miesiąc, nie rok, ale dziesięć lat a niekiedy i więcej, jak na przykład wasz pokorny sługa i jemu podobni.

Rozumiecie, towarzysze, że nie jest przyjemnie mówić takie rzeczy o sobie, ale trudno, samokrytyka. Zatnie się taki pisarz, uprze, stoi w miejscu i patrzy jak wół na malowane wrota. Gdzie on tam kroczy na czele, skoro w miejscu stoi!

Zdarza się u nas tak i w partii — wszyscy to dobrze wiedzą — człowiek zasłużony pełni funkcje sekretarza Komitetu Obwodowego, jest osobistością wybitną. Przez pierwszy rok pracuje jeszcze jako tako, przez drugi coraz gorzej i wówczas mówi mu się uprzejmie: „Idź no, kochany towarzyszu, poducz się trochę".

I jak się to mówi: święte miejsca nigdy nie świecą pustkami. Ładownica literacka zostanie napełniona. Pisarze wejdą do niej nie z własnej woli, bo woli tu jeszcze nie wystarczy, ale wstawi ich do ładownicy gospodarską ręką naród, który chce walczyć o swoją kulturę, o swoje szczęście — o komunizm.

Jeden z powodów obniżania poziomu naszej literatury stanowi także system przyznawania nagród literackich, który istnieje u nas, niestety, do dnia dzisiejszego. Szczegółowo mówił na ten temat tow. Owieczkin, dodam więc tylko kilka słów. Przepraszam bardzo, ale stopniowanie utworów literackich, ustawianie ich na pierwszych, drugich i trzecich „miejscach" przypomina, jak Boga kocham, podział na pierwszy, drugi i trzeci gatunek.

A to, co nie zmieściło się w tej hierarchii? Jak nazwiemy te utwory, których nie nagrodzono? Cóż to — odpadki artykułów codziennego użytku? Jakoś to wychodzi niedorzecznie, krzywdząco i przykro. Na nic zda się taki system zachęty, zwłaszcza jeżeli weźmiemy pod uwagę, że nie nagrodzono wielu książek dobrych, mądrych, z talentem napisa-

nych. Niekiedy są one o wiele bardziej czytane niż książki nagrodzone.

Zdarzają się jednak i takie wypadki: napisał sobie literat książkę mierną, nie spodziewał się wielkiego powodzenia i trzeźwo liczył się z własnymi możliwościami. Przypuszczał, że następna książka będzie lepsza. I nagle dostaje drugą nagrodę. Powinien by szczerze powiedzieć: „Co robicie, kochani, nie dawajcie mi nagrody, książka na nią nie zasługuje".

Wolne żarty, nie mieliśmy takich prostaczków. Pisarz bierze nagrodę i wkrótce zaczyna myśleć, że nie tylko sam siebie nie doceniał, ale i ci, którzy przyznają nagrody, go nie docenili, bo książka jego śmiało mogła otrzymać nie drugą, ale pierwszą nagrodę.

Takimi ocenami psujemy zarówno pisarzy, jak i czytelników.

Nie podejmuję się proponować Zjazdowi czegoś konkretnego na ten temat. Nie ulega jednak wątpliwości, że powinniśmy prosić Rząd o zasadniczą rewizję systemu przyznawania nagród pracownikom sztuki i literatury, gdyż tak, jak jest obecnie, dłużej być nie może.

Jeśli obecny system zostanie zachowany, oduczymy się sami odróżniać złoto od srebra, a ostatecznie zdezorientowany czytelnik będzie nieufnie spoglądał na książkę kolejnego laureata.

Zaszczytnego odznaczenia nie można dawać lekkomyślnie, bo przestanie być zaszczytnym.

Pomyślmy, co się stanie z niektórymi utalentowanymi przedstawicielami sztuki i literatury, jeśli obecny system nagradzania utrwali się na dobre...

Złośliwi wrogowie za granicą powiadają, że my, pisarze radzieccy, piszemy pod dyktando partii. Sprawa ta wygląda nieco inaczej: każdy z nas pisze, jak mu dyktuje własne serce, a serca nasze należą do partii i narodu, którym służymy naszą sztuką.

Niekiedy odnosimy się do siebie nawzajem ze zbytnią ostrożnością, niekiedy okazujemy brak tolerancji w ocenach krytycznych, wszystko to wynika jednak nie ze złego charakteru, ambicji czy chciwości, ale jedynie z pragnienia, by literatura nasza coraz bardziej pomagała partii w wychowywaniu mas w duchu komunistycznym, by stała się jeszcze godniejsza swojego wielkiego narodu i wielkiej spuścizny naszej kultury, której jesteśmy spadkobiercami.

Wierzę z całego serca, że do trzeciego Zjazdu Pisarzy wielu z nas napisze nowe wybitne dzieła.

Z całej duszy życzę każdemu z was, towarzysze pisarze, nowych osiągnięć twórczych i tej promiennej radości, jakiej doznaje każdy człowiek pracy, który naprawdę dobrze wykonał swoje zadanie.

KONSTANTY SIMONOW

Uznając realizm socjalistyczny za podstawową metodę literatury radzieckiej Statut Związku Pisarzy podkreślił, że „realizm socjalistyczny zapewnia literatom wyjątkowe możliwości przejawiania inicjatywy twórczej oraz wyboru różnorodnych form, stylów i gatunków literackich".

Tymczasem już na pierwszym Zjeździe niektórzy pisarze twierdzili, że metoda realizmu socjalistycznego określa również styl i w praktyce właściwie stanowi styl.

Zaraziwszy się patosem tych wulgaryzatorskich rozważań można zapędzić się daleko i w zapale zabrać się do opracowywania „jedynej słusznej" kompozycji czy „jedynego dopuszczalnego" tematu, które z żelazną logiką powinny obowiązywać w ramach jedynej słusznej metody.

Zastąpienie pojęcia „metody" poję-

ciem „stylu" ogranicza właściwie możliwości literatury realizmu socjalistycznego, zwęża kryteria, pozwala niektórym krytykom nawoływać w teorii do różnorodności, a w praktyce przykrawać wszystkie książki na tę samą modłę albo raczej strzyc je na zero.

Wystarczy więc pojęcie metody realizmu socjalistycznego zastąpić pojęciem stylu, aby — bez względu na to, czy mówi się o tym *expressis verbis*, czy daje do zrozumienia w ogólnym toku rozumowania — możliwość istnienia różnorodnych stylów w ramach realizmu socjalistycznego została od razu przekreślona.

Wychodząc z założenia, że istnieje jeden tylko styl właściwy realizmowi socjalistycznemu, krytyk albo atakuje utwory nie odpowiadające jego koncepcji, albo na odwrót — ustawia na tej samej półeczce najróżnorodniejsze książki podając jako oznaki jedności stylu to, co w gruncie rzeczy świadczy tylko o jedności metody.

Jeżeli przyjmiemy taki niwelujący punkt widzenia w stosunku do kilku pierwszych z brzegu powieści wojennych, zobaczymy, dlaczego, zdaniem niektórych krytyków, Nieujarzmieni B. Gorbatowa — to książka zbyt publicystyczna, W okopach Stalingradu W. Niekrasowa — zbyt powszednia, Szosa Wołokołamska A. Beka — zbyt rzeczowa, Chorążowie O. Gonczara — zbyt podniosła... A tymczasem każda z tych książek jest napisana po prostu innym stylem, stylem właściwym każdemu z tych czterech pisarzy.

Piętnując próby przedstawienia naszej literatury jako literatury jednego stylu, należy od razu powiedzieć, że sama pulsująca życiem literatura niezmiennie udaremniała, udaremnia i będzie udaremniać te próby. Każda wybitna indywidualność twórcza tworzy w literaturze własny styl.

Jednakże stwierdzając oryginalność stylu tego czy innego pisarza albo specyfikę stylu poszczególnych książek, możemy zaobserwować w procesie rozwoju literatury pokrewieństwo stylów między niektórymi artystami, występujące niekiedy w całej ich twórczości, niekiedy zaś tylko w poszczególnych utworach.

Pewne właściwości stylu nie tylko stanowią o różnicy między pisarzami, ale również o ich powinowactwie zarówno w świadomości czytelników, jak i w ich własnej.

Obserwując żywy i różnorodny proces rozwoju naszej literatury powinniśmy dostrzegać także te prądy twórcze, które w niej rzeczywiście powstają, rozwijają się, a niekiedy rozpływają i zanikają. Takie obserwacje pomagają zrozumieć ogólny proces rozwoju literatury i istniejące w niej związki twórcze, wzajemne oddziaływanie artystyczne, przyciąganie i odpychanie.

Istnienie tych tradycji, tych prądów literackich widzimy wyraźnie w poezji, ale w prozie są także książki bliskie sobie stylem i książki bardzo od siebie nawzajem dalekie. Niektórzy spośród nas nie wiadomo dlaczego krzywią się na wzmiankę o różnorodnych prądach w literaturze realizmu socjalistycznego i mówią co najwyżej o różnych indywidualnościach artystycznych, stanowisko to jednak zubaża, zwęża pogląd na naszą literaturę.

Dla tych, którzy nie sądzą, aby w ustroju socjalistycznym wszyscy okrywali się jedną kołdrą, odmienność indywidualności artystycznych jest na ogół zrozumiała sama przez się. Nie musimy ograniczać się do stwierdzenia różnic indywidualności twórczych. Sprowadzanie sprawy do tego jednego zagadnienia świadczy o całkowitym niezrozumieniu tego punktu naszego Statutu, który powiada, że realizm socjalistyczny zapewnia artystom wyjątkowe

możliwości przejawiania inicjatywy twórczej.

Mamy wszelkie podstawy do tego, aby uważać za słuszne i naturalne istnienie w naszym życiu literackim, we wspólnym i jedynym nurcie metody realizmu socjalistycznego różnorodnych pod względem stylu kierunków artystycznych, rozwijających się na gruncie zdrowego współzawodnictwa.

Tworząc dzieło na zasadach realizmu socjalistycznego pisarz radziecki dostrzega w ludziach wszystko, ale ceni w nich tylko to, co służy przyszłości; nie zamyka oczu na podłość, ale za naturalne uważa to, co szlachetne. Pisarz rozumie ludzkie słabości, ale chce wyrabiać w ludziach siłę charakteru.

Kiedy literat nie widzi albo nagle przestaje widzieć życie w jego rewolucyjnym rozwoju, kiedy — przekonany, że dostrzega w ludziach wszystko — zaczyna w gruncie rzeczy najwięcej uwagi zwracać na podszewkę życia, na sprawy ciemne i brudne, kiedy wtłacza je do swojego utworu nie zachowując proporcji w stosunku do miejsca, jakie zajmują w życiu ludzi, to nic dziwnego, że stworzony w ten sposób obraz życia staje się karykaturą. Takie wypadki zdarzały się i zdarzają nadal w naszej literaturze i nie będę się nad tym rozwodził. Mamy świeżo w pamięci szereg niedawnych wypowiedzi ogłoszonych w prasie, które konkretnie wskazywały na ostatnie i najbardziej oczywiste wypadki tego rodzaju, przede wszystkim w dramaturgii. Ponieważ jednak mówimy o prozie, wspominając utwory w mniejszym lub większym stopniu zbudowane na piasku bardzo powierzchownej znajomości ludzi i jednostronnych sądów o nich, nie mogę nie powiedzieć pokrótce bodaj swego zdania o opowieści Erenburga O d w i l ż. O tym utworze opublikowano w naszej prasie wiele bardzo różnych opinii, wśród nich wypowiedź samego I. Erenburga. Stanowi to samo przez się fakt bardzo pozytywny, gdyż autor — i dodajmy: nie tylko wybitny autor — ma prawo polemizować z krytykiem, jeśli dyskusja ich ma charakter zasadniczy i może przynieść korzyść innym.

Erenburg poruszył w opowieści swojej wiele zagadnień, których literatura nie może omijać, jeśli nie chce omijać trudnych sytuacji życiowych. Dobrze się stało, że pisarz nie bał się tych sytuacji, dobrze się stało, że w utworze wyraźnie wyczuwamy sympatie i wzruszenia autora, gdy jest mowa o wielu bohaterach pozytywnych opowieści, jak Szerer, Sokołowski, Korotiejew, Sawczenko.

Mimo to O d w i l ż wywołuje bardzo sprzeczne uczucia, w rezultacie zaś — uczucie niedosytu. Dzieje się to przede wszystkim dlatego, że jakkolwiek zgodnie z zamiarem autora bohaterzy pozytywni mają być ludźmi, jakich jest wielu, to jednak z kontekstu opowieści wynika, że ludzi takich jest mało i zalety ich należą do rzadkości. Z wypowiedzi bohaterów Erenburga odnosimy mimo woli wrażenie, że doznali w życiu wiele złego, a mało dobrego, w dodatku to, co złe, stanowiło najczęściej regułę, dobre zaś — wyjątek. Trudno sobie wyobrazić, aby autor chciał dać taki właśnie obraz naszego społeczeństwa. Ale tak ten obraz wygląda, jest to fakt, który literatura musi brać pod uwagę w stopniu nie mniejszym niż najlepsze intencje autora.

Nie mogę tutaj szczegółowo analizować sposobu, w jaki I. Erenburg naświetla w O d w i l ż y problemy sztuki, chociaż zajmują one trzecią część jego utworu. Powiem tylko, że autor stawia sam siebie po prostu w dziwnej sytuacji, stwarzając pozory, jakoby wokół ludzi żyjących w jego książce nie było wielkiej sztuki; nie ma zaś jej dlatego, że autor uważał za stosowne

przymrużyć oczy i przez tę szparkę dostrzec samych tylko Puchowów, Saburowów i Taniczki. Wypowiedziany w Odwilży pogląd na naszą sztukę jest krzywdzący dla wszystkich uczciwych i utalentowanych artystów radzieckich, a w ich liczbie i dla samego Erenburga, dla ludzi, którzy tworzą wielkość i chwałę naszej sztuki. Ich pracom bowiem — nie zawsze doskonałym i nie zawsze wolnym od potknięć, błędów i słabości, ale wielkim i świadomym swojego celu — zawdzięcza nasza sztuka rolę, jaką odgrywa w życiu narodu i w kulturze całego świata. Czytając Odwilż trudno sobie wyobrazić, że tak jest. Znając naszą sztukę trudno uwierzyć, że opowieść Erenburga zawiera prawdziwy jej obraz.

Musimy wyraźnie powiedzieć, że historia naszego społeczeństwa radzieckiego, której przedstawianiu literatura radziecka poświęcała od trzydziestu pięciu lat najwięcej sił, podobnie jak każda historia i na każdym etapie, nie potrzebuje, by ją pogarszano czy poprawiano.

Tymczasem tendencje do pomijania komplikacji, sprzeczności i ciemnych stron rzeczywistości, skłonność do podawania wielu rzeczy pozostających w sferze życzeń za już istniejące, niejednokrotnie kazały literaturze, krytyce i redakcjom patrzeć na przeszłość Kraju Rad pod kątem upiększania życia i ahistorycznego przykrawania przeszłości na miarę teraźniejszości.

Tak więc zaczęto wzywać do łagodzenia w utworach o wojnie domowej żywiołowości i nieuświadomienia, właściwych pewnym kategoriom ludzi tamtych czasów. Doradzano, aby przedstawiać w uproszczony sposób skomplikowaną drogę, jaką musiała przejść dawna inteligencja, by ostatecznie stanąć po stronie ludu. Domagano się, aby w utworach o tematyce wojennej umiejętności bojowe naszych dowódców były tak doskonałe już w roku 1941, jakimi stały się dopiero podczas wojny w latach 1943—1944.

Jawnie asekuranckie czy zamaskowane pseudo-teoretyzowaniem próby przenoszenia późniejszych koncepcji do czasów wcześniejszych niejednokrotnie odbiły się bardzo ujemnie na naszej literaturze.

Po pierwsze okazało się, że utwory wartościowe, przedstawiające w bardzo prawdziwy sposób jakiś moment historii społeczeństwa radzieckiego, między innymi również utwory pisarzy już nieżyjących, szły w zupełne zapomnienie. Nie wznawiano ich i nawet o nich nie wspominano ani w artykułach, ani w przeglądach literatury.

Po drugie: wiele utworów autorów żyjących miało usterki nie dostrzeżone w czasie powstawania książki, ale widoczne obecnie, z nowych pozycji historycznych; utwory te przerabiano przy nowym wydaniu, nie usuwając jednak istotnych błędów czy braków artystycznych, ale naciągając tylko przeszłość do teraźniejszości. W ten sposób książki te naturalnie psuto.

Po trzecie wreszcie: jedno- i wielotomowe pisma wybrane autorów współczesnych wydawano często w formie niesłusznie skróconej, toteż nie dawały one pełnego obrazu drogi twórczej pisarza i pomijały wiele istotnych elementów jego dzieła.

Dobrze się stało, że zaczęły wychodzić u nas takie wybory pism, jak na przykład mniej lub więcej kompletne wydanie dzieł K. Fiedina w sześciu tomach. Jest to jednak dopiero początek wielkiej pracy, jaką muszą wykonać wydawnictwa, by czytelnik mógł ocenić całe bogactwo naszej literatury i zobaczyć obraz jej rozwoju w całej jej rzeczywistej wielkości. Wystarczy na przykład powiedzieć, że gdy wyjdą pisma wybrane W. Wiszniewskiego, czytelnik będzie mógł przekonać się, że ten zna-

komity dramaturg i publicysta jest również wybitnym i oryginalnym prozaikiem. Dopiero teraz wydawnictwo „Sowietskij Pisatiel" (Pisarz radziecki) przygotowuje nowe wydanie pism I. Ilfa i E. Pietrowa.

Pisarz ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek polepszać, poprawiać swoje dawne utwory. Wydawnictwa mają nie tylko prawo, lecz nawet obowiązek w miarę potrzeby opatrzyć utwory nieżyjących już pisarzy w wartościowe przedmowy i wyczerpujące przypisy.

Wszystko to jednak nie ma nic wspólnego z próbami „poprawiania" historii literatury, niedostrzegania w niej żadnych sprzeczności i skreślania z jej bilansu — bez cienia wahania — każdego dzieła mającego takie czy inne braki.

Mówiąc o obrazie naszego społeczeństwa w literaturze, należy podkreślić, że zamiłowanie do monumentalności za wszelką cenę, które rozwinęło się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat w różnych dziedzinach naszej sztuki, było związane z kultem jednostki, z jednostronnym pojmowaniem zasad sztuki realizmu socjalistycznego. W danym wypadku postulat historycznej konkretności sprowadzano do tego, by wysuwać na plan pierwszy obowiązkowo i wyłącznie najwybitniejsze postacie historyczne. Przedstawiając zaś te najwybitniejsze postacie historyczne, rolę wychowawczą konkretności historycznej rozumiano z kolei w ten sposób, że każdego wielkiego człowieka należy pokazywać jedynie w chwili podejmowania wielkich decyzji i dokonywania wielkich czynów, w wielkich momentach historycznych. W rezultacie częstokroć (najsilniej wystąpiło to w kinematografii) wielcy ludzie zamieniali się w żywe pomniki, natomiast rola wychowawcza dzieł sztuki w gruncie rzeczy stale się zmniejszała, gdyż w wielkim człowieku przestawano widzieć — człowieka. Ludzie przestawali widzieć jego cechy ludzkie, które go z nimi łączyły, które sprawiały, że był im bliski i zrozumiały, i które bynajmniej nie pomniejszają jego wewnętrznej wielkości, lecz jeszcze ją uwypuklają. Jeden bowiem z elementów tej wielkości stanowi także i taka, nie pozbawiona bynajmniej znaczenia, cecha, jak człowieczeństwo, o którym tak wymownie pisał W. Majakowski w poemacie Włodzimierz Iljicz Lenin.

Problem miejsca, jakie zajmuje w utworze literackim główny bohater, problem nadmiernego wysuwania bohatera na plan pierwszy kosztem świadomego lub nieświadomego pomniejszania całego otoczenia — jako tendencję biegunowo sprzeczną z metodą realizmu socjalistycznego, powinniśmy rozważyć opierając się na przykładach zaczerpniętych z literatury o tematyce współczesnej.

Bardzo charakterystyczny pod tym względem jest ten etap twórczości Panfierowa, który zaczyna się od ostatniego, czwartego tomu jego Brusków.

Panfierow należy do pisarzy, którzy, zwłaszcza w najlepszych swoich utworach, nie lękają się trudnych problemów i sprzeczności życia, nie cofają się przed przedstawianiem nie tylko radości, lecz także trudności, nieszczęść, prób, przez które musieliśmy wszyscy przechodzić. Poczynając jednak od czwartego tomu Brusków, który stanowi z tego względu bardzo wyraźny przełom w jego twórczości, Panfierow — ukazując, jak dawniej, wiele prawdziwych szczegółów zaczerpniętych z życia — zamiast zwyczajnych dzielnych i mocnych ludzi, którzy występowali w trzech pierwszych tomach jego powieści, zaczął przedstawiać bajecznych bohaterów, istnych Wyrwidębów i Waligóry, bohaterów, dla których nie ma nic niemożliwego. Na takiego

właśnie bohatera awansował w czwartym tomie Bruskόw Cyryla Zdarkina czyniąc zeń człowieka, któremu wszystko od razu się udaje, którego ciągłe wznoszenie się w życiu nie jest rozsądnie umotywowane i nie ma logicznych granic i który dlatego właśnie zaczyna tracić zaufanie czytelników.

W czwartym tomie Bruskόw Cyryl, dyrektor SMT, został wezwany na Kreml, gdzie w związku z nowymi zadaniami, wobec których stanął kraj, poradzono mu, by „zmienił kierunek" pojechawszy uprzednio za granicę dla poszerzenia horyzontów. Po powrocie zza granicy Cyryl zostaje nagle sekretarzem komitetu miejskiego i ma kontrolę nad budową ogromnych zakładów metalowych. W każdej sprawie osiąga doskonałe rezultaty i zarozumiale mówi o sobie: „Jestem traktorem... Podnoszę skiby, a wy... powinniście siać za mną, uprawiać." Zgodnie z tą charakterystyką własną otoczenie modli się do Cyryla jak do świętego obrazu. Wystarczyło, że wszedł na trybunę, a już ze wszystkich stron zerwała się burza powitalnych okrzyków: „wszystko huczało, klaskało, krzyczało. Cyryl mimo woli uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie, ale zgromadzeni zdawali się tylko na to czekać, dwieście tysięcy ludzi wrzasnęło jeszcze potężniej na całe gardło i wszystko utonęło w tym ryku".

Idee socjalistyczne nie mogą opierać się na fałszu. Tylko prawda o życiu może być rzeczywistą, a nie fikcyjną podstawą ideowości. Potwierdza to całe doświadczenie prozy radzieckiej, doświadczenie oparte na przedstawianiu w literaturze najlepszych synów narodu, którzy pokonują rzeczywiste trudności i odnoszą rzeczywiste zwycięstwa.

Nasza dyskusja przedzjazdowa o bohaterze pozytywnym miała odcień scholastyczny, ponieważ tezy jej popierano zazwyczaj jednym czy dwoma przykładami zaczerpniętymi z literatury. W gruncie rzeczy zaś nie jesteśmy wcale ubodzy i moglibyśmy tutaj, na Zjeździe, wymienić dziesiątki żywych postaci w naszej literaturze — naszych bohaterów pozytywnych, tworzących razem niejako zbiorowy portret przodujących ludzi naszego społeczeństwa.

Na portrecie tym zobaczymy różne postacie: mężczyzn i kobiety, młodzież i starców; różne ubiory — mundury wojskowe i ubrania cywilne, ale ludzie ci to ani fikcja literacka, ani posągi odlane z brązu, to ludzie żywi, bardzo do siebie podobni, a jednocześnie bardzo różni, prawdziwi ludzie radzieccy. Miliony czytelników, każdy na swój sposób, odnajdą w nich siebie, swoich krewnych, przyjaciół, osoby bliskie, sąsiadów, kolegów z pracy, z wojska.

Na portrecie tym znajdzie się Andrzej Łopuchow, który nie od razu, ale za to na całe życie nauczył się bezlitośnie nienawidzić wrogów, znajdzie się tam i skromny zwiadowca Trawkin, który bez zbytecznych słów oddał życie za ojczyznę, i uparty marzyciel Sania Grigorjew, i zapalczywy Umaru Mahomet, i chmurny, ostrożny Bortnikow, i nieugięty Mariesjew, i pedantyczny, arogancki Momysz-Uły, i wesoła, odważna Luba Szewcowa, i jak gdyby wykuty z jednej bryły, bezwzględny Ilja Zurbin, i niezłomny komunista Łotewski, Jan Lidum.

Stary Taras w Nieujarzmionych Gorbatowa znajdzie się na tym portrecie obok Andrzeja i Wiktora z Zagłębia Donieckiego, młodych chłopców, którzy by mogli być jego synami; Julia Dmitrijewna z Towarzyszy podróży, ta kobieta o złotych rękach i ufnym sercu, stanie obok kochającego z poświęceniem swoją humanitarną pracę Iwana Iwanowicza albo obok doktor Własienkowej, istoty gorącej i czystej, która poświęciła życie sprawie ratowania ludzi.

Na tym portrecie znajdzie się i ojciec żołnierzy, dusza pułku — komisarz Woroncow z Chorążych, i surowy, odważny komisarz Alpier z Burzy Erenburga, i ambitny, pewny siebie, ale umiejący również ugiąć się, kiedy idzie o dobro ojczyzny, dyrektor Listopad z Krużylichy, i Batmanow, kochający ludzi surową, ojcowską miłością, i oddany bez zastrzeżeń swoim obowiązkom major Bieriozkin z powieści Za słuszną sprawę Grosmana, i skromny księgowy z powieści Katajewa W obronie władzy radzieckiej, Koleśniejczuk, który najnieoczekiwaniej dla samego siebie zaczyna prowadzić życie w podziemiu, i naiwne, młode bohaterskie partyzantki Ola i Lena Kuroczenko z powieści W. Gierasimowej Brama bajdarska, i syn pułku, czternastoletni Wania Sołncew, i mądry, wesoły starzec — Syrbaj z Syr Darii S. Mukanowa, i siwy Wichrow — tak zdawałoby się niezdolny do walki i tak zapamiętale nieugięty obrońca rosyjskiego lasu, i niezłomny mimo swojego kalectwa Woropajew ze Szczęścia Pawlenki, i nieustraszony agitator pułkowy Spiwak z opowieści W. Owieczkina Z pozdrowieniem frontowym, i bojownik o prawdę ludową, kowal Ignotas, i delikatna, wytrwała radiotelegrafistka Michajłowa z opowiadania Marzec — kwiecień W. Kożewnikowa, i bohaterscy marynarze z Duszy morskiej Ł. Sobolewa, i niespokojna Nina Krawcowa z opowiadania S. Antonowa Pierwsza posada.

Mamy z czego być dumni w naszej literaturze, kiedy mówimy naszemu czytelnikowi o jej pozytywnych bohaterach. W naszej wielkiej literaturze, w naszej bogatej prozie nie brak przykładów pięknych czynów ludzkich.

Siła i dojrzałość tej właśnie tradycji w naszej literaturze każą nam żarliwie walczyć o jej utrzymanie i rozwój, a potępiać wszelkie jej zniekształcenia i obniżanie lotu, które ostatnio przejawiały się najczęściej w próbach lakiernictwa i niejako zacukrowywania bohaterów.

Nie możemy zwłaszcza pozwolić, by zniekształcano realistyczną tradycję naszej literatury pod płaszczykiem obłudnej troski o jej siłę wychowawczą. Podobno ukazywanie nieprzezwyciężonych jeszcze trudności, nie wyrugowanych dotąd przeżytków przeszłości, sprzeczności czekających na rozwiązanie mogłoby przeszkodzić właściwemu wychowaniu mas i stanowiłoby skazę na rynsztunku pozytywnego bohatera!

Lecz ludzie radzieccy nie są dziećmi, a literatura to nie guwernantka, która ma prowadzić swoich pupilków tylko po wysypanych piaseczkiem alejkach. Radziecka metoda wychowawcza nie polega na kołysaniu do słodkiego snu, ale na hartowaniu. Najlepsze książki radzieckie mówią o prawdziwych ludziach, o tym, jak hartowała się stal. Hartowanie stali — to zajęcie godne dzielnych ludzi, a nie ptasi świergot guwernantek. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że wszelkie lakiernictwo, unikanie komplikacji, przypinanie bohaterom idealnych skrzydeł anielskich wypaczają literaturę i są sprzeczne z interesem czytelników, interesem ludzi radzieckich, interesem naszego radzieckiego ustroju. W interesie tego ustroju leży bowiem, by bezkompromisowa i prawdziwa literatura przedstawiała życie w jego rewolucyjnym rozwoju i tym samym nie usypiała ale hartowała ludzi.

Partia uczyła nas zawsze, że wychowywanie jest najważniejszym zadaniem, jakie literatura ma do spełnienia, i podkreślała przy tym, że prawda i tylko prawda wychowuje ludzi. Metoda realizmu socjalistycznego uzbraja artystę w potężny oręż prawdy — prawdy

w naganie i prawdy w pochwale, prawdy, która nie zamyka oczu ani na zalety, ani na wady. I jednocześnie metoda realizmu socjalistycznego nie jest bynajmniej arytmometrem beznamiętnego rachmistrza, sumującego zło ze złem, a dobro z dobrem, bo do tego tylko ogranicza się jego funkcja. Metoda realizmu socjalistycznego to oręż w rękach walczącego artysty, który piętnuje zło w imię dobra.

Jest to teza ogólna. Ażeby uświadamiać sobie na każdym etapie konkretne zadania wychowawcze, do których jesteśmy powołani w swojej codziennej pracy, musimy dostosowywać najbardziej nawet prywatne zamiary twórcze do skali i istoty zadań, które stawia przed nami partia i naród.

Naród nasz przeżywa obecnie okres największego w swoich dziejach rozmachu i aktywności twórczej. Myśląc o wszystkim, czego się obecnie dokonuje — czy to będzie powstanie nowych gigantów ciężkiego przemysłu, czy uruchomienie nowych elektrowni, czy ilość zaoranych odłogów, czy rozwój produkcji artykułów codziennego użytku — odczuwamy wyraźny postęp w życiu, gospodarce i kulturze kraju.

Co leży u podstaw tego zrywu w naszym kraju? Spokojna wiara we własne siły, niczym niezmącona świadomość rozległych perspektyw, mocne przekonanie o nienaruszalności naszych socjalistycznych stosunków, o zwycięskiej sile naszych zasad.

Jak wyraża się to wszystko w życiu ludzi? Nie w słowach, nie w przysięgach, nie w wymownych zapewnieniach o całkowitym oddaniu ideom socjalizmu, lecz w pracy.

W pracy wyraża się ideowość człowieka, w pracy wyraża się jego wiara w socjalizm, w pracy wyraża się jego zrozumienie perspektyw rozwojowych naszego społeczeństwa.

Praca twórcza stanowi podstawę życia naszego społeczeństwa, ukazywanie ludzi w ich bohaterskiej pracy musi stać się podstawą literatury, jeśli literatura chce iść ramię w ramię z narodem.

Musimy unikać wszelkiego schematyzmu i wulgaryzacji określając, jak ma wyglądać w literaturze temat bohaterskiej pracy. Wszelki schematyzm, wszelka wulgaryzacja w tej dziedzinie to woda na młyn tych, którzy by pragnęli skompromitować samą tematykę pracy, którzy lubią przeciwstawiać ludzi maszynom, a życie duchowe — pracy i uważają, że do literatury nie można wjechać na traktorze.

Nie, nieprawda, do literatury można wjechać i na traktorze, i na buldożerze, i na kombajnie. Chodzi tylko o to, kto siedzi przy kierownicy. Tematyka bohaterskiej pracy — to tematyka humanistyczna, to historia ludzi, charakterów, stosunków ludzkich. Należy więc ukazywać stosunek człowieka do pracy, mocno starając się zaszczepić literaturze tę wzniosłą ideę, że o naszym stosunku do człowieka decyduje głównie i przede wszystkim stosunek jego do pracy.

Człowiek może być miły, sympatyczny, przystojny, wesoły, jeżeli jednak jest nierobem, dezerterem z ogólnonarodowego frontu, na którym toczy się walka o przyszłość kraju, jest tylko na wpół człowiekiem, jest kołtunem. Człowiek może być uczciwy w stosunkach osobistych, wierny w miłości, jeżeli jednak wykonuje swoją pracę byle jak, nie ma prawa liczyć na naszą sympatię. Człowiek może być wytrwały i energiczny, jeżeli jednak uprzytomniwszy sobie w pewnej chwili, że właściwie czerpie wodę przetakiem, nie porzuci tego niepotrzebnego narodowi zajęcia i nie będzie się domagał innej pracy, jest nierobem mimo całej energii, jaką zużywa na czerpanie wody przetakiem.

Człowiek nie może wydawać się nam

piękny i pociągający, jeżeli niepiękny, niepociągający, niegodny jest jego stosunek do pracy. Albowiem stosunek człowieka do pracy to miara jego uczciwości wobec narodu. Stosunek człowieka do pracy, to miara jego ideowości, oddania — już nie w słowach, ale w czynach — ideom komunizmu.

W literaturze nie można oddzielać dwóch istniejących zawsze stron tego samego zagadnienia. Kiedy powiadamy, że głównym przedmiotem afirmacji w literaturze powinna być twórcza praca człowieka, musimy natychmiast dodać, że głównym przedmiotem demaskowania i potępiania w literaturze powinno być wszystko, co pozostaje w sprzeczności z naszym rozumieniem twórczej pracy ludzkiej. Literaturze naszej nie wolno pomijać takich zjawisk, jak symulanckie uginanie się pod rzekomym brzemieniem, wymigiwanie się od prawdziwej pracy, cyniczne zwalanie własnych obowiązków na cudze ramiona, obojętność i świadome bumelanctwo. Wszystko to zdarza się jeszcze, niestety, u nas dosyć często. Niepotrzebne, nieprodukcyjne wydatki robione na rachunek tego, czego dokonali prawdziwi ludzie pracy, oraz sprawcy tych wydatków zasługują na potępienie, krytykę, bezlitosne wyśmianie. I jeżeli już mowa o satyrze, to trudno doprawdy o lepszy teren do walki. Tutaj można i należy walczyć tym ostrym, celnym orężem, stawiając sobie za cel nie kołtuńskie dowcipy, ale zadania o doniosłości państwowej, takie właśnie, w imię których Majakowski bynajmniej nie przypadkiem napisał P o s i e d z e n i a r z y, a Lenin nie przypadkiem zwrócił uwagę na ten właśnie wiersz.

W centrum literackiego obrazu naszych czasów powinni się znaleźć ludzie, którzy znajdują się w centrum życia naszej epoki — ludzie pracy twórczej, ludzie przeciętni a jednocześnie mający zadatki na bohaterów. Pokazanie tych ludzi tylko w pracy, nawet gdyby poświęcali jej lwią część swojego czasu i sił, dałoby obraz jednostronny. Praca stanowi wprawdzie istotę ich życia, ale nie jest całym życiem. Praca stanowi nową treść ich życia, ale nie wyczerpuje całej jego treści. Nie mogą bowiem wyobrazić sobie własnego życia bez twórczej pracy, ale nie chcą również wyobrażać go sobie bez miłości, przyjaźni, macierzyństwa i wielu innych radości i trosk.

Traktując pracę twórczą ludzi radzieckich jako treść dzieła literackiego, widzimy od razu, że z tematem tym wiąże się nierozerwalnie zagadnienie wszechstronnego przedstawiania życia, zagadnienie łączenia elementów społecznych i osobistych w życiu człowieka.

Prymat interesu ogólnego nad osobistym wiąże się z wielką ideowością ludzi budujących komunizm, z twórczym charakterem ich pracy — przejawia się w nim realna prawda życia. „Prymat" oznacza jednak, jak wiadomo, przewagę momentu społecznego, nie zaś wypieranie, zastępowanie, wyrzekanie się spraw osobistych w imię społecznych.

Wulgaryzatorzy literaccy dawali już niejednokrotnie dowody całkowitego nierozumienia faktu, że chiński mur, który w dawnym społeczeństwie odgradzał życie osobiste człowieka od jego działalności społecznej, ściślej mówiąc dom i rodzinę od miejsca pracy, obecnie, w atmosferze przeobrażeń socjalistycznych kruszy się powoli z obu stron, wprawdzie nie bez trudności i komplikacji. Aktywność społeczna, praca pojęta jako działalność twórcza stają się coraz bardziej osobistą sprawą człowieka, a na jego życie osobiste coraz większy wpływ wywiera życie społeczne.

Mówiąc, że socjalizm wszechstronnie wychowuje człowieka, mamy na myśli

także tę najważniejszą sprawę — zdecydowane kruszenie się chińskiego muru między tym, co „osobiste", a tym, co „ogólne", między tym, co prywatne, a tym, co społeczne.

Prawdziwy pisarz nigdy nie zapomni o tej stronie życia swoich bohaterów, którą nazywamy osobistą, rozumie bowiem, że gdyby o niej zapomniał, naturalne pobudki ich społecznej działalności nie byłyby dostatecznie umotywowane.

Jeśli mamy mówić o grzechach krytyki, należy wspomnieć nie tylko o wulgaryzatorskich nawoływaniach, które zastępowały słuszne żądanie, aby ukazywać to, co w człowieku najważniejsze, schematycznym żądaniem, aby ukazywać człowieka tylko wśród tego, co najważniejsze.

Należy powiedzieć także o odwrotnej stronie medalu, o tym mianowicie, że krytycy zbyt często tolerują nieudolność pisarza w przedstawianiu osobistego życia człowieka. Tolerancja ta znajduje wyraz nawet we wstępnym stadium krytyki, które nazywa się redagowaniem.

Jakże często spotykamy w artykułach i recenzjach krytycznych rzucone mimochodem zdanie: „Życie osobiste bohaterów pozostało, niestety, w cieniu" albo: „Niedostatecznie zostało, niestety, ukazane życie osobiste bohaterów, co nieco obniża ogólny wydźwięk utworu X". Czas już, aby krytyka poważnie przeszła od lakonicznych żalów do szczegółowej analizy, jak się obniża ogólny wydźwięk utworu, jeżeli nie zostało w nim ukazane osobiste życie bohaterów, i jak — przeciwnie — rosną w książce ludzie, jak wbijają się w pamięć czytelnika, jeżeli autor przedstawił ich wszechstronnie, tak jak należało.

W związku z tym można wymienić wiele dzieł literackich, które ukazały się w ostatnich latach i zdobyły sobie wielką sympatię czytelników. Zbyt jednak często pisarze przesadnie, choć i w najlepszej intencji, podkreślają w swoich utworach pracę i tylko pracę, zubożając jednocześnie wszystkie inne dziedziny życia ludzkiego. Czytelnik nie chce się na to godzić, w życiu jego bowiem praca zajmuje główne miejsce nie kosztem reszty, lecz powiększa samą skalę jego życia, rozwija wszystkie jego ludzkie uczucia i wartości.

Chciałbym tu postawić wyraźnie jeszcze jeden problem: zastanówmy się, dlaczego obraz miłości, nie wstydliwy, nie marginesowy, lecz pełen siły, znajdujemy głównie w tych książkach pisarzy radzieckich, które przedstawiają mniej lub więcej odległą przeszłość? Dlaczego się tak dzieje, że po to, aby przeczytać i przeżyć w całej pełni dramat nieodwzajemnionej miłości albo szczęście miłości odwzajemnionej, czytelnik musi sięgać do P i e r w s z y c h r a d o ś c i i N i e z w y k ł e g o l a t a K. Fiedina, dlaczego nie znajdzie historii Lizy Mieszkowej czy Aneczki Parabukiny w książkach o tematyce współczesnej? Tymczasem takie dramaty wielkiej i ufnej miłości, jak miłość Izwiekowa do Lizy, która się rozbija o przeciętne, mieszczańskie, letnie uczucie, zdarzają się również w naszych czasach. I takie szczęście, jak szczęście Cyryla, który spotyka Aneczkę, zdarza się także w naszym dzisiejszym życiu.

Nie będę mówił o wielkości talentu, czemu jednak rzadko widzimy bodaj próby przedstawienia tak trudnego, wielkiego, powiedziałbym bohaterskiego w pokonywaniu wszelkich przeszkód uczucia, jak miłość Aksini i Grzegorza w C i c h y m D o n i e?

Cóż to, czyżby namiętności ludzkie się spłyciły? Czyżby w osobistym życiu ludzi nie było dosyć dramatów, wstrząsów i dążenia do szczęścia?

Musimy wypowiedzieć bezlitosną walkę obłudnym krytykom, którzy go-

towi są zachwycać się głębią namiętności, potęgą uczuć, bogactwem pragnień ludzkich w utworach poświęconych sprawom mniej lub bardziej odległej przeszłości, ale z jakiegoś powodu uważają, że w okresie budowania socjalizmu całe to bogactwo namiętności ludzkich należy zostawiać, jak kalosze, w przedpokoju, żeby broń Boże nie zabrudzić podłogi.

Mówiąc o życiu osobistym w ogóle umyślnie położyłem szczególny nacisk właśnie na sprawę miłości. Nie jest to oczywiście jedyny problem osobistego życia człowieka; życie osobiste to miłość, macierzyństwo, ojcostwo, przyjaźń, postawa moralna, wielkoduszność czy małość. Problem miłości jest jednak najostrzejszy, gdyż wokół niej krzewiła się i nadal się krzewi w naszej krytyce obłuda. Krytycy nasi nie rozumieją, że miłość stanowi nieodłączny element życia duchowego człowieka w nowym społeczeństwie, a nie po prostu niebezpieczny do sformułowania oceny, przymusowy dodatek do życia społecznego.

Protestując przeciw jednostroności w ukazywaniu życia społecznego człowieka radzieckiego, należy jeszcze wspomnieć o zjawisku, które nie jest wprawdzie szczególnie charakterystyczne dla naszej literatury, ale w niej występuje. Mam na myśli przesadne zainteresowanie życiem osobistym z uszczerbkiem dla jego społecznych przejawów. Wskutek tego pisarz niejednokrotnie zamiast człowieka zwykłego pokazuje człowieka małego, kołtuna zamkniętego w ciasnym światku drobnych osobistych trosk i kłopotów.

Powiedzmy sobie szczerze: życie osobiste kołtunów, ludzi, którzy świadomie stanęli poza nawiasem życia społecznego kraju, nie może być przedmiotem naszego zainteresowania w sensie pozytywnym. Wyizolowane życie osobiste jest przeżytkiem kapitalizmu i wobec tego może stanowić tylko przedmiot krytyki. Podkreślając więc konieczność przedstawiania życia osobistego ludzi, nie pochwalamy bynajmniej tych literatów, którzy ukazując życie osobiste zwykłego człowieka usiłowali i nadal usiłują przemycić do literatury małe, mieszczańskie problemiki.

W przemówieniu wygłoszonym na Pierwszym Zjeździe Pisarzy Aleksy Maksymowicz Gorki uskarżał się, że „ciągle jeszcze korzystamy z prawa, żeby źle pisać", mówiąc zaś o ostrym tonie swoich wypowiedzi na temat złych książek oświadczył: „...literatura radzieckich związkowych republik socjalistycznych obchodzi rocznice swoich urodzin. W zachłanności swojej chciałbym ogromnie, aby otrzymywała ładne prezenty. Rzecz jasna, że trochę się denerwuję, kiedy widzę, jak często otrzymuje w prezencie żelazka do prasowania..."

W ciągu ostatnich dwudziestu lat w literaturze naszej powstało wiele pięknych dzieł, ale ukazało się również niemało nowych „żelazek", i to żelazek częstokroć przywitanych nie ironicznymi słowami Gorkiego, ale entuzjastycznymi okrzykami krytyków i kolegów po piórze.

Kończąc mój referat chciałbym podkreślić, że musimy stworzyć wśród nas atmosferę głębokiego szacunku dla sztuki, tak aby nigdy słaba książka, bez względu na okoliczności, nie była oceniana jako średnia, średnia — jako dobra, a dobra — jako doskonała. Niezależnie od ważności, potrzeby i słuszności poruszonych w dziele literackim problemów, chwaląc i popierając autora za ostre odczuwanie rzeczywistości, rozumienie jej potrzeb, szlachetną pracę, nie należy stawiać mu naciągniętej piątki za walory literackie, jeżeli piątka ta naprawdę mu się nie należy. Niedopuszczalne jest oczywiście zjawisko odwrotne — powoływanie się na

doskonałość formy wówczas, kiedy utwór napisany z talentem jest ideologicznie błędny i zawiera fałszywe poglądy.

Należy również dbać o to, by każde słowo krytyczne było rozsądnie rozważone, kiedy idzie o sprawę tak zasadniczą, jak stosunek pisarza do naszej rzeczywistości, jego subiektywne zamierzenia i obiektywny ich wynik. Zdarza się, że nierozważnie szafujemy w krytyce słowami „oszczerstwo", „kłamstwo". W ciągu ostatnich dwudziestu lat tylko pojedyncze utwory zasługiwały na takie określenia. Zdarzają się — już nie sporadycznie — utwory zawierające błędy i słabości i zasługujące na surową ocenę, za którymi jednak — czujemy i rozumiemy to sami — nie kryje się i nie może się kryć subiektywny zamiar autora, by szkalować i zniekształcać rzeczywistość radziecką. W tych wypadkach krytycy, nie łagodząc bynajmniej surowego sądu, na który zasługuje dany utwór, muszą pamiętać, że za książką stoi człowiek, i nie mają prawa nazywać go oszczercą, skoro sami w to nie wierzą.

Musimy postawić ostro sprawę odpowiedzialności, jaką ponosi krytyk, który atakuje utwór wartościowy i dobry, i mamy prawo domagać się tej odpowiedzialności.

Stawiamy wyraźnie sprawę odpowiedzialności, jaką ponosi krytyk, który przechodzi do porządku dziennego nad ideologicznymi błędami i omyłkami autora, pozostając pod urokiem jego nazwiska albo talentu. W tym wypadku mamy również rację.

Prawie nigdy natomiast nie mówimy o odpowiedzialności krytyka, który wynosi pod niebiosa utwór mierny albo słaby pod względem artystycznym, plącze wszystkie kryteria literackie, niweczy wszystkie nasze rozważania o konieczności podniesienia sztuki pisarskiej. Tymczasem w tym także wypadku powinniśmy domagać się odpowiedzialności, powinniśmy potępiać nieodpowiedzialne gadulstwo, psucie młodych pisarzy lekkomyślnymi a niekiedy i fałszywymi pochwałami.

Na zakończenie pozwolę sobie przytoczyć doniosłe słowa, które Aleksy Maksymowicz Gorki powiedział w przemówieniu zamykającym Pierwszy Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy. Oto one:

„Włączyliśmy się do wielkiej sprawy, do sprawy o doniosłości światowej i powinniśmy osobiście zasłużyć na prawo uczestniczenia w niej... Nie wolno nam zapominać ani przez chwilę, że słuchają nas rzesze ludzi pracy, że pracujemy dla czytelnika i widza, jakiego nie znała historia ludzkości. Wzywam was, towarzysze, do kształcenia się, powinniśmy się uczyć, uczyć myśleć, pracować, szanować i cenić siebie nawzajem, podobnie jak bojownicy na polach walki, a nie trwonić sił na zwalczanie się wzajemne z błahych powodów, skoro historia powołała nas do bezlitosnej walki ze starym światem."

Zapamiętajmy te słowa Gorkiego: „Włączyliśmy się do wielkiej sprawy, do sprawy o doniosłości światowej." Nie wolno nam ani na chwilę o tym zapominać!

ALEKSANDER FADIEJEW

Obrady naszego Zjazdu toczą się pod znakiem głębokiej i poważnej krytyki i samokrytyki. Całkowicie uzasadnione i naturalne jest niezadowolenie pisarzy z wyników swojej pracy w okresie, kiedy kraj kończy budować socjalizm i stopniowo przechodzi od socjalizmu do komunizmu i kiedy tak wzrosło międzynarodowe, ogólnoludzkie znaczenie literatury radzieckiej.

Mam ochotę spojrzeć wstecz na drogę rozwoju, którą przeszliśmy. Będę miał tym większe prawo nie zgadzać się z wypowiedziami poszczególnych kole-

gów, skłonnych uważać ostatnie lata rozwoju literatury radzieckiej niemal za okres ciągłego „nienadążania".

Pracuję w literaturze przeszło trzydzieści lat i podobnie jak wielu pisarzy mojego pokolenia słyszałem już nieraz takie narzekania. Za każdym razem, kiedy kraj nasz wstępuje na nowy, wyższy etap rozwoju i szybki bieg naszego życia szczególnie uwydatnia fakt, że bogate życie naszego narodu nie znajduje dostatecznego i pełnego odbicia w dziełach literackich, niektórzy ludzie utrzymują, że literatura nasza „upada". W rzeczywistości zaś literatura się rozwija, krzepnie, ogarnia coraz to nowe dziedziny życia, a jednocześnie wzrasta u nas liczba literatów zdolnych do wypełniania skomplikowanych zadań artystycznych.

Przypomnijmy sobie lata pierwszej pięciolatki. Gdybyśmy mieli opierać swoje poglądy na niektórych artykułach, drukowanych wówczas w pismach, moglibyśmy rzeczywiście dojść do wniosku, że rozwój literatury wtedy się zatrzymał. A przecież właśnie lata pierwszej pięciolatki przyniosły nam takie utwory, jak Zorany ugór Szołochowa, Piotr Pierwszy Tołstoja, Sot' Leonowa, Czasie, naprzód! Katajewa, Bruski Panfierowa, Opowieść o wielkim planie Iljina, Centrala wodna Szaginian, Dzień wtóry Erenburga.

Warto uprzytomnić sobie, że w ciągu ostatniego roku, półtora ukazały się u nas takie powieści, jak Rosyjski las Leonowa, Zła godzina Gładkowa, Za słuszną sprawę Grosmana, które można uważać za wybitne osiągnięcia prozy rosyjskiej. Ukazały się ponadto tak wartościowe książki, jak Niebo bałtyckie N. Czukowskiego, Wynalazcy Granina, Serce przyjaciela E. Kozakiewicza, Opowieść o dyrektorze MTS i o głównym agronomie H. Nikołajewej i cykl reportaży Owieczkina.

Są to w większości wypadków książki nigdzie jeszcze nie drukowane, powieść zaś Za słuszną sprawę i opowieść Serce przyjaciela zostały gruntownie przerobione przez autorów w wyniku krytyki, z jaką się spotkały. Teraz słusznie zaliczamy je do najlepszych utworów literatury ubiegłego roku.

Wymieniłem tylko osiem utworów wydanych całkiem niedawno; żaden pisarz o wrażliwym sercu artysty i poważnym stosunku do literatury nie zaprzeczy, że utwory te — mimo pewnych niedociągnięć — ukazują nowe dziedziny życia i stosunków ludzkich i należą do wielkiej literatury. Trzeba widzieć żywy proces rozwoju literatury, a nie zastępować go ogólnymi sformułowaniami...

Wiele wad naszej literatury wynika istotnie z tego, że niektórzy nasi pisarze źle znają życie, są od życia oderwani albo poznają je biernie z pozycji biernych obserwatorów, a my powinniśmy patrzeć na nie oczami namiętnych bojowników komunizmu.

W dyskusji, która toczyła się przed Zjazdem na temat poezji lirycznej, osobiście jestem skłonny stanąć po stronie Olgi Bergholc, ale właśnie biorąc pod uwagę to, o czym przed chwilą mówiłem. Nie tylko uprawiając poezję liryczną, ale i wszystkie inne gatunki literackie pisarz powinien wkładać w rozumienie i przedstawianie życia całego siebie, cały swój rozum i serce, całą miłość do ludzi radzieckich i nienawiść do naszych wrogów, do wszelkiego zastoju i zacofania, które przeszkadzają naszemu marszowi naprzód. Pisarz musi włożyć niejako całą swoją biografię w to, co mówi i przedstawia w swoich utworach.

Ta koncepcja literatury nie pozostaje w sprzeczności z marksistowsko-lenino-

wską koncepcją literatury jako odbicia obiektywnej rzeczywistości. Przeciwnie, tylko z tych pozycji można właściwie rozumieć życie i naprawdę wzruszyć czytelnika.

Witam rzucone z tej trybuny wezwanie pisarza Owieczkina: „Bliżej życia!" Zgadzam się nawet z Owieczkinem, że wielu pisarzom przydałoby się pomieszkać i popracować w różnych okolicach naszego niezmierzonego kraju, gdzie pisarze są tak pożądani i tak ukochani. Nie o to jednak chodzi, gdzie kto mieszka. Pisarz rozkochany w życiu, pisarz o temperamencie bojownika, idąc za głosem swego serca, zawsze i wszędzie znajdzie nowe w życiu.

W związku z tym chciałbym po przyjacielsku poradzić Walentinowi Owieczkinowi, żeby nie kokietował nikogo swoją znajomością życia w porównaniu z innymi swoimi kolegami po piórze.

Wiemy, jak ściśle związany jest Owieczkin z życiem wsi kołchozowej i szanujemy go za to. Dotychczas uchodził i uchodzi u nas za postać pozytywną w literaturze. Wiele jednak może zepsuć, jeśli będzie „ożywiać" swoją postać tak, jak to zaczął robić.

Podobno Olga Bergholc przytoczyła w polemice niewłaściwe cytaty z Bielińskiego. Mniejsza o to! Niech ludzie biegli w piśmie dobiorą do słusznych myśli Olgi Bergholc odpowiedniejsze cytaty. Czy tu chodzi o cytaty?

Nie wolno mówić bezosobowo o pięknych ludziach radzieckich, o naszym życiu socjalistycznym i o tym, co przeszkadza jego marszowi naprzód. Pisarz radziecki to człowiek pełen gorącej, namiętnej miłości do naszych ludzi, do całego naszego życia. Na jednym z posiedzeń Katajew bardzo słusznie powiedział, że literatura nasza nie może się dzielić na literaturę „kołchozową", literaturę „przemysłową" czy literaturę o inteligencji. Powiedział również, iż wielką wartość literatury klasycznej stanowiło właśnie to, że mówiła o współczesnym jej społeczeństwie. Literatura nasza powinna także być literaturą o społeczeństwie radzieckim.

Nie znaczy to bynajmniej, że pisarzowi nie wolno przedstawiać bardziej mu bliskich stron życia oraz ludzi należących do warstw społecznych, które zna lepiej, i do zawodów, które bardziej lubi. Prawdziwa jednak siła talentu i prawdziwa sztuka pisarza polega przede wszystkim na tym, by umiał pokochać wszystko, absolutnie wszystko, co nowe, we wszystkich dziedzinach naszego życia i umiał przedstawić wszystko, z czym zetknął się w życiu.

Miłość ta otworzy pisarzowi wszystkie drzwi, obnaży przed nim wszystkie konflikty życiowe; skończą się scholastyczne dyskusje o wadze, na której należy ważyć pozytywne i negatywne cechy postaci literackich.

Musimy mówić o pozytywnych i negatywnych postaciach w literaturze, gdyż i w życiu siły nowego i starego świata mają swoje określone oblicze. My, pisarze, nie opisujemy po prostu ludzi, ale oceniamy ich z punktu widzenia moralnego.

Ma rację Erenburg, mówiąc: „Walka bohaterstwa, porywów twórczych i miłości do ludzi z egoizmem, obojętnością i zastojem toczy się obecnie w świadomości, w sercu wielu ludzi, właśnie tam nowe walczy z cieniami przeszłości, dobro ze złem."

Musimy zrozumieć, że ludzie nie stoją w miejscu, ale rosną w naszym społeczeństwie, które je wychowuje...

Niektórzy towarzysze — niezbyt liczni zresztą — zapominają o tym, że w literaturze walka ideowa trwa i że istnieją siły działające przeciw nam. Analizując przyczyny, które hamują szybszy i pełniejszy rozwój naszej literatury, nie wolno pomijać milczeniem zagadnienia walki naszej humanistycznej ideologii z opartą na nienawiści do człowieka

ideologią imperialistyczną, wówczas gdy walka ta toczy się na całej naszej planecie, we wszystkich krajach i na wszystkich lądach i kiedy wrogie wystąpienia w naszym kraju stanowią tylko echo tej walki o doniosłości światowej i historycznej...

Wysłuchałem uważnie wypowiedzi krytycznych Owieczkina, Aliger, Bergholc, Kawierina i znajduję w ich zarzutach sporo rzeczy słusznych, o których jeszcze będę mówił. Wydaje mi się jednak, że wystąpienia tych pisarzy wiele by na tym zyskały, gdyby mówcy zastanowili się również nad tym, co przed chwilą powiedziałem.

Mogę powiedzieć to samo Michałowi Szołochowowi, ze stenogramem wystąpienia którego starannie się zapoznałem.

Pisarz, świadomy i namiętny bojownik komunizmu, powinien zawsze widzieć przede wszystkim tego przeciwnika, który najbardziej zagraża jego pozycjom ideowym; z nim przede wszystkim powinien załatwić porachunki. Tylko taka postawa przyda wagi jego krytyce skierowanej przeciw temu, co zależy od nas samych i co możemy poprawić. Tym bardziej stosuje się to do Szołochowa, że jest on najwybitniejszym pisarzem naszego kraju, że naród kocha go bezgranicznie, że Szołochow cieszy się wielkim autorytetem i mógłby sam w dużej mierze przyczynić się do usunięcia braków w rozwoju całej naszej literatury. Możemy tylko żałować, że przemówienie swoje sprowadził do wycieczek osobistych, to nie jest poważne.

Wszystkim wymienionym towarzyszom, dobrym pisarzom radzieckim, chcę powiedzieć: „Dziękuję za krytykę. Zastanówcie się jednak jeszcze trochę nad przemówieniami, które wygłosiliście na Zjeździe, może ostatecznie zgodzicie się ze mną, że zawierały one pewne, bardzo istotne błędy."

List powitalny Centralnego Komitetu Partii zawierał wzniosłe słowa o powołaniu literatury radzieckiej: „Literatura radziecka powołana jest służyć sprawie mas pracujących jako najbardziej przodująca w świecie literatura i stać na szczycie światowej twórczości artystycznej." Żeby wejść na szczyty światowej twórczości artystycznej, trzeba się uczyć, dużo się uczyć, uczyć się wszechstronnie. I chcę powiedzieć raz jeszcze, że najlepszą szkołą dla pisarza radzieckiego jest spuścizna klasyków — literatura rosyjska, literatura naszych bratnich narodów i literatura światowa.

Wielki Lenin mówił, że powinniśmy krytycznie przyswoić sobie i przepracować najlepsze z tego, co stworzyła ludzkość na przestrzeni wieków swojego rozwoju.

Chciałbym ostrzec przed dość rozpowszechnioną obecnie wulgaryzacją w przyswajaniu starej spuścizny klasycznej. Spotykamy się coraz częściej z twierdzeniem, że literatura radziecka korzysta tylko z realistycznej sztuki przeszłości.

Niektórzy pisarze uważają, że przeszłość miała swoją ludową sztukę realistyczną, którą przejęliśmy w spadku, oraz sztukę antyrealistyczną, antyludową, która należy, że tak powiem, do burżuazji. Pogląd ten wyraził na przykład A. Sobolew w artykule Zagadnienia estetyki a literatura radziecka wydrukowanym w „Prawdzie" 16 września bieżącego roku. Sobolew powiada: „Klasy reakcyjne zawsze popierały i popierają sztukę antyrealistyczną, antyludową. Wychodząc na arenę walki dziejowej klasa robotnicza wystąpiła... jako bojownik o prawdziwą sztukę realistyczną."

W młodości hołdowałem również temu poglądowi i w swoim czasie wystąpiłem nawet z artykułem Precz z Schillerem! Trzeba było pewnego czasu, abym zrozumiał, że literatura radziecka jest spadkobierczynią

absolutnie wszystkiego przodującego i postępowego, co stworzyła ludzkość w swoim rozwoju. To przodujące i postępowe wyrażało się rzeczywiście najczęściej właśnie w sztuce realistycznej, ale głupotą było wyrzucać ze spuścizny przeszłości Schillera. Jest to jeszcze słuszniejsze w stosunku do takiego pisarza romantyzmu, jak Wiktor Hugo. w „Kniżnoj Pałatie" poinformowano mnie, podobnie jak K. A. Fiedina, że ogólny nakład dzieł Wiktora Hugo w naszym kraju wynosi osiem i pół miliona egzemplarzy, co przewyższa o przeszło dwa i pół miliona nakład dzieł Balzaka, o trzy miliony nakład dzieł Maupassanta i przeszło dwa razy nakład dzieł Zoli.

Dlaczego trzeba mówić o tym teraz? Dlatego, że krytyczne przyswojenie sobie form literatury klasycznej sprzyja wzbogaceniu form realizmu krytycznego, ich różnorodności.

Samed Wurgun miał rację mówiąc, że powołaniem realizmu socjalistycznego jest nie zjednoczenie, ale wzbogacenie form literatury światowej.

Wysuwając zasadę partyjności literatury wielki Lenin powiedział: „Jest rzeczą bezsporną, że w tej dziedzinie bezwarunkowo konieczne jest zapewnienie większej wolności inicjatywie osobistej, indywidualnym skłonnościom, większej wolności dla myśli i fantazji, formy i treści". *)

List powitalny Komitetu Centralnego do naszego Zjazdu głosi także: „Realizm socjalistyczny umożliwia wielką inicjatywę twórczą, wybór różnych form i stylów zależnie od indywidualnych skłonności i gustów pisarza".

Z tego punktu widzenia chcę poprzeć pogląd wyrażony w referatach A. Surkowa i K. Simonowa, w myśl którego w ramach naszego realizmu socjalistycznego istnieją właściwie i będą rozwijały się i współzawodniczyły różne kierunki twórcze w dziedzinie formy i stylu. Byłoby bardzo źle, gdyby pisarze należący do różnych kierunków, których twórczość rozwija się na wspólnej płaszczyźnie realizmu socjalistycznego, doszli do wniosku, że powinni stworzyć oficjalną organizację. Byłoby to źle, gdyż nie podobna przeprowadzić ścisłego rozgraniczenia między tymi kierunkami i wszelka próba takiego rozgraniczenia doprowadziłaby tylko do powstania drobnych grup.

Należy pamiętać, że w dziedzinie formy i stylu jedno często przechodzi drugie. Są poeci, którzy korzystają we własnej twórczości z wielkiego bogactwa znanych im form. Ilekroć bogactwo to nie jest naśladownictwem, wyraża się w nim mistrzostwo poety. Największy przykład tego mistrzostwa dał nam w przeszłości wielki Puszkin. I wszyscy wiemy dobrze, jakim bogactwem form wyrazu poetyckiego dysponował Włodzimierz Majakowski...

Zarząd Związku Pisarzy złożył sprawozdanie z dwudziestu lat pracy. Wielu się zmieniło w tym okresie ludzi bezpośrednio pracujących w prezydium i sekretariacie Zarządu. W ciągu tych dwudziestu lat dokooptowano także do Zarządu nowych członków.

Pisarze chcą, aby Zarząd nie łamał nadal zasad demokracji radzieckiej, aby Zjazdy Pisarzy były zwoływane w określonych terminach, aby równie regularnie pracował Zarząd Związku Pisarzy, jego prezydium i sekretariat, aby nie było więcej dokooptowywania i aby zapewniono wybieralność wszystkim organom Związku Pisarzy od szczebli najwyższych do najniższych.

Wiele wad i błędów w pracy Związku Pisarzy tłumaczy się tym, że w ciągu ubiegłych dwudziestu lat nie zawsze zachowywano zasady kolektywnego kierowania Związkiem Pisarzy. Zdarzały się okresy, kiedy w rękach po-

*) Lenin: O literaturze, „Książka i Wiedza", Warszawa, 1949, str. 10.

szczególnych osób stojących na czele Związku Pisarzy skupiało się zbyt wiele władzy. Pisarze chcą, aby w Związku przestrzegano zasady kolektywnego kierowania, aby istniało względnie liczne prezydium, mające wszelkie uprawnienia do podejmowania decyzji w sprawach życia Związku między plenarnymi posiedzeniami zarządu i aby sekretariat Związku był również organem podległym zarządowi i prezydium.

Należy jednak zaprotestować przeciw takiej koncepcji sekretariatu, o jakiej wspominał mimochodem Siemion Kirsanow i w myśl której funkcje te sprowadzałyby się niemal do funkcji czysto administracyjnych. Nie, sekretariat może i powinien być organem kierowniczym, ale bezwzględnie podległym zarządowi i prezydium.

Błędne byłoby także przypuszczenie, że można stworzyć takie prezydium i taki sekretariat, które by dogodziły wszystkim na świecie. Należy dążyć, aby prezydium i sekretariat rzeczywiście wypełniały swoje obowiązki wobec pisarzy, a zarazem korzystały ze swoich uprawnień jako organy wybrane i kierowały całym ideologicznym i artystycznym życiem Związku w walce z obcymi wpływami o wysoką wartość moralna pisarza radzieckiego.

Pisarze chcą, aby w ich organizacji społeczno-artystycznej szanowano oddolną krytykę i samokrytykę. Pisarze chcą, aby główną formą wyjaśnienia problemów ideologiczno-twórczych była forma swobodnej, twórczej dyskusji. Nie można jednak zgodzić się z interpretacją szerokiej, twórczej dyskusji, jaką zaproponowała na Zjeździe Małgorzata Aliger. Według jej słów dyskusja „jeśli mamy wierzyć słownikowi języka rosyjskiego, oznacza rozważenie jakiegoś zagadnienia dla wyjaśnienia różnych zdań i nie przewiduje oficjalnego podsumowania, które chętnie nazywa błędami te różne zdania". Nie możemy się z tym zgodzić, nie ma bowiem sensu dyskusja, jedynie wyjaśniająca różne zdania. Różne zdania nie mogą być wszystkie słuszne. Dawniej żartowano: „Jeśli mamy wybierać z dwojga złego, to lepsze jest jedno fałszywe zdanie, niż dwa słuszne".

Opieramy się przecież na marksistowsko-leninowskiej nauce o społeczeństwie, według której istnieje obiektywna i poznawalna prawda. Szeroka, swobodna dyskusja twórcza po to jest właśnie potrzebna, aby zestawiając różne zdania znaleźć prawdę obiektywną, przekazać ją w miarę możności wszystkim czytelnikom i opierając się na odnalezionej w ten sposób prawdzie iść naprzód do coraz to nowych osiągnięć.

Niedopuszczalne jest jednak, aby podczas swobodnej dyskusji twórczej ktokolwiek podawał swoje zdanie jako coś już gotowego, na co wszyscy powinni przystać, aby dyktował i narzucał swoje zdanie innym lekceważąc zdanie ogółu. Zasadniczą funkcją naszego Związku Pisarzy jest przecież wychowanie ideologiczno-artystyczne. Toteż leży to w naszym interesie, aby prawda została do końca wyjaśniona kolektywnie i stała się zrozumiała dla wszystkich. Z tego względu dyskusje twórcze należy przygotowywać i przeprowadzać kolektywnie.

W związku z tym chciałbym powiedzieć o wielkiej pomocy, jaką okazuje literaturze radzieckiej nasza prasa, kiedy słusznie ocenia zjawiska zachodzące w naszej literaturze, dopomaga pisarzom zorientować się we własnych błędach, wytycza drogi rozwoju literatury. Tym bardziej niedopuszczalne jest wydawanie bezapelacyjnych wyroków w stosunku do zjawisk literackich, co niekiedy zdarza się na łamach naszych pism.

Prasa nie spełniałaby oczywiście swojej roli, gdyby nie pomagała pisarzom radzieckim i całemu społeczeństwu ra-

dzieckiemu wykrywać tego, co jest mu obce i wrogie, i naprawiać tych czy innych błędów. W większości wypadków jednak prasa radziecka ma do czynienia ze zjawiskami literatury radzieckiej będącymi dziełem uczciwych pisarzy, o jedynym w swoim rodzaju, właściwym każdemu z nich obliczu twórczym. W większości wypadków przyniosłoby to niewątpliwy pożytek, gdyby przed wydaniem oceny prasa zapoznawała się z opinią publiczną, ze zdaniem pisarzy i czytelników o danym utworze. Nawet najlepszy zespół redakcyjny nie powinien uzurpować sobie prawa decydowania o losie utworu literackiego.

Należy pamiętać o wielkim zaufaniu, jakim masy społeczeństwa radzieckiego darzą naszą prasę.

Tak na przykład wiemy wszyscy, że przede wszystkim prasa przesadziła w krytyce rzeczywistych i poważnych błędów, które popełnił Grosman w powieści Za słuszną sprawę. W rezultacie wśród społeczeństwa radzieckiego i wewnątrz samego Związku wytworzyła się wokół tej powieści taka atmosfera, że my, ludzie, którzy przeoczyliśmy błędy Grosmana, musieliśmy przyjąć na siebie winę niewspółmierną z błędami pisarza i naszymi błędami. To nas, oczywiście, bynajmniej nie usprawiedliwia. Osobiście żałuję dotychczas słabości, którą okazałem, kiedy wypowiadając się na temat powieści i popierając słuszne zarzuty, skierowane pod jej adresem, nie przeciwstawiłem się owej przesadzie i nazwałem utwór ideologicznie szkodliwym.

Do pewnego stopnia naprawiłem swoją winę dopomagając wraz z wydawnictwem wojskowym Grosmanowi w jego pracy nad powieścią i doprowadziłem do jej wydania, kiedy błędy zostały poprawione.

Pisarze chcą, aby Związek Pisarzy i jego nowe władze wyleczyły niektórych naszych kolegów po piórze z „dziecięcej choroby" kółkowości. My, którzy przez dłuższy czas staliśmy na czele Związku Pisarzy, ponosimy powną winę za to, że ta „dziecięca choroba" nie była w ciągu ostatnich lat dostatecznie zwalczana.

Niedociągnięcia w pracy nad ideologiczno-artystycznym wychowaniem pisarzy, brak szerokiego życia twórczego w Związku Pisarzy sprzyjają rozwojowi tej szkodliwej tendencji do tworzenia kółek. Należy jednak powiedzieć, że większość członków Związku Pisarzy, przede wszystkim przodujące kadry naszej literatury, szczególnie zaś pisarze starszego pokolenia i najmłodsi przedstawiciele społeczności pisarskiej, nie cierpią na tę chorobę.

Szkodliwość kółek polega na tym, że momenty osobiste i kółkowe wpływają na ocenę zjawisk literackich, przeszkadzają obiektywnej krytyce tych zjawisk i niszczą naturalne, koleżeńskie związki między pisarzami, którzy mimo różnic indywidualności twórczych stoją na wspólnych pozycjach ideologicznych. Szkodliwość ta polega głównie na tym, że pisarze, którzy ugrzęźli w jakimś kółku, bywają skłonni przylepiać polityczne etykietki swoim tak zwanym „przeciwnikom".

Tutaj, na Zjeździe dużo i często krytykowano pracę Związku Pisarzy. Ale pisarze powinni wiedzieć, że szkodliwe istnienie kółek przyczyniło się do wielu błędów i wypaczeń w ocenie ideologicznych pozycji pisarzy i w ocenie utworów literackich.

Pracownicy redakcji naszych pism muszą pamiętać, że niektórzy spośród nas cierpią dotychczas na tę „dziecięcą chorobę" i że krytyczne artykuły tych nie tak znów licznych przedstawicieli literatury radzieckiej mogą być nieobiektywne i wymagają starannego sprawdzenia.

Z drugiej strony wiemy doskonale, że większość ludzi, którzy cierpią na „chorobę kółkowości", to w gruncie rzeczy

uczciwi pisarze radzieccy, niekiedy całkiem nieźli a nawet i dobrzy. Musimy szczerze im powiedzieć, że powinni jak najszybciej wyleczyć się ze swojej „dziecięcej choroby", która wychodzi na dobre tylko wrogom literatury radzieckiej. Obowiązkiem ich, obowiązkiem pisarzy radzieckich, świadomych bojowników o komunizm, jest dobrze się nad tym zastanowić i wyciągnąć z tego uczciwe i zasadnicze wnioski.

Kochani towarzysze i przyjaciele! Przypadło nam w udziale szczęście tworzenia w kraju, gdzie ucisk społeczny i narodowy należy do przeszłości; budujemy nowy świat rozumnych stosunków ludzkich. Wielki naród radziecki darzy nas swoją miłością. Bohaterem utworów naszych stał się człowiek, którego cała energia skierowana jest na przeobrażenie i upiększenie ojczyzny w imię szczęścia całej ludzkości. Nigdy jeszcze nie tchnęły taką mocą słowa naszego Gorkiego: „Człowiek to brzmi dumnie."

Przejęliśmy z rąk przeszłych pokoleń sztafetę humanizmu i historia nałożyła na nas święty obowiązek doniesienia jej do jasnej przyszłości komunistycznej. Czas postawił przed nami zadanie o doniosłości światowej i historycznej — komunistyczne wychowanie człowieka. Czy może być coś zaszczytniejszego?

Nie jesteśmy osamotnieni. Mamy wielu sojuszników i przyjaciół, kolegów po piórze. Z jednymi łączy nas wspólna idea obrony pokoju, możliwości pokojowego współżycia narodów; z innymi — obrona swobód demokratycznych i niepodległości narodowej; jeszcze inni są nam bliscy ze względu na pokrewną drogę rozwojową.

Mamy całkowite prawo mówić, że wszystko, co szlachetne i żywe, co istnieje i nie może nie istnieć w literaturze każdego narodu, zarówno wielkiego jak i małego, stało się obecnie duchowym wyrazicielem postępowych sił swojego narodu. Możemy mówić obecnie o wielkiej literaturze postępowej świata. Idziemy wszyscy razem ramię w ramię.

Niech drugi Wszechzwiązkowy Zjazd Związku Pisarzy Radzieckich pozostanie w naszej świadomości wielkim drogowskazem dziejowym na drodze naszego rozwoju. Zrobimy wszystko, aby obronić idee humanizmu, pokoju i przyjaźni między narodami. Jeżeli jednak siły agresji i reakcji ośmielą się zaatakować nasz ustrój — nadzieję pracujących i uciskanych mas całego świata, my, pisarze radzieccy, wypełnimy aż do końca swój obowiązek wobec własnego narodu i wobec całej postępowej ludzkości.

Świadomi stojących przed nami zadań o doniosłości światowej i historycznej stworzymy z pomocą i pod kierownictwem naszej kochanej Partii Komunistycznej i jej Komitetu Centralnego literaturę godną wielkiego narodu i bohaterskiej epoki, w której żyjemy.

Obrady II Wszechzwiązkowego Zjazdu Pisarzy Radzieckich, które rozpoczęły się 15 grudnia, trwały 12 dni. Uroczystość zamknięcia Zjazdu, podobnie jak posiedzenie inauguracyjne, odbyła się w Pałacu Kremlowskim.

W ostatnim dniu obrad ogłoszono wyniki wyborów do zarządu, do którego weszło 134 pisarzy. Zebrani przyjęli jednogłośnie odczytany przez K. Fiedina tekst listu II Zjazdu Pisarzy Radzieckich do Komitetu Centralnego KPZR. Przemówienie zamykające Zjazd wygłosił jeden z najstarszych pisarzy radzieckich, F. Gładkow.

W dniu 28 grudnia odbyło się pierwsze posiedzenie plenarne nowego zarządu, poświęcone sprawom organizacyjnym. Na posiedzeniu tym wybrano prezydium i sekretariat zarządu Związku Pisarzy Radzieckich. Do prezydium weszli: I. Abaszidze, W. Ażajew. S. Antonow, M. Auezow, N. Bażan, P. Browka, A. Wenclowa, S. Wurgun, F. Gładkow, A. Gonczar, W. Jermiłow, N. Zarjan, A. Karawajewa, W. Katajew, A. Kachchar, A. Korniejczuk, B. Ławreniew, W. Łacis, L. Leonow, S. Marszak, G. Markow, W. Panowa, N. Pogodin, A. Prokofjew, B. Polewoj, D. Polikarpow, B. Riurikow, K. Simonow, W. Smirnow, I. Smuul, L. Sobolew, A. Surkow, A. Twardowski, M. Tursun-zade, N. Tichonow, P. Tyczyna A. Fadiejew, K. Fiedin, N. Czukowski, M. Szołochow, S. Szczipaczew, I. Erenburg.

Do sekretariatu zarządu wybrani zostali: W. Ażajew, N. Bażan, B. Polewoj, D. Polikarpow, K. Simonow, W. Smirnow, A. Surkow, N. Tichonow, A. Fadiejew, K. Fiedin.

Pierwszym sekretarzem zarządu Związku Pisarzy Radzieckich wybrany został A. Surkow.

Problemy poruszone na II Zjeździe Związku Pisarzy Radzieckich z całą pewnością będą nadal szeroko dyskutowane na łamach prasy radzieckiej. O przebiegu tej dyskusji będziemy się starali dokładnie informować naszych czytelników.

WŚRÓD KSIĄŻEK

JULIAN TUWIM: *Z rosyjskiego.* Wstępem opatrzył Seweryn Pollak. t. I-III; Warszawa, 1954, PIW; str. 390, 300 i 485.

A więc nareszcie otrzymaliśmy trzytomowe, zbiorowe wydanie najpiękniejszych przekładów Tuwima z literatury rosyjskiej! Realizacja tego wydania, przygotowanego jeszcze przez samego poetę, ale wydrukowanego dopiero w kilka miesięcy po jego przedwczesnym zgonie, to wydarzenie o dużej doniosłości kulturalnej, które na pewno znajdzie żywe echo wśród czytelników polskich — pogłębiając wśród nich znajomość piśmiennictwa rosyjskiego i radzieckiego, a równocześnie pogłębiając ich stosunek do Tuwima, którego sztuka poetycka i translatorska została tu po raz pierwszy ukazana w pełnej krasie i w całej swojej bajecznej rozpiętości.

Teraz dopiero w pełni rozumiemy, co naprawdę mieściło się pod przyklejaną Tuwimowi popularną etykietką „znakomitego tłumacza" i teraz dopiero widzimy, jak słuszne było umieszczanie jego nazwiska obok nazwiska nieodżałowanego Boya-Żeleńskiego. Oni to przecież byli tymi tłumaczami-odkrywcami, którzy pierwsi ukazali polskiej publiczności literackiej prawdziwą wielkość dwu potężnych literatur światowych: rosyjskiej i francuskiej.

Zebranie tylu znakomitych przekładów Tuwima odda równocześnie olbrzymią przysługę współczesnej literaturze polskiej, ponieważ ułatwi przestudiowanie jego poetyki, a przede wszystkim jego wyjątkowego kunsztu translatorskiego, co może z kolei wpłynąć na podniesienie poziomu naszych tłumaczeń poetyckich, a nawet na wydoskonalenie formalne wielu wierszy oryginalnych, tak często dzisiaj bladych i ubogich pod względem artystycznym. A trzeba tu wyraźnie zaznaczyć, że artyzm poetycki Tuwima nigdzie bodaj nie zajaśniał w tym stopniu, co właśnie w utworach tłumaczonych — często całymi tygodniami i miesiącami poprawianych i wygładzanych, póki nie połączyły w sobie, w harmonijnym zestroju, możliwie najwierniejszych obrazów treści i formy oryginału.

Mistrzostwo przekładowe Tuwima było nie tylko rezultatem jego doskonałej znajomości języka rosyjskiego, ale również wypadkową kilku, wrodzonych mu bodaj, pasji życiowych: pasji filologicznej i lingwistycznej — przejawiającej się w porównawczym studiowaniu różnych języków oraz w poszukiwaniach słownikarskich i paremiologicznych, pasji poznawczej — kierującej go od najwcześniejszej młodości w stronę przebogatej literatury rosyjskiej, którą poznał i pokochał jak chyba nikt inny spośród poetów polskich, zdobywając równocześnie ogromną wiedzę w zakresie jej realiów historycznych i obyczajowych, a wreszcie pasji odkrywczej — stanowiącej oryginalne połączenie zainteresowania odczuwanego przez poetę dla wszystkiego, co skomplikowane i trudne do rozwiązania, z wiecznie żywym pragnieniem udanego eksperymentu warsztatowego. Tłumaczenie wiersza było dla niego podobne do odczytywania zatartego palimpsestu albo rozwiązywania trudnej łamigłówki. Sam zresztą porównał proces tłumaczenia do procesu rozwiązywania łamigłówki, pieczołowicie składanej „kawałek do kawałka, żeby wszystko przylegało — przemienione, przepolszczone, a przecież, jeżeli nie takie samo (bo to niemożliwe), to bliźniacze, a właściwie nieskończenie zbliżające

się do ideału doskonałości, czyli ku oryginałowi".

Tłumaczenia z rosyjskiego stanowią około 90% całego dorobku przekładowego Tuwima, spośród którego wybijają się ponadto swoim artyzmem i wysokim stopniem wierności w stosunku do oryginałów. Inna jeszcze ich cecha — ściśle zresztą związana z ich obfitością — to olbrzymia różnorodność reprezentowanych przez nie szkół, rodzajów i gatunków poetyckich, manier stylowych oraz odmian leksyki i frazeologii. Wystarczy zresztą przypomnieć, że rozpoczynają się one staroruskim Słowem o wyprawie Igora, a ogarniając najwybitniejsze nazwiska poezji i prozy rosyjskiej XIX w. oraz poezję symbolistów sięgają poprzez Majakowskiego do najnowszych przedstawicieli poezji radzieckiej.

Należy tu od razu wyjaśnić, że obecne wydanie tych tłumaczeń (razem ponad 1100 stronic!) nie obejmuje całego dorobku Tuwima w zakresie przekładów z literatury rosyjskiej, szczególnie zaś w zakresie przekładów prozy, z których przedrukowano tylko kilka opowiadań i fragmentów Gogola, Leskowa i Korolenki, opuszczając m. in. przekłady z Dostojewskiego i Lwa Tołstoja. Sporo opuszczeń można też zanotować w dziale poezji, do którego Tuwim nie włączył kilku tłumaczonych przez siebie autorów (np. Andrzeja Biełego), a także kilkudziesięciu tłumaczonych wierszy (np. niektórych wierszy Puszkina, Niekrasowa, Balmonta, Briusowa, Pasternaka i in.). Wszystkie takie opuszczenia były spowodowane albo przyczynami natury ideologicznej, odgrywającymi coraz większą rolę w twórczości poety, albo też jego krytycznym ustosunkowaniem się do poziomu własnych tłumaczeń. Do wyboru nie weszły również przekłady nie ukończone jeszcze lub zarzucone (np. przekład znanego wiersza Nikołaja Rylenkowa W chwilach zadumy... nam nie brońcie, dokonany jeszcze w r. 1944) oraz przekłady nie dopracowane i niedostatecznie wygładzone, a więc nie posiadające jeszcze autorskiego *imprimatur*.

Pomimo tych wszystkich opuszczeń zbiór Tuwima odznacza się niebywałym bogactwem materiałowym, szczególnie w dziale poezji, w którym na pierwsze miejsce wysuwają się wielkie bloki przekładów z Puszkina, Lermontowa i Niekrasowa, podobnie jak w dziale prozy blok przekładów z Gogola. Warto również zwrócić uwagę na przedrukowanie w nim wielu drobniejszych utworów poetyckich (zwłaszcza utworów poetów mniejszych), które nie weszły do popularnej antologii Jastruna i Pollaka Dwa wieki poezji rosyjskiej, a więc w praktyce były zupełnie niedostępne (a przeważnie i nieznane) dzisiejszym czytelnikom.

Jeżeli chodzi o dane liczbowe, to pierwsze dwa tomy zbioru zawierają jeden poemat anonimowy (Słowo o wyprawie Igora) oraz wiersze i poematy dwudziestu pięciu autorów, tom trzeci zaś trzy utwory dramatyczne (Gribojedowa i Gogola), cztery opowiadania (Gogola, Leskowa i Korolenki) oraz jeden fragment powieści (Gogola).

Całość została poprzedzona krótkim (12 str.), ale treściwym wstępem Seweryna Pollaka, a ponadto na końcu każdego tomu mieszczą się „przypisy wydawcy" (zwięźle zredagowane noty o autorach).

*

Na czoło pierwszego tomu, który objął wszystkich tłumaczonych przez Tuwima poetów z wyjątkiem Niekrasowa, wysunęła się oczywiście potężna postać Puszkina, który znalazł w polskim poecie nie tylko kongenialnego odtwórcę czysto poetyckiego piękna swoich wierszy, ale co więcej — znakomitego wyraziciela zawartych w nich

treści ideowych oraz głębokich wzruszeń osobistych. Tuwim, który do tłumaczenia poezji Puszkina zabrał się dopiero w r. 1927 (a więc w piętnaście lat po rozpoczęciu swoich przekładów z poezji rosyjskiej), oddał się tej pracy z ogromnym pietyzmem, starając się o przekłady możliwie najlepsze pod względem ideowym, językowym i artystycznym, a przy tym zwracając szczególnie baczną uwagę na melodykę wierszy oryginalnych, którą starał się naśladować w swoich tłumaczeniach, chociaż narażało go to niejednokrotnie na długie i mozolne pasowanie się z opornym tworzywem poetyckim. Stąd właśnie częste stosowanie rzadkich w języku polskim rymów męskich, stąd również — konsekwentnie — zachowanie w przekładzie O n i e g i n a arcytrudnej do oddania w tłumaczeniu polskim oryginalnej budowy strofy Puszkinowskiej (z ośmiu rymami męskimi!), któremu to zadaniu nie sprostał dotychczas żaden z naszych poetów (nadaremnie starał się o to Belmont). Udało się to jedynie Tuwimowi, ale i jemu udało tylko połowicznie, ponieważ z powodu olbrzymich trudności przekładowych tłumaczenia swojego nie zdążył ostatecznie zakończyć. Kiedy pytałem go latem 1953 r., czy uważa za możliwe dokończenie swojego przekładu O n i e g i n a przy zachowaniu wszystkich nałożonych na siebie rygorów, odpowiedział — w sposób stanowczy — p o t a k u j ą c o. Dodatkową odpowiedź na moje pytanie znalazłem później w papierach pozostałych po poecie, w których dochował się pomiędzy innymi pierwszy, brulionowy rzut paru zwrotek z siódmego rozdziału O n i e g i n a, nakreślony 8 czerwca 1953 r., a więc na parę dni przed wzmiankowaną rozmową. Przytaczam tu pierwszą zwrotkę tego rozdziału w jej postaci oryginalnej (słowa ujęte w nawias są w autografie przekreślone), jako niezwykle pouczający przykład warsztatowej pracy Tuwima nad tłumaczeniem poezji Puszkina.

(Blaskami wiosny popędzany)
1 Pędzony wiosny promieniami,
2 Już z gór dokolnych ruszył śnieg
(I na obszary łąk zalanych
Mętnymi potokami zbiegł)
3 I zmąconymi potokami
4 Na zatopione łąki zbiegł.
5 Przyroda jeszcze snem spowita
6 Przez sen poranek roku wita,
7 Uśmiechem jasnym (Niebo lśni)
(Z nieba)
7a (W niebie) siejąc blask.
8 (Błękitem) W dali —
(Z daleka — przezroczysty las
Hen)
8a przezroczy(sty) jeszcze las
9 Jak gdyby (puche) puchem się zieleni.
10 Pszczoła porzuca rojny ul
11 W dal lecąc po daninę pól.
(Barwami się (Już kwieciem się)
dolina mieni)
12 Dolina kwieciem pstrym się mieni,
13 Pasą się stada; słowik już
14 Śpiewał (tam) wsłuchany w nocną głusz.

Tekst to, powtarzam, brulionowy, jeszcze nie opracowany i nie wygładzony, ale już urzekający swoją urodą, a przy tym wymownie świadczący i o trudnościach napotykanych przez tłumacza, i — co ważniejsza — o ich brawurowym przełamywaniu, bez stosowania tak często nadużywanej przez innych „waty" poetyckiej.

Jeżeli podkreślimy jeszcze, że z wiernością przekładu łączy się ponadto ta sama co w oryginale struktura wersyfikacyjna, podobny tok jambiczny oraz identyczny układ spadków męskich (bynajmniej nie „dynamizujących" tu wiersza), to łatwo zrozumiemy, dlaczego Tuwim „upierał" się przy stosowa-

niu swojej metody przekładu O n i e g i n a, tak odmiennego zresztą pod względem budowy od innych poematów Puszkina. Wybrał zresztą drogę bezwzględnie najtrudniejszą, ale pokazał równocześnie, że wielki artysta potrafi jednak postępować taką drogą do wytyczonego sobie celu poetyckiego.

Zrozumiemy również, dlaczego przekłady Tuwima podobały się Erenburgowi, który słyszał w nich rytm J e ź d ź c a m i e d z i a n e g o, a także Surkowowi, któremu Tuwim czytał swój przekład paru rozdziałów wielkiego poematu Niekrasowa. „Słuchając ich — pisze Surkow — zrozumiałem, że mimo gigantycznych trudności, jakie nastręczał sylabiczny rosyjski wiersz Niekrasowa, przekład ten był nie tylko w rozumieniu znaczeniowym, ale i emocjonalnym — poematem Niekrasowa, a jednocześnie wspaniałym wierszem polskim".

Pisząc o O n i e g i n i e dodajmy jeszcze, że przez dziwne przeoczenie Tuwima (nie zauważone, niestety, przez redaktorów poszczególnych wydawnictw) do żadnego z wydań jego przekładu nie weszła XXVII zwrotka pierwszego rozdziału, opuszczona najwidoczniej przy przepisywaniu, a później omyłkowo potraktowana jako jedna ze zwrotek nie włączonych przez Puszkina do tekstu kanonicznego (por. uwagę Tuwima w t. I, s. 306). Zwrotka ta dochowała się w posiadanym przeze mnie autografie pierwszego rozdziału (datowanym: „New York. Grudzień 1944 i maj 1945") i brzmi jak następuje:

Nie o tym jednak teraz mowa.
Na bal spieszymy, dokąd już
Oniegin dawno pocwałował.
Karety rzędem stoją wzdłuż
Ulicy sennej. Ich latarnie
Wesołym blaskiem świecą barwnie,
W tęczowe smugi strojąc śnieg,
Co świeżą bielą wokół legł.

Szeregiem stoją domy ciemne
I tylko jeden pyszny dom
Iluminacji błyska grą;
Migają w oknach cienie zmienne,
Profile salonowych lwów,
Tańczących par, cudacznych głów.

W zbiorowym wydaniu D z i e ł Tuwima zwrotka ta zostanie oczywiście przywrócona.

Obok Puszkina zwracają uwagę czytelnika przekłady z Lermontowa — owoc powojennej pracy translatorskiej Tuwima (od 1950 r.), który jako tłumacz trafił do tego poety dopiero na parę lat przed zgonem. W czasie ostatniego swego spotkania z Ilją Erenburgiem Tuwim opowiadał mu, że „na starość zakochał się w poezji Lermontowa", wiemy jednak, że tłumaczenie tej poezji sprawiało mu dużo trudności i to zarówno przy pracy nad delikatnymi, rozpływającymi się pod piórem lirykami, jak i nad realistyczną, bylinną P i e ś n i ą o k u p c u K a ł a s z n i k o w i e, dla której specyficznego języka nie potrafił przez długi czas znaleźć polskich odpowiedników. Ciekawym świadectwem tych poszukiwań językowych jest mała karteczka spoczywająca w teczce z przekładem P i e ś n i i zawierająca wykaz polskich odpowiedników rosyjskiego wyrazu „priosanitsia": „nabuńduczy się, naburmuszy, nastroszy, naczupurzy, nastopyrczy się". Poeta wybrał ostatecznie: „nastopyrczy się"! (por. t. I, s. 376 u dołu).

W tece z przekładami z Lermontowa zostało jeszcze trochę tłumaczeń nie dokończonych oraz trochę zarzuconych prób translatorskich (np. początek tłumaczenia słynnego wiersza K i n d ż a ł), a między nimi ciekawy przekład wiersza S z c z y t (Uties), który warto tutaj przedrukować jako ciekawą ilustrację sztuki przekładowej Tuwima, a zarazem przykład tłumaczenia zarzuconego, ponieważ kontrola poety wy-

kryła w tekście (czystopisie!) przekładu niedopuszczalne — jego zdaniem — „braki" stylowe i językowe.

Nocowała chmurka jasnowłosa
Na potężnej piersi giewontowej;
Rankiem w dal pomknęła, w brzask
różowy,
Baraszkując wesoło w niebiosach.

Ale w bruździe starego olbrzyma
Wilgny ślad po niej został, przelotnej...
I zadumał się giewont samotny,
i cichutko płacze na wyżynach.

Sądząc z zakreśleń poety zakwestionował on ostatecznie swoje pomysłowe zrównanie: „giewont" (przez małe g) — „szczyt-olbrzym" (uties-wielikan), a także słowo „bruzda", które w jakiś sposób nie przystawało w jego pojęciu do obrazu skalistego szczytu górskiego.

Od Puszkina i Lermontowa przejdźmy teraz do wielkiego odnowiciela poezji rosyjskiej — Majakowskiego, którego Tuwim tłumaczył już w r. 1919, urzeczony jego rewolucyjnym nowatorstwem, umacniającym polskiego poetę w jego własnym buncie przeciwko dogmatom estetycznym Młodej Polski. W zbiorze przedrukowano, oczywiście, słynny przekład Obłoku w spodniach dokonany w r. 1920 i stanowiący przełomowy moment w stosunku poezji polskiej do tego największego poety radzieckiego, ale równocześnie stawiający pod znakiem zapytania stosunek samego Tuwima do późniejszej, dojrzałej już poezji Majakowskiego. Czyżby już go więcej nie tłumaczył? Owszem, tłumaczył. W papierach poety znajduje się jeszcze jeden i to nie byle jaki przekład z Majakowskiego — jego ostatni, testamentarny wiersz z 1930 r., Pełnym głosem (Wo wieś gołos), parokrotnie już tłumaczony na język polski, ale teraz po raz pierwszy napotkany w przekładzie Tuwima, dowodnie świadczącym, że nie zapomniał on o Majakowskim w trakcie swojej późniejszej działalności przekładowej. Wiersz nie został wydrukowany, bo Tuwim prawdopodobnie nie był zadowolony z przekładu, tym trudniejszego dla niego, że jego własna poetyka ogromnie różniła się wówczas pod względem ściśle formalnym od rewolucyjnej poetyki rosyjskiego poety. I ten przekład trzeba koniecznie przedrukować, a potem porównać z przekładami dokonanymi przez innych poetów polskich.

Resztę tomu pierwszego wypełniają: druga wersja przekładu Słowa o pułku Igora, znana już z przedruku w „Bibliotece Narodowej", a ostatnio obszernie omówiona przez Antoninę Obrębską-Jabłońską (1954), fragmenty starożytnego gruzińskiego poematu Szoty Rustawelego Rycerz w tygrysiej skórze (przełożone na podstwie filologicznego przekładu rosyjskiego), przygodnie tłumaczony wiersz Łomonosowa (Tuwim dużo więcej interesował się Dzierżawinem niż Łomonosowem, nie zdążył jednak przetłumaczyć ani jednego jego wiersza) oraz liczne utwory poetów XIX i XX w. — od Baratyńskiego do Aleksandra Twardowskiego.

Wśród sześciu przedrukowanych w zbiorze wierszy Baratyńskiego zabrakło jednakże wiersza do Mickiewicza, który przetłumaczył już dawniej Mieczysław Jastrun, ale który znalazł się również, co prawda w nie wykończonej postaci, w papierach pozostałych po Tuwimie. Podajemy go tutaj *in extenso* ze względu na jego specjalną tegoroczną aktualność:

Nikogo nie naśladuj: własny wyraz
Geniusza jest wielkością i znamieniem.
Sobowtór, choć Dorata, choć Szekspira,
Staje się przykry, bo jest powtórzeniem.
Izraelowi dane przykazanie
Jest i dla ciebie, wieszczu! Idź więc za
niem:
„Nie będziesz (...)

I przeto, Mickiewiczu, mój natchniony,
Gdy widzę Cię u Bajronowych nóg,
Myślę: o wstań, wyznawco poniżony,
Wstań i pamiętaj, że sam jesteś bóg.

Tekst oryginalny ma tylko dziesięć linijek, stąd trudność z rymem wiersza siódmego (w oryginale szóstego). W przekładzie Jastruna nie dokończona linijka brzmi: „Niech nigdy czci bożyszczu nie oddawa".

Po wierszach Baratyńskiego następuje kilkanaście pięknie przełożonych liryków Tiutczewa, od których spokojnej refleksji tym mocniej odbijają sąsiadujące z nimi ostre i realistyczne (nawet w grotesce) wiersze Aleksego Tołstoja, wymagające od tłumacza stokroć więcej mozołu poetyckiego aniżeli utwory poprzedniego poety, a zaraz po nich idzie Fet oraz cały zastęp presymbolistów i symbolistów, którzy urzekli młodzieńczą wyobraźnię Tuwima i w poważny sposób wpłynęli na jego najwcześniejszą poezję: Słuczewski, Annieński, Sołogub, Balmont, Briusow, Błok i Pasternak.

Niektóre z umieszczonych tu wierszy symbolistów znajdziemy również w antologii Jastruna i Pollaka, wiele jednak spośród nich ukazuje się teraz po raz pierwszy od chwili pierwodruku. Dodajmy jeszcze, że przytoczone tu wiersze to tylko wybór z dużo większej ilości przekładów Tuwima, częściowo drukowanych, a częściowo znajdujących się jeszcze w rękopisie (np. wiersze Balmonta). Szczególnie dziwi w tym zestawieniu mała ilość utworów Pasternaka (tylko cztery), którego poezją Tuwim zachwycał się do ostatniego czasu i którego uważał z pewnych względów za odnowiciela liryki rosyjskiej.

Po symbolistach następują wreszcie młodsi poeci radzieccy: Wiera Inber (znakomite Jabłoczko), autor słynnego Dnieprostroju — Aleksander Bezymieński (jego poemat o Dzierżyńskim Tuwim zaczął tłumaczyć jeszcze przed r. 1939), Ilja Selwiński, Aleksy Surkow, Michał Swietłow (Grenada!) oraz Aleksander Twardowski, a obok nich świetny tłumacz Mickiewicza, poeta ukraiński Maksym Rylski (wiersz Szopen).

Wielkie nazwisko Gorkiego jest reprezentowane w zbiorze tylko jednym utworem — słynnym poematem prozą Pieśń o zwiastunie burzy.

Samo jednak wyliczenie tych wszystkich nazwisk i ułożenie ich w porządku chronologicznym nie daje nam obrazu ewolucji ideowej i rozwoju artystycznych upodobań Tuwima. Obraz taki przynosi dopiero chronologizacja samych przekładów Tuwima, z której wynika, że pierwszymi jego tłumaczeniami były przekłady poezji symbolistów rosyjskich, a później Tiutczewa; dalej że w latach dwudziestych i trzydziestych poeta tłumaczył już Puszkina i Gogola, a obok nich Słowo o wyprawie Igora i Majakowskiego; nareszcie, że pod koniec ostatniej wojny powrócił do tłumaczenia Puszkina (którego przekładał prawie do samego zgonu), a już po wojnie przetłumaczył Gribojedowa oraz sporo utworów nie tłumaczonego przedtem Lermontowa, kończąc swoją działalność translatorską paroletnią pracą nad przekładami z Niekrasowa.

Ta wymowna droga wiodąca poetę od Balmonta do Niekrasowa, to jest od fałszywych nastrojów do prawdziwych wzruszeń, od dekadentyzmu do humanizmu i od oportunizmu do demokracji, była równocześnie wielką drogą do realizmu — drogą, na jaką wstąpili albo wstępują wszyscy wielcy pisarze naszych czasów.

Nie zawaham się twierdzić, że do obrania takiej właśnie drogi skłoniła Tuwima — obok wielu innych powodów — jego ciągle powiększająca się

znajomość polskiej i rosyjskiej literatury dziewiętnastowiecznej, której najpiękniejsze osiągnięcia wiążą się właśnie z wielkimi dziełami realizmu.

Olbrzymią rolę odegrała pod tym względem twórczość Niekrasowa i stąd też wydzielenie przekładów z tego pisarza w oddzielny tom całego zbioru wydaje się rzeczą bardzo szczęśliwą, a nawet po trosze symboliczną. Wspomniany tu tom zawiera przede wszystkim wielki epos ludowy Niekrasowa Komu się na Rusi dobrze dzieje, przetłumaczony przez Tuwima w latach 1951-1953, a obok niego kilkanaście wierszy lirycznych, tłumaczonych przeważnie jeszcze w latach trzydziestych. Należy zaznaczyć, że kilka drobnych tłumaczeń (Kalistrat, Prośba, Młoda para) zostało przez Tuwima opuszczonych, prawdopodobnie ze względu na niezadowalający poziom artystyczny samego przekładu. Do takich opuszczonych tłumaczeń należy również przejmujący wiersz Wczoraj o szóstej..., dochowany w autografie wśród papierów po Tuwimie:

Wczoraj o szóstej szedłem sam
Spacerem przez plac Sienny;
Kobietę, młodą chłopkę tam
Zbir knutem bił rzemiennym.

Jej piersi nie rozdzierał płacz,
Bat tylko świstał ostro.
Do Muzy powiedziałem: „Patrz!
Rodzona twoja siostra!"

Przekład ten — podobnie jak przekłady Buntu, Pieśni ubogiego powsinogi oraz fragmentu Rozmyślań przed podjazdem pałacu — pochodzi jeszcze sprzed roku 1939, dobitnie świadcząc o przenikaniu naówczas do twórczości poety wielkiej poezji krzywdy społecznej, ciągle aktualizowanej przez rzeczywistość sanacyjną (to samo spostrzeżenie uczynił również Pollak w stosunku do paru przekładów z Puszkina).

Gdy jednak tłumaczenie liryków Niekrasowa było tylko przedsięwzięciem okolicznościowym (chociaż niezmiernie ważnym i dla poety, i dla jego czytelników), to podjęcie olbrzymiej pracy nad przekładem poematu Komu się na Rusi dobrze dzieje należało już do zadań starannie planowanych i przygotowywanych, a jego ostateczna realizacja przyniosła literaturze polskiej dzieło o wielkiej wartości ideowej i artystycznej, mogące zapłodnić wielu tłumaczy i twórców oryginalnych nowymi pomysłami dotyczącymi sposobów przekładania czy też stylizowania poezji o charakterze ludowym.

Tłumacząc ten poemat Tuwim przeprowadził rozległe studia nad językiem i obyczajem ludowym, a także nad rozmaitymi rodzajami wiersza, który mógłby zastosować w swoim przekładzie. Wiele usług oddała mu wówczas jego znajomość polskiej poezji dziewiętnastowiecznej, w której odnalazł interesujący materiał pomocniczy, zawarty w utworach Antoniego Czajkowskiego, Władysława Syrokomli oraz Wincentego Korotyńskiego.

Trzeci tom zbioru objął wielokrotnie już omawiane w naszej krytyce literackiej przekłady komedii Gribojedowa (Mądremu biada) i Gogola (Ożenek, Rewizor), fragment Martwych dusz (o kapitanie Kopiejkinie) oraz Nos Gogola, dwa znakomite, groteskowe opowiadania Leskowa (Mańkut, Balwierz-artysta) oraz jeden obrazek Korolenki (Las szumi). Poza odkrywczym przekładem komedii Gribojedowa, która stanowiła zresztą dla tłumacza nie byje jaki orzech do zgryzienia z powodu wielkiej obfitości zawartych w niej przysłów i zwrotów idiomatycznych oraz dwu komedii Gogola, reszta tomu stanowi właściwie tylko próbę

Tuwimowskich przekładów prozą, ale — trzeba zaraz dodać — próbę niezwykle interesującą, bo opartą prawie wyłącznie na utworach pisanych swoistym językiem ludowym (chłopskim i przedmiejskim), przekształcanym niejednokrotnie i stylizowanym przez autorów, co zmuszało często tłumacza do arcydowcipnych pomysłów leksykalnych.

Na marginesie przekładów z Gogola należy jeszcze zaznaczyć, że tłumaczenie jego słynnej groteski N o s zostało oparte na tekście ocenzurowanym przez władze carskie, w którym myśl autora została wielokrotnie zniekształcona i zaciemniona. Tekst poprawny, który powinien stać się podstawą tłumaczenia, został po raz pierwszy opublikowany w r. 1938, w trzecim tomie pełnego zbioru dzieł Gogola, wydanego staraniem Akademii Nauk ZSRR.

■

Jeżeli teraz wrócimy pamięcią do nazwisk figurujących w rosyjskiej antologii Tuwima i przypomnimy sobie, że obok wielu innych utworów przetłumaczył on jeszcze w sposób wyjątkowo mistrzowski S ł o w o o w y p r a w i e I g o r a, a także arcydzieła Puszkina, Lermontowa, Gribojedowa, Gogola, Niekrasowa i Majakowskiego — to musimy się zgodzić, że był on właściwie największym w Polsce miłośnikiem i największym popularyzatorem klasycznej literatury rosyjskiej, a zwłaszcza poezji rosyjskiej i radzieckiej, której wartości ideowe i artystyczne potrafił oddawać wierniej i piękniej niż większość współczesnych mu tłumaczy, tworząc w ten sposób nową szkołę przekładu artystycznego i wpływając jeszcze na długie lata na dalszy rozwój takich przekładów w literaturze polskiej.

Przypomnijmy sobie na zakończenie te słowa wielkiego poety, w których zawarł on — na krótko przed swoim zgonem — ważne wskazania dla kolegów-tłumaczy, a równocześnie swój zasadniczy i ostateczny pogląd na zadania, jakie stoją przed nimi w nowej literaturze ludowej:

„Leksykę, frazeologię, składnię poetycką, intonację, rytmikę, wszelkie w ogóle elementy stylu musi tłumacz transponować na swój język ojczysty nie tylko ze znawstwem języka oryginału, realiów historycznych i obyczajów etc. — ale i z nieustanną czujnością tak ideologiczną, jak artystyczną, to jest z bezustanną myślą o c z y t e l n i k u (...) Tłumaczowi nie wolno ani na chwilę zapomnieć, że jego praca przeznaczona jest dziś nie tylko dla krytyków i historyków literatury lub dla garstki smakoszów, ale dla setek tysięcy nowych czytelników...“

J. W. Gomulicki

PAMIĘTNIK CZASÓW I LUDZI

Z końcem roku ubiegłego wyszedł z druku piąty i ostatni tom pamiętników Hercena. Nareszcie mamy całość. „Produkcja“ — że użyję obiegowego wyrażenia — trwała długo: cztery lata *). Zaważyło to trochę na szacie graficznej dzieła, którego poszczególne tomy tłoczone były w różnych drukarniach, na papierze nieco innym i cokolwiek odmiennymi czcionkami. Czterech tłumaczów także, rzecz prosta, wycisnęło swe osobnicze piętno na stylu przekładu, o czym zresztą pozwolę sobie na dalszym miejscu słów parę powiedzieć. Powyższe okoliczności spowodowały, że „Książka i Wiedza“ ma zamiar w roku bieżącym sporządzić nowe wydanie R z e c z y m i n i o n y c h, już jednorazowe i jednolite, a przy tym przej-

*) Aleksander Hercen: R z e c z y m i n i o n e i r o z m y ś l a n i a. Warszawa „Książka i Wiedza“. Tom pierwszy tłumaczyli Eleonora i Włodzimierz Słobodnikowie, 1951. Tom drugi tłumaczyła Eleonora Słobodnikowa, 1952. Tom trzeci tłumaczył K. A. Jaworski, 1952. Tom czwarty i piąty przełożył i przypisami opatrzył Jerzy Wyszomirski, 1953 i 1954. Redaktor M. Brojdes.

rzane, poprawione i uzgodnione przez tłumaczów. Albowiem „pamiętnik czasów i ludzi tego Woltera Północy“ — jak go określił kiedyś Brückner — zasługuje na wydanie jak najbardziej staranne, sumienne i pod każdym względem możliwie najdoskonalsze, zwłaszcza u nas w Polsce, dla której od młodości do zgonu żywił uczucie niezachwianej przyjaźni. Ponadto w ten sposób upamiętni się 85-tą rocznicę jego śmierci: umarł 21 stycznia r. 1870.

Aleksander Hercen urodził się r. 1812 w Moskwie jako syn naturalny — tak się podonczas mówiło — czyli nieślubny magnata rosyjskiego Iwana Jakowlewa i Luizy Haag, guwernantki Niemki. Był więc dzieckiem miłości: dlatego też ojciec nadał mu nazwisko pochodzące od słowa Herz. Wychowany w zbytkach, spędza dzieciństwo i młodość w najwyższym towarzystwie moskiewskim, spowinowacony przez swą ciotkę, siostrę ojca, księżnę Marię Chowańską, z najprzedniejszymi domami rosyjskimi. Ale jednocześnie odczuwa nieraz dotkliwie „niższość“ i „nieprawowitość“ swego pochodzenia, co też zapewne zbliża go bardzo do izby czeladnej, gdzie wśród służby pańszczyźnianej znajduje prawdziwych przyjaciół i nasiąka — jeśli się tak można wyrazić — demokratyzmem, szczerym i głębokim. Tak samo zapoznawał się z ludem nasz socjalista utopijny, hrabia Stanisław Worcell, późniejszy przyjaciel emigracyjny Hercena.

Studiuje Hercen na uniwersytecie moskiewskim, przykładając się głównie do nauk przyrodniczych i modnej wówczas filozofii Hegla. Są to pierwsze lata panowania Mikołaja I — „Pałkina“, jak go nazwano. Z jednej strony rządy tego cara nie sprzyjają rozwojowi wolnych studiów uniwersyteckich i Hercen korzysta może nie tyle z wykładów profesorskich, ile z zasobnej francuskiej biblioteki ojca, typowego wolterianina końca w. XVIII; z drugiej zaś strony — od chwili stłumienia buntu dekabrystów (Hercen ma wówczas lat trzynaście i wypadki te zapamięta na całe życie), a potem wstrząsów rewolucyjnych r. 1830 budzi się wśród młodzieży żywy ruch umysłowy: już się zaczynają wytwarzać dwa obozy kulturalno-społeczno-polityczne „zachodowców“ („zapadniki“) i „słowianofilów“. Hercen staje się w całym znaczeniu słowa „zachodowcem“, aczkolwiek później, gdy pozna gruntownie Europę, będzie nieraz surowym sędzią cywilizacji europejskiej i nawróci ku swego rodzaju „mesjanistycznej idei“ rosyjskiej, polegającej na tym, że lud rosyjski, zrzuciwszy z siebie wreszcie jarzmo caryzmu, wyzwolony i udoskonalony, odrodzi moralnie przeżytą w swej pradawnej kulturze Europę.

Ów bujny ruch młodzieńczy wciągnął Hercena tak dalece, że w r. 1834 on sam pada ofiarą prześladowania carskiego: jako „młodzieniec umysłu nadto zapalnego i przez swą wolnomyślność wielce niebezpieczny dla społeczeństwa“ (taką opinię wydaje o nim kancelaria generał-gubernatora moskiewskiego), zostaje skazany na zesłanie — najpierw do Permia, następnie do Wiatki. Po sześciu latach zwolniony, przyjeżdża do Petersburga, żeby się oddać pracy literackiej, wnet jednak powtórnie przesiedlono go do Nowgorodu za „wykroczenie“, które wystawia świadectwo czasom Mikołajewskim — mianowicie: Hercen w liście prywatnym do ojca z oburzeniem opisał fakt zabicia na ulicy przez policjanta jakiegoś Bogu ducha winnego przechodnia. Zwolniony po raz drugi, zaczyna od r. 1843 ogłaszać w czasopismach niektóre swe rozprawy filozoficzne. W r. 1846 umiera stary Jakowlew. Hercen bierze po ojcu ogromny spadek, który mu zapewni niezależność materialną do końca życia, swobodę w późniejszej działalności politycz-

nej, możność wydawania „Gwiazdy Polarnej“ i „Dzwonu“ („Kołokoł“) w Londynie. Zaraz też po śmierci ojca rozpoczyna starania o paszport zagraniczny, doprowadzone w końcu do pomyślnego skutku, i w r. 1847 opuszcza Rosję na zawsze. Odtąd przebywa stale w Europie zachodniej, przyjmując nawet obywatelstwo szwajcarskie, żeby się stać nieuchwytnym dla Mikołaja i jego agentów.

Nie będziemy na tym miejscu omawiali całej działalności literackiej i publicystycznej Hercena. Chodzi nam tylko o Rzeczy minione i rozmyślania. Ale nasamprzód zacytujmy znamienny ustęp z artykułu Lenina pt. Pamięci Hercena, drukowanego po raz pierwszy w czasopiśmie „Socjał-Diemokrat“ w r. 1912, w setną rocznicę urodzin sławnego redaktora „Dzwonu“. Ustęp ten najlepiej wyjaśni nam jego osobowość twórczą. Oto on:

„Hercen należał do pokolenia szlacheckich, obszarniczych rewolucjonistów pierwszej połowy zeszłego stulecia. Szlachta dała Rosji Bironów i Arakczejewów, niezliczoną ilość »zapijaczonych oficerów, hałaburdów, karciarzy, jarmarcznych rycerzy, psiarzy, rębajłów, batożników, władców haremowych« oraz pięknoduchów jak Maniłow. «I oto wśród nich — pisał Hercen — kształtowali się ludzie 14 grudnia, falanga bohaterów, wykarmionych jak Romulus i i Remus mlekiem wilczycy... To jacyś bohaterowie, wykuci z czystej stali, współbojownicy wielkiej sprawy, którzy poszli świadomie na oczywistą zgubę, aby zbudzić do nowego życia młode pokolenie, by oczyścić dusze dzieci zrodzonych w atmosferze batoga i służalczości«. Hercen należał właśnie do tych dzieci. Powstanie dekabrystów obudziło go i oczyściło... Na jego przykładzie proletariat uczy się, jak wielkie znaczenie posiada teoria rewolucyjna; uczy się rozumieć, że bezgraniczne oddanie się i głoszenie rewolucji nie idzie na marne nawet wtedy, kiedy całe dziesięciolecia dzielą siejbę od żniwa.“

Istotnie: między „Kołokołem“ a Rewolucją Październikową legło sześć dziesiątków lat.

Przejdźmy do Rzeczy minionych i rozmyślań. W oryginale tytuł ten brzmi: Byłoje i dumy. Jest zwięzły i treściwy. Po polsku można by go tłumaczyć jako: Dawność i rozmyślania, Przeszłość i dumania, Przeżyte i przemyślane, wreszcie, gdybyśmy się odważyli użyć starszej polszczyzny, moglibyśmy powiedzieć: Byłość i zaduma. Mnie osobiście to ostatnie najbardziej by odpowiadało, bo z tych dwóch słów wionie pewien smętek, podobnie jak z tytułu rosyjskiego, smętek, którym przemożnie tchną pamiętniki Hercena, a o którym on sam mówi w przedmowie Do braci w Rosji, jak gdyby w duchu owych melancholijnych strof Lamartine'a, rozpoczynających się tymi słowy: *„Ainsi tout fuit, ainsi tout passe, ainsi nous mêmes nous passons...“*

Te pełne czaru wyznania, których szczerość i prostota mnie osobiście przywodzi na pamięć Wyznania Rousseau i Spowiedź dziecięcia wieku Musseta (a Hercen w przedmowie podkreśla, że dzieło jego „jest raczej spowiedzią niźli pamiętnikiem“), Brückner, jak wzmiankowaliśmy, pięknie nazwał pamiętnikiem czasów i ludzi. To prawda. Rzecz zaczyna się od wspomnień wyprawy Napoleońskiej na Moskwę, o czym opowiadają małemu Hercenowi jego piastunka i ojciec, który odbył wtenczas z Napoleonem na Kremlu dość ważną rozmowę polityczną, kończy się zaś niemal ze śmiercią autora, w r. 1867, na trzy lata przed wojną fran-

cusko-pruską. Przewidział ją Hercen. „A teraz, hrabio Bismarck, do dzieła! — z bolesnym sarkazmem zamyka swe pamiętniki. — Wy zaś, Mazzini i Garibaldi, ostatni orędownicy przed Bogiem, ostatni Mohikanie, jesteście niepotrzebni. Ustąpcie przed obłędem i szałem krwi, którym zabije się albo Europa, albo reakcja. Teraz będą w robocie iglicówki i jakieś tam sprężynówki — milion z jednej, milion z drugiej strony. Teraz popłyną strumienie krwi, wzniosą się góry trupów..." Tak kończy swe rozmyślania „teoretyk rewolucji", który wierzył do ostatka, że tylko rewolucja zdolna jest odrodzić Europę, wszelkie zaś wojny zaborcze niosą „tyfus, głód, pożogę i spustoszenie". Oto więc „czasy" pamiętników: 1812—1867 — pięćdziesiąt pięć lat: cała epoka, znaczona takimi wydarzeniami, jak: upadek Napoleona i restauracja Burbonów, Święte Przymierze i powstanie dekabrystów, rewolucje roku 1830 i 1831, Wiosna Ludów, wyzwolenie i zjednoczenie Italii, Anglia Wiktoriańska, drugie cesarstwo, wojna krymska, powstanie styczniowe w Polsce, wzrost Prus... A ludzie? Prosty spis nazwisk tych znakomitości europejskich, które Hercen oglądał, z którymi obcował, przyjaźnił się lub korespondował, zająłby parę stron. Wymieńmy dla przykładu kilka spośród tych, z którymi utrzymywał bliższe stosunki już na emigracji: Mazzini, Garibaldi, Kossuth, Ledru-Rollin, Feliks Pyat, Louis Blanc, Armand Barbès, Robert Owen, Orsini, Proudhon, James Fazy, Thomas Carlyle, Ryszard Wagner...

Rosji i Rosjanom poświęcone są w całości dwa pierwsze tomy R z e c z y m i n i o n y c h, kompozycyjnie najbardziej zwarte i spoiste. Zamyka je wyjazd za granicę i okrzyk wydzierający się z głębi rozradowanej piersi: d a h i n! d a h i n! Nareszcie wolny od straszliwego ucisku cara „Pałkina"! Jedzie Hercen przez Królewiec i Niemcy do Francji, zwiedza Paryż, podróżuje po Szwajcarii i Włoszech, wraca znowu do Paryża. Są to lata 1847—1852, opromienione zachłannym poznawaniem Europy i Wiosną Ludów, pod koniec zamroczone wielkim nieszczęściem osobistym, jakim była śmierć żony, i szalejącą coraz gwałtowniej reakcją polityczną. Opowiada o tym tom trzeci. Złamany na duchu, znękany przeciwnościami, opuszcza Hercen niegościnny kontynent i w sierpniu r. 1852 przenosi się do Londynu, jedynej wówczas ucieczki i ostoi rozbitków Wiosny Ludów, ściganych w Europie Zachodniej. Tu spędza dwanaście lat, do r. 1864, wśród wszystkich emigracji europejskich; tu wydaje swój „Kołokoł", pismo, w którego podtytule umieszcza słynny napis średniowieczny, odlewany na dzwonach: V i v o s v o c o, m o r t u o s p l a n g o, f u l g u r a f r a n g o" („żywych zwołuję, zmarłych opłakuję, gromy kruszę"): wsłuchiwała się w jego podźwięk spiżowy, wieszczący rewolucję, cała Rosja podziemna, i każdy jego nowy zeszyt leżał na biurku Aleksandra II, czytany przez cara z ołówkiem w ręku. O tych czasach mówi tom czwarty. Tom piąty składa się z dwóch części: jedna pt. C i e n i e r o s y j s k i e — niezwykle głęboka psychologicznie — daje portrety kilku Rosjan, znajomych Hercena (Sazonow, Engelson, Gołowin i in.), by na ich postaciach wykazać, jak system Mikołajewski znieprawiał ludzi albo też miażdżył ich i niszczył; druga, zawierająca „urywki" z ostatniej podróży do Szwajcarii, Włoch i Francji, przypieczętowana jest datą 31 grudnia 1867. Całość pięciotomowa powstawała w różnych czasach i różnych warunkach. Niejeden rozdział drukowany był osobno w „Gwieździe Polarnej"; na inne złożyły się artykuły czy felietony, publikowane w „Dzwonie"; inne wreszcie pisane były wyłącz-

nie z myślą o wydaniu książkowym. „Ta spowiedź raczej, niźli pamiętnik — powiada Hercen w przedmowie — nosi piętno różnych nastrojów, których nie chciałbym zatrzeć, lecz mimo to w tych wszystkich przybudówkach i nadbudówkach istnieje jedność".

Właśnie rozmaitość czasu i nastrojów nadaje pamiętnikowi osobliwą wartość, wagę i urok. Zazwyczaj ludzie zabierają się do pisania pamiętników na starość. Ma to, owszem, swoją dobrą stronę: tzw. pamięć starcza, nie zatrzymując przeżyć świeżych, wypadków dnia wczorajszego, wyraziście i plastycznie wskrzesza czasy dawno minione. Ale jednocześnie zwykła je ubarwiać i wypiększać. Starzec — to laudator temporis acti, a zarazem gderliwiec, wyrzekający na teraźniejszość. Toteż we wspominkach starców Wahrheit und Dichtung stapia się częstokroć w taką mieszaninę, że niesposób rozróżnić jej części składowych. Pamiętniki Hercena, narastające w ciągu wielu lat, niemal z dnia na dzień, ujmują swą wiarygodnością: czytelnik po prostu czuje, że są prawdziwe; niejedna zaś ich karta, pisana na gorąco, pod silnym wrażeniem tych czy innych wydarzeń, porywa żywością i bezpośredniością opisu. A jest Hercen z natury pobudliwy, uczuciowy, namiętny, skłonny do wzruszeń, co bynajmniej nie wyklucza następujących potem refleksyj i rozważań, właściwych jego umysłowości, wykształconej filozoficznie i przyrodniczo. Już też w ogóle, jeżeli mowa o jego wykształceniu, powiedzmy krótko, że było ono wykwitem ówczesnej europejskości w najszlachetniejszym znaczeniu słowa. Łączył się z nią jego wolterianizm, trafnie uwydatniony przez Brücknera, ale wolterianizm w sensie dodatnim, czyli iście gallijski, twórczy sceptycyzm, mający swe źródła chyba u Montaigne'a, dowcip, zmysł humoru, nadzwyczajna bystrość i ostrość umysłu, smak subtelny, wytworność, ironiczność i uśmiechliwość, wreszcie ciętość i częstokroć złośliwość, wszelako ta złośliwość, co to doprawdy nie chce sprawić komuś przykrości, tylko — cóż, musi się kiedy niekiedy przejawić, no bo trudno inaczej dać sobie radę z ludźmi, z tymi poczciwymi ludźmi, dla których wad i słabostek jest się w zasadzie wyrozumiałym i pobłażliwym, pewnie dlatego, że ma się poczucie swej wyższości.

To usposobienie Hercena zadecydowało o jego stylu pisarskim. Jest to styl lekki, ale znów w dodatnim znaczeniu słowa, niewymuszony, naturalny i żywiołowy, nierzadko błyskotliwy, świetny w obrazowaniu, bogaty, posługujący się śmiałą przenośnią, jakimś krótkim spięciem wyrazów i zestawień nieoczekiwanych, styl nader swoisty, samorodny i samoistny, a czasem bardzo sobiepański: Hercen potrafi wyczyniać z językiem i słownictwem przedziwne łamańce. Już Turgieniew, przyjaciel klasycznego Flauberta, stylista wielce dbały o prawidła sztuki pisarskiej, powiedział kiedyś żartobliwie, że język Hercena jest do szaleństwa niesforny i niepoprawny, ale tak pełen powabu, że można się w nim rozkochać do szaleństwa. Jest w tym sporo słuszności.

Hercen nie tylko często gęsto przeplata język rosyjski jakimś słówkiem francuskim, angielskim, niemieckim czy włoskim, ale nie waha się czasem przenieść żywcem jakiś idiom francuski na rosyjskie, przetłumaczyć dosłownie zwrot obcy, zaskakując takim dziwotworem czytelnika. Umie np. powiedzieć tak: *„on priszoł ko mnie mieżdu sobakoj i wołkom"* — „przyszedł do mnie między psem a wilkiem", co stanowi literalny odpowiednik francuskiego powiedzenia: entre chien et loup czyli: o szarej godzinie, o zmroku. Albo znowu wyrazi się tak: *„eto intieriesnaja żenszczina: ona imiejet*

sobaku". Biada tłumaczowi, gdyby to zdanie przełożył w ten sposób: „to ciekawa kobieta: ona ma psa". Gdzie tam! E l l e a d u c h i e n po francusku, gdy się mówi o kobiecie, znaczy, że ma ona szczególny wdzięk, jest zmysłowo pociągająca. Kiedy indziej powie: „*i diewuszka prinużdiena diełatj trotuar*", co w a r g o t paryskim oznacza, że chodzi od rogu do rogu, czyli staje się dziewczyną uliczną... Takie pułapki czyhają na tłumacza powierzchowego, tłumacza papierowego, tłumacza słownikowego, który zwykł za każdym wyrazem otwierać słownik i porównywać: w oryginale — *zadorno*. A w słowniku? „Zadorno" — „zadzierzyście". No, to piszmy: zadzierzyście. Z powyższego widzimy, że przekładać Hercena nie jest łatwo. Otóż, jeżeli chodzi o wymienionych na wstępie jego polskich tłumaczów, wszyscy oni wywiązali się z trudnego i zaszczytnego zadania wcale nieźle. Nasuwa się tylko całkiem obiektywne pytanie, czy rzeczą właściwą jest powierzać przekład jednego dzieła jednego autora kilku tłumaczom o różnych, oczywista, indywidualnościach. W dzieło, które się tłumaczy, trzeba się wżyć i wczuć całościowo, przeczytać je najpierw rzetelnie od deski do deski, porobić notatki, zdać sobie sprawę z osobowości i odrębności danego pisarza, zwłaszcza tak oryginalnego jak Hercen. Każdy pisarz np. ma swoje ulubione zwroty i powiedzenia, które rad powtarza — i w pierwszym, i w środkowym, i w ostatnim tomie. Tłumacz winien je zachować niezmiennie. Dajmy na to, że Hercen w trzech różnych tomach użył trzykrotnie przysłowia rosyjskiego: „*po Sieńkie i szapka*". Jeden tłumacz może to przełożyć: „każda głowa ma swoją czapkę" (jest takie polskie przysłowie: proszę zajrzeć do Adalberga); drugi powie: „według stawu grobla"; trzeci — „każdy swoją piędzią mierzy". Na upartego wszystkie trzy równoważniki polskie mogą być równie dobre. A jednak w danym przypadku przysłowie to musi być uzgodnione i wszędzie jednobrzmiące. Ostatecznie obowiązek taki spada na tzw. adiustację. Ale rzecz dziwna: nasza adiustacja, częstokroć, zamiast pilnować takich i tym podobnych spraw, woli wygładzać tekst, wymuskiwać lalkowato, lakierować i za pomocą tych zabiegów pozbawiać go jędrności; dostrzega najmniejszą muszkę, a przeocza słonia. Tu nawiasem warto przypomnieć cenny, pouczający i ważny dla każdego tłumacza artykuł p. Walentyny Kwaśniakowej w Nr 32 „Tygodnika Powszechnego" z dn. 8 sierpnia 1954 r. Autorka omawia nowe polskie wydanie C z a r o d z i e j s k i e j g ó r y, w dwóch tomach, przełożonych przez dwóch tłumaczów. I zastanawia się nad sprawą, zdawałoby się, błahą: w jaki sposób tłumacze oddają rzeczownik A n l i e g e n, występujący u Manna wielokrotnie, w połączeniu z różnymi przymiotnikami, np. d r i n g l i c h e s A n l i e g e n, g a l a n t e s A n l i e g e n. Jeden pisze: „sprawa", drugi: „potrzeba" lub „temat"; raz nawet d a s g a l a n t e A n l i e g e n przetłumaczono jako „miłosne zaloty". A okazuje się, że A n l i e g e n, powracające wciąż w rozprawach Naphty i Settembriniego, w rozmowach Castorpa z Ziemssenem i panią Chauchat, ma u Manna swój ważki i jednaki wszędzie sens i może być wyrażone po polsku tylko słowem „zagadnienie": skutkiem czego d a s g a l a n t e A n l i e g e n powinno się stać, w danym kontekście, „wytwornym zagadnieniem". „*Ach kakoj passaż!*" — zawołałaby pani horodniczyna u Gogola. Rzeczywiście. I gdzie tu była adiustacja?

Jeszcze słówko o stylu Hercena. Jest to styl dosadny, sięgający nieraz do najrdzenniejszych złogów ruszczyzny ludowej, zawsze celny i niezawodny w okre-

śleniach, styl, w którym właściwe słowo jest zawsze na właściwym miejscu. Można by powiedzieć, że Hercen jest czarującym gawędziarzem, gdyby wyraz ten nie zatrącał nieco szlachetczyzną. Powiedzmy raczej — czarujący causeur, ukształcony i wypolerowany w salonach literackich wieku Oświecenia, lecz z sercem i wrażliwością romantyka. Kiedym się wczytywał w Hercena, myśląc nad tym, jakby go tu najlepiej, w miarę mych sił, „na polskie wytłumaczyć", rozpamiętywałem nieraz stare a wiecznie młode przepisy Boileau, ucznia Rzymian i Greków:

Aimez donc la raison: que toujours
vos écrits
Empruntent d'elle seule et leur lustre
et leur prix...
Ce que l'on conçoit bien s'énonce
clairement,
Et les mots pour le dire arrivent
aisément...
Travaillez pour la gloire, d'un illustre
écrivain. *)

Tak jest: Hercen kochał rozum, brał od niego blask i jako myśliciel umiał zawsze znaleźć odpowiednie słowo na wyrażenie swej myśli: toteż zapracował sobie sławę znakomitego pisarza.

Na zakończenie pokrótce o stosunku Hercena do Polski i Polaków — pokrótce, by zaostrzyć ciekawość czytelnika i zachęcić go do zanurzenia się sercem i myślą w tych niezrównanych pamiętnikach. „My jesteśmy z Polską — powiedział, i słowa te najlepiej go charakteryzują — bo jesteśmy za Rosją. Jesteśmy po stronie Polaków, ponieważ jesteśmy Rosjanami. Chcemy niepodległości Polski, gdyż chcemy wolności Rosji, albowiem jeden skuwa nas łańcuch". A Lenin dodał do tego owe doniosłe słowa, że Hercen i tacy jak on przedsłannicy rewolucji rosyjskiej, broniąc wolności Polski i chłoszcząc siepaczów carskich, ocalili honor demokracji rosyjskiej.

Hercen znał historię i literaturę polską, dawną i współczesną. W pamiętnikach jego natrafimy na niejedną wzmiankę to o Stanisławie Leszczyńskim i Kościuszce, to o ks. Józefie Poniatowskim i Szymonie Konarskim, o Mierosławskim i arcybiskupie Felińskim, o Krasińskim i Kaczkowskim, Hoene-Wrońskim i Towiańskim — itd. Ale miał też wśród Polaków dużo znajomości osobistych: ks. Adam Czartoryski i Lelewel, którego „niebieskie, dziecięce oczy" wraziły mu się na zawsze w pamięć, Mickiewicz, Zygmunt Sierakowski, Zenon Świętosławski, Paweł i Wojciech Daraszowie, Ksawery Branicki — wydawca „Trybuny Ludów", Agaton Giller, Edmund Chojecki — autor wznowionego niedawno Alkhadaru, jako literat francuski znany pod pseudonimem Charles Edmonda — i tylu innych, aż do zecera Czernieckiego, którego wspomina z wdzięcznością, jako że, posiadając język rosyjski, składał i odbijał „Kołokoł" w drukarni „Demokraty Polskiego", której bezinteresownie udzielił mu Worcell, zanim Hercen nie założył własnej. O tych to sprawach, a przede wszystkim o Worcellu, dowiadujemy się z obszernego rozdziału w tomie czwartym pt. Wychodźstwo polskie. Oto urywek z charakterystyki Worcella: „Tak, Worcell był to człowiek święty: umyślnie dobieram tego słowa, albowiem lepiej niż inne wyraża istotę jego

*) Kochaj więc rozum: niech twoje utwory
Z rozumu czerpią swój blask i swą wartość!...
To co pojęte jasno się wymawia
I słowa łatwo wyraz myśli dają...
Zapracuj chwałę wielkiego pisarza.

charakteru. Całe jego życie było jednym heroizmem bezgranicznego samozaparcia i oddania bez miary. Wszystko, co nas zadziwia w życiu świętych, napotykamy u Worcella, jeno bardziej człowiecze, a więc miłości bardziej godne. Urodzony w przepychu i blasku wysokiej arystokracji polskiej, zmarł w nędzy i jako demokrata... Wśród niedostatku, nieszczęść i chorób, opuszczony przez własną rodzinę, żonę i dzieci, trudził się dzień i noc, długie dwadzieścia sześć lat, do ostatniego dnia swego życia... Była to jedna z owych jednolitych, powiedziałbym — fanatycznych natur, przejętych jedną wielką myślą, mających jeden wielki cel, a które zarówno dochodzą do wielkiej dobroci serca, jak i do całkowicie niezłomnej woli: takich ludzi spotykamy na przykład za czasów Odrodzenia i Reformacji. Dla nich nie ma odwrotu, nie ma zmęczenia: wszystko złożyli w ofierze i pozostało im jedno: iść naprzód — o r a e s e m p r e... Gdyby to było możebne, jakiż pomnik a e r e p e r e n n i u s wzniesionoby Worcellowi!"

To jeden polski rozdział pamiętników. Jest jeszcze parę innych, wyłącznie o nas traktujących: M. B a k u n i n i s p r a w a p o l s k a, P a r o w i e c W a r d J a c k s o n (historia nieszczęśliwej wyprawy morskiej na Żmudź pułkownika Teofila Łapińskiego w r. 1863), P r z y c z y n k i d o s p r a w y p o l s k i e j i Z y g m u n t S i e r a k o w s k i. Odsyłamy do nich czytelnika, kończąc cytatą z W y c h o d ź s t w a p o l s k i e g o, stanowiącą jakby wizerunek „wygnańca polskiego", jak go nazywa Hercen: „Emigracja polska, najstarsza ze wszystkich, wyczerpała się bardziej niż inne, lecz była uparcie żywotna. Przekroczywszy w r. 1831 granicę, Polacy zabrali ze sobą swą ojczyznę i nie pochylając głowy, dumnie a posępnie przenieśli ją przez świat. Europa rozstąpiła się z szacunkiem przed tryumfalnym pochodem odważnych bojowników; narody składały im hołd... Smutna postać wygnańca polskiego, tego rycerza niepodległości narodowej, pozostała w pamięci ludów. A w ciągu dwudziestu lat pobytu na obczyźnie wiara jego nie osłabła i podczas każdego fatalnego apelu, w godzinie niebezpieczeństwa i walki o wolność, Polacy pierwsi odpowiadali: o b e c n i!"

Ale minęło dwadzieścia ciężkich lat. Czas, e d a x r e r u m, dokonał swego. I Hercen pisze: „Od roku 1849 zaczyna się dla emigracji polskiej okres najbardziej przygnębiający. Żadnej prawdziwej nadziei, ani kropli żywej wody. Czas apokaliptyczny, prorokowany przez Krasińskiego, zdawał się nadchodzić. Odcięta od kraju, emigracja pozostała na drugim brzegu i niby drzewo pozbawione nowych soków więdła, usychała, stawała się obca ojczyźnie, nie przestając być obca krajom, w których żyła..."

Lecz jeszcze jedna cytata, ostatnia: Jest rok 1849. Mickiewicz redaguje i wypełnia swymi artykułami „Trybunę Ludów". U Chojeckiego w Paryżu odbywa się przyjęcie dla różnych działaczów politycznych — przedstawicieli „wszystkich ludów walczących". Hercen notuje: „Mnie właściwie interesowała jedna tylko postać — Adam Mickiewicz: nigdy go przedtem nie widziałem. Stał przy kominku, oparty łokciem o płytę marmurową. Kto widział jego podobiznę, dodaną do wydania francuskiego, a odtworzoną, zdaje mi się, według madalionu Davida d'Angers, ten poznałby go od razu, mimo znacznej zmiany wywołanej przez lata. Wiele myśli i cierpień przebijało z jego twarzy, litewskiej raczej niż polskiej. Cała postać, głowa o wspaniałych siwych włosach i wzrok znużony wyrażały

przeżyte nieszczęście, doznany ból wewnętrzny, egzaltację smutku: był to plastyczny obraz losów Polski. Podobne wrażenie wywierała na mnie później twarz Worcella... Podszedłem do Mickiewicza; zaczął mię wypytywać o Rosję... Przypomniało mi się, jak w r. 1843 piłem jego zdrowie w Moskwie na obiedzie wydanym na cześć prof. Granowskiego. Chomiakow wzniósł kielich ze słowami: «zdrowie wielkiego nieobecnego poety słowiańskiego!» Nazwiska, którego nie śmiano wymówić, nie było potrzeby dodawać: wszyscy wstali i w milczeniu spełnili kielichy za zdrowie wygnańca...“

Jerzy Wyszomirski

KORNEL FILIPOWICZ: *Profile moich przyjaciół*. Kraków, 1954, Wydawnictwo Literackie; str. 216.

Tytuł tej książki ściśle przylega do jej treści. Jeśli przez słowo „profil“ rozumieć będziemy nieomal malarskie „wydobycie najbardziej charakterystycznych i najistotniejszych cech ludzi portretowanych, książka Filipowicza jest galerią takich właśnie sylwet. Jest to proza skondensowana, niemal skrótowa. Profil każdego ze swych bohaterów kreśli autor kilku rysami, wbijającymi się silnie w naszą pamięć, poruszającymi naszą wyobraźnię — jak malarz, który niewielką ilością kresek stara się uwydatnić to, co w twarzy ludzkiej najistotniejsze, najbardziej cenne. Obraz migawkowy jest tutaj wstępem, dramatyczne zdarzenie stanowi dominantę każdego szkicu, a zarazem najważniejszy element zastosowanej metody pisarskiej. Oto na przykład amator rybołówstwa, Feliks, który nawet po czterdziestce nie „wyspecjalizował się“ w swej namiętności, który znajduje się w ciągłej pogoni za coraz to nowymi zdobyczami, który ma zawsze „szczęście“, nigdy nie wraca „o kiju“, który jest „sobą dopiero nad wodą, na kamienistym, piaszczystym lub trawiastym brzegu, na granicy innego żywiołu“. Jego charakterystykę wzbogaca anegdota o dyscyplinarce, na którą się naraził jako strażnik graniczny, gdy uległ pokusie rybołówstwa nawet na służbie — wskutek czego szmuklerzy mogli za jego plecami przemycić całą furmankę z towarem! Subtelny, a szkicowy system portretowania psychologicznego przywodzi, oczywiście, na myśl Nałkowską, jej Charaktery dawne i nowsze. Jest to technika pisarska, bogacąca prozę narracyjną o zdobycze analogiczne do tych, którymi operuje essay nowoczesny: przenikliwa obserwacja i zestawianie materiału porównawczego pozwala odkrywać w człowieku portretowanym coraz to nowe pokłady. Ale Filipowiczowi chodzi o coś jeszcze innego: o stosunek człowieka, ulegającego pewnym namiętnościom, do obyczajowości swego środowiska, w tym wypadku — środowiska drobnomieszczańskiego.

Dwanaście profilów, które nam ukazuje Filipowicz, to dwunastu jego przyjaciół, a zarazem dwanaście doznań życiowych autora — i etapów na drodze poznania praw życia. Jeden z najpiękniejszych, najbardziej przejmujących szkiców zawiera sylwetę starego działacza socjalistycznego, Wiktora, „przez którego płynął strumień piękności, ale który sam nie był pięknością“ (takie jest tutaj motto). Obserwujemy go z zainteresowaniem od pierwszych zaraz zdań tego opowiadania, jak równym i rześkim krokiem przemierza strome ulice miasta (zapewne Cieszyna?) i wszystkim przechodniom rozdaje uprzejme ukłony, wierny zasadzie równego i bezinteresownego traktowania ludzi. „Niegdyś trybun ludowy, poseł do parlamentów i sejmów, wynoszony na mównicę ponad głowami tłumów — za moich szkolnych

czasów wiódł już spokojny żywot emeryta, wyładowując resztki swej energii i rutyny na posiedzeniach zarządu miejskiego, gdzie zdarzało mu się jeszcze rozpętywać burze przy układaniu budżetu". Jeszcze lepiej go widzimy na tle manifestacji pierwszomajowych, gdy „wchodził na trybunę... i zaczynał zwykle od tej samej analogii, przyrównując zdarzenia do ruchów fali, odpływającej i powracającej znów, na przekór wszystkim siłom, które usiłują powstrzymać jej nieubłagany rytm". Wiktor staje się nam jeszcze zrozumialszy, gdy 15-letniego chłopca wprowadzać zaczyna w ogromny świat lektur, czerpanych ze swej bogatej biblioteki. Widzimy wreszcie, jak umiera w r. 1938 pod wrażeniem straszliwej klęski, jaką stanowi dla niego ideowe sprzeniewierzenie się własnego syna w potępianej gorąco przez starego działacza wyprawie zaolziańskiej:

„W bramie cmentarnej, głębokiej i sklepionej jak łuk triumfalny, karawaniarze w porozpinanych płaszczach palili papierosy, trzymając pod pachami stosowane kapelusze, a żebracy obliczali dzienny utarg. Od strony miasta leżącego w kotlinie wiał chłodny, jesienny wiatr. Schodziłem w dół powoli, bez żalu, pogrążony w jakiejś smutnej zadumie nad śmiercią człowieka, który był moim pierwszym nauczycielem. On pierwszy podał mi książkę i nazwał słowem ideę, przemieniającą ludzi i wstrząsającą starym porządkiem rzeczy. On sam, Wiktor, pozostał gdzieś daleko poza mną, zatrzymał się, jak wielu nauczycieli naszej młodości: stanął ze zdumieniem na brzegu tego szerokiego, rwącego nurtu, patrząc ze zdumieniem, jak jego szybki bieg porywa ludzi, niesie zdarzenia, ponosi marzenia, mści się na każdym wahaniu i słabości — w nie powstrzymanym dążeniu do nowego świata i nowego czasu".

Oczywiście, iż słowa „przyjaciele" w tytule tej książki nie należy rozumieć pedantycznie, dosłownie. Czasem ludzie tutaj portretowani są przyjaciółmi tylko w tym znaczeniu, że pozwalają autorowi książki, a zarazem jej głównemu bohaterowi, na lepsze samookreślenie swego rozwoju, na ustalenie swoich pozycji. Książka staje się w ten sposób rodzajem pamiętnika przygód, doznanych wśród spotykanych ludzi. Tak na przykład ciekawy psychologicznie *casus* karciarza-hazardzisty przegrywającego i wygrywającego wśród fantastycznych okoliczności, wciągającego w pewnej chwili osobę opowiadającą do swej dwuznacznej gry — w gorących chwilach walki z okupantem pozwala na wyraźne odcięcie się od takiego typu przygody życiowej, na przeciwstawienie, ustalenie swej odmienności, obcości, wrogości (B a z y l i). Tak w szkicu o K l e m e n t y n i e znajdujemy próbę określenia nacisku obyczajowości mieszczańskiej na wykolejoną przez ten nacisk dziewczynę — i wykazania kruchości, iluzoryczności, nierealności tych reguł moralnych wobec prawdziwej i niecieplarnianej sytuacji (wojennej). Tak wreszcie w szkicu pt. R y s z a r d mamy interesujący i bynajmniej nie szablonowy, krytyczny obraz cywilizacji zachodniej, francuskiej oraz angielskiej, ukazanej poprzez skomplikowane sytuacje, jakie stworzyła ostatnia wojna.

W innych wypadkach są P r o f i l e — próbą zgłębienia tego splotu warunków, tych skomplikowanych procesów, które ku walce o socjalizm, ku heroizmowi, ku rozstrzygnięciom pytań światopoglądowych wiodą: wychowanego w zacofanym i kołtuńskim środowisku, a ginącego za sprawę ludu Czesława, na pozór chłodnego i nieskłonnego do walki lekarza Zygmunta czy twardo zdobywającego swe pozycje życiowe Władysława. A gdy Filipowicz zapragnie umieścić w galerii swych przyjaciół wizerunek wyprzedzającego swe środowisko

świadomego bojownika-intelektualistę, Henryka — ukaże go w przełomowej chwili jako człowieka decydującego o alternatywie wyjazdu za granicę czy też pozostania tam, gdzie „bije serce naszej ojczyzny" i gdzie grozi mu śmierć z ręki najeźdźcy.

Nie jest to książka łatwa. Wymaga od czytelnika intelektualnej czujności, uwagi, wysiłku. Ale pozostawia smak sobie tylko właściwy, obraz, który się nie rozpłynie, wspomnienie zdolne do samodzielnego życia.

Wojciech Natanson

II WYDANIE „SPOTKAŃ WROCŁAWSKICH"

Ostatni kwartał 1954 r. przyniósł nam II wydanie Spotkań wrocławskich Tadeusza Mikulskiego. *).

Znamy dobrze Spotkania wydane w 1950 r. Wiemy, że bardzo szybko wyczerpał się nakład ówczesny, 2 200 egzemplarzy, i nie można było nigdzie nabyć książki. A książka ta zdobyła przywiązanie czytelników. Musieliśmy więc czekać cierpliwie na egzemplarz wypożyczany z biblioteki.

Nowa edycja, zrealizowana przez krakowskie Wydawnictwo Literackie, zapełniła lukę, jaka istniała w obrębie naszych własnych zbiorów.

W edycji tej znajdujemy wszystkie szkice, drukowane w tomie z 1950 r. Autor przejrzał je krytycznie. Rezultaty tego przeglądu są dość charakterystyczne dla twórczości literackiej T. Mikulskiego. Do zmian doszło jedynie w przypisach, gdzie w kilku miejscach nastąpiły skreślenia niewielkich ustępów uznanych za zbędne (np. w przypisach Podagra Kołłątaja, wyd. 1, s. 355; wyd. 2, s. 377), a w wielu wypadkach dodane zostały informacje o nowych materiałach (w przypisach do 10-ciu szkiców na ogólną liczbę 24). Same szkice, które często po raz pierwszy pokazują związki naszych pisarzy z Wrocławiem i które przy ogromnej precyzji szczegółu historycznego urzekają bezpośrednim i kunsztownie prowadzonym tokiem narracji, pozostały bez zmiany.

To wnikliwa lektura dokumentu z epoki, w formie: pamiętnika, korespondencji, księgi odwiedzin, listy gości przyjezdnych, ogłoszenia policyjnego, afisza teatralnego czy reklamy gospody wrocławskiej, pozwoliła autorowi stworzyć postacie i sytuacje, które ostały się wobec nowoujawnionych źródeł o znaczeniu drugorzędnym.

Wydanie obecne w stosunku do wydania z 1950 r. jest nie tylko „przejrzane", ale także „poszerzone". Pierwsze — w 24 szkicach zamyka okres od 1736 do 1888 (?) r., od pijara Stanisława Konarskiego do Władysława St. Reymonta. Teraz otrzymujemy pięć nowych szkiców (wśród tych dwa pierwszy raz publikowane) i dzięki nim rozciągają się granice chronologiczne: od XVI-wiecznej Rzeczypospolitej Babińskiej aż do doby najnowszej (szkic Hans Marchwitza w Pafawagu).

I o tych szkicach, które wzbogaciły drugie wydanie, możemy powiedzieć to samo, co o poprzednich, że solidną podbudowę mają w dokumentach i że w sposób przekonywający przedstawiają osoby i zdarzenia określonej epoki.

Tutaj zwrócimy uwagę na wzmiankowane dwa szkice, ogłoszone po raz pierwszy: Poczciwe Niemczysko i Emisariusz. Szkice te wprowadzają w lata trzydzieste i czterdzieste XIX w. W Poczciwym Niemczysku bohaterką jest entuzjastka, Bibianna Moraczewska, w Emisariuszu — Edward Dembowski, rewolucjonista.

Obie postacie były dobrze znajome

*) Tadeusz Mikulski: Spotkania wrocławskie; Kraków, 1954, Wydawnictwo Literackie; str. VIII, 424.

współcześnie N. Żmichowskiej, P. Wilkońskiej, H. Skimborowiczowi i innym. Nikt jednak z nich nie czuł potrzeby przekazania nam Dembowskiego lub Moraczewskiej w sposób wyczerpujący. Dostaliśmy tylko fragmentaryczne wspomnienia. Dopiero pióro autora Spotkań wrocławskich wskrzesiło te postacie do życia. Ale trzeba przeczytać szkice w całości, aby poznać bogactwo realiów, przy pomocy których autor konstruuje umiejętnie sytuacje i pokazuje swoich bohaterów.

Oto Bianka Moraczewska za kotarą panieńskiego pokoiku szyje podwiązkę z trójkolorowej wstążki, niegdyś oznaki francuskich republikanów, a potem — oznaki Orleanów. Gestem tym Moraczewska-entuzjastka wyraża swe lekceważenie dla symbolu stosunków politycznych Francji w latach trzydziestych (s. 123-4). Albo znowu. W zetknięciu z nauczycielem z Leszna, Szymańskim, „w jednej osobie demokratą i monarchistą (...) wytrząsa z niego zasady monarchiczne. On jest nauczycielem, jego wpływ może być niemałym na młodzież, której literaturę polską wykłada — pisze Moraczewska — i wystarczy tej społecznej motywacji, żeby zrozumieć Biankę w jej natarczywości ideowej (s. 126)".

Sytuacyj, w których występuje Moraczewska, jest więcej. W każdej z nich określa się coraz wyraźniej typ bohaterki w swym skomplikowaniu i pewnej zdecydowanej linii postępowania.

Podobnie Dembowski. Podczas podróży z ojcem w towarzystwie carskiego generała Hurki „ma on na twarzy gniew i między brwiami rysę bolesnego smutku (s. 150)". W Dreźnie przyszły działacz rewolucyjny na wywód poety romantycznego, Tiecka, „że nic tak sprzecznego z żywiołem poezji nie zna jak politykę (...) zaprzeczył gorąco. Zaprzeczył całym życiem (s. 154-5)".

W ciągu rozwijających się sytuacyj postać Dembowskiego uzupełni się jeszcze wieloma innymi rysami, sprawdzalnymi historycznie, rysami tak bardzo ludzkimi, a zarazem i niezwykłymi.

Zdarzyło się nam znaleźć garść korespondencji Edwarda Dembowskiego, która będzie publikowana w 1955 r. Lecz już możemy upewnić, że gdy wyjdzie III wydanie Spotkań wrocławskich (czego autor słusznie nie zarzeka się w Przedmowie), wiadomości o tym nowym materiale zamieszczone zostaną tylko w przypisach. Szkic Emisariusz pozostanie nienaruszony.

Przez to jeszcze raz podkreślamy doskonałą i niezawodną wnikliwość autora, gdy chodzi o dokumenty, z których czerpie materiał do swych szkiców. Tej rzadkiej sztuki bezbłędnego czytania dokumentu — Spotkania wrocławskie są pięknym i godnym uwagi wzorem.

Jadwiga Rudnicka

NA WIDNOKRĘGU

WSPOMNIENIE O WŁADYSŁAWIE UMIŃSKIM

W samego Sylwestra dosięgła nas przykra wiadomość: zmarł w 90 roku pracowitego, wielostronnego życia Władysław Umiński, redaktor „Czytelni dla Wszystkich", „Wieczorów Rodzinnych", współpracownik wielu dzienników w dziale informacji naukowych, przyrodniczych, inicjator „Miesiąca Ilustrowanego". Pisarz ten co rok dostarczał młodzieży utworów beletrystycznych o treści oświatowej — nie zastąpionych, jak na owe czasy, gdy w szkołach nie uczono nas geografii Polski, nie istniało harcerstwo, a o krajoznawstwie i sportach zaledwie marzono.

W roku 1912 współredagowałem z Umińskim „Miesiąc Ilustrowany". Był to w Polsce pierwszy miesięcznik-magazyn, wzorowany na wydawnictwach angielskich. Dawaliśmy dużo materiału ciekawego, nowego, innego niż prasa codzienna i tygodniki. „Miesiąc" podobał się publiczności. Niestety, wychodził dosyć... chimerycznie, nie dotrzymywał terminów, co psuło nam nakład. Umiński prowadził walkę z kliszarnią, z drukarnią, no i sam ze sobą, bo chciał wydawać pismo technicznie dorównujące wydawnictwom zagranicznym. W Warszawie wtedy było to walką Don Kichota z wiatrakami. Umiński wciąż nie tracił wiary, że uda mu się opanować braki. Niestety — fakty były silniejsze niż jego optymizm, pogoda i dobra wola. Redakcja mieściła się na ulicy Wspólnej, drugi dom od ul. Marszałkowskiej, na pierwszym piętrze. Gdy wszedłem tu po raz pierwszy, uderzyło mnie niezwykłe otoczenie. Na ścianach orły napoleońskie, portret gen. Jana Umińskiego, chorążówki huzarskiej, w ramki oprawne ordery, wstęgi, nominacje. Umiński, redaktor, podchwycił mój pełen ciekawości wzrok i głosem bezbarwnym, matowym powiedział:

— Patrzy pan na tego generała. Walczył on pod Tczewem, Gdańskiem. W bitwie pod Lipskiem, w której zginął książę Józef, otrzymał generalskie szlify...

Byłem głęboko poruszony tymi kilkoma informacjami, tym bardziej że zaraz dowiedziałem się o udziale generała Umińskiego w spisku Łukasińskiego, w bitwach pod Grochowem, Liwcem, Dembem, Kałuszynem...

Redaktor Władysław Umiński znalazł we mnie pilnego słuchacza. Chrząkał tylko:

— Nie pijesz pan, a dają wyborową żytniówkę. Chyba nie jesteś ze Starówki. Bez kieliszka cóż warte życie?

W redakcji równocześnie znajdowało się wiele przedmiotów należących do A. Pługa, redaktora „Kłosów", „Kuriera Warszawskiego", poety, powieściopisarza. Portret staruszka o ptasiej głowie z długimi włosami wisiał trochę na uboczu. Tylko jubileuszowy fotel z fantastycznymi rzeźbami, wysoki, nieporęczny, stał przy sekreterze. Siadywał na nim Umiński, narzekał na ten niewygodny... tron, ale go nie usunął z redakcji. Po Pługu miał też Umiński dużo pamiątek i wiele tematów do opowieści przy kieliszku i zakąsce z polędwiczką lub węgierską paprykowaną słoninką.

Niekiedy zaglądała do nas pani Natalia, żona Umińskiego, bardzo piękna, fiołkowooka a wielce praktyczna niewiasta, właścicielka sklepu mód „Natalie-Aline" na ulicy Marszałkowskiej. Która z pań warszawskich nie znała tego eleganckiego magazynu! Praca pięknej, fiołkowookiej pani Umińskiej łatała budżety nie tylko domowe, ale i wydawnicze. Pomimo wielostronnej działalności redaktora i pomysłowości by-

wały momenty krytyczne i wtedy ręka dobrej wróżki usuwała kłopoty.

Powieści Władysława Umińskiego były bardzo poczytne. Miał dobrych nakładców — Gebethnerów. Ukazało się wydanie zbiorowe. Porównywano go do Jules Verne'a. Nazywano... Sienkiewiczem dla młodzieży. Nie wystarczyło to wszystko na spokojne życie. Uznanie towarzyszyło mu we wszelkich poczynaniach. Nawet gdy prowadził przedstawicielstwo czeskich studzien artezyjskich. Bo i tego musiał się jąć, żeby wiązać koniec z końcem.

Warto przypomnieć choć kilka tytułów z obfitego dorobku pisarskiego Władysława Umińskiego: Z Warszawy do Ojcowa, Zwycięzcy oceanu, Balonem do bieguna, W pustyniach Australii, Podróż naokoło świata, Biały mandaryn, Młody jeniec indyjski, Na falach Atlantyku, Podróż bez pieniędzy itd., itd. Utwory te pobudzały nas do zainteresowań szerszych niż te, które dawała carska szkoła.

W roku 1944 na dłużej zetknąłem się znów z Władysławem Umińskim i jego uroczą żoną podczas wygnania z Warszawy, w listopadzie i grudniu w Milanówku. Piekliśmy kartofle na marnym ogniu, soliliśmy je i raczyliśmy się nimi jak frykasami. Głód nas prześladował. Pani Umińska już się nie podnosiła z pościeli. Redaktor nie ustawał w pomysłach. Miał różne projekty.

W roku 1952 obchodziliśmy jubileusz 65-lecia pracy pisarskiej Władysława Umińskiego. Powieści jego tłumaczono na języki: rosyjski, francuski, czeski, niemiecki, serbski i wiele innych. Wypełniona po brzegi sala Związku Literatów powitała jubilata rzęsistymi oklaskami. Niewątpliwie każdy z obecnych tu pisarzy miał jakowyś dług wdzięczności wobec jubilata. Władysław Umiński cieszył się, że dożył epoki, kiedy losem pracownika pióra zaopiekowało się państwo ludowo-demokratyczne. Obiecywał nam nowe swoje utwory. Otrzymał wtedy wysokie odznaczenie — Krzyż Oficerski „Odrodzenia Polski" — i kilka tysięcy złotych. Umiński był przyjacielem młodzieży i niech takim pozostanie w pamięci pokoleń.

Eustachy Czekalski

JUBILEUSZ JERZEGO SZANIAWSKIEGO

Jerzy Szaniawski był w okresie dwudziestolecia międzywojennego jednym z pisarzy najbardziej szanowanych i otaczanych uznaniem. Osobliwym jednak, paradoksalnym torem rzeczy — był on równocześnie jednym z autorów najmniej, najrzadziej drukowanych. Jeśli się nie mylę, trzy tylko utwory tego wielkiego dramaturga zostały wydane w roku 1930 nakładem Domu Książki Polskiej: Adwokat i róże, Zeglarz, Ptak. Inne jego sztuki, a wśród nich tak interesujące, jak Papierowy kochanek, Most, Fortepian, Dziewczyna z lasu i Krysia krążyły tylko po teatrach, wiodąc nietrwały żywot maszynopisów. Tak więc jeden z największych naszych dramaturgów był znany ogółowi ze sceny, natomiast nie był dostępny oczom czytelnika ów mistrz subtelnych, finezyjnych niuansów myśli i pierwszorzędny stylista. I stało się, że w czasie ostatniej wojny maszynopis Krysi zaginął — prawdopodobnie bezpowrotnie. Trudno w to uwierzyć, ale w naszych oczach i za życia samego pisarza wskutek złej gospodarki literackiej przedwojennych wydawców — powtórzył się jeden z dramatów, który w wiekach ubiegłych obdzierał dzieje literackie z dzieł, niszczonych wojnami.

Bezpośrednio po wyzwoleniu spróbo-

wano w Krakowie naprawić zaniedbania poprzednie: w Spółdzielni Księgarskiej „Czytelnik" (tzw. „Małym Czytelniku") wydano powojenne Dwa teatry oraz przedwojenny Most. Była to jednak próba cząstkowa. Dopiero obecnie krakowskie Wydawnictwo Literackie zajęło się akcją publikacyjną, którą Szaniawskiemu od dawna jesteśmy dłużni. Niebawem ma się ukazać tom prozy obejmujący przedwojenne nowele oraz najnowsze Opowieści profesora Tutki; następnie będą wydane szkice teatralne Szaniawskiego, jego praca o „Reducie", portrety takich aktorów, jak: Solski, Jaracz, Zelwerowicz, Kamiński, Frenkiel, a może i piękne szkice o Perzyńskim i Szczęściu Frania, o kasie teatralnej, o suflerze w teatrze; to samo wydawnictwo planuje opublikowanie sztuk Szaniawskiego — mamy nadzieję, że będą to dzieła wszystkie, to znaczy wszystkie te, które dotychczas zostały napisane, a ocalały! Zdobędziemy w ten sposób dużą część dotychczasowej twórczości jednego z najbardziej interesujących naszych pisarzy.

Nazwisko Szaniawskiego jest związane przede wszystkim z teatrem polskim, z rozwojem narodowej sceny. W jednym ze swych szkiców wspomina pisarz, jak to w dzieciństwie spoglądał na Kraków oddzielony kordonem granicznym i myślał o świetnej scenie krakowskiej, rozpalającej jego wyobraźnię tylu zakazanymi przez rząd carski widowiskami. Nie przypuszczał zapewne młody entuzjasta, że on sam zaludni kiedyś teatr polski nowymi postaciami, że sztuki jego przejdą poprzez wszystkie teatry, że związane z nimi będą nazwiska wielkich naszych aktorów: Osterwy, który grał w wystawionym w „Reducie" — Ptaku; Zelwerowicza, który po niezasłużonej klęsce jednej z pierwszych sztuk Szaniawskiego na scenie warszawskiej ujął się za jej krzywdą i wywalczył jej sukces krakowski, a potem grał w pięciu dalszych utworach Szaniawskiego; Adwentowicza, który wprowadził na sceny polskie Dwa teatry grając wspaniale rolę dyrektora teatru „Małe Zwierciadło"; Jaracza, którego gra w Dziewczynie z lasu pozostała w pamięci widzów przedstawień poprzedzających tragiczny wrzesień roku 1939; Brydzińskiego, pamiętnego z Fortepianu i Mostu... Można śmiało powiedzieć, że Jerzy Szaniawski przyczynił się swoim pisarstwem do rozwoju nie tylko dramaturgii polskiej, ale i sztuki teatru, pozwalając wielkim aktorom na nowe przemyślenie ich zadań twórczych, dostarczając im materiału do budowania wielkich, niezapomnianych ról. I znów z kolei powiedzieć trzeba, że mało kto tak wnika piórem essayisty w istotę współczesnych mu zjawisk teatralnych, jak Szaniawski. Wystarczy przypomnieć pobudzające do zadumy zdanie, którym scharakteryzował Jaracza w szkicu portretowym drukowanym na łamach „Nowej Kultury": „Był to niezwykły człowiek, który został aktorem."

Przy tym wszystkim jednak nie wolno zapominać, że Szaniawski był i jest także subtelnym i niezwykłym prozaikiem. W roku 1928 ukazał się, nakładem Księgarni F. Hoesicka, zbiór nowel i opowiadań Ługarze „Pod Złotą Kotwicą". Książka ta nie została przez wydawcę opublikowana najstaranniej; pełno w niej omyłek drukarskich; spis rzeczy i ostatni z utworów powtarzają się w niektórych egzemplarzach dwukrotnie. Jaki był nakład? Przypuszczać można, że niewielki — bo dziś są Ługarze niemal białym krukiem, zapomnianym nawet przez szperaczy, niedostępnym w antykwariatach, przechowywanym tylko w niektórych bibliotekach. Sam autor ani umiał, ani chciał walczyć o swoje sprawy, materialne czy prestiżowe, o rozgłos i nowe

edycje. On, który tak starannie i tak misternie, z takim poczuciem wartości każdego zdania budował swe dzieła — zdawał się nieomal opuszczać z rezygnacją ręce, gdy trzeba było dalej walczyć o los napisanego utworu.

Może i dlatego szerzyły się w społeczeństwie różne niesłuszne, utarte opinie. Stawały one między pisarzem a czytelnikami czy widzami. Na przykład uparcie kursowało twierdzenie na temat nieokreślonej, nieco „mgławicowej", nastrojowej treści utworów Szaniawskiego. Mam tu na myśli mit tak zwanej „szaniawszczyzny", który Kazimierz Wyka określił w roku 1947 w Listach z teatru kwalifikacją — „nie nazwa lecz przezwa". Była to jedna z owych szufladek-ogólników, w które wpychano u nas często twórczość wybitnych pisarzy: „żeromszczyzna", „przybyszewszczyzna", „szaniawszczyzna". Taka „przezwa", siłą nie kontrolowanego komunału, zastępowała próbę analizy zjawisk literackich, zgłębienie ich tła, genezy, funkcji, dobrych i złych rezultatów, związków ze zjawiskami innymi. Właśnie fakt, że znaczna część twórczości Szaniawskiego była nieopublikowana, nie mogła więc podlegać sprawdzeniu i naocznej konfrontacji, ułatwiał szerzenie i tworzenie mitu o „szaniawszczyźnie".

Mitu jak najbardziej niesłusznego! Autor Żeglarza i Łgarzy „Pod Złotą Kotwicą" był u nas stosunkowo rzadkim przykładem pisarstwa precyzyjnie intelektualnego. Właśnie nowele z Łgarzy mogą tu stanowić znamienny przykład literackiej metody. Nie ma w tej prozie nic z „żywiołu", z rozpędu pisarskiego, z tak zwanej „werwy". Uroda każdego zdania i każdej literackiej konstrukcji jest urokiem przenikliwej myśli, która się pragnie przedostać poprzez mylne i krzywdzące pozory zjawisk — ku ich sensowi bardziej istotnemu, głębszemu. Szaniawski operuje często zestawianiem myślowym, porównywaniem. Na przykład gdy mówi o zauważonym przez siebie fakcie, że najbrudniejsze knajpy portowe nosiły nazwy wyrażające jakąś nieświadomą tęsknotę za czystością: „Pod Srebrnym Półksiężycem", „Pod Odlatującym Łabędziem". Zagadnienia prawdy i kłamstwa interesują pisarza wykazującego finezyjnie, że każdy blagier próbuje swemu opowiadaniu nadać jakieś pozory prawdopodobieństwa; bo w każdym tkwi pragnienie, aby u ludzi wzbudzać wiarę. Jedni czynią to prymitywnie, inni w sposób wyrafinowany. Na przykład pewien myśliwy-narrator zauważył, iż prawdziwe opowiadania o sukcesach nie budzą wiary, ponieważ ludzie wielbią abstrakcyjną doskonałość, ale jej w żadnej postaci nie lubią u konkretnych ludzi. Dlatego umyślnie się pomniejszał; „chciał on, aby ludzie spostrzegali, że zwierciadło jest pomniejszające i wklęsłe, i żeby doszli do tego, iż prawda wygląda inaczej". Ale metoda zawiodła, bo „ludzie szybko spostrzegą sztuczkę, gdy się ktoś przebierze za wielkoluda; ale gdy im ktoś się ukaże jako maleńki i pokraka — nie protestują".

Gdyby szukać jakichś analogii literackich w twórczości nowoczesnej, najwięcej zapewne znalazłoby się tu podobieństw z Anatolem France'em. Podobny tu jest ton łagodnej ironii i życzliwego ludziom humoru. Podobny szacunek dla faktu, dla ogarniającej fakty obserwacji. Podobna umiejętność operowania paradoksem, nie dla jakiejś egoistycznej żonglerki pojęciami, tylko dla lepszego i barwniejszego ukazania proporcji zjawisk. Oto w niezwykłej noweli Uśmiechnięte siostry myśl pisarza coraz głębiej przenika zjawisko uśmiechu w stosunkach między ludźmi; autor ukazuje sytuacje, w których uśmiech na twarzy człowieka może być źródłem jego nieszczęść czy odosobnienia. I dopiero na tle uśmiechu powszech-

nego, ogólnoludzkiego — uśmiech indywidualny odzyskuje znów swą pożyteczną wartość; co prawda — w ukazanych tu warunkach społecznych — dzieje się to na krótko i nie bez ironicznych — znowu — pozorów.

Trzeba i prozę, i niejedną ze sztuk Szaniawskiego umieszczać na tle sytuacji, w jakiej się te zjawiska rodziły. Zmysł paradoksu był wspólny wielu pisarzom epoki międzywojennej. Ale u Szaniawskiego paradoks nigdy nie jest środkiem podważającym wiarę w sens życia ludzkiego i w wartość ludzi. W Łgarzach pod „Srebrną Kotwicą" znajduje się bardzo śmiałe opowiadanie Ogród na wydmie, które się pozornie ociera o psychoanalizę, ale w istocie znajduje się o krok od problemów, jakie Makarenko stawia w swym Poemacie pedagogicznym: chodzi tu o wychowawcze oddziaływanie na chłopców, którzy ze swego środowiska wynieśli skłonności przestępcze. Prawda, że pisarz tylko stawia problem i znajduje się blisko rozwiązań, ale ich jeszcze nie znajduje. Prawdopodobnie na razie znaleźć nie mógł...

Intelektualistę, jakim jest Szaniawski, przede wszystkim interesuje człowiek. Człowiek i jego konflikty, jego sprawy. Prawa drzemiącej w nich tęsknoty, żądzy ulepszeń i wynalazków, rehabilitowania się w oczach cudzych, genezy mitów, które są posłuszne prawom życia, ale muszą być demaskowane w imię pogłębiania i ulepszania tego życia (Żeglarz; Kowal, pieniądze i gwiazdy), konfrontacji faktu i zmyślenia, praw określających działanie fantazji. Paradoks, którym Szaniawski operuje, jest środkiem do zdzierania fałszu i komunału, które rodzą zastój, bezwład, nudę i krzywdę. Choć twórczość tego pisarza nie jest buntownicza, choć brak jej akcentów walki — pomaga lepiej rozumieć człowieka, a więc i działać zgodnie z celami, jakie sobie ludzkość wytknęła. Nieubłagany jest pisarz dla nędznej tragifarsy, jaką odgrywa oderwane od prawdziwego życia „wyższe towarzystwo" (w noweli Bal). Tuż obok w opowiadaniu o Kubku stary kamerdyner idąc do swego ciężko chorego towarzysza kupuje mu kwiaty i uczy się cenić ich znaczenie:

„Wybrał kwiaty czerwone i żółte. Wybierał barwy czyste, zdecydowane. Po raz pierwszy w życiu barwa dla niego miała swój sens."

I potem, gdy kwiaty te wręcza, były one „piękniejsze od tego, co mówił. I czuł, że miał w sobie prawdę własną, a nie prawdę, wynikłą z jego słów". W innym opowiadaniu (Lunapark) niespodziewane niebezpieczeństwo śmierci równa ludzi i niweluje antydemokratyczne pretensje do „wytworności" („czy wszyscy widzieli »na tamtym brzegu« rzeczy jednakowe? Mówią, że to zależy od człowieka, co »tam« dojrzeć można. Ale być może, że wszyscy zobaczyli — jedno. Jeżeli tak — to wykwintna młodzież uczestniczyła w zabawie naprawdę demokratycznej").

Zdanie Szaniawskiego ma smak prostoty. Jest przez to właśnie i barwne, i śmiałe, i dźwięczne, i przede wszystkim — celne. Dowcip nigdy nie bywa okrutny. Jeśli jest melancholijny i smutny, nie pozostawia nam goryczy — ale właśnie potrzebę dalszej pracy myśli, dalszego obserwowania zjawisk, szukania rozwiązań dla problemów, jakie nasuwa życie.

Wojciech Natanson

TAJEMNICA RIMBAUDA

Cień tajemnicy Rimbauda niemal przez pół wieku był słońcem poezji. Po pierwszym w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, a potem około 1895 roku (Verlaine'owskie wydanie poezji Rimbauda) zachłyśnięciu się kry-

staliczną świeżością rimbaudowskiej strofy, ostrość, nieprawdopodobna nowość i wyzywający blask tego zjawiska zostały zatarte przez urok tajemnicy, urok nieodgadnionej ciemności, którą było milczenie autora Statku pijanego, Iluminacji i Sezonu w piekle.

Przez pół wieku już, bo do dnia dzisiejszego nie ustał spór o metafizyczny sens „skandalu" Rimbauda, tajemnica wyrzeczenia się poezji przez tego — mówiąc słowami Wiktora Hugo — „dziecięcego Szekspira" była pulsującym źródłem nowego. Nie do Statku pijanego, Rąk Joanny Marii, Zbłąkanych, Marzeń zimowych i Paryża, który się budzi*) sięgano, by zbadać promieniotwórczą tajemnicę gwiazdy, ale do tych utworów nie napisanych, jeszcze przed powstaniem wyklętych testamentem Sezonu w piekle, by z nich budować obowiązujący mit Rimbauda.

Zamilknięcie poety, który w ciągu czterech lat (1870—1873) stworzył nie tylko arcydzieła, ale słowem poetyckim, jak nikt jeszcze, wdarł się w samą konstytucję świata rzeczy wyrąbując z niej niewyrażalne przed nim wzruszenia — przesłoniło niemal zjawisko Rimbaudowskiej poezji. Nie to, co stworzył, ale to, co mógł stworzyć, stało się kanonem. Spór o Rimbauda toczył się we wszystkich kategoriach myśli i wyobraźni. Wszystko, co napisał, stało się niemal tylko komentarzem do dzieła nieistniejącego.

Zrobiono wszystko możliwe, aby obraz Rimbauda zaciemnić, osnuć mgłą niewiadomego. Nie chcę powtarzać tutaj rzeczy aż za dobrze znanych**), ale pośmiertne dzieje Rimbauda mogą stanowić przykład powstawania mitu. Ostatnie słowa poety na łożu śmierci (1891) — „Allach, Allach Kerim" — stały się w interpretacji bigotki — siostrzyczki Izabeli i oficjalnego z ramienia rodziny biografa — Paterna Berrichona, wyznaniem wiary katolickiej. Jego poezji buntu, poezji protestującej przeciwko konkretnym społecznie i politycznie „czasom morderców" w roku upadku Komuny Paryskiej przeciwstawiono Rimbauda-ciułacza realizującego wszystkimi sposobami ideał mieszczańskiego dobrobytu. Rimbauda-poetę wyklętego uzupełniano Rimbaudem-awanturnikiem, handlarzem bronią. Rimbaudowi-wizjonerowi przeciwstawiano Rimbauda-człowieka czynu, inżyniera i kolonizatora abisyńskiej dżungli. Rimbauda-oskarżyciela cukrowano Rimbaudem-mistykiem po prostu (Daniel Rops) lub „mistykiem w stanie dzikim" (Claudel).

Tajemnica Rimbauda była natchnieniem nowoczesnej poezji. Tam w podziemiach podświadomości, której zasłonę uniósł poeta Iluminacji, znajduje się odpowiedź na wieczne pytanie człowieka o sens istnienia. Czarne słońce ciemności, blask niewiadomego zafascynowały poezję. „Poeta staje się wizjonerem przez uporczywe, bezgraniczne, wyrozumowane szaleństwo zmysłów" — to sformułowanie Rimbaudowskiego „listu jasnowidza" stało się hasłem nowej sztuki. Rimbaud stał się świętym nadrealizmu. Jego buntowi nadano wyłącznie sens metafizyczny. Iluminacje, Sezon w piekle odczytywano przede wszystkim między wierszami, aby poprzez szczeliny obrazowe wtargnąć w ten świat, który był poza nazwaniem. Kontynuowano doświadczenie Rimbauda „uporczywym, wyrozumowanym szaleństwem zmysłów". Zastosowano „naukową" metodę tworzenia wizji. Usiłowano osiągnąć stan wizjonerstwa wszystkimi sposobami

*) Utwory te istnieją w przekładzie polskim kolejno: Miriama, Antoniego Słonimskiego, Adama Ważyka, Jarosława Iwaszkiewicza i Juliana Tuwima.

**) Z prac ostatnio opublikowanych znakomicie wprowadza w życie i twórczość autora Statku pijanego studium Adama Ważyka stanowiące przedmowę do Poezji wybranych Rimbauda (Książka i Wiedza, Warszawa, 1949).

poza tym jednym praktykowanym przez Rimbauda — spontaniczną szczerością. I cóż? W tym miejscu, do którego Rimbaud dotarł milczeniem, kontynuatorzy jego wpadli w gadulstwo.

Eksploatacja tajemnicy Rimbauda wydała swoje owoce. Uporczywe manipulowanie mechanizmem podświadomego, drążenie ciemności do dna absurdu zbliżyło nas do tego Rimbauda, który był zjawiskiem oślepiającym ostrością, nie zaś niedomówienia. Poprzez mity Rimbauda dokopujemy się do jego poezji, do tego, co zdołał wyrazić tak, jak nikt przed nim.

Rimbaud odczytany dzisiaj na nowo tak jak przed 60—80 laty, nie jako komentarz własnej tajemnicy, ale jako twórca wzruszenia eksplodującego realnością wyrażanego świata jest jednym z najwyższych w dziejach literatury przykładem tej poezji, która jest naszym ideałem — poezji zaangażowanej. On właśnie wtargnął do poezji w imię świata rzeczy ludzkich. Swoim słowem namiętnym, ironicznym, słowem-gniewem, słowem-drwiną szargał wszystkie ówczesne świętości. Był antyparnasistowski dlatego, że był antymieszczański. Był niepohamowanym gniewem ludu nazajutrz po upadku Komuny Paryskiej. Drwił ze wszystkich ideałów mieszczaństwa: politycznych, moralnych i obyczajowych. Był Baudelairem z K w i a t ó w z ł a i Wiktorem Hugo z C h ł o s t y jednocześnie. Nie darmo przecież w owym słynnym „liście jasnowidza", który stał się ewangelią nadrealistów, tych dwóch właśnie poetów wymienia jako „jasnowidzów". Buntuje się przeciw wszystkiemu, co małe, umiarkowane, nadużyte, wytarte. Mówi o ogromnym głodzie, o ogromnym pragnieniu, o ogromnej radości. Świat Rimbauda jest upajający w każdej rzeczy. Tajemnicą, na pewno, jest jego zamilknięcie. Ale większą jeszcze tajemnicą jest jego poetyckie słowo. Ten „dziecięcy Szekspir" nie znał słów wyuczonych, przywykłych do swoich znaczeń. Słowa Rimbauda nie były oswojone, nie łasiły się do rzeczy, których były nazwaniem. Każde z nich było ładunkiem eksplodującym, każde z nich skandalizowało nowością. Pod ich uderzeniem rozpadły się pojęcia i krajobrazy. Wszystkie słowa, nawet zaimki, tak bardzo niesamodzielne, stawały się wbrew gramatyce osobowościami: *Je est un autre.*

Lecz słowa Rimbauda — i tu tkwi najgłębsza tajemnica tej poezji — nie wyzwalały się ze stanu zależności od banału w imię samej urojonej wolności. Słowa na wolności, dadaistyczne słowa w kapeluszu — to zabawa mistyfikatorów. Słowa Rimbauda miały służyć jak wybuchowe ładunki do rozsadzenia więzów, rygorów upodlenia i nędzy. Rimbaud jakby wierzył, że rozsadziwszy nimi pojęcia zła, krzywdy, brzydoty, zmieni także otaczający go świat. Był poetą, jedynym może poetą świata, który nie umiał odróżnić fikcji od rzeczywistości. Rzeczywistość była dlań także sprawą wyobraźni. Wierzył, że poezją można świat przekształcić, że słowo jest materiałem wybuchowym i budowlanym zarazem.

Czteroletnia jego twórczość dzielona bywa zazwyczaj na dwa sztywne okresy. Okres poezji i okres wizjonerstwa. Uważa się na ogół, ze stanowiska owej metafizycznej tajemnicy milczenia, okres pierwszy za przygotowanie do wdzierania się w sens istnienia. I l u m i n a c j e i S e z o n w p i e k l e mają mieć dopiero sens przygody duchowej. Tam Rimbaud miał właściwie dotrzeć do granic poznania, tam miał ponieść klęskę i zamilknąć. Sama forma (poematy prozą) I l u m i n a c j i i S e z o n u w p i e k l e miała być wyrazem spontaniczności, tworzenia pod dyktando ducha.

Dzisiaj pełne, w ramach dotychczasowego stanu badań, staranne wydanie

dzieł Rimbauda (wydanie Plejady, 1946) kładzie ostatecznie kres niedopowiedzeniom, legendom i fałszerstwom*). Znamy między innymi brulion Sezonu w piekle, brulion pełen skreśleń, zmian — ślad trudu poetyckiego. Spontaniczność Rimbauda nie polegała bynajmniej na „automatycznym pisaniu". Była głębsza, zawierała się w jego stosunku do świata. W ciągu czterech lat Rimbaud zamknął w formie błyskawicznej długą ewolucję pisarską. Istotnej jednak różnicy, światopoglądowej różnicy między Poezjami a Sezonem w piekle nie ma. Ta sama konkretność, drapieżność, realność poetyckiej wizji i tu, i tam występuje. W poezjach Rimbaud świeżość, ostrość, ową krystaliczną naiwność widzenia świata osiągał gwałtownością, namiętnością burzycielską. W Iluminacjach i Sezonie w piekle ta namiętność jest konstruktywna. Na ruinach zburzonego, zaprzeczonego świata Rimbaud wznosi wizję świata nowego poprzez rekonstrukcję własnej wyobraźni. Od podstaw, na pozycji jakby zerowej po zburzeniu wszystkiego, odbudowuje spojrzenie po spojrzeniu, krok za krokiem siebie, świat i swój w nim udział. Nie chodzi mi o wynik tego trudu. Czy poeta dojrzawszy niewspółmierność między rzeczywistością a siłą wyobraźni, zwątpił w siebie, czy wypalił się wewnętrznie w ogniu swojej namiętności? Zamilkł, wiemy. Lecz w swoim wizjonerstwie, w rekonstruowaniu wyobraźni był tak drapieżny, tak samo naiwnie świeży, jak w buncie. Notując wizje składa je z realnych przedmiotów, które tak samo jak w Poezjach są bardziej dotykalne, bardziej pełne niż te z banalnego istnienia.

Poematy — Iluminacje i Sezon w piekle — mimo całych pozorów oderwania, wyjścia poza czy, jak chce Breton, ponad świat wyrażalny, mimo owej „mistyki w stanie dzikim", narodziły się z bezpośredniego, najbardziej spontanicznego kontaktu z rzeczywistością. Poematy te są poetyckim, rzuconym na ekran wyobraźni wyrazem konkretnych, nie wyimaginowanych wydarzeń, istniejących zjawisk. Rimbaud nie mistyfikował, mistyfikowali jego interpretatorzy. To nie są wizje świata w innych wymiarach. Ten inny, niezaprzeczenie wizjonerski kształt świata wybłyskuje ze ścierania się rzeczy i zdarzeń realnych. Jest iskrą powstałą z gwałtownego starcia, zderzenia się realności. Zamierzone jako kolorowe obrazki, malowanki (tytuł powstałych podczas pobytu autora w Londynie Iluminacji ma to właśnie w języku angielskim znaczenie), poematy-wizje — i na tym przede wszystkim polega ich bezwzględna i niezużyta mimo całej epoki naśladownictwa nowość — nie zatrzymują się na werbalnej powierzchni rzeczy i zdarzeń, których rzeczywisty sens, barwa i dźwięk zatarły się w ludzkim odczuwaniu, a w poezji stały się po prostu niedostrzegalne. Hasło „wyrozumowanego szaleństwa zmysłów" z którego nadrealiści uczynili metodę potoku niekontrolowanych skojarzeń, należy rozumieć jako przeciwstawienie się ograniczaniu świata do usztywnionych i zbanalizowanych przez konwencje społeczne i poetyckie form odczuwania, a co za tym idzie, i obrazowania. Rimbaud nadał metaforze znaczenie, które dzisiaj jest kanonem poezji. Metafora w rimbaudowskim pojęciu nie ma nic wspólnego ze zdobnictwem. Metafora to nie środek wyszukanego wyrażania. Uniezwykla, tak, ale uniezwykla w najściślejszym znaczeniu tego słowa, poprzez rozbicie gotowych, wyuczonych pojęć i wyobrażeń. Jest równie brutalna, jak wzniosła,

*) Istniało wiele mistyfikacji, m. in. mistyfikowano rzekomą abisyńską twórczość poetycką Rimbauda. Szczegóły o ostatniej (1949) próbie mistyfikacji z „La chasse spirituelle" podał Wojciech Natanson w ciekawym essayu w Nr 10/1949 „Twórczości".

burzy, ale jednocześnie konstruuje. Na tym polega przede wszystkim rola Rimbauda z Iluminacji i Sezonu w piekle, że rekonstruując własną wyobraźnię dał przykład stawania się poezji. Jego wizjonerstwo ma perspektywy ogromne. Metafizyczne także. W tym sensie, że obnażonym słowem jak obnażonym mieczem Rimbaud rozcina gąszcze sztucznej, konwencjonalnej złudy i staje wobec samego pojęcia bytu. Ale to właśnie realność, spontaniczność odczuwania rzeczywistego świata zaprowadziły go na granice światła i ciemności, świadomości i halucynacji, gdzie każda rzecz jest jakby na nowo stworzona słowem oczyszczonym z wieloznaczności, o jasności i precyzji bez precedensu. W tym sensie każda poezja posiada perspektywy metafizyczne. Nie ma na to rady. Bo przecież każde wzruszenie światem, choćby poprzez najdrobniejsze jego zjawisko, musi — jest to prawem i obowiązkiem poezji — angażować całkowicie i tym samym otwierać perspektywy na sprawy najbardziej ostateczne.

Iluminacje i Sezon w piekle nie powstały w próżni: ani w oderwaniu od świata, ani w oderwaniu od poprzedzających doświadczeń Rimbauda. Istnieją formalne źródła gatunku poematów prozą w okresie przedwizjonerskim. W okresie „poezji" Rimbaud przejawiał gwałtowną działalność, niezbadaną jeszcze dostatecznie. Istnieje metafizyczna tajemnica Rimbauda, źródło wszystkich możliwych domysłów i interpretacji. Ale istnieje także — po prostu polityczna tajemnica jego działalności w latach 1870—1871. Nie chodzi o to nawet, czy brał bezpośredni udział w walkach Komuny. Ale podawanie się przecież za komunarda ma uzasadnienie głębsze niż samo sympatyzowanie z ruchem rewolucyjnym. W okresie Komuny i bezpośrednio po jej upadku Rimbaud niezależnie od znanych nam poezji opublikował szereg artykułów-poematów, pamfletów-poematów ładunkiem buntu, sarkazmu i precyzji bliskich i Budzącemu się Paryżowi, i poematom z Iluminacji. Zresztą właśnie tylko po stylu je rozpoznano. Nie wszystkie rzecz prosta. Podpisane pseudonimem lub niepodpisane w ogóle, rozproszone po prowincjonalnych gazetach i efemerydach („Nord-Est", „Progrès des Ardennes") stanowią nieodczytany jeszcze komentarz do tajemnicy Rimbauda. Jeden z tych tekstów odnaleziony przez wydawcę „Plejady", Jules Mouqueta, już po ukazaniu się w tej serii dzieł Rimbauda jest dokumentem o niemałym znaczeniu. List barona de Petdechèvre do swego sekretarza na zamku Saint Magloire podpisany pseudonimem (Jean Marcel) i opublikowany w „Nord-Est" w 1871 roku jest jeszcze jednym świadectwem zaangażowania się Rimbauda w sprawę Komuny, a więc związków z polityczną rzeczywistością. Sarkazm, ironia mają tutaj zastosowanie bezpośrednie.

„Mamy teraz prawo odsapnąć; dobrze zapracowaliśmy na ten wypoczynek, którego tak bardzo nam się skąpi. Zreorganizowaliśmy wojsko, zbombardowaliśmy Paryż, zgnietliśmy powstanie, powystrzelaliśmy buntowników, skazaliśmy przywódców, utworzyliśmy władzę konstytucyjną, pogrzebaliśmy republikę, przygotowaliśmy rządy monarchiczne, wydaliśmy kilka ustaw, które prędzej czy później trzeba będzie zmienić, uf..."

„Jesteśmy więc w siódmym niebie, mój drogi. Opinia porządnych ludzi głęboko wzruszyła tych dzielnych sędziów z trybunałów wojskowych, na chwilę sprowadziła ich na kręte ścieżki miłosierdzia i litości. Lecz są znów na dobrej, prostej drodze. Są znów sprawiedliwi, a więc surowi. Słyszałeś, jak skazali Pipe-en-bois? Obywatele Komuny, będziecie się mieli z pyszna."

Po niepohamowanym gniewie, po

buncie Poezji — sarkazm pamfletu, broń pokonanych. Lecz Rimbaud nie chciał żyć w świecie pokonanych. Wierzył w siłę wyobraźni, w magię słowa i chciał poezją stworzyć świat na nowo. Oto źródła Iluminacji. Oto etapy przebytej drogi.

Nie ta jednak tajemnica Rimbauda pasjonuje jego przysięgłych wyznawców. Cóż ich mogą obchodzić związki z rzeczywistością? One gmatwają jedynie interpretację rimbaudowskiej Tajemnicy, tej przez duże T. O jej zachowanie przede wszystkim chodzi, a nie o znalezienie do niej klucza. A tymczasem kruszy się ona coraz bardziej. Padają zdawało się niewzruszalne jej podstawy. Upadła podtrzymywana przez dłuższy czas legenda o magicznym, okultystycznym, podwójnym sensie Iluminacji. Na kilku słowach Rimbauda („Ja, ja, co mieniłem się magiem lub aniołem...") zbudowano mit o wtajemniczeniu w magię, które nabył rzekomo w ciągu kilkumiesięcznych lektur w bibliotece miejskiej w Charleville. Wystarczyło zbadanie zapisków bibliotecznych, by stwierdzić (podaję to za Etiemblem, autorem ostatniej pracy o Rimbaudzie Mit Rimbauda), że wśród książek wypożyczonych przez autora Iluminacji nie było ani jednej z dziedziny magii czy okultyzmu. Interpretatorzy, kiedy im to dogadza, dla podtrzymania mitu tajemnicy odczytują metaforę poetycką dosłownie.

Jesteśmy może w przededniu rozstrzygnięcia sensu testamentu Sezonu w piekle, który stanowi podstawę rimbaudowskiego mitu. Badacz tekstów poety, H. Bouillane de Lacoste. wysunął hipotezę powstania Sezonu w piekle przed Iluminacjami. Wyrzeczenie się przez Rimbauda poezji byłoby więc także metaforą nie uprawniającą do budowania mitu. Rozgorzał spór, który nie wyszedł dotychczas z fazy proceduralnej. Obrońcy metafizycznej tajemnicy Rimbauda nie chcąc przyjąć argumentów Bouillane de Lacoste'a wysunęli zarzut, że zestawia on brulion Sezonu w piekle z czystopisem Iluminacji. Od rozstrzygnięcia sporu nie zależy jednak tak bardzo wiele. Dla nas Rimbaud nie zaczyna się od Pożegnania: „I cóż, muszę pogrzebać moją wyobraźnię i wspomnienia. Odebrana piękna sława artysty i bajarza." *) Dla nas Rimbaud to ten niezwykły poeta, który stworzył „wszystkie święta, wszystkie tryumfy, wszystkie dramaty", który próbował „wymyślać nowe kwiaty, nowe gwiazdy, nowe ciała, nowe języki." *) Do tego Rimbauda powracamy dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek. On nas uczy cierpkiego smaku rzeczywistości.

Wizjonerstwo Rimbauda nie polega na wyjściu „poza", wzniesieniu się „ponad". Celem wizjonerstwa jest przebicie się słowem poetyckim przez pozory, złudzenia i majaki. Nie po to, by wyzwolić się całkowicie w jakimś świecie niewyrażalnym, ale po to, by dotrzeć do nieznanej mu, ale przeczuwanej realności autentycznej, tam gdzie słowo poetyckie „dostępne jest wszystkim zmysłom".

Rimbaud jak żaden z poetów zaangażowany był po stronie tego świata, świata realnego. Jeżeli jego bunt bardziej przekonuje niż wizjonerstwo, to dlatego, że buntując się wyrażał gniew i nędzę ludu całego. Rimbaud-wizjoner był osamotniony. Ale i jeden, i drugi Rimbaud żyje w nas, w naszym odczuwaniu, w naszej umiejętności wzruszenia, w naszym zachwycie poezją. Doświadczenie Rimbauda oczyszczone z mitologii wyznacza i coraz bardziej będzie wyznaczało drogi tej poezji, która chce być związana z rzeczywistością.

*

I pomyśleć, że to żywe, wciąż pulsujące źródło poezji ma już przeszło

*) Przekład Jana Kotta.

osiemdziesiąt lat. Rimbaud, który nas nauczył niejednego zdumienia, zdumiewa znowu. Tym razem fakt obiektywny ma wszystkie cechy paradoksu. W październiku ubiegłego roku minęło 100 lat od urodzin największego z żyjących (bo jakżeż inaczej można wyrazić się o tej poezji?) poetów. Mimo to, że narosła cała, niemała już epoka literatury, poezja Rimbauda jak błyskawica olśniewa i przeraża. My wciąż „ultramaryną... rimbaudowskich... niebios napełniamy wrzące retorty". My wciąż „potrącamy, czy wiecie? Florydy bajeczne..."

Jakżeż więc obchodzić to stulecie? Nie do pomyślenia jest, choć stało się to przecież 20 października ubiegłego roku w Charleville, rodzinnym mieście poety, by przy dźwiękach orkiestry miejscowych strażaków jego ekselencja minister przecinał wstęgę, a mer w otoczeniu wyselekcjonowanych mieszczuchów przybijał tabliczkę z napisem „Plac Artura Rimbaud". Nie do pomyślenia jest, a stało się to przecież, by ten wiecznie młody duch wyklętej nowości został uczczony jak zwyczajny, szlachetny nieboszczyk. Nie do pomyślenia jest... lecz zgódźmy się i na to. Któż bo nie rościł sobie w ciągu tych lat osiemdziesięciu do niego pretensji? Toż klasyk już. Ma do niego prawa także historia literatury. Niezaprzeczalne zresztą. Jedno jest pewne bardziej niż cokolwiek: Rimbauda starczy dla wszystkich.

Zbigniew Bieńkowski

W TRZYDZIESTOLECIE ŚMIERCI ANATOLA FRANCE'A

Pseudonim literacki France'a kojarzył się wielu ludziom z ziemią francuską, pojęciem francuskości, stylem „typowo francuskim". Popełniali omyłkę. Poeta, nowelista i essayista, Anatol Thibault, przybrał ten pseudonim na cześć ojca: Franciszka, François. Chciał przez to zapewne powiedzieć, jak wiele zawdzięcza temu farmerowi, który, przybywszy w młodości do Paryża, własnym wysiłkiem zdobył znaczną kulturę umysłową i założył księgarnię w okolicach Sekwany na Quais Malaquais, na wprost Luwru. Księgarnię, w której popołudniami, wedle paryskiego zwyczaju, zbierali się bibliofile, uczeni, znakomici pisarze, poszukiwacze rzadkich druków i amatorzy swobodnych dysput, przetykanych anegdotami, dowcipami, paradoksami.

Myślę, że młodziutki Anatol przysłuchiwał się nieraz, schowany gdzieś w kąciku księgarni, owym błyskotliwym rozmowom. O ojcu swoim pisał w autobiografii z roku 1904—10: „Był księgarzem. Wedle powszechnie uznanego dogmatu tej korporacji księgarz powinien sprzedawać książki, ale nie powinien ich czytać. Mój ojciec natomiast czytał bardzo dużo, toteż nie zrobił majątku".

Żądzę czytania odziedziczył France po swoim ojcu. Żądzę czytania, pragnienie poznania. „Chciałem poznać wszystko" — wyznaje. Zgłębianie starożytnych pisarzy sprawiało mu upajającą radość. Myśl średniowieczna, subtelności scholastyczne, poezja trubadurów i dawnych *conteurs* nie miały dla niego tajemnic. Równocześnie jednak wchłaniał France dzieła współczesnych sobie filozofów, przyrodników, socjologów, psychologów, a przede wszystkim historyków. Żądza czytania i poznania sprawiła, że w latach późniejszych przyjaciele musieli zamykać France'a w pustym pokoju, bez książek — kiedy miał pisać.

Dzieciństwo pisarza upłynęło w Paryżu, który był i jest wielką ojczyzną słowa drukowanego. Przechadzki po nadbrzeżnych *quais* dawały niezliczone okazje do przeglądania książek u gęsto tu osiadłych „bukinistów". A także do rozmów z bibliofilami, których znał już z księgarni ojcowskiej. O jednym z ta-

kich zażartych miłośników książek (i nie tylko ich okładek, ale i treści) pisał potem, że miał ręce brudne nawet po wyjściu z kąpieli. Dlaczego? Bo czytał w wannie! A niezliczone dysputy i rozmowy toczyły się na tle niezwykłej scenerii. Nawet brzydkie rudery z XIX wieku lśnią zadziwiająco łagodnie i wesoło w odbiciu barwnych nurtów Sekwany, która, według słów dzisiejszej piosenki, „śpiewa, śpiewa, śpiewa, oplatając ramionami swego kochanka: Paryż".

Wielką swą wiedzą umiał France gospodarować; umiał w niej znajdować źródła artystycznej inspiracji. Nie był podobny do tych specjalistów, którzy nie wychylają nosa poza swą wąską naukową „gablotkę"; ale i nie gubił się w labiryntach swej erudycji, porządkując je w sposób racjonalny. O pierwszym etapie jego twórczości, sięgającym mniej więcej po rok 1897, można powiedzieć, iż charakteryzują go dwa wielkie osiągnięcia, dwie zdobycze. Pierwszą z nich jest stworzenie nowoczesnego, barwnego i świetnego zarazem essayu literackiego. Essaye są rdzeniem twórczości France'a; trudno zrozumieć tę twórczość, jeśli się o nich zapomina. France miał lat 29, gdy zaczął pisywać słynne swe felietony w „Le Temps". Pisał je z przerwami do roku 1893, lat blisko 20; skrupulatni badacze (jak Jacques Suffel) naliczyli około 390 „kronik literackich" France'a. Tylko 140 ukazało się w pierwotnej swej formie, w czterech tomach La Vie Littéraire, które France opublikował w latach 1888 — 1892. Niektóre z pozostałych zostały zużytkowane w innych książkach: np. Ogród Epikura składa się całkowicie z fragmentów owych felietonów, a dłuższe ustępy z innych weszły w skład takich książek, jak L'Etui de Nacre, Pierre Nozière, Les Contes de Jacques Tournebroche i inne.

Nie tylko essayistyczną i felietonową wartość miały te artykuły. Krytyczne sformułowania France'a w niejednym wypadku decydowały o sprawach bardzo doniosłych. Jego szkice na temat Balzaka, Flauberta i Maupassanta dają portrety, których ostrość i trafność pozostają niezaprzeczalne. Jeden z historyków, Albert Lefranc, domagał się opublikowania nieznanych jeszcze szkiców France'a, stwierdzając, iż znajdują się tam rewelacje.

Sąd France'a o krytyce zgodny jest na ogół z poglądem starego krytyka, Cuvillier Fleury, który autor La Vie Littéraire cytuje z leciutkim uśmiechem omawiając książkę Fagueta: „Krytyka obejmuje wszystko i unosi się ponad wszystkim: historią, filozofią, wymową, a nawet poezją. Nie ma niczego, co by nie należało do jej domeny." — „Istotnie — dodaje France — krytyka obejmuje historię, filozofię, socjologię, jurysprudencję i poezję; pod jednym co prawda warunkiem, że ten, kto ją uprawia, jest równocześnie poetą, prawodawcą, mężem stanu, moralistą, filozofem i historykiem."

Drugim wielkim osiągnięciem France'a przed rokiem 1897 jest stworzenie nowego typu powieści. W szkicu Anatole France romancier, zamieszczonym w „l'Europe" (grudzień 1954) mówi słusznie Jean Levaillant, iż powieść France'a stworzyła nową postać powieściową: intelektualistę. Intelektualista ten żyje swoimi myślami i przymierzaniem tych myśli do cudzych stanowisk intelektualnych. Dlatego ów typ dzieła literackiego to zjawisko pośrednie między powieścią a essayem; typowy przykład stanowić może Zbrodnia Sylwestra Bonnard, opisująca przeżycia uczonego, który w swych podróżach poszukuje starego rękopisu, stanowiącego przedmiot jego marzeń. Niewątpliwie stał się w ten sposób France prekursorem no-

wych zupełnie zjawisk we współczesnej prozie powieściowej, od Prousta aż po Tomasza Manna i Aldousa Huxleya.

Można powiedzieć w przybliżeniu, że filozoficzną postawę France'a cechuje w tym czasie — łagodny sceptycyzm. W przedmowie do drugiego tomu swych szkiców przyznaje pisarz, iż zdarza mu się wpadać w sprzeczności. „Pan Leconte de Lisle — pisze — wątpi o istnieniu świata, lecz nie ma nigdy wątpliwości co do zasad dobrego wychowania". Podobnie było i z samym France'em. Przeciwnicy wytknęli mu, że proklamując wątpienie filozoficzne i sceptycyzm, rzuca się jednak w sam środek walk literackich, wymagających przecież zajęcia wyraźnych stanowisk. Odpierając ten zarzut, uznaje France prawo do zaprzeczania samemu sobie za konsekwencję sceptycznego światopoglądu i uniwersalnej ironii. Odnosi się to zwłaszcza do spraw estetycznych, które są według niego „pałacem w chmurach". Przede wszystkim należy tu unikać sofizmatów, choćby najpiękniejszych. Zenon z Elei dowodził, że strzała, która leci — jest nieruchoma. „Można by udowodnić także i odwrotną tezę, ale byłoby to już trudniejsze".

Nagle — niespodzianka! W marcu 1897 roku występuje Anatol France na zebraniu ludowym protestującym przeciw masowemu mordowaniu ludności Armenii przez fanatyków tureckich. Nieco później staje France w obronie Emila Zoli skazanego za oszustwo z powodu wydania słynnej broszury O s k a r ż a m! dotyczącej sprawy Dreyfusa. France nie był poprzednio w najlepszych osobistych stosunkach z przywódcą francuskiego naturalizmu, twórcą A s s o m o i r. Naturalizm ze swą gwałtowną przesadą i integralną wiarą w nieubłagane prawa biologiczne nie odpowiadał sceptycznym i pobłażliwym, podatnym do subtelnego cieniowania poglądom France'a. Drwiny krytyka i jego ironia dotykały chwilami Zolę bardzo boleśnie. Obecnie jednak zapominają oni o nieporozumieniach, o różnicach poglądów. France naraża całą swą popularność uwielbianego w salonach arystokratycznych ironisty i sceptyka. Z energią bierze udział w walce o uwolnienie i pełną rehabilitację niewinnie skazanego kapitana. Od tej chwili niemal w każdej ze spraw, które wstrząsają sumieniami, Anatol France staje w pierwszych szeregach walczących. W roku 1905 piętnuje carat za masakrowanie manifestujących robotników. W roku 1907 w liście do polskiego tłumacza swych powieści, Jana Stena, wyraża najgorętsze swe sympatie dla walki narodu polskiego, uciskanego zarówno przez cara, jak i przez Hohenzollernów. (Mało znany ten list, przekazany mi przez rodzinę zmarłego tłumacza, ogłosiłem w roku 1935 w jednym z czasopism.)

Nieraz się zastanawiano nad rozwiązaniem tej zagadki, jaką się może wydawać ewolucja France'a od sceptycyzmu do gorącej obrony praw ludzkich. Wydaje mi się, że wytłumaczenie powinno uwzględniać znaczną ilość momentów. Twórca S y l w e s t r a B o n n a r d i Ż y c i a l i t e r a c k i e g o był zawsze zwolennikiem jasnego i dokładnego myślenia. Jego obrona postaw sprzecznych, jak widzieliśmy, nie pokrywała się z tolerowaniem — choćby nawet i efektownych — błędów myślowych, czyli sofizmatów. Jasność i logiczna konsekwencja były tak wyraźnymi cechami myśli literackiej France'a, że Julien Benda, gorący zwolennik rygorystycznego racjonalizmu, uznawał twórcę S y l w e s t r a B o n n a r d za ostatniego pisarza naprawdę francuskiego; po śmierci France'a zaczyna się zdaniem Bendy, powolny kryzys, rozkład literatury francuskiej. Nawet przeciwnicy France'a przyznawali mu zaletę francuskiej jasności. Np. profesor Charles Marie des Granges, ze zgrozą odżeg-

nywując się w swym podręczniku literatury od „ducha", który ożywia dzieła France'a, i stwierdzając, że dzieła te „były dla naszych młodych generacji... jedną z najgorszych trucizn", przyznaje mu jednak „styl cudownie doskonały", zachwyca się rytmem jego prozy. „Nasi koloryści, symboliści i futuryści mogą sobie szukać czegoś innego, ale tylko ten właśnie styl jest francuski". Wielbicielem stylu France'a był także — jak wiadomo — Charles Maurras.

Lecz właśnie owa jasność, która zachwycała konserwatywnych obrońców dawnego stanu rzeczy i przeciwników postępu, okazała się zaczynem myśli niepokojących i buntowniczych. Racjonalizm i zasady zdrowego myślenia nie pozwalały France'owi patrzeć spokojnie na gwałcenie elementarnych zasad słuszności. Myślenie samodzielne sprawiło, że pisarz musiał się przeciwstawić masowej nagonce na skazanego niesłusznie człowieka. Dawny sceptycyzm, mimo swych paradoksalnych wyjaskrawień, był także jedną z form wrodzonego France'owi racjonalizmu.

Drugim czynnikiem, który działał na pewno w sposób bardzo silny — było właściwe całej jego twórczości współczucie dla cierpiących i miłość do ludzi. Wyrozumiałość, lekko żartobliwa czy nawet ironiczna, była jedną z postaci humanizmu France'a, czyli jego miłości dla wszystkiego, co ludzkie. Jednym z arcydzieł pisarza, najściślej związanych z tą predyspozycją duchową, jest 50-stronicowe klasyczne opowiadanie C r a i n q u e b i l l e, urocza historia o małym handlarzu ulicznym, sprzedającym jarzyny w ciągu „czterech sezonów" paryskich, skazanym przez nieporozumienie sądowe, własną nieświadomość i bezduszność sędziów na kilka miesięcy więzienia za obrazę policjanta, a wskutek tego kompletnie zrujnowanym, zepchniętym w nędzę. Gdy Crainquebille, nie znając już innego rozwiązania swych trosk, próbuje potem naprawdę znieważyć policjanta i dostać się przynajmniej do więzienia, gdzieby go żywiono i zapewniono dach nad głową — dziwną ironią losu spotyka tym razem ludzkiego przedstawiciela władzy, który mu obrazę puszcza płazem. W tym czasie zaprzyjaźnił się France z komediopisarzem Courtelinem, katolikiem z przekonań, ale równie jak France gorącym obrońcą niewinnie skazanego kapitana Dreyfusa. Courteline zapoznał twórcę C r a i n q u e b i l l e'a ze znakomitym aktorem, Lucjanem Guitry. Guitry (który w tym czasie grał Molierowskiego Mizantropa, jako przyjaciela ludzi, a nie ich wroga) namówił France'a do przerobienia C r a i n q u e b i l l e'a na scenę i sam zagrał postać tytułową. Powszechnie dopatrzono się w utworze wyraźnych aluzji do sprawy Dreyfusa.

W dziesięcioleciu, które poprzedziło wybuch pierwszej wojny światowej, zbliżał się France coraz wyraźniej do stanowisk socjalistycznych. W roku 1906 przewodniczy meetingowi robotników przedsiębiorstw elektryfikacyjnych i zwraca się do zebranych ze słowami: „Towarzysze! Dziękuję wam za to, że daliście mi okazję znalezienia się z wami i zajęcia stanowiska po waszej stronie". Wygłaszając, nieco wcześniej, odczyt o Diderocie kończył go France słowami: „Zwycięstwo proletariatu jest pewne. Opóźnić je mogłyby nie tyle bezładne wysiłki naszych przeciwników, co niezgoda w naszym obozie i brak stanowczości w naszej metodzie działania. Zwycięstwo jest pewne, gdyż narzuca je i przygotowuje sama natura rzeczy i warunki życia. Będzie to zwycięstwo metodyczne, wyrozumowane, harmonijne. Zarysowuje się już na horyzoncie świata z niewzruszoną ścisłością konstrukcji geometrycznej". Porozumienie między France'em a ludem było o tyle łatwiejsze, że styl pisarza wła-

śnie przez swą ścisłość i jasność był zawsze niezmiernie komunikatywny. Jeśli prawdą jest zdanie, iż zmyślenie polega na komplikowaniu rzeczy prostych, procesy myślowe służą równocześnie porządkowaniu — a więc i „upraszczaniu" spraw skomplikowanych. „Niektórzy uważają, że jestem dobrym pisarzem" — mówi France w cytowanej już autobiografii. — „Jeśli nim jestem rzeczywiście, to zapewne z dwóch powodów. Po pierwsze, dużo czasu spędziłem na wsłuchiwaniu się, jak mówią rzemieślnicy i w ogóle ludzie prości. Powinniśmy się uczyć od nich, ponieważ mówią oni w sposób naturalny, podczas gdy ludzie wykształceni i uczeni mówią językiem, który jest sztuczny i fałszywy..."

Dwie sprawy, nierównej, oczywiście, doniosłości — przyśpieszyły dalszą ewolucję France'a. Pierwszą z nich było wniknięcie w mechanizm Wielkiej Rewolucji Francuskiej. France był od wielu lat czynnym i bardzo gorliwym członkiem zarządu Towarzystwa Historycznego dla badania Rewolucji Francuskiej". Na czele tego stowarzyszenia stał prof. Aulard, obrońca „czystej" tradycji jakobińskiej, apologeta zdobyczy rewolucji (przeciw jej krytykom, takim jak Hipolit Taine, i wrogom, jak monarchista Bainville). Aulard opublikował słynną Histoire politique de la Révolution Française (reasumując rozwój głównych kierunków myśli rewolucyjnej), a także zbiór dokumentów, oświetlających różne strony obyczajowego i gospodarczego życia francuskiego w latach rewolucyjnych i porewolucyjnych (za „Konsulatu"). France wgłębiał się bardzo uważnie w te dokumenty, w najdrobniejsze szczegóły — i z tych właśnie przeżyć powstała wydana w roku 1912 powieść o Rewolucji Francuskiej Les Dieux ont soif. Analogie z ruchem przygotowującym rewolucję proletariacką musiały uderzyć syntetyczny, jasny, zdolny do szerokich i twórczych uogólnień umysł wielkiego pisarza.

Mocniejszych jeszcze argumentów dostarczył wybuch pierwszej wojny światowej. France był nią przerażony. W kilka dni po wybuchu napisał artykuł domagający się możliwie szybkiego zawarcia pokoju. Chociaż artykuł ten był bardzo umiarkowany w tonie, wywołał istną burzę protestów, w głosach od czytelników i w polemikach prasowych. Od tej chwili sędziwy pisarz (ulegający zresztą życiowemu wpływowi swej gospodyni o przekonaniach kołtuńskich), stał się bardziej ostrożny. W publikowanych właśnie nowych ustępach swego Pamiętnika wyrzeka Romain Rolland na czysto werbalny w tym czasie radykalizm i pacyfizm France'a, bardzo krańcowy i buńczuczny w słowach, lecz unikający zaangażowania czynnego.

Zdaje się jednak, że jest w tych zarzutach nieco przesady. France stwierdził przecież właśnie w tym czasie, że wojna 1914—1918 roku toczy się w interesie imperialistów i „międzynarodówki przemysłu zbrojeniowego". „Ludzie wierzą w to, że umierają za ojczyznę, a naprawdę giną w obronie przemysłowców!" (list do Marcelego Cachin). Anatol France wiedział i rozumiał dobrze, jaką cenę zapłaciła Francja za tę wojnę: 4 miliony zabitych, drugie tyle inwalidów. Co dziesiąty człowiek, co piąty mężczyzna, niemal co drugi mężczyzna w sile wieku zginął w tej walce, która niesłychanie wzbogaciła koncerny Kruppa i ściśle z nią powiązane „sociétés" Schneidra - Creuzot.

Wielką Rewolucję Proletariacką w roku 1917 powitał France słowami najgorętszej sympatii. Po kongresie w Tours, na którym dokonał się rozłam między francuskim socjalizmem rewolucyjnym a socjalizmem reformistycz-

nym, France oficjalnie wstępuje do Francuskiej Partii Komunistycznej.

Trzydzieści lat po śmierci France'a można już zdać sobie sprawę z roli, jaką odegrał, ze znaczenia jego pism, które nieustannie rośnie. „Imię Anatola France'a lśnić będzie zawsze na wspaniałym niebie kultury francuskiej" — powiedział Gorki. „France symbolizował bujne bogactwo myśli ludzkiej" — dodawał Erenburg. „Fraza France'a jest konkretna, dźwięczna, oszczędna, a przez to właśnie nie podobna jej podrobić" — mówi Łunaczarski. Sześć dużych prac naukowych poświęcili ostatnio młodzi romaniści radzieccy wielkiej twórczości autora, którego książki osiągnęły w ZSRR, w okresie od 1918 do 1952 roku, nakład 2.180.000 egzemplarzy w 12 językach.

W chwili gdy piszę te słowa, odbywa się w wielkich paryskich zakładach metalowych Renault manifestacja poświęcona pamięci wielkiego pisarza, zorganizowana przez robotników z okazji 30-lecia jego zgonu. Zabiera głos pani Henriette Psichari-Renan, w pierwszym rzędzie siedzi wnuk pisarza, Lucjan Psichari, wybór najpiękniejszych ustępów z pism francuskich czyta wiceprzewodniczący Związku Aktorów Francuskich, Pierre Asso, znany nam dobrze z pobytu w Warszawie z odważnym zespołem Daquina, który wystawił sztukę Rogera Vaillanda P u ł k o w n i k F o s t e r p r z y z n a j e s i ę d o w i n y. Robotnicy przebaczyli France'owi, że kiedyś w swej powieści młodzieńczej L e s d é s i r s d e J e a n S e r v i e n oczernił paryską Komunę. Przebaczyli mu wahania i niepokoje pierwszego okresu twórczego. Oni, robotnicy, stali się agitatorami tego ruchu, który, przypominając twórcę W y s p y p i n g w i n ó w, broni jednej z wielkich pozycji francuskiego dorobku kulturalnego. France — humanista, miłośnik człowieka, erudyta, reprezentant bujnego bogactwa myśli, wróg krzywdy i miłośnik poezji bliższy jest dziś duszy francuskiego ludu niż kiedykolwiek.

Wojciech Natanson

FILOZOFIA I REBUS

Rozkuwanie olbrzyma

„Jeśli z filozofii uczynić analizę języka, wtedy nie trzeba filozofować o miejscu człowieka w przyrodzie; wtedy można pozostawić innym uczonym opisywanie świata, a polityką można interesować się tylko jako bogatym źródłem lingwistycznego zamętu".

Po takich właśnie torach od dłuższego już czasu biegnie myśl całej niemal filozofii burżuazyjnej, czyli — jak jej przedstawiciele lubią ją nazywać — filozofii Zachodu. W rezultacie obraca się w próżni lub — jeśli kto woli — w błędnym kole logiki formalnej i czysto semantycznych zagadnień.

Nie należy wnosić stąd jednak, że takie oderwanie od życia równoznaczne jest z brakiem wszelkiego na nie wpływu. Przeciwnie, owe abstrakcje są podłożem i punktem wyjścia oddziaływań bardzo konkretnych. Jak dalece konkretnych — świadczy książka, z której zaczerpnęliśmy przytoczone na wstępie zdanie. Jest to równie udana i świetna, co wyjątkowa — na gruncie amerykańskim — próba przełamania błędnego koła formalistycznych dociekań. Mamy na myśli dzieło jedynego bodaj w obozie niemarksistowskim postępowego filozofa Ameryki, Barrows Dunhama — O l b r z y m s k o w a n y.

Południowy stan Georgia wsławił się smutną sławą jednego z „przodujących" w tragicznej statystyce linczu. Ale przed paru laty stan Georgia uzyskał rozgłos dodatkowy: Murzyna Izajasza Nixona zlinczowano u wejścia do lokalu komi-

sji wyborczej w biały dzień i z udziałem członków komisji za to jedynie, że chciał zrobić użytek z przysługującego mu prawa głosowania. Świadków, jak zwykle, nie było i jak zwykle zbrodnia uszła bezkarnie. Wdowa zadała wówczas pytanie, które odbiło się głuchym echem o kamienne mury ustroju: „Dlaczego życie w naszym kraju jest takie straszne?"

Barrows Dunham uznał, że danie odpowiedzi jest pierwszym i naczelnym obowiązkiem wszelkiej filozofii godnej tego miana. Dunham uczynił to — i los jego potoczył się śladem większości poprzedników na drodze postępu. Nie został wprawdzie spalony na stosie. Pozbawiono go jednak katedry — był dziekanem wydziału filozoficznego na uniwersytecie filadelfijskim — a wszystkie grube i drobne rybki maccarthyzmu akademickiego, zazdroszcząc inteligencji, odkrywczości i sławy, obrały go sobie za przedmiot nieskończonych ataków.

Dunham zaczyna od podstawowych zagadnień, stojących przed filozofią: czym jest świat, do czego zmierza, czy i jakie są drogi jego poznania? A każda z odpowiedzi ma w ujęciu autora znaczenie praktyczne, konkretne; prowadzi do wyjaśnienia, że człowiek sam zmienia świat, może więc z niego usunąć strach i niedostatek. W ten sposób filozofia wydobywa się z nędzy i idealizmu oraz teologicznych wypaczeń i wraca na piedestał, jeśli nie „królowej nauk", to w każdym razie wiedzy naukowej, czyli umiejącej powiązać teorię z praktyką. Teorię koncepcji z praktyką danych i wniosków.

Pierwsza część książki poświęcona jest zagadnieniu trwania i przemiany wszechświata w dialektycznie ukazanym rozwoju. Dunham ostro rozprawia się z idealistyczną koncepcją ustawicznej płynności i bezkierunkowości. „Wielorakość rzeczy daje im jedność, ruch daje im kształt — powiada. — Trwanie i ciągłość nie są tajemniczym substratem poza zmiennym obliczem rzeczy, schronieniem przed pościgiem okoliczności; przeciwnie — kształt i skutek przemian są podstawą trwania".

Omawiając różne kłócące się z sobą teorie idealistyczne Dunham wskazuje, że u podłoża niejednej z nich leżą dziwaczne przeżytki z wczesnych epok myślenia, z pierwotnych postaw człowieka, w tej liczbie wiara w zaświaty, w siły nadprzyrodzone. Dunham podkreśla doniosłość tej wiary dla przywódców kapitalizmu: „Nadprzyrodzoność jest im potrzebna jak powietrze, którym oddychają; jest to jedna z ich najpotężniejszych broni w akcji zapobiegania rewolucji. Od 1945 przejawiają niezwykłą troskę o religię. Ale wbrew pozorom nie jest to skrucha na łożu śmierci. Przeciwnie, jest to wysiłek, by łoże śmierci uczynić niemożliwym, a skruchę niepotrzebną."

Z ironią wyraża się Dunham o „filozoficznych półracjonalistach, którzy nie biorą zaświatów ani zbyt poważnie, ani też nazbyt lekko. Dzięki temu przyjaciele nie będą z nich drwić, a policja ich nie zaaresztuje". Zewnętrzne akty wiary — jakże często pozbawione treści i pokrycia — stanowią dzisiaj jedną z typowych form objawienia postawy politycznej. W kapitalizmie grają pobudki oportunistyczne, u nas jest to manifestacja protestu klas ginących. Czasem jednak, a mianowicie wśród cierpiących i uciskanych, wiara w siły nadprzyrodzone jest wyrazem szukania ulgi i pociechy, nieudolną formą dążeń zdrowych i słusznych. Wtedy trzeba traktować ją z szacunkiem. „Trudność — mówi Dunham — polega na tym, jak zniszczyć metafizyczne podłoże bez uszkodzenia tkwiących w nim wartości. Operacja jest delikatna, a zarazem konieczna. Póki bowiem trwać będą nadzieje na wieczność, póty będzie zahamowane dążenie do realizacji owych

wartości w naszym rzeczywistym życiu."

Teoria poznania, problem wiedzy o świecie, jej możliwości oraz praw nią rządzących — to przedmiot drugiej części dzieła. Autor przeprowadza tu druzgocącą krytykę dwóch zwłaszcza systemów, które zdobyły sobie szczególne uznanie i popularność wśród uczonych burżuazyjnych. Relatywizm, głoszący niemożliwość poznania, obala Dunham jego własną ultrasceptycystyczną bronią. A wykazując błędy pragmatyzmu pisarz podkreśla atrakcyjność tego kierunku dla wszelkich totalitarnych zamierzeń. Ostatnim pragmatystą, który umiał krytycznie ustosunkować się do imperializmu Stanów Zjednoczonych, był William James, przeciwnik podboju Filipin. Jego następcy, podobnie jak sojusznicy z obozu relatywizmu, szli już potulnie na pasku wielkich interesów kapitalistycznych. Nic dziwnego, wyjaśnia Dunham. Jeśli odrzucić rozum i wiedzę jako drogi poznania, wówczas niemal automatycznie człowiek pada w objęcia autorytetów lub mistyki. A doświadczenie historii stwierdza, że ilekroć w przeszłości ustanowiony został autorytet w dziedzinie prawdy, zawsze okazywał się on autorytetem klasy rządzącej. W podobny sposób zaprzeczanie istnieniu praw naukowych otwiera bramy wszelkim odmianom dławienia myśli, a zatem faszyzmu.

Wreszcie w trzeciej partii książki, poświęconej etyce, Dunham wykazuje, że współczesne burżuazyjne teorie etyczne, traktujące społeczeństwo jako zbiorowisko jednostek nie związanych wspólną odpowiedzialnością, są po prostu odbiciem samej natury społeczności kapitalistycznej, w której rządzi zasada *homo homini lupus*. „Istotą jest tutaj walka — mówi — Dunham. — Klasy rządzące usiłują przemocą utrzymywać się przy władzy, a członkowie tych klas usiłują w ich obrębie pozostać. Stąd powstają dwie sprzeczne ze sobą etyki. Jedna usprawiedliwia władzę rządzących i stara się przedstawić ich cele za uzasadnione społecznie. Druga jest wyrazem pragnień uciśnionych mas. Jednomyślność jest tu niemożliwa".

Dzieło Dunhama nie jest bez zarzutu. Pomija milczeniem sprawę tak kapitalną, jak stosunek do wojny i pokoju. A brak ten staje się szczególnie jaskrawy, jeśli wziąć pod uwagę wyjściowe przesłanki autora. Książka jednak zasługuje na specjalną uwagę już choćby ze względu na swoją wyjątkowość w stosunkach amerykańskich. Ponadto, jakkolwiek pisana przez biegłego erudytę i utrzymana na wysokim poziomie, ujęta jest w sposób jasny i łatwy, i dlatego dostępny dla kręgu laików. Kto wie, czy nie warto pomyśleć o polskim przekładzie. Tego rodzaju książek mamy niewiele. A mimo zrzucenia kajdanów ustrojowych, w naszej własnej umysłowości wciąż tkwi niejedna jeszcze skamielina, którą należy usunąć. Dunham dostarczyć nam może w tym celu dobrze wyostrzonego narzędzia. Kto wie nawet, czy u nas nie miałoby zbytu większego niż w USA, dla których zostało przeznaczone. Tam bowiem lubią narzędzia nie tyle ostre i precyzyjne, co „oryginalne" lub po prostu zabawne. A że wzięcie mają czasem wprost niezwykłe — warto się im przyjrzeć.

Profesor i menażeria

„Społeczeństwo, podobnie jak jednostka, może zupełnie stracić poczucie samego siebie. W takiej sytuacji znaleźli się dziś Amerykanie, którzy po raz trzeci w ciągu niezbyt wielkiej liczby pokoleń zmieniają skórę. To całkowite przeobrażenie się charakteru amerykańskiego sprawia, że mało kto w USA wie w chwili obecnej, kim jest i do czego ma zmierzać. Oto główny problem epoki".

Wywód powyższy zaczerpnęliśmy z

książki, która, choć pretenduje do treści filozoficznej, rozeszła się błyskawicznie w czterdziestu tysiącach, bijąc tym rekord Ameryki. Książka nosi tytuł S a m o t n y t ł u m, autor zaś, David Riesman, jest profesorem socjologii w Chicago.

Istnieją trzy typy pierwotnej kultury, mówi Riesman. Indianie Pueblo, pokojowo usposobieni i skłonni do współpracy; Indianie Kwakiutl, gotowi dla popisu i postawienia na swoim palić nawet własne szałasy; wyspiarze Dobu, zawistni i chciwi, wciąż usiłujący coś komuś ukraść, wycyganić lub zabrać z pomocą magicznych sztuczek. Riesman zadał swoim słuchaczom pytanie, do kogo Amerykanie są najbardziej podobni. Wszyscy znaleźli wiele cech wspólnych z Indianami Kwakiutl i wyspiarzami Dobu, podobieństwa do spokojnych Pueblo nikt prawie się nie dopatrzył.

Osobiście Riesman sądzi o tym jeszcze inaczej. Jego zdaniem Amerykanie najbardziej przypominają trzy świnki ze znanej bajeczki dla dzieci. Z tą różnicą — zaznacza — że bajeczka pochodzi z czasów indywidualizmu wśród dzieci. Dzisiaj wszystkie świnki robią to samo, żadna nie siedzi w domu i każda kwiczy dokładnie tak jak inne.

Chodzi o to — powiada myśliciel z Chicago — że minął już okres wiary w rozum, postęp i doskonalenie się rodzaju ludzkiego. Wszelki inny pogląd — dodaje — jest reakcyjnym myśleniem i próbą cofania wstecz koła historii. Zobaczymy więc, jak owo koło popycha naprzód pan Riesman.

Za dawnych lat — wywodzi — życie pokoleń mało się od siebie różniło. Nowe pokolenia wychowywały się więc na wzorach, pojęciach i obyczajach starych. Był to okres tradycjonalistyczny. Tak było do czasów Odrodzenia, kiedy pod wpływem szybkiego przyrostu ludności, rozwoju techniki i odkryć nowych lądów stosunki społeczne stały się płynne. Ludzie zaczęli wtedy w sobie samych szukać busoli, wytycznych i miary postępowania w życiu. Ten okres nazwać można okresem dośrodkowców. Skończył się on — przynajmniej w USA, jak twierdzi Riesman — po pierwszej wojnie światowej. Zastąpiła go doba współczesna — epoka odśrodkowców.

Zdefiniowanie i analiza epoki — oto zadanie, jakie sobie postawił dostojny naukowiec.

Miarą postępowania — stwierdza — jest dla dzisiejszego Amerykanina zachowanie się innych. A ponieważ ci inni oglądają się z kolei na niego i składają się z takich samych ludzi, jak on, więc wytwarza się błędne koło. Głównym skutkiem jest strach przed wyróżnieniem się z tłumu, przed postępowaniem inaczej niż wszyscy. Oczywiście mamy wśród nas — mówi Riesman — jeszcze całą masę dośrodkowców, którzy biorą na serio cele moralne, polityczne, społeczne. Taka jest na przykład większość robotników, taka jest część burżuazji — farmerzy, drobni przedsiębiorcy, inżynierowie. Lecz nowa burżuazja, czyli biurokraci i urzędnicy, a także sporo młodzieży — ci są już odśrodkowcami. Nie wierzą, by mogli sami wpływać na politykę, starają się od niej raczej uciekać, a robią to powtarzając, co mówią inni, czyli w praktyce powtarzając, co piszą gazety. Lubią należeć do „wtajemniczonych", ale w rezultacie wychodzi to na jedno. Nade wszystko zaś boją się wyłamywać z opinii większości, boją się osamotnienia. Mimo to nie mogą osamotnienia uniknąć. Tłum amerykański jest najbardziej samotny z tłumów, każdy w nim jest samotny, choć tak się ogląda na innych. Stąd tytuł książki Riesmana.

To ciągłe oglądanie się na sąsiada jest naczelną cechą stosunków amerykańskich. Szkoła dzisiejsza tłumi zdolności indywidualne dzieci, hamuje ich rozwój umysłowy, natomiast rozwija w nich

instynkt stadny. „On myśli, że jest duży" — ten okrzyk przedszkolaka na określenie dziecka, które się wyróżnia, jest oznaką najwyższego potępienia, a zarazem zjawiskiem typowym. Tradycjonalista doznaje uczucia wstydu, gdy nie przestrzega obyczajów przodków. Dośrodkowiec ma wyrzuty sumienia i poczucie winy, jeśli sprzeniewierza się swoim zasadom.

Odśrodkowcem natomiast rządzi strach, by nie wyglądać odmiennie, a zatem podejrzanie. Pytanie ze starej bajki zostało odwrócone i królowa, patrząc w lusterko, troszczy się teraz o to, czy jest dokładnie taka sama, jak wszyscy — przynajmniej na wygląd.

Różnice zresztą są dopuszczalne, lecz jedynie w odcieniach; widoczne, ale nieistotne. Mieszkanie i suknia, upodobania i obyczaje, styl życia i postać ludzka są jednakowe z drobnymi tylko, nikłymi odchyleniami na rzecz „indywidualności"; jedni obstają przy Coca-Coli, drudzy trzymają się Pepsi-Coli. Estetyka stała się względna, etyka — bez kośćca. Moralne i piękne jest to, co ma powodzenie, co znajduje uznanie większości. Dzieci, a i dorośli, boją się jak ognia wydawania ocen prostych, stanowczych. Nie mówią „ładny" czy „brzydki", „dobry", czy „zły" — ale „pomysłowy" lub „zręczny". A gdy nie są pewni sądu opinii, mówią: „dziwny".

Stany Zjednoczone są w oczach Riesmana ogromną menażerią, w której wyodrębnia cztery zwłaszcza typy: 1. Kaczki i gęsi, kwaczące i gęgające chórem, kiedy kwaknie lub gęgnie jedna. 2. Strusie z głową stale schowaną w piasku 3. „Wtajemniczone" lisy. A wreszcie 4. Wielbłądy-obojętniaki. Obojętniaki bywają starego i nowego stylu, zależnie od tego, czy są tradycyjnie uległi i potulni, czy nawocześnie idący za stadem. „Wielbłądy" stanowią według tej oceny przeszło połowę ludności USA.

Osobną, dodatkową grupę tworzy Riesman z indyków-krytyków, krytykujących wszystko dokoła i przepowiadających jak najczarniejszą przyszłość, oraz puhaczy-moralizatorów, którzy widzą swoje zadanie w przerabianiu świata. Stanowią element niebezpieczny, gdyż mają często wielki wpływ na obojętniaków. Dziś co prawda wyżywają się w sprawach ubocznych, jak cenzura filmów, i w sprawach lokalnych. Czasem jednak sięgają do zagadnień wielkiej polityki, a wtedy mogą się stać groźni. Zwłaszcza jeśli swe oburzenie związą z jakimś politycznym skandalem. Oni właśnie byli niedawno przyczyną załamania całej kariery McCarthy'ego. Do najgroźniejszych zaś dośrodkowców zalicza pan Riesman komunistów.

Nie ma w tym nic dziwnego. Trzeba tu bowiem dodać, że chociaż Riesman nie przejawia wyraźnej sympatii dla McCarthy'ego, jednakże cała jego teoria służy tym samym celom, dla których pracuje wesołek w Wisconsin. Riesmanowi marzy się społeczeństwo robotów, ale dla niepoznaki nadaje im pseudonaukowe miano „anomików". Owymi „anomikami" rządzić mają grupy odpowiednio do tego urobione, czyli — jak nazywa pomysłowy profesor — „autonomicy". Najlepszym sposobem wychowania „autonomików" jest według Riesmana „gra, sport, rozrywka, wesoła zabawa". „Człowiek wyrobiony sportowo — mówi z całą powagą dowcipny uczony — może z powodzeniem przejść do polityki jako nowego pola działania".

Toynbee i sześcioboczny kwadrat

Teraz jesteśmy już w domu i blisko samego źródła profesorskich mądrości. Podobna krynica wiedzy biła przecież w naszym najbliższym sąsiedztwie. System wychowawczy nazywał się wtedy *Kraft durch Freude*, zaś „autonomików" teutońskiego wylęgu hodowano po różnych „orlich gniazdach" i „szkołach wodzów".

Chociaż... może krzywdzimy mędrca z Illinois? Analogia jest całkowita, pokrewieństwo zupełne i niewątpliwe. Lecz analogia nie jest genealogią i pan Riesman ma własny rodowód. Oddajemy mu sprawiedliwość już choćby za to, że w swej książce umieścił wiele wnikliwych i trafnych spostrzeżeń niezależnie od końcowych wywodów i celów. Tak więc przyznając *suum cuique* stwierdźmy, że Riesmańskie nauki wywodzą się z anglosaskiej linii mitomatów XX stulecia. Znamy zresztą ich protoplastę. Podobnie jak prekursor Rosenberga jest nim syn Albionu. A popularnością swoją w USA przewyższa nawet wzięcie Chamberlaina w twierdzach myślowych jasnowłosej bestii. „Toynbee idzie w Ameryce nie gorzej niż whisky" — mówi jeden z publicystów brytyjskich. Idzie i zapładnia umysły. A rezultaty oglądamy w postaci Burnhamów i Riesmanów. Kiedy Toynbee wygłasza tezę o „zwierzętach społecznych" i „baranim mimetyzmie ludów", które „ustawiają się heliocentrycznie wokół jednostek twórczych wiodących je do ziemi obiecanej" — odkrywamy prazdrój, skąd wytrysnęli „anomicy" i „autonomicy".

Prof. Arnold Toynbee jest historykiem i autorem 10 wielkich tomów interpretujących dzieje całego świata. Lecz wielka erudycja — no i 3.250.000 słów — służą jednemu wyłącznie celowi: zastąpienia historiozofii przez teozofię. „Ludzie — czytamy w argumentacji wstępnej — to tylko bezsilne pionki w grze, jaką rozgrywa Bóg na szachownicy nocy i dni, pionki, które przesuwa dowoli, unieruchamia, cofa i po kolei odkłada w pudełku". Słowem — i zgodnie z Tertulianem — światem rządzi „Najwyższy Absurd", a ci, co się buntują i widzą w historii dzieło człowieka, stanowią „element sataniczny". Jak jednak odróżnić „synów Szatana" od „słonecznych twórców", prowadzących właściwą drogą anomiczne pionki? W tym drażliwym momencie przychodzi z pomocą *Deus ex machina*. Albowiem „podobnie jak powieść i dramat, historia jest córką mitologii". A „badanie mitów uczy nas, że w chwilach rozstrzygających człowiek nigdy nie był zdany na siebie samego... Duch Ziemi, który przędzie i rozpina swe nici na krześle czasu, układa historię człowieka".

Dalszy ciąg jest już mniej mistyczny. Do pomocy życzliwy prządca dobiera sobie znanych nam tak dobrze a tak miłych imperialistom „mężów opatrznościowych": „Prorok wstępuje na Synaj i rozmawia z Jehową, który go powołał i jemu tylko daje się słyszeć. Poczem wraca niosąc nową ustawę ludowi niezdolnemu wznieść się na tyle, by otrzymać ją bezpośrednio". Trzeba przyznać, że ta recepta na Króla-Ducha jest prosta i wszędzie da się zastosować — czy będzie to Piłsudski, McCarthy czy Annie Besant.

Interpretując przeszłość Toynbee zgruntował teraźniejszość i przyszłość i sam stał się poniekąd prorokiem. Ogarniając świat z wyżyn swojej mądrości Toynbee dostrzegł groźną „demarkację, która dzieli zonę cywilizacji od barbarzyńców. W pełnym uzbrojeniu stoją naprzeciw siebie osaczona rządząca mniejszość („Słoneczna i twórcza" — JS) oraz niespętany proletariat zewnętrzny. A równowaga ta, chwilowa i niepewna, przechyla się wyraźnie na korzyść barbarzyńców".

Toynbee nie ukrywa, że jedynym sposobem ocalenia jest wojna i powstanie mocarstwa uniwersalnego — pod egidą, rzecz jasna, USA. Ale zabieg nie jest wcale łatwy i Toynbee rozgląda się za pomocą: „Jedyną społecznością zdolną objąć ogół ludzkości jest *civitas Dei* przerastająca człowieka; koncepcja społeczeństwa, które obejmuje ludzkość, ale nie sięga dalej, jest ideologiczną chimerą". Filozof uniknął chimery.

Wzrok jego sięgnął „dalej" i wypatrzył Watykan: „Być może Kościół dzięki obfitości swych męczenników zdoła kiedyś owładnąć państwem uniwersalnym..."

Odzew był błyskawiczny. Z tym dodatkiem, że Watykan nie chciał czekać na „kiedyś". Pius XII przystąpił do niezwłocznych modłów o III wojnę światową i w encyklice Sempiternus Rex wezwał chrześcijan świata do „zjednoczenia się pod jednym sztandarem dla walki z wysłańcami piekieł".

Nie będziemy mnożyć przykładów. Atomowe tęsknoty Eugeniusza Pacelli i Arnolda Toynbee są zbyt znane, by do nich powracać. Poza tym, mówiąc językiem jednego z O.O. Jezuitów, Pius XII „pod śmiertelną nachylony kosę, z grobowym graniczy kamieniem, gdzie pośpieszy własne z Ojcami swemi zmieszać popioły". A prof. Toynbee widząc, że jego uczniowie prześcignęli mistrza, właśnie oświadczył, że „wszystko, co ma do powiedzenia Ameryce, zawiera się w jednym słowie: Cierpliwości!". Teraz bowiem doszedł do przekonania, iż pokojowe współistnienie ustrojów jest całkowicie możliwe.

Nas jednak interesuje w tej chwili inny jeszcze aspekt zjawiska. Do filozofii zawsze odnosiliśmy się z szacunkiem, nawet jeśli bez reszty odrzucaliśmy jej doktrynalną treść. Absolwent filozofii czy studiujący ją laik, nawet szkolony wyłącznie na Platonie i św. Tomaszu, to w naszym pojęciu ktoś o pewnym bagażu myśli, to człowiek o mózgu wygimnastykowanym, zaprawiony w pracy intelektu. Jak zatem pogodzić z tym fakt, że nakłady Riesmana biją niejedną powieść, a Toynbee rywalizuje skutecznie z wódką szkocką i winem. Można wyobrazić sobie pijaka myślącego trzeźwo po dziesięciu butelkach. Ale ze świecą nie znaleźć tytana, który by się ostał po dziesięciu tomach egzegety Toynbee. (O mój los czytelnik może się nie trwożyć: znam tylko 600 stron autoryzowanego ekstraktu).

Przyczyna leży w zaprawie. W przygotowaniu, w poziomie filozoficznych studiów na uczelniach Ameryki. Oto mamy przed sobą wyciąg zadań, jakie rozwiązują na egzaminie końcowym studenci filozofii w USA. Przytaczamy go za paryską „Pensée", pomijając tylko przerażony komentarz pisma.

Zadanie 1-e

(Oznacz krzyżykiem twierdzenia, które uważasz za prawdziwe. Krzyżyk przy twierdzeniu fałszywym uważa się za błąd).

Filozofia

— nie różniła się początkowo ani od nauki, ani od religii;
— ma za przedmiot pierwsze przyczyny i pierwsze zasady wszechrzeczy;
— narodziła się u Persów;
— różni się od nauki tym, że dla rozwiązania swoich zagadnień posługuje się objawieniem.

Monizm

— uczy, że rzeczywistość składa się z mnogości jestestw zasadniczo różnych;
— może być materialistyczny, lub idealistyczny.

Platon

— uczył, że jedyną rzeczywistością są zasady uniwersalne, czyli idee poznawalne przez intelekt;
— sądził, że te idee, które jedynie są rzeczywiste, istnieją tylko w umyśle ludzkim;
— miał pewną pogardę dla materii i mówił, że ciało jest przyczyną wszystkich cierpień człowieka;
— uczył, że cała wiedza jest wspomnieniem tego, co dusza wiedziała już w poprzednim wcieleniu;
— ceniony był przez Alcybiadesa za wielką odwagę i wytrzymałość fizyczną.

Z a d a n i e 2-e

(Oznacz w nawiasie numery rubryk lewej kolumny odpowiadające najlepiej rubrykom kolumny prawej).

1. Wielokąt milionoboczny;
2. Student Yale przybyły z Moskwy;
3. Klon;
4. Tryb łączący;
5. Drzwi;
6. Kwadrat sześcioboczny;

1a. Jestestwa rozumowe; ( )
2a. Jestestwa możliwe; ( )
3a. Jestestwa rzeczywiste. ( )

Chyba dosyć. W Europie takie sztuczki spotkać można czasami w rebusach i krzyżówkach. Ale jak z ich pomocą zbadać sprawność umysłu absolwentów amerykańskich po 4 latach studiów, tego zapewne nawet Alcybiades nie umiałby powiedzieć.

Wnioski zresztą same się nasuwają. Nie trzeba nawet być dośrodkowcem, aby umieć je wysnuć. Ten egzaminacyjny arkusz — przecież znamy to dobrze z nieco innych, mniej akademickich okoliczności. Rubryki, ujęcie, niezliczone, podchwytliwe pytania („Pensée" przytoczywszy początek nie miała siły iść dalej), chwyty z podsuwaniem nonsensu, najrozmaitsze pułapki obliczone na nieuwagę czy po prostu zmęczenie delikwenta — wszystko aż zbyt wyraźnie zdradza swój pierwowzór. Tak samo wyglądają formularze tekstów lojalności, wyborczego egzaminu Murzynów, kwestionariusze wizowe, personalne, imigracyjne. Wszystkie z jednej pochodzą fabryki, egzamin jest na sprytiarza, nie zaś adepta „królowej nauk".

Zza pleców zdetronizowanej damy wyłaniają się cienie dzisiejszych jej opiekunów. Umacniają żelaza skowanego olbrzyma w nadziei, że nigdy nie zdoła ich zerwać. Nie dostrzegają nawet, iż postawili sobie cel równie trudny, jak rozwiązanie „sześciobocznej" kwadratury koła.

Julian Stawiński

„KAMENA"
„ŁÓDŹ LITERACKA"

Lubelska „Kamena", wznowiona w 1952 roku jako organ tamtejszego Oddziału Związku Literatów Polskich, długo szukała właściwej formuły redakcyjnej. Ostatni, grudniowy numer pozwala przypuszczać, że znajduje się na jej tropie. Coraz więcej miejsca na łamach pisma zajmuje kronika życia kulturalnego Lubelszczyzny, coraz więcej uwagi poświęca redakcja potrzebom terenu. Przydałoby się może nieco więcej odwagi, niepokoi trochę ogólna sielankowość tonu. Czyżby na przykład z czytelnictwem na wsi było aż tak idealnie, jak sugeruje to artykuł Konrada Bielskiego? Wiemy przecież, że tutaj nie zawsze najlepiej się dzieje. Sam kiedyś oglądałem bibliotekę — nie wiejską wprawdzie i nie na Lubelszczyźnie, ale zakładową w Elblągu — gdzie widniały pozycje takie, jak P o e z j a Z w i ą z k u Ś w i ę c o n e g o (studium specjalistyczne wydane przez Ossolineum w nakł. 1000 egzemplarzy, połowa tekstów po łacinie) czy prace naukowe z zakresu paleontologii (naprawdę!), nie było natomiast ani K r z y ż a k ó w, ani F a r a o n a i tylko jeden, doszczętnie już zaczytany, egzemplarz L a l k i. Nie twierdzę, że wszystkie biblioteki są tak kompletowane, ale sądzę, że i z terenu Lubelszczyzny wiele takich kwiatków dałoby się uzbierać. Nie mówiąc już o tym, że jednak w dziedzinie czytelnictwa dane statystyczne nie odzwierciedlają faktycznego stanu rzeczy z taką precyzją, jak na przykład w dziedzinie wydobycia węgla. W każdym razie, mimo pewnej, zbytecznej może ostrożności, „Kamena" sięga do istotnych spraw swego terenu. Wyraża się to nie tylko w artykule Konrada Bielskiego. Ambicją pisma jest — widać to już wyraźnie — stać się kulturalnym organem Lubelszczy-

zny. „Kamena“ nie rezygnuje zresztą ze swoich dawnych, szlachetnych upodobań. Pozostała nadal, w mniejszym zakresie, ale jednak pismem poetów. Nie wszystkie może drukowane w „Kamenie“ utwory poetyckie są wyrównane. Nie wszystkie może dojrzały do druku. Ale i to jest ważne: „Kamena“ opiekuje się młodymi poetami swego terenu i umożliwia im debiut. Lubimy wszyscy „Kamenę“, szanujemy ją za upór — godny właśnie tej dobrej sprawy — z jakim, jedyna wśród naszych pism literackich, przypominała niemal w każdym swoim numerze o istnieniu w dwudziestoleciu tak wspaniałego zjawiska poetyckiego, jak Czechowicz. W n-rze styczniowym W. Gralewski publikuje interesujący essay o tym świetnym, tragicznie zmarłym poecie. Mamy prawo oczekiwać od „Kameny“ dalszego uporu i dalszego wysiłku nad ukazywaniem świetnych tradycji kulturalnych Lubelszczyzny. Może właśnie W. Gralewski przypomni nam postać interesującej poetki i szlachetnego człowieka — Franciszki Arnsztajnowej?

Takie same życzenia, jak wobec nestorki, chcielibyśmy także sformułować pod adresem beniaminka naszego czasopiśmiennictwa literackiego — „Łodzi Literackiej“. Pierwszy jej numer nieco nas zaniepokoił, choć na brak powiązania z terenem nie można było narzekać. Przeciwnie, sądzić by można nawet, że poza łódzkim środowiskiem literackim nie ma już w Polsce nikogo. Jeden literat łódzki wypisywał laurkę koledze, który na następnej stronie rewanżował się równie uprzejmie, wzywając trzeciego do współzawodnictwa. Pismu groziła koteryjność, zasklepienie w malutkim terenie nie robotniczej Łodzi, ale Domu Literatów na Mickiewicza 8. Numer drugi na szczęście uśmierzył nieco te obawy, a trzeci — poświęcony Julianowi Tuwimowi w pierwszą rocznicę jego śmierci — jest naprawdę interesujący. Przynosi szereg cennych, zapomnianych lub nieznanych pozycji wielkiego poety: juvenilia, depesze i listy do Rady Miejskiej miasta Łodzi itd. Bardzo piękny essej-wspomnienie Mieczysława Jastruna jest ozdobą numeru. Życzymy redakcji powodzenia i czekamy na następne numery, oby jeszcze lepsze.

jl.

Rozstrzygnięcie konkursu
na opowiadanie o tematyce wiejskiej
zostanie ogłoszone
w numerze kwietniowym

KSIĄŻKI NADESŁANE

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Korzeniowski Józef — Spekulant. Kollokacja. Życiorys literacki J. Korzeniowskiego napisała Irena Czechowa. Tekst i przypisy opracowała Maria Rydlowa. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane. Tom I). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. LXIII, 1 nl, 436, 4 nl.

— Nowe wędrówki oryginała. Tekst i przypisy opracował Jerzy Kwiatkowski. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane Tom II). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 404.

— Garbaty. Tekst i przypisy opracował Roman Hennel. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła wybrane. Tom. III). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 352.

— Krewni. Tom I. Tekst i przypisy opracował Adam Jarosz. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane. Tom IV). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 272.

— Krewni. Tom II. Tekst i przypisy opracował Adam Jarosz. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane. Tom V). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 335, 1 nl.

— Opowiadania. Tekst i przypisy opracował Roman Hennel. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane. Tom VI). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 327, 1 nl.

— Dramaty. Tekst i przypisy opracował Marian Kwaśny. Noty teatralne sporządził Stanisław Dąbrowski. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane. Tom VII). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 396.

— Komedie. Tekst i przypisy opracował Marian Kwaśny. Noty teatralne sporządził Stanisław Dąbrowski. Okładkę projektował Adam Młodzianowski. (Dzieła Wybrane. Tom VIII). Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 399, 1 nl.

Krasicki Ignacy — Pisma Wybrane. Tom trzeci. Opracowali: Zbigniew Goliński. Mieczysław Klimowicz, Roman Wołoszyński. Pod redakcją Tadeusza Mikulskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 432, 2 nl.

Kraszewski Józef Ignacy — Budnik. Ilustracje Ignacego Kraszewskiego. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Wstęp opracował Wiktor Hahn. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1954; str. 154, 2 nl.

— Jaryna. Ilustracje Józefa Ignacego Kraszewskiego. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Przedmowę opracowała Ewa Warzenica. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1954; str. 157, 3 nl.

— Jermoła. Obrazki wiejskie. Ilustracje Józefa Ignacego Kraszewskiego. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Przedmowę opracował Julian Krzyżanowski. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1954; str. 226, 2 nl.

— Latarnia czarnoksięska. Opracowała Ewa Warzenica. Okładkę projektował Jan Zygmanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 478, 2 nl.

Prus Bolesław — Kroniki. Tom trzeci. Opracował Zygmunt Szweykowski. Redaktor naukowy Jan Baculewski. Indeksy zestawił Jan Józef Lipski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 679, 1 nl.

Reymont Władysław St. — Wybór nowel. Wybór i posłowie Leonarda Sobierajskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 301, 3 nl.

Sienkiewicz Henryk — Latarnik i inne opowiadania. Wybór i posłowie Jana Kotta. Ilustrował Antoni Uniechowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 307, 3 nl.

Klasycy literatury obcej

Arystofanes — Ptaki. Komedia. Przełożył i objaśnił Józef Jedlicz. Wstępem opatrzył Kazimierz Kumaniecki. Okładkę projektował i ozdobniki opracował: Aleksander Stefanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 193, 1 nl.

Godwin Wiliam — Kaleb Williams. Przełożyła Aleksandra Frybes. Posłowiem opatrzyła Irena Dobrzycka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 463, 1 nl.

SPIS TREŚCI

str.

Kazimiera Iłłakowiczówna: Z wycieczki jesiennej: Liście; Z dębem dąb; Były lilie; Wątpliwość; Stokrotki; Najlepiej; Pasł się obłok 3
Tadeusz Różewicz: Drzewo; Pogoda; Nad wyraz 5
Jan Koprowski: Ojczyzna 8
Tadeusz Nowak: Oczekiwanie; Tak jak w piosence; Ballada o drwalach . 10
Maria Dąbrowska: Na wsi wesele 13
Jan Huszcza: Opowieść o stryju 66
Bogusław Kogut: Sonata melancholica 71
Józef Andrzej Frasik: Do Tuwima wiersz elegijny; W Lipnicy u Madziara; List 73
Janina Brzostowska: Cudzy ogród; Jeśli masz 75
Jerzy Feliksiak: Chleb 77
Franciszek Fenikowski: Kamienny uśmiech 78
Juliusz Żuławski: Strofa; Oktawy przy winie; W górach 108
Tadeusz Breza: Wspomnienie o „Węzłach życia“ 110
ARCHIWUM: Nieznany list Cypriana Norwida do Wojciecha Cybulskiego — do druku przygotowała i objaśniła Jadwiga Rudnicka 120
II ZJAZD PISARZY RADZIECKICH: Aleksy Surkow, Ilja Erenburg, Walentin Owieczkin, Olga Bergholc, Michał Szołochow, Konstanty Simonow, Aleksander Fadiejew 125
WŚRÓD KSIĄŻEK: J. W. Gomulicki — Julian Tuwim „Z rosyjskiego“; Jerzy Wyszomirski — Pamiętnik czasów i ludzi; Wojciech Natanson — Kornel Filipowicz „Profile moich przyjaciół“; Jadwiga Rudnicka — Drugie wydanie „Spotkań wrocławskich“ 172
NA WIDNOKRĘGU: Eustachy Czekalski — Wspomnienie o Władysławie Umińskim; Wojciech Natanson — Jubileusz Jerzego Szaniawskiego; Zbigniew Bieńkowski — Tajemnica Rimbauda; Wojciech Natanson — W trzydziestolecie śmierci Anatola France'a; Julian Stawiński — Filozofia i rebus; jl — „Kamena“, „Łódź Literacka“ 191
KSIĄŻKI NADESŁANE 215

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik“
Redaktor Naczelny: Jarosław Iwaszkiewicz
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewnętrzny 54
Administracja: Wiejska 12, tel. 8-24-11

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych P.P.K. „Ruch“, Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

21

KONKURS ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO

1. W związku z przypadającą w roku 1955 setną rocznicą śmierci Adama Mickiewicza, Związek Literatów Polskich ogłasza kokurs otwarty:

a) na krótkie opowiadanie o Adamie Mickiewiczu;

b) na utwór poetycki o tematyce romantycznej;

c) na sztukę świetlicową, wieczornicę lub słuchowisko radiowe, związane z życiem i twórczością Adama Mickiewicza.

2. Prace nie drukowane, opatrzone godłem, wraz z załączoną zapieczętowaną kopertą, zawierającą imię, nazwisko i adres autora, należy nadsyłać w terminie do dnia 30 marca 1955 roku do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89, zaznaczając na przesyłce: „Konkurs Roku Mickiewiczowskiego".

3. Za najlepsze prace przewidziane są następujące nagrody dotyczące wszystkich trzech rodzajów utworów oddzielnie:

	I	Zł. 4.500.—
dwie	II	„ 3.000.—
trzy	III	„ 1.500.—

Sądowi Konkursowemu przysługuje prawo nie przyznania lub podziału poszczególnych nagród.

4. Związek Literatów Polskich zastrzega dla Komitetu Mickiewiczowskiego oraz Polskiego Radia prawo wydania prac nagrodzonych, lub zasługujących na wyróżnienie, w specjalnej publikacji oraz wykorzystania ich w programach słuchowisk radiowych, jak również podczas imprez organizowanych w terenie, na warunkach przewidzianych „prawem autorskim".

5. W skład Sądu Konkursowego wchodzą przedstawiciele Związku Literatów Polskich, Komitetu Mickiewiczowskiego, Polskiego Radia i Ministerstwa Kultury i Sztuki.

6. Wyniki Konkursu zostaną ogłoszone w prasie dn. 30 kwietnia 1955 r.

0384003

872104/1515

Cena zł 7.–

W najbliższych numerach

Poezja

Mieczysław Jastrun

Julian Przyboś

Proza

Jarosław Iwaszkiewicz

Anna Kowalska

Julian Stryjkowski

Essay

Georg Lukacs o Szołochowie

Roman Karst o Hemingwayu

Jan Parandowski o Arystofanesie

L. Podhorski-Okołów o Mickiewiczu

Artur Sandauer o Przybosiu